

Gorzki, wciągający i świetnie napisany.  
Kryminał z górnej półki!

PIOTR PYTLAKOWSKI, „POLITYKA”

# Czarny manuskrypt

The book cover features a dark, atmospheric illustration. In the center, a man in a brown trench coat and hat stands with his back to the viewer, looking towards a large, imposing stone building with a tall tower. The scene is set in a misty or smoky environment. Several birds are flying in the sky above the man. The overall color palette is dark, with shades of blue, grey, and brown, accented by a bright light source near the building and some red and orange splatters at the bottom right corner.

KRZYSZTOF  
BOCHUS

KRZYSZTOF  
BOCHUS

Czarny  
manuskrypt



MUZA  
Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Moim wnukom,  
Adamowi i Kacprowi Tomczakom,  
poświęcam

*Powiedz, gdzie jest Salomon, tak niegdyś wspaniały? I gdzie jest Samson, niezwyciężony wódz?*

Jacopone da Todi

*My przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki...*

Ewangelia świętego Łukasza 23, 41

## **Rozdział I**

### **Piekło i dzwon**

## 1.

Chłopiec upadł z jękiem po kolejnym ciosie. Musieli mu złamać nogę. Miał wrażenie, że unosi się w powietrze, ponad ziemię, i widzi z góry swoją nienaturalnie skręconą kończynę, leżącą obok bezwładnego ciała. Jego własnego ciała. Słodka krew spływała mu po zmasakrowanej twarzy i zbierała się w kącikach ust. Było jej tak dużo, że gdyby leżał na wznak, zapewne by się zaczął dławić. Zmierzch zamazywał kontury napastników. Wiedział tylko, że było ich dwóch. Bili go metodycznie, na przemian, niezmordowanie. Milczeli. Nie usłyszał ani jednego wypowiedzianego przez nich słowa, tak jakby nie był tego wart.

Wyższy, o długich łapach, podwijał właśnie rękawy, pewnie z troski o mankiety białej koszuli. Zanim chłopiec zarejestrował, co robi drugi prześladowca, przeraźliwy ból rozdarł mu klatkę piersiową.

Zbir z bojowym, chrapliwym okrzykiem skoczył mu na piersi – jego ciężkie buciory miażdżyły mu żebra. Matko, to jeszcze nie koniec?! Przeszywający ból sprawił, że na chwilę stracił świadomość.

Gdy ją odzyskał, panowała cisza. Miał wrażenie, że przeżywa jakiś koszmarny sen, który nigdy nie mógłby ziścić się na jawie. Jak to możliwe, że w ciągu kilku sekund wszystko zmienia się tak diametralnie? I może już bezpowrotnie. Czuł, że życie wycieka z niego jak woda z rozbitego dzbanka. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętał przed tym koszmarem, to były czyjeś kroki za jego plecami i nagły ból w potylicy. Śledzili go? Kto? Nie widział na jedno oko. Kątem drugiego zauważył rozmyty kształt krzyża, a jednocześnie wyczuł przegniły zapach chryzantem. I wtedy usłyszał szmer. Oni nadal tu byli. Paniczny lęk ścisnął mu serce. Poczul ciepłą stróżkę moczu rozlewającą się po spodniach.

Ktoś pochylił się nad nim, widział tylko białka jego oczu połyskujące w ciemności. Najpierw ten ktoś poczęstował go pancerną pięścią, co sprawiło, że przestał widzieć na drugie oko. Potem, nachylając się nad nim, wychrypiał mu coś do ucha, sprawdził, że Daniel zrozumiał, a następnie uderzył go pięścią jeszcze raz. Chłopiec, zanim spadł w otchłań, poczuł jeszcze zimne ostrze noża, wycinające mu na czole jakieś dziwne znaki na pożegnanie.

## 2.

Grafitowy adler sforsował ostatni koci łeb na zakręcie, wywołując mimowolne westchnienie siedzących w środku mężczyzn, i z metalicznym zgrzytem zatrzymał się przed wejściem do katedry. Stojący przy drzwiach policjant zasalutował na ich widok.

Radca kryminalny Christian Abell przez chwilę lustrował kamienne,

poczerniałe od upływu czasu, odrzwia świątyni. Pamiętał jak przez mgłę jej ceglana nawę, zapach średniowiecznej stęchlizny i dziwną figurę przed ołtarzem głównym. Świętej Elżbiety, może świętej Katarzyny? Potrząsnął obolałą głową, na próżno usiłując wydobyć z pamięci strzępki wspomnień.

– Witam, panie radco – dobiegł go głos od frontu. – Czyżby nie bywał pan zbyt częstym gościem w świątyni Pana?

Radca spojrział w tę stronę i zobaczył utkwione w nim przenikliwe spojrzenie wysokiego chudego starca w czarnej sutannie. W świetle poranka jej wyświechtane rękawy lśniły niczym futro popielicy.

– Czekałem na pana. To straszne, co się zdarzyło... – Starzec urwał. – Jestem Rudolf Hoeness, proboszcz katedry pod wezwaniem Świętego Jana Ewangelisty<sup>[A]</sup>. (*Wyjaśnienia przypisów oznaczonych literami znajdują się na końcu książki.*)

– Radca kryminalny Christian Abell, z Prezydium Policji w Marienwerder, ksiądz zresztą wie, kim jestem. A to moi współpracownicy: wachmistrz Kukulka, lekarz sądowy Hecht i fotograf. Nie traćmy czasu.

Duchowny skinął w milczeniu głową i wskazując zapraszającym gestem na drzwi, poprowadził ich do wnętrza świątyni.

Kwidzyńska katedra pogrążona była jeszcze w półmroku. Pierwsze promienie słońca z trudem przedzierały się przez witrażowe okna, nieśmiało budząc zatopione w ciemności kształty, rzeźbione epitafia, konfesjonały i kontury biskupich tronów ustawionych pod ścianami. Długa na kilkadziesiąt metrów nawa wiodła ku ołtarzowi. Barokowy tryptyk przedstawiał scenę ukrzyżowania. Nozdrza Abella natychmiast wychwyciły uśpiony, a jednak zakodowany w nim zapach, który wiązał go z przeszłością i z tym miejscem: woń starych murów, gnijących papierów, kurzu i mysich odchodów.

Hoeness poprowadził ich wzdłuż głównej nawy, do bocznych drzwi, za którymi rozpoczęły się kręte schodki wiodące na dzwonnice. Policjanci ostrożnie wspinali się po stopniach z wygładzonego przez wieki kamienia. Po kilkunastu minutach stanęli na górze. Panował tu przenikliwy ziąb.

– Ciało brata Gerharda jest z tyłu, na mniejszym dzwonie. – Hoeness prawie niedostrzegalnym gestem wskazał im kierunek i spuścił oczy.

Abell obszedł powoli szyb dzwonnicy, obrzucając czujnie spojrzeniem wiszącego kolosa z wrytym napisem: *Semper fidelis*[1], Fusa a. Gebr. Ulrich Apoldae (Thur) a. 1928. O mało nie potknął się o zwój grubych sznurów leżących na podłodze z nieheblowanych desek. Dzwon mniejszy stał obok, nakryty szarym płótnem. Radca dał znak Kukulce, a ten jednym szarpnięciem zerwał tkaninę.

Policjant nie potrafił ukryć szoku na widok nagich zwłok, rozciągniętych na dzwonie. Przypominały dekoracyjny relief, ściśle oplatający cały spiż. Rozpostarte wyłamane ręce, powiązane w nadgarstkach grubym sznurem, obejmowały górną

część dzwonu. Jeszcze szerzej rozwarłe nogi otaczały dzwon u nasady. Nienaturalnie wygięte ciało, białe teraz i bezbronne, podtrzymywało zmiądzoną głowę trupa. Najgorzej wyglądała zmasakrowana skroń. W jej czeluści, ciemnej od zakrzepłej krwi, zastygły skrawki skóry, odłamki białawych kości, poszarpane tkanki i cebulki wyrwanych włosów. Z zamkniętych na zawsze oczu wypływały blade strużki wydzieliny, tak jakby krew łączyła się z ciągle płynącymi łzami. Abell skinął na fotografa. Po chwili nagłe błyski zaczęły rozdzierać szarość poranka.

– Ktoś zadał sobie wiele trudu, panie radco, aby zmienić facjatę tego nieszczęśnika w gdański pasztet – powiedział wachmistrz Kukulka, na znak radcy podając mu gumowe rękawiczki.

Abell sięgnął do kieszeni po pęsetę, przez chwilę uważnie przyglądał się czeluści ust, po czym precyzyjnym ruchem wyjął z nich zwinięty papierek.

Odwrócił się plecami do pozostałych, skierował karteczkę ku światłu i poruszając niesłyszalnie wargami, odczytał napis: „Piekło jest domem nieczystych”.

Radca nakazał doktorowi Hechtowi robić swoje, zostawił mu Kukulkę do pomocy i prowadzony przez proboszcza zszedł do zakrystii na dole.

Mroczne pomieszczenie wypełnione było rzeźbionymi meblami gdańskimi. Masywny średniowieczny mur pokrywały cenne tapiserie. Za grubym wypukłym szkłem drzwiczek szafy widniały rzędy ksiąg ze złożonymi napisami na grzbietach. Niezbyt przypomina to zakrystię, już prędzej sułtański gabinet naszego prezydenta doktora Karla Buddinga[2], pomyślał Abell. Wyciągnął notatnik oraz wieczne pióro i stukając nim w blat biurka, spojrzał z uwagą na Hoenessa.

– A więc czy to, co widzieliśmy na górze, to jest ciało księdza Gerharda Platzecka? – zapytał.

– Tak, to jego zwłoki. – Proboszcz wyjął z kieszeni śnieżnobiłą chusteczkę i powoli otarł nią usta. – To straszne nieszczęście, był jeszcze taki młody.

– Kiedy widział go ksiądz po raz ostatni?

– W przeddzień jego śmierci, po południu. Obchodziliśmy w kościele Święto Matki Boskiej Zielnej. Dzień był bardzo wyczerpujący. Ksiądz Gerhard poprosił o zwolnienie z dalszych zajęć, bo chciał nazajutrz pojechać do Gardei, w sprawach rodzinnych. Pochodził stamtąd. Wyraziłem zgodę.

– Znał go ksiądz dobrze... jakim człowiekiem był Gerhard Platzeck?

– Nie znałem go dobrze, nikt nie zna wystarczająco dobrze drugiego człowieka. Zresztą w obliczu śmierci wiele rzeczy wygląda inaczej. Ale mogę powiedzieć, że był sumiennym księdzem. Godnym, uśmiechniętym, współczującym. Parafianie go lubili.

– Miał jakieś zainteresowania, oczywiście poza służbą Bogu?

Hoeness spojrzał na radcę bacznie spod krzaczastych brwi, jakby



sprawdzając, czy w jego słowach nie kryła się ironia.

– Pasjonował się historią. Miał ogromną wiedzę na temat dziejów tych ziem, zwłaszcza zamku w Marienburgu. Z tego, co wiem, profesor Schmiedke, kierujący tam pracami konserwatorskimi, uczynił go swoim nieformalnym konsultantem. Ksiądz Platzeck często tam jeździł, oczywiście za moją zgodą.

– Nie miał ksiądz proboszcz nic przeciwko temu?

Hoeness wzruszył ramionami.

– Dlaczegoż miałbym mieć? Odbudowa stolicy państwa zakonnego to wielkie i szczytne dzieło.

– Czy ma ksiądz jakieś podejrzenia co do sprawcy?

– Żadnych. Zupełnie nic mi nie przychodzi na myśl.

Radca podniósł głowę i napotkał utkwione w nim przenikliwe spojrzenie starca.

– Kiedy Platzeck przybył do parafii? – zapytał.

– Jakież osiem miesięcy temu, z parafii w Gardei. Doprawdy nie wiem, kto mógłby dopuścić się tak strasznego czynu. To wręcz niemożliwe.

– Niemożliwe? – Abell wykrzywił usta w sardonicznym grymasie. – A co robi to ludzkie truchło tam na dzwonie wzywającym owieczki na nieszpory?

Proboszcz wzdrygnął się na te słowa.

– To nie truchło, panie radco, tylko ciało, które opuściła dusza nieśmiertelna.

Abell zignorował tę uwagę, a gdy usłyszał zbliżających się Kukulkę i Hechta, z trzaskiem zamknął notes, dając znak, że przesłuchanie skończone.

– A teraz proszę zaprowadzić nas na plebanię, do pokoju księdza Platzecka. Jeszcze dzisiaj przyślę policjanta o nazwisku Klein, którzy opieczętuje pokój.

Hoeness w odpowiedzi tylko skłonił głowę.

Wyszli na zewnątrz. Nad kruchtą katedry lśniła w porannym słońcu wenecka mozaika. Przedstawiała męczeństwo patrona katedry, żywcem zanurzonego we wrzącym oleju. Obok kotła, w niemym cierpieniu, klęczał fundator, biskup Jan I Mönch. Gotycka plebania znajdowała się kilkadziesiąt metrów za katedrą, przy Herrenstrasse. Policjantów zdziwiły liczne szopy i przybudówki, bezładnie rozrzucone dokoła. Wyglądało to tak, jakby owa klasyczna budowla tylko przez przypadek trafiła do tego świata brzydoty i chaosu.

Pokój Gerharda Platzecka był mały i urządzony po spartańsku. Na podłodze z surowych jesionowych desek brakowało nawet dywanu. Nad łóżkiem wisiała wyszywana makatka, ukazująca na pierwszym planie pastuszka w dziwnym skrzacim kapeluszu. Chłopiec pilnował stada biało-brązowych krów, które patrzyły w niebo, jakby spodziewały się stamtąd ważnej wiadomości. W tle rysowały się zaśnieżone szczyty Alp, dziurawiące zasłonę wełnistych chmur.

Jedynym godnym uwagi meblem był regał od podłogi po sufit, cały wypełniony książkami. Podobnie jak w kancelarii proboszcza, większość stanowiły

stare księgi ze złotymi literami na grzbietach. Na dębowym stoliku leżało kilka otwartych tomów – rogi stronic miały zagięte od częstego kartkowania.

Abell przyjrzał się bliżej tym książkom: rzadkie wydanie *Kronik mistrzów pruskich* Martina Muriniususa leżało obok *Życia heroicznego rycerza von Salzy*, wydanego w 1721 roku w Koenigsbergu przez oficynę Loeffla. Zapewne białym krukami było dzieło *Żywot błogosławionej Doroty z Mątowów*, z 1698 roku, oprawione w miodowy półskórek. Wielebny Platzeck czytywał też do poduszki liryki z tomu *Phantanus* Arno Holza. Wzrok radcy spoczął na podkreślonym wersecie: *Ich bin mein eigener Dalai-Lama, Ich bin mein eigener Jesus Christ!*[3]

Kazał fotografowi wykonać kilka zdjęć pomieszczenia i pożegnał się z proboszczem. Wyszedł na zewnątrz i na chwilę przystanął przed budynkiem plebanii. Słońce stało jeszcze nisko. Przed nim wylaniał się masyw katedry. Nigdy nie oglądał jej z takiej perspektywy, więc przez moment napawał się tym widokiem. Zapomniał nawet o tęym bólu w trzewiach, który rozlewał się po całym jego ciele i znajdował ujście w pulsujących skroniach.

Usłyszał kroki. Zobaczył nadchodzącego doktora Hechta, a tuż za nim Kukulkę. „Nie lubię tego gada – pomyślał ze złością o doktorze. Dobrze, że ten skurwysyn to wyczuwa i się zbytnio nie zbliża.

– Kukulka, zbierzecie informacje o parafii i wielebnym proboszczu Hoenessie, wszystko, co się da – powiedział do wachmistrza. – Coś tutaj musiało zajść, nie co dzień szlachtuje się księży. Tylko działajcie delikatnie, ma się rozumieć. Aha, i wybierzcie się do jego poprzedniej parafii w Gardei, wypytajcie o niego. A po powrocie na komisariat przyślijcie tu Kleina, niech opieczętuje pokój ofiary. – Odwrócił się do Hechta. – A pan, doktorze, niech zabierze trupa do siebie i dobrze go obejrzy, tak jak pan lubi. Musimy jeszcze dzisiaj trochę popracować. Odprawa jutro o dziewiątej rano.

### 3.

Siedziba policji kryminalnej znajdowała się w masywnym budynku przy Toepfergasse, w którym dodatkowo mieścił się urząd podatkowy. Tutejsza policja miała w innej części miasta jeszcze jeden posterunek, gdzie trzymano aresztantów, ale komisarz von Bock i jego ludzie pracowali w zdecydowanie bardziej reprezentacyjnym punkcie, w samym centrum.

W sali było sześciu mężczyzn. Centralne miejsce zajmował komisarz von Bock, szef Kripo w rejencji kwidzyńskiej. Jego masywne cielsko, opięte granatowym tużurkiem, niemal wylewało się z fotela. Pożółkłymi od tytoniu palcami próbował właśnie poluznić żelazny uchwyt swojego kołnierzyka typu *vatermoerder*. Chodziły słuchy, że niegdyś był szefem policji kolonialnej w Windhoek, w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, gdzie bezwzględnie

wymuszał posłuch wśród tubylców z plemienia Herero. W swoim gabinecie relaksował się przy dźwiękach *Hohenfriedberger Marsch*[4], który na okrągło puszczał z patefonu. Po lewej ręce Bocka siedzieli jego najbardziej zaufani policjanci: Mehring i Vranitzky. Po prawicy zasiedli Abell, Kukulka i doktor Hecht.

– A więc tak, moi panowie. – Hecht otworzył swoje notatki zapisane gęstym pochyłym pismem. – Myślę, że możemy już powiedzieć, w jaki sposób i kiedy zginęła ofiara. O znalezieniu ciała powiadomił nas proboszcz Hoeness z parafii Świętego Jana Ewangelisty, wczoraj, to jest w piątek, szesnastego sierpnia, o godzinie siódmej rano. Z moich ustaleń wynika, że delikwent nie żył już wtedy od jakichś dziesięciu, dwunastu godzin. Tak więc śmierć nastąpiła między dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą poprzedniego dnia.

– Dziwne, że znaleziono go tak późno – odezwał się komisarz von Bock.  
– A jeszcze dziwniejsze, że w tak małej parafii nikt aż do rana nie zauważył jego zniknięcia.

– Gerhard Platzeck poprosił proboszcza o dzień wolny – wyjaśnił Kukulka.  
– Podobno miał do załatwienia jakąś sprawę w swojej uprzedniej parafii, w Gardei. To tłumaczy, dlaczego nikt go nie szukał wieczorem tego feralnego dnia.

– Czy mogę kontynuować, panie komisarzu? – Hecht nie krył zniecierpliwienia, że mu przerwano. – Co do oficjalnej przyczyny śmierci... Bezpośrednią przyczyną zgonu była rana tłuczona głowy zadana tępym narzędziem. Na ciele znalazłem także wiele innych wybroczyn, ale to nie one spowodowały zgon. Raczej wyglądało to jak... – Hecht przez chwilę szukał właściwego słowa – ...przygotowanie do egzekucji.

– Chce pan powiedzieć, Hecht, że denata torturowano przed śmiercią?  
– zapytał Abell, do tej pory zatopiony w myślach.

– Dokładnie tak, panie radco. Moim zdaniem Gerharda Platzecka najpierw ogłuszono ciosem w tył głowy, na co wskazuje wybroczyna na tylnej części czaszki. Potem go obnażono, skrupowano i przywiązano do dzwonu. W każdym razie wtedy żył jeszcze i chyba odzyskał przytomność. Następnie ktoś znęcał się nad nim, używając zapewne tego samego tępego narzędzia. Symetryczne podwójne odciski na ciele wskazują, że mógł to być na przykład ciężki dwuramienny lichtarz lub coś w tym rodzaju.

– Raczej nie była to zbrodnia w afekcie. – Bock ponownie zabrał się do poluźniania kołnierzyka.

– Z pewnością, panie komisarzu – potwierdził Hecht. – Uderzenia zadawano z premedytacją, miażdżąc żebra, łamiąc obojczyk i doprowadzając do głębokich obrażeń jamy brzusznej. Morderca lub mordercy chcieli nie tylko zabić, ale także sprawić ból. Dużo bólu.

– Czy można uznać, że zbrodni dokonano w miejscu odkrycia ciała, czyli

w dzwonnicy? – zapytał milczący dotąd Vranitzky.

– Wszystko wskazuje, że tak. Na podłodze znalazłem krew, dużo krwi. W szparach drewnianej podłogi drobiny tkanki i strzępy sutanny. Nie ma natomiast żadnych śladów na schodach dzwonnicy, a to jedyna droga, którą morderca mógłby wtaszczyć ciało ofiary na górę. To tyle, moi panowie. – Doktor Hecht był wyraźnie zadowolony, że wreszcie udało mu zakończyć.

– Tak więc ktoś musiał wiedzieć, że zastanie księdza na dzwonnicy, albo go tam zwabić – zauważył Abell.

– Słusznie, Abell, słusznie. – Komisarz von Bock otarł spocone czoło.  
– Czas na was, Kukulka. – Skierował swój masywny korpus w stronę wachmistrza.  
– Czego się dowiedzieliście o ofierze?

– Niektóre z informacji, jakie zdobyłem, są dość zaskakujące.  
– W przeciwieństwie do pedantycznego doktora Hechta, wachmistrz posługiwał się jedynie małymi fiszkami, które rozkładał przed sobą na stole. – Ksiądz Platzeck pochodził z prostej chłopskiej rodziny. Jedyne dziecko. Jego ojciec zginął na froncie pod Sommą. Wychowywała go matka i stryj, zakonnik z Olsztyna. To tłumaczy późniejsze powołanie do stanu duchownego. Jego pierwszą parafią po prymicjach była Gardeja. Właściwie można by powiedzieć, że niczym specjalnym się tam nie odznaczył, gdyby nie pewne plotki...

– Plotki? – Bock podniósł brew i zaprzestał wreszcie zmagania z kołnierzykiem.

– Ano plotki, panie komisarzu. Ludzie gadają, że ksiądz Platzeck miał romans z młodą żoną naczelnika kwidzyńskiej poczty. Plotki czy nie, w każdym razie to właśnie przez anonimowe donosy władze zwierzchnie podobno rozważały jego przeniesienie do innej parafii, w Malborku. Zdaje się, że Platzeck wiedział o tej rychłej zmianie.

– Dlaczego akurat do malborskiej parafii?

– Być może interweniował w jego sprawie profesor Schmiedke, kierujący pracami rekonstrukcyjnymi i konserwacyjnymi na zamku malborskim – wtrącił się Abell. – Z tego, co ustaliłem, profesor bardzo cenił sobie pomoc Platzecka, domorosłego historyka i badacza dziejów zakonu krzyżackiego.

– A co na to wszystko proboszcz Hoeness?

– Niechętnie, ale przyznaje, że do niego również dotarły pogłoski o romansie księdza. Mówi jednak, że on sam nie ma nic wspólnego z przeniesieniem Platzecka. Śmiem w to wątpić, chociaż formalnie taka decyzja należy do biskupa. O samym Platzecku proboszcz niewiele może powiedzieć. Przebywał w jego parafii zaledwie osiem miesięcy. Nie miał wrogów, poprawnie wykonywał swoje obowiązki duszpasterskie.

– Szukajcie dalej, Kukulka. Ten romans to na razie nasz jedyny trop. A co wiemy o wielbnym Hoenessie?

– To dłuższa historia. Żarliwy duchowny, ale rogata dusza, podobno nawet biskup czuje wobec niego respekt. W mieście wpływała osobistość, zwłaszcza w prawicowych kręgach. Prawdziwy patriota, do niedawna aktywny działacz Partii Centrum. Podobno zna osobiście Hugenberga[5] i von Schleichera[6]. Co roku odprawia msze ojczyźniane na zamku malborskim. Typowy wschodni Prusak. Słowem figura, i do tego czysty jak łąza.

Komisarz von Bock podszedł do okna i rozwarł je na oścież. Od czasu powrotu z Afryki Południowo-Zachodniej cierpiał na brak powietrza i przestrzeni. Nieraz budził się w nocy z paraliżującym, klaustrofobicznym lękiem, że powała sypialni runie i zmiażdży mu czaszkę. Najpierw słyszał kanonadę, głosy błagających o litość, krzyki zarzynanych Herero. Potem gęstniała cisza. Miał wtedy wrażenie, a właściwie stuprocentową pewność, że ktoś jeszcze jest w pokoju. Ktoś, kto obdarza go czystą zwierzęcą nienawiścią, czekając w mroku na jakikolwiek ruch z jego strony, aby zadać mu ból i cierpienie. Zastygał więc w paraliżującym niebycie, kamieniejąc i wstrzymując oddech, tak aby nie sprowokować Obcego. Śmierdział wtedy strachem i rano nienawidził się za te chwile nocnej słabości.

– Abell, proszę podsumować to, co wiemy. – Bock odwrócił się gwałtownie od okna.

– Mamy ofiarę, młodego księdza Platzecka. Z tego, co nam wiadomo, barwna postać, być może z pociągami do młodych mężatek. Sprawca postarał się, aby ta śmierć nie przeszła bez echa. Zamordował go w sposób okrutny, ale i spektakularny. Pytanie: dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu? Dlaczego po prostu nie zabił Platzecka od razu? Po co ocucił go, potem torturował, a następnie tak teatralnie ukrzyżował na dzwonie?

Abell podszedł do tablicy i zaczął zapełniać ją swoimi schematami.

– Najczęściej ludzie mordują w afekcie, przynajmniej u nas, w naszych porządnym Prusach. – Radca skrzywił się ironicznie. – Ale to na pewno nie ten przypadek. Poza tym przy każdym morderstwie mamy do czynienia z rzeczywistą lub domniemaną winą ofiary oraz z karą wymierzaną przez mordercę. Pytanie, jakie się nasuwa: cóż to musiała być za ciężka przewina, że została ukarana w tak straszliwy sposób? Doprawione rogi i urażone ego pana naczelnika, który nie mógł ścierpieć, iż jego żona rozłożyła nogi przed byle klechą? Możliwe, choć na razie to tylko hipoteza robocza. Na tym etapie śledztwa niczego wykluczyć się nie da. Jeszcze dzisiaj przesłuchamy podejrzanego i porozmawiamy z domniemaną kochanką księdza. Wygląda jednak na to – Abell na chwilę się zawahał – że ta śmierć miała być nie tylko zemstą, ale też wiadomością czy wręcz ostrzeżeniem.

– Ostrzeżeniem? Wiadomością? – Komisarz von Bock nerwowo poruszył się na krześle, nie kryjąc sceptycyzmu. – Jaką wiadomością, dla kogo? Skąd takie przypuszczenie?

– Ano stąd, panowie, że w ustach ofiary morderca pozostawił pisemną

wiadomość dla tych, którzy są nadal pomiędzy żywymi. – Abell otworzył teczkę leżącą na stole i ostrożnie wyjął z niej kawałek papieru. Chwytał go w pęsetę, uniósł pod światło i odczytał zebrany zapisane tam słowa: – „Piekło jest domem nieczystych”.

Bock przez chwilę przetrawiał to, co usłyszał.

– Wygląda na to, że morderca zostawił klesze bilet, aby nie pomylił on drogi do piekła. Abell, pokierujecie śledztwem. To sprawa dla policjanta z wielkiego miasta – dodał z wyraźnym szyderstwem. – My tutaj, na prowincji, w bogoojczyźnianych Prusach, nie mamy takiej praktyki w ściganiu jakichś cholernych świrów, popaprańców i dewiantów. Może tu pójdzie wam lepiej niż w gdańskim półświatku. Bardzo na to liczę, radco Abell.

#### 4.

Ulicę spowijała jeszcze poranna mgła. Żarłocznie pożerała ludzi na chodnikach, wsysała fragmenty samochodów i budynków, aby za chwilę z powrotem wypluć je na zewnątrz, ku widzialnemu światu.

Budynek poczty przy Marienburgerstrasse przypominał podobne budowle spotykane w całym Prusach. Masywny, reprezentacyjny gmach z czerwonej cegły wieńczyły obronne blanki. Dzikie wino wiło się po neogotyckich murach aż do wysokości pierwszego piętra. Sądząc po koronkowych firankach i doniczkach z pelargoniami na parapetach, góra była domowym sanktuarium państwa naczelnikostwa.

„Przytulnie – stwierdził Abell, wchodząc do budynku. – Widocznie pani naczelnikowa ma wiele talentów”. W środku pachniało mieszaniną ługu, mydła i pocztowego kleju. Z kasowego okienka ciekawie wзираła pulchna kasjerka. Radca miał wrażenie, że w jej oczach dostrzegł coś więcej niż tylko zainteresowanie przybyciem policjanta: ognik jakiejś złośliwej satysfakcji, *schadenfreude*? Ciekawe, kogo tak nie lubi, pana naczelnika czy jego żonki? – pomyślał.

Naczelnik Ost czekał na niego przy gotyckiej kolumnie w centralnej części sali kasowej. Radca przedstawił się i obrzucił naczelnika uważnym spojrzeniem. Ost był masywnym mężczyzną, słusznego wzrostu, o twardo zarysowanej szczęce z sinym cieniem zarostu. Grzywka opadała mu na czoło. Jego pocztowy mundur, wyświecony na rękawach, niebezpiecznie mocno opinał szerokie bary. Uwagę przyciągała dysproporcja między potężnym tułowiem a niewspółmiernie małą głową o świdrujących oczkach. Lewy policzek przecinała podwójna szrama.

Pamiętka z Freikorps[7]? Abell leniwie obracał w głowie pierwsze wrażenia, jakie budził w nim ten człowiek. Jedno wydawało się pewne: radca nie był tu miłym gościem. Ciężkie, wrogie spojrzenie naczelnika nie pozostawiało co do tego

żadnej wątpliwości.

Ost wprowadził go do swojego mikroskopijnego gabinetu i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Witam, panie radco. Zostałem uprzedzony, hmm, o pańskiej wizycie. Jako urzędnik państwowy jestem do dyspozycji. Chociaż, dalibóg, nie wiem, czemu zawdzięczam ten zaszczyt.

– Ano temu, panie naczelniku, że zamordowany został ksiądz, który być może miał wcześniej romans z pańską żoną. Rozumie pan, że jako urzędnik państwowy – Abell nie mógł sobie odmówić lekkiego szyderstwa – muszę zadać kilka pytań, całkiem rutynowych, rzecz jasna.

Ost niechętnie skinął głową.

– Zapytam wprost: czy pańska żona miała romans z księdzem Platzeckiem?

– To tylko wszawe plotki, panie radco, wszawe plotki. – Podwójna szrama na policzku Osta gwałtownie nabiegła krwią. – Za taką potwarz można nieźle oberwać po plotkarskim ryju. Policja państwowa nie powinna babrać się w takim szambie, zwłaszcza jeśli głównym ktoś próbuje obryzgać rodzinę porządnego...

– Wiem, urzędnika państwowego – bezceremonialnie przerwał mu radca. – Pozwoli pan jednak, że sam będę decydował, czym powinna zajmować się policja. Takie mam już przyzwyczajenie. Co robił pan piętnastego sierpnia?

– Piętnastego sierpnia? – Naczelnik nie spuszczał wzroku z Abella. – To był czwartek? Zaraz, niech pomyślę... W środę, poprzedniego dnia, o ile się nie mylę, a nie mylę się na pewno, mieliśmy zebranie oddziału naszej partii, pod przewodnictwem doktora Erwina Nauna.

– Jaka to partia?

– Myślę, że to nie należy do sprawy, ale rozumiem, że policja chce wiedzieć wszystko. – Ost wykrzywił twarz w grymasie, który zapewne miał być uśmiechem. – To NSDAP, partia, która już wkrótce weźmie odpowiedzialność za Rzeszę. A wtedy, może mi pan wierzyć, panie radco, wiele spraw będzie w naszej ojczyźnie wyglądało zupełnie inaczej.

– Nie wątpię. – Abell demonstracyjnie otworzył notes. – Mógłby pan powtórzyć? Doktor Naun? Mniemam, że to było legalne zebranie?

Ost odpowiedział mu nienawistnym, ciężkim spojrzeniem.

– Wiemy już, gdzie przebywał pan w środę, a w czwartek, piętnastego?

– Cały dzień spędziłem w pracy. Wieczór w domu, z żoną. Gościliśmy na kolacji radcę Boenisha z wielce szacowną małżonką. Zdaje się, że przyszli o osiemnastej. Pożegnaliśmy ich gdzieś po dwudziestej pierwszej.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Wszyscy: moja żona Ingrid i pracownicy poczty, a także pan radca Boenisch. – Ost wzruszył ramionami.

– Sprawdzimy. Czy znał pan osobiście księdza Gerharda Platzecka?

Szrama na policzku znowu niebezpiecznie poczerwieniała.

– Jak każdy. Był wikariuszem w tutejszej parafii. Osobiście nie zamieniłem z nim ani słowa. Nienawidzę klechów.

– Czy słyszał pan o rzekomym romansie swojej żony z Platzeckiem?

– Docierały do mnie te plotki, niegodne porządnych obywateli. – Naczelnik nie skrywał wściekłości.

Abell spojrział na jego mocarne, małpie łapy, ledwo mieszczące się w rękawach munduru, i pomyślał, że przypominają ramiona stalowego imadła. Gdyby dostała się między nie głowa nieszczęsnego Platzecka, pękłaby jak łupina orzecha.

– Ale nigdy, powtarzam: nigdy, nie przykładalem do nich żadnej wagi – kontynuował naczelnik. – Ufam Ingrid. I uprzedzając kolejne pytanie, panie radco, nie zabiłem tego klechy. Ani z zazdrości, ani z żadnego innego powodu.

– Taaak. – Abell schował notes do kieszeni. – Na razie to wszystko, panie Ost. Jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania, skontaktuje się z panem mój człowiek, wachmistrz Kukulka. A teraz chciałbym porozmawiać z panią naczelnikową.

– Czy to naprawdę konieczne? Ingrid nie czuje się najlepiej.

– Naprawdę konieczne, panie naczelniku.

Ingrid była w mieszkaniu na górze. Wcale nie wyglądała na kogoś, kto czuje się nie najlepiej, pomyślał Abell, sadowiac się na filigranowym foteliku i patrząc na nią spod przymrużonych oczu. Pani naczelnikowa miała na sobie niebieską sukienkę z okazałym dekoltem ozdobionym sznurem pereł. Ale tym, co głównie przyciągało wzrok, była zawartość tej sukienki, z wąską talią i kształtnym biustem. Platynowe, krótko przystrzyżone włosy okalały twarz, w której uwagę zwracały chabrowe oczy i duże, nieledwie murzyńskie usta.

„Niezła – stwierdził Abell, próbując oderwać wzrok od jej ogromnych piersi. – Na oko nie więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia siedem lat. Prawdziwa z niej Greta Garbo, tyle że z wielkim cycem. Nie pasuje do tego grzecznego, mieszczańskiego saloniku. Świetnie natomiast pasowałyby zupełnie gdzie indziej... Tak, na pewno...”. Luksusowy burdel w gdańskim Langfuhr[8], koło kasyna, gdzie niezmordowane dziwki o wielkich piersiach i lepkich ustach ujeżdżały swoich klientów z pobliskich koszar i komisariatu policji.

Spojrzał na jej usta, jakby oceniając, do czego są zdolne. Podniósł oczy – Ingrid patrzyła na niego z nieskrywanym rozbawieniem.

– Jak pan sam widzi, panie radco, mocno oddziałuję na mężczyzn – odezwała się – ale nie mam na to żadnego wpływu.

– No cóż, jeszcze nie widziała pani, jak się zachowuję, kiedy jestem naprawdę zainteresowany. – Abell demonstracyjnie otworzył swój policyjny notes.

– Chciałbym zapytać, czy potwierdzi pani, że piętnastego sierpnia między godziną



osiemnastą a dwudziestą pierwszą była pani cały czas z mężem?

– Oczywiście, potwierdzę. Gościliśmy wtedy u siebie na kolacji radcę Boenisha z żoną. – Przywołała na twarz uśmiech lekkiego znudzenia.

– Słyszała pani o śmierci księdza Platzecka?

– Tak, coś tam do nas dotarło... Straszne rzeczy się teraz wyprawiają w tych klasztorach i kościołach. Ja myślę, panie komisarzu – uśmiech nie schodził z jej twarzy – że to wszystko przez ten celibat. To nie jest normalne. Księżulki nie zaznają kobiety, a potem świrują, wariują i mordują się nawzajem.

– To ciekawa teoria. Droga pani Ost, czy była pani kochanką księdza Gerharda Platzecka?

– Oj, nieładnie, panie komisarzu, nieładnie! – Ingrid spojrzała na Abella z nieskrywanym wyrzutem. – Na Boga, nie! To wszystko z zawiści, panie komisarzu. Ludzie bzdury gadają. To mała miejscina. Co drugi tutaj chciałby się ze mną przespać. Ale nie dla psa kiełbasa. Nawet jeśli to pies policyjny...

Radca wstał i podszedł wolno do siedzącej Ingrid. Prawie jej teraz dotykał.

– I naprawdę nie dawałaś biednemu Platzeckowi? – spytał przeciągle, patrząc w jej nagle rozszerzone źrenice.

– Co proszę? Jak pan śmie...

– Posłuchaj, suko. – Abell pochylił się ku niej gwałtownie. – Robiłaś to z nim i zrobisz to ze mną, jeśli będę miał taki kaprys. A wtedy masz się lepiej postarać niż kiedyś w burdelu w Langfuhr. Dotarło?

Począł, aż te dwa chabry zrozumieją to, co powiedział, zaszklą się nagłym mrozem, a potem ulegle spuszczały powieki – i dopiero wówczas zamknęły za sobą drzwi.

## 5.

Niedziela osiemnastego sierpnia była równie upalna jak inne dni tego długiego lata. Christian Abell zaparkował adlera przy Marienburgerstrasse, na wysokości Przedzamcza, i postanowił dalszą drogę przebyć pieszo. Machinalnie spojrzał na zegarek. Kukulka miał się zameldować w aucie dopiero za dwie godziny. Radca nie musiał się spieszyć. Czuł lekkie podniecenie i pomyślał, że dobrze mu z tym dawno zapomnianym uczuciem. Idąc w dół, szybko doszedł do rynku. Niewiele się tu zmieniło, stwierdził, mrużąc oczy przed ostrym południowym słońcem.

Dłuższą chwilę chłonał widok jak z flamandzkiego landszaftu. Po prawej stronie, zza wyliniających kamieniczek, wyłaniał się monumentalny masyw katedry. Widać było tylko górne piętra i wieżę tego ceglanego mastodonta. Abell pomyślał z żalem, że chaotyczna zabudowa rynku niepotrzebnie przesłania tę niezwykłą budowlę. Podnóże krzyżackiego zamku, z wielkim Gdańskiem od zachodniej

strony, stanowiło przecież teren jego dziecięcych zabaw z Georgiem, najpierw w Indian i blade twarze, a potem w dzielnych rycerzy i niewiernych Prusów.

Przed nim wyrastał ratusz, przesłaniający perspektywę ciasno zabudowanego rynku. Pierzeję przy Markt 11, zamykał, tak jak w czasach jego młodości, sklep konfekcyjny „Herz” Isakowiczów<sup>[B]</sup>. Poruszony wspomnieniem matki, która niejednokrotnie zabierała go tam ze sobą na zakupy, pchnął ciężkie drzwi i wszedł do środka.

Wielki kryzys dotarł także tutaj. Magazyn trochę podupadł. W powietrzu unosił się lekki zapach naftaliny i wosku do podłóg. Wprawdzie na wysokich regałach nadal leżały bele różnobarwnych materiałów, pluszów, koronek, kretonowych fartuszków dla *Hausfrauen*, a nawet zwykłej odzieży roboczej, ale w przepastnym sklepie było więcej znudzonych subiektów niż klientów. Przy ladzie stało tylko kilku rolników gadających po polsku. Wyraźnie przymierzali się do zakupu lnianych koszul, jakie położył na ladzie obserwujący ich z czujnym uśmiechem sprzedawca.

Radca miał już wyjść, kiedy zauważył młodego Georga Isakowitza. Ostatnio widział jego zdjęcie w „Weichsel Zeitung”, wraz z informacją, że wybitnie uzdolniony młody pianista wystąpił z sukcesem przed publicznością w auli swojej szkoły przy Flottwell Platz. Georg siedział w rogu sklepu, na małym zydelku, studiując nuty Brahmsa. Podniósł wzrok i widząc przyglądającego mu się radcę, uprzejmie skinął głową. Miał wybitnie semicki nos i bardzo przypominał swojego ojca, Hermanna. Abell odklonił się i wyszedł na zewnątrz. Jego matka lubiła ten sklep z uwagi na panią Isakowicz. „Ma gołębie serce, przez nią stary Isakowicz pójdzie z torbami”, powtarzała.

Całą pierzeję obok zajmowały sklepy żydowskie, obok Isakowitza, także rodziny Conitzerów. Za czasów jego młodości Żydów nie było w mieście zbyt dużo, może ze sto rodzin. Ale ich zamożność rzucała się w oczy, zwłaszcza na rynku.

Jakiś człowiek w długim fartuchu zapamiętała czyścił ryżową szczotką bruk, którego kostki zapadały się gdzieniegdzie niczym klawisze fortepianu. Kwiaciarka na rogu rozkładała cięte frezje i doniczki z pelargoniami. Musiała mieć wielu klientów, bo z okien w domach przy rynku opadały całe kaskady krwistej czerwieni, rózu i fioletu.

Na rynku panował duży ruch. Ludzie spieszyli na zakupy i popołudniową kawę. Z pewnym zdziwieniem odkrył, że w podcieniach kamienic są te same sklepy co niegdyś, a na szyldach widnieją znajome nazwiska. Prześlizgnął się wzrokiem po sklepie Lebera na rogu, kupił w trafice „Weichsel Zeitung”, minął aptekę Scholla oraz znajdujący się tuż za nią sklep Schillingsa z towarami kolonialnymi i wszedł do restauracji „Am Tor”.

Człowiek, z którym się tu umówił, siedział już przy stoliku, zatopiony

w lekturze gazety. Ze swoją grzywą przedwcześnie posiwiałych, prawie białych włosów, Georg Balla nie wyglądał na rówieśnika Abella.

– Znowu zamartwiasz się o przyszłość naszej Rzeszy? – zagaił Abell, podając mu dłoń i dosiadając się do stolika.

– A ty jak zwykle bardzo domyślny, radco. Właśnie studiowałem nekrologi. Ile to już lat?

– Dużo, Georg. Jeśli liczyć od czasów szkolnych, to chyba ze sto.

– Dlaczego ani razu przez wszystkie te lata nie zawitałeś do kwidzyńskiego matecznika, żeby odwiedzić starych przyjaciół? To naganne. Bo chyba nie z tego powodu, który mógłby być prawdziwy, gdyby nie to, że jest tak cholernie cikliwy i niedzisiejszy.

– Może z tego powodu, mój domyślny Piętaszku, a może z innego. Ważne, że zamierzam się z tobą dzisiaj urznać na całego, a przy okazji pociągnąć cię trochę za język. Jako mieszkaniec tego miasteczka i wydawca „Weichsel Zeitung” na pewno wiesz wszystko.

Radca zamówił karafkę jałowcówki, solę w mięcie dla siebie i golonkę dla Georga. Obaj mężczyźni przez chwilę uważnie taksowali się wzrokiem.

– A więc co cię interesuje, przyjacielu?

– Przede wszystkim proboszcz Hoeness i jego trzódka, zwłaszcza niejaki Platzeck, ale po kolei...

Pokrótkie zreferował przebieg wypadków w katedrze Świętego Jana Ewangelisty, przemilczając jedynie drastyczne szczegóły samej zbrodni. Balla milczał przez chwilę, zastanawiając się na tym, co usłyszał, a następnie przepił do Abella kieliszkiem jałowcówki.

– A więc, wielbny Hoeness... O tym, że to tutejsza gruba ryba, już wiesz.

– Georg uśmiechnął się sardonicznie i jednocześnie wskazał palcem na karafkę.

– *Prosit.* – Po chwili kontynuował: – Niektórzy śmieją się, że to nadworny Krzyżak na zamku malborskim. – Wiesz, te capstryki z pochodniami, przemarsze w płaszczach z czarnymi krzyżami, tak jakbyśmy żyli w średniowieczu. Ale nie radziłbym ci go lekceważyć. Poznałem go kiedyś. Jest w nim jakiś rodzaj wewnętrznej siły i charyzmy, która sprawia, że znajduje w ludziach naturalny posłuch. Na pewno jest niegłupi. A to rzadkość wśród czarnych. Nie wiem, czy widziałeś jego bibliotekę. Ja raz dostąpiłem tego zaszczytu, tylko pozazdrościć. Z jednej strony ma dominującą naturę i lubi władzę nad księżmi. Z drugiej jednak jest chyba uczciwy do bólu. I skrajnie ascetyczny. Ma wprawdzie w bibliotece drogocenne wydania poezji Hoelderlina i wszystkie tomy encyklopedii Herdera, ale tylko jeden płaszcz, i to z łatami na rękawach. Poza tym to stuprocentowy nacjonalista. Myślę, że on naprawdę wierzy w te pangermańskie bzdury.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego, przy wszystkich swoich stosunkach i osobistych cnotach, proboszcz nie umacnia niemczyzny gdzieś na bardziej

eksponowanym stanowisku? I w ciekawszym miejscu niż to zapyziałe prowincjonalne miasto?

– Dobrze pytanie, Christian. – Georg ponownie wskazał palcem na karafkę.  
– Zaskoczę cię. Nawet go kiedyś o to zapytałem. Podczas mszy bogoojczyźnianej na zamku malborskim przypadkiem posadzono mnie koło niego. Musiałem na naszych poczytnych łamach napisać relację z tego wiekopomnego wydarzenia.

– I co ci odpowiedział?

Radca nie spuszczał oczu z dziennikarza. Wiedział, że jego przyjaciel jest kopalnią wiadomości i nieocenionym źródłem informacji.

– Na początku milczał. Traktował mnie, jakbym był zadzumiony. Myślałem, że w ogóle nie otworzy do mnie tej swojej świętoszkowatej gęby, aż nagle, pod koniec mszy, niespodziewanie się przełamał. Odpowiedział, że jest tam, gdzie Rzesza go najbardziej potrzebuje. Zauważ: Rzesza, a nie jego Kościół. I że wszyscy musimy odbudowywać wielkie Niemcy, zwłaszcza na rubieżach, tam gdzie wrogowie próbują codziennie bezcześcić ich chwałę. Tak dokładnie powiedział: „bezcześcić ich chwałę”. Aha, i że on jest tylko „strażnikiem broniącym Niemcy przed mocami piekiel”. Dasz wiarę?

– Strażnik... przed mocami piekiel? Kto dzisiaj używa takiego języka?  
– Abell z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Kto? Na jakim ty świecie, kurwa, żyjesz? Ten język to tutaj, w naszych kochanych Prusach, prawdziwa *lingua franca*. Sięgają po niego wszyscy ci, których uwiera nowy powersalski porządek: szowinistyczne oszołomy, nagle zubożali junkrowie, niedobitki Freikorpsów, frustraci, masoni, mistycy wszelkiej maści, wyznawcy teutońskiego Graala i kto tylko chce. – Aby podkreślić wagę swoich słów, lekko już pijany Balla uderzał kryształowym kieliszkiem w blat stołu. Zanurzony w oparach tytoniowego dymu przypominał, że swoją grzywą, cyrkowego lwa przebranego w trzyczęściowy garnitur z markowej wełny. – Ale to nie wszystko, drogi radco. – Skinieniem ręki przywołał kelnera i zamówił jeszcze jedną karafkę wódki. – To tylko połowa prawdy o naszym wielebnym strażniku. Najciekawsze, jak zwykle, kryje się na końcu. Otóż nasz rycerz bez skazy ma pewną rysę na zbroi. Dowiedziałem się kiedyś od znajomego policjanta z Olsztyna, pocziwego gliny starej daty, niecierpiącego czarnych, że Hoeness ma u nich swoją kartotekę. W młodości, jeszcze w seminarium, podejrzewano go o zbyt bliskie kontakty z jednym z kleryków. Nie wiadomo, czy chodziło o homoseksualizm, czy tylko, nazwijmy to tak, daleko idącą męską przyjaźń. Jakkolwiek było naprawdę, takie podejrzenie mogło mu zwichnąć karierę. Sprawę zatuszowano dzięki wstawiennictwu wysokiego dostojnika kościelnego.

– No proszę. Może dlatego woli odgrywać strażnika świętego ognia na tym zadupiu, zamiast kłuć innych w oczy, będąc na świeczniku? – Abell złożył ręce na brzuchu. – Prawdziwa sodoma i gomora, Georg.

Przez chwilę pili w milczeniu. Restauracja powoli się wypełniała ludźmi. Pod powałą unosiła się coraz gęstsza chmura tytoniowego dymu, zmieszana z kuchennymi wyziewami: wonią cebuli, czosnku i octowych marynat. Przy stoliku obok jakiś wychudzony młodzieniec o wyglądzie bankowego kancelisty gładził po rękach swoją towarzyszkę i szepcząc „skarbie”, nieustannie dolewał jej wina. Pod ścianą trzech mężczyzn głośno rozprawiało o koniecznej likwidacji polskiej mniejszości w mieście: „Trzeba im obrzydzić życie, odizolować ich, a na koniec zniszczyć, *verfluchte Polacken!*. Najgrubszy z nich, o apoplektycznej twarzy i wylewającym się z rozpiętej koszuli tłustym podgardlu, każdorazowo dorzucał do listy wrogów „pieprzonych żabojadów, wszawych żydków i tego kundla Horsta”.

Na rynku, za oknem, kilku ludzi próbowało naprawić kostki kamiennego bruku, wyrwane przez ostatnie ulewne deszcze.

Balla skupił się na pożeraniu małych wędzonych szprotek, sprowadzanych aż ze Steegen, specjalności tutejszej kuchni. Lubił ich lekko gorzkawy, ostry smak, dobrze komponujący się z wódką.

– Wiesz, że ona tu jest. – Spojrzał w przekrwione oczy Abella i nagle się wycofał. – Wiem, wiem, zakazane jest zakazane.

A więc ona jest tutaj. Przechodzi uliczkami tego miasta, zostawiając za sobą zapach swojej skóry i perfum. Za którymś z tych okien pije zimną wodę z dzbanka, ściąga pończochy, długo myje bursztynowe gęste włosy i pozwala, by krople wody ściekały jej po plecach i miękkim łuku pośladków. Tuli nagie ciało do prześcieradła i rozchyła nogi w oczekiwaniu na dreszcz rozkoszy.

Miał dość. Wódka ścisnęła mu bolesną obręczą tył głowy. Czuł odór spoconych ciał, alkoholu i tytoniu. Wychudły kancelista widocznie uznał, że zainwestował już dosyć. Zaprzystał dolewania wina i ukradkiem, pod stołem, gładził po udach swoją coraz bardziej pijaną towarzyszkę.

Przez chwilę Abell widział Karin... nie, to naga Ingrid klęczała przed nim, posłusznie unosząc ku niemu swoje ogromne piersi. Dlaczego odczuwa ból? Trzeba zamknąć go z powrotem w klatce. Schwycić zwierza za mordę, brutalnie, za ryj i oślinione kły, wepchnąć go w głąb, tam gdzie nie czuje się nic i gdzie jego miejsce, psia mać... Jak przez mgłę zobaczył zbliżającego się Kukulkę.

– Sodoma i gomora, Kukulka, prawdziwa sodoma...

**6.**

Poniedziałkowy poranek był bardziej znośny, niż Abell się tego spodziewał. Czuł pulsujący ból w skroniach, ale dwa proszki popite czarną kawą zrobiły swoje. W nocy spadło trochę deszczu, co oczyściło powietrze. Zażyczył sobie, aby wynajęto mu kwatery przy Rospitzerstrasse, ulicy jego młodości. Teraz postanowił się przejść i odwiedzić stare kąty, a przy okazji przewietrzyć skacowaną głowę.

Miasto nie straciło nic ze swej dawnej urody. Przypomniawszy sobie, że nazywano je miastem tarasów i kawiarni. Brukowana lipowa aleja wiała się niczym srebrny wąż wśród willi z oszklonymi tarasami. Doszedł pod numer 27, gdzie stał jego dom rodzinny. Klasycystyczna willa nadal cieszyła oko harmonią kształtów i proporcji.

Z pewnym wzruszeniem popatrzył na werandę, którą szklił jeszcze jego ojciec. Z tego okna wyglądała matka, gdy wracał ze szkoły. Teraz zza firanki obserwował go jakiś cień. Duch przeszłości? Potrząsnął głową. Przeszedł na tył domu. Ogródek, który uprawiał jego ojciec, zniknął. Na tym miejscu wyrósł duży murowany śmietnik. Tłuste koty wywlekały z niego resztki jedzenia. Także podwórze go rozczarowało. Wielka grusza, rosnąca pośrodku zakurzonego podwórka, skarłała, jakby przytłoczona własnym cieniem. Nic nie jest takie jak przedtem, pomyślał.

Podążył dalej, w kierunku centrum. Minął Schlesię Kaserne – ciągnące się po prawej stronie, wzdłuż Kaiserstrasse, ceglane budynki koszar. Zatrzymał się na chwilę przy cmentarzu katolickim, aby spojrzeć na leżący przy samej ulicy symboliczny grób admirała, pochowanego w 1898 roku w Samoa Zachodnim, z wyrzeźbionymi w marmurze splatającymi się marynarskimi sznurami. Potem minął szkołę dla dziewcząt imienia Hermanna von Balka i doszedł do małego rynku.

Wstąpił do trafiki na rogu, kupił gazetę i popatrzył w stronę kościoła parafialnego Świętej Trójcy. Z porannej mgły wyłaniały się obie wieże ceglanej świątyni. Wyglądały niczym teatralne dekoracje z *Pieśni o Nibelungach*. Strzelista budowla, dzieło, jak pamiętał, wielkiego Karla Friedricha Schinkla, emanowała surową potęgą.

Ruszył w kierunku Flottwell Platz i po kilkudziesięciu metrach nagle się zatrzymał. Przez chwilę wsłuchiwał się w bicie własnego serca. Zacieniona uliczka, u której wylotu stanął, nic się nie zmieniła. Wysokie kamienice walczyły o dostęp do światła z porastającymi je pnączami winorośli, rdestu i bluszczu. Było tak cicho, że słyszał, jak krople deszczu spadają z liści platanów na kamienny trotuar. Jasne kałuże lśniły na nim niczym jeziora rtęci. Nie zmienił się także sam dom. Abell przez chwilę lustrował go wzrokiem, walcząc z pokusą, aby podejść bliżej. Zrobił kilka kroków, ale nagle w oknie na parterze (tam była kuchnia?) rozblęsnęło światło. Wzdrygnął się, odwrócił i szybko odszedł. Jeszcze nie teraz, to jeszcze nie był ten czas.

## 7.

W prezydencji policji czekał już na niego Kukulka. Abellowi na czas śledztwa przydzielono mały pokoik w końcu korytarza. Jedynym umeblowaniem

było wiekowe biurko, rzeźbione w morskie esy-floresy, trzy niepolakierowane krzesła i żelazna szafa pancerna. Na ścianie wisiał urzędowy portret prezydenta Hindenburga. Abell wzbogacił to wyposażenie tylko o jeden obrazek: widok gdańskiej starówki z lotu ptaka... Kukulka, swoim zwyczajem, rozłożył przed sobą notes i wielkim dłońmi rozcierał niewidoczne wgniecenia. Abella zawsze fascynowały te jego ogromne jak bochny chleba, żyłaste ręce. Mogły z łatwością złamać kark, ale mogły też stanowić wybawienie dla kogoś, kto im zawierzył. Coś o tym wiedział.

– Zaczynajcie, Kukulka. – Abell sięgnął po szklankę wody i trzecią już dzisiaj aspirynę.

– Zgodnie z poleceniem, panie radco, sprawdziłem tego Osta z poczty. Wygląda na to, że jednak rzeczywiście ma alibi. Pracownicy potwierdzają, że piętnastego sierpnia, w dzień morderstwa, do późnego popołudnia był w pracy. Mniej więcej do piętnastej nadzorował sortowanie paczek. Później też go widziano. O osiemnastej rozpoczęli proszoną kolację z radcą Boenischem. Potwierdza to nie tylko żona, bo to mogłoby niewiele znaczyć, ale i sam Boenisch. To szanowany członek tutejszej społeczności. Co więcej, Ost nie ma swojego samochodu. Nawet gdyby wszyscy świadkowie kłamali i gdyby naczelnik, powiedzmy, skorzystał ukradkiem z furgonu pocztowego, to po pierwsze, ktoś by to zauważył, a po drugie, nie zdążyłby dojechać na plebanię, połamać kości Platzeckowi, ukrzyżować go na dzwonie i zdążyć na kolację z radcą Boenischem.

– A czego dowiedzieliście się o samym naczelniku?

– Formalista. Potrafi przy wszystkich zrugać kasjerkę za minutowe spóźnienie do pracy. Znienawidzony i wzbudzający postrach. Gwałtownik. Ustaliłem, że przywalił z pięści listonoszowi, Kurtowi Hansenowi, który zgubił jakąś przesyłkę. Listonosz się poskarżył, ale sprawie ukrecono łeb, a chłopina został przeniesiony do innej placówki. Ale dotarły też do mnie głosy, że prawdziwa przyczyna mordobicia była inna...

– Tak? A jaka? – Abell przestał kreślić coś w swoim notesie i podniósł wzrok na Kukulkę.

– Podobno naczelnik podejrzewał Hansena o romans ze swoją żoną.

– A to ci niespodzianka. Miał powody?

– Trudno powiedzieć. Słyszałem, że babka może się podobać i że każdy chętnie by jej dogodził. Na pewno dobrze się czuje w roli pani naczelnikowej. To małe miasteczko. Jako żona naczelnika poczty należy, przynajmniej w teorii, do tutejszej elity, a miejscowe babsztyłe pewnie za nią nie przepadają. Nikt nie wie, skąd się tu wzięła ani co robiła wcześniej. Ost o nią dba... suknie, toalety, wyjazdy na lotnisko do Sopotu, te sprawy. Wątpię, aby chciała to stracić, chociaż myślę, że jeśli rzeczywiście jest tak atrakcyjna, to trudno było jej się opędzić od chętnych. Ingrid Ost robiła z mężem, co chciała, owinęła go sobie wokół małego palca.

Wszyscy to potwierdzają. Musiał być dumny jak paw, że jemu, komuś tak przeciętnemu, trafiła się taka zjawiskowo piękna żoneczka. Nic dziwnego, że był o nią chorobliwie zazdrosny. Jeśli mu przyprawiła rogi z Platzeckiem, mógłby go zabić, tyle że w tym konkretnym przypadku nie mógł tego zrobić.

– W swoim czasie powiem wam coś o pani naczelnikowej, Kukulka, w swoim czasie... Aha, a co Ost ma wspólnego z bojówkami, tymi od doktora Nauna?

– Melduję posłusznie, panie radco, że chodzi o tutejszy oddział NSDAP. Ost jest tam kimś w rodzaju skarbnika. Zbiera składki, wynajmuje lokale na spotkania. Na pewno brał udział w ostatnich marszach z pochodniami. Widziano go pod kawiarnią „Residenz”, należącą do niejakiego Silbersteina, Żyda zresztą, zanim ten lokal ktoś podpalił. Ale nic mu nie udowodniono, wszystkiego się wyparł. Aa, pan radca imputuje, że...

– Nic nie imputuję, Kukulka, i nie używajcie słów powszechnie uznawanych za niezrozumiałe – powiedział Abell, wywołując tym krzywy uśmiech na ospowatej twarzy Kukulki.

– A może nasz wielebny Platzeck miał coś wspólnego z nazistami i doktorem Naunem?

– Z tego, co wiem, to nie. W ogóle niewiele o nim wiadomo. – Wachmistrz westchnął i ponownie zaczął wygładzać swój notes.

– Taaak. – Abell spojrział w górę, prosto w wyblakłe oczy wielkiego marszałka. Dopiero w tej chwili zauważył, że jedną ze źrenic Hindenburga obsrała mucha. Feldmarszałek wyglądał teraz tak, jakby puszczał oko do Abella. – Obserwujcie tego Osta, Kukulka.

Po wyjściu wachmistrza Abell poszedł do pokoju Vranitzkiego. Wprawdzie Bock to jemu zlecił prowadzenie śledztwa, ale Abell wiedział, jak wielkim zaufaniem komisarz obdarza perfekcyjnego i dyskretnego Austriaka. Sam nabrał do niego szacunku podczas tych kilkunastu dni pobytu w mieście. Kiedyś był świadkiem, jak Vranitzky obsztorcował policjanta, który obcesowo pchał się z łapami podczas przesłuchiwania młodej kobiety.

Abell poprosił go, aby wspólnie, na chłodno, przeanalizowali dotychczasowy przebieg śledztwa. Przedstawił mu pierwszą hipotezę, z Ostem jako głównym podejrzanym. Czy urażony w swej ambicji rogacz, który miał się na baczności po udziale w podpaleniu żydowskiej kawiarni, mógł napuścić byczków z SA na gacha swojej żony?

Tak czy owak Ost był głównym i na razie jedynym podejrzanym. Miał motyw i mógł zaangażować w to swoich pomagierów czy też współników. To fakt, ma mocne alibi, potwierdzone przez nieprzepadających za nim pracowników poczty, nie mówiąc już o mniej wiarygodnym zeznaniu jego żony. Choć jej słowa poświadczył radca Boenisch. Ale ewentualny motyw zbrodni bardzo do niego



pasuje i jest aż nadto oczywisty: zazdrość, urażona męska godność. Zdaje się, że we Freikorps z bardziej błahych powodów kiereszowali sobie gęby. Zgoda, nie zabił sam, ale od czego się ma kolegów w brązowych mundurach? Przecież dla tych rzeźników z SA zabić człowieka, do tego jakiegoś klechę, to tyle co splunąć. Dlaczego by nie mieli pomóc swojemu wiernemu kamratowi?

Vranitzky wysłuchał tego wywodu w absolutnym milczeniu, bawiąc się breloczkiem od zegarka.

– Podoba mi się pańska sympatia dla prawdziwych niemieckich patriotów, panie radco – powiedział wreszcie z cynicznym uśmiechem. – Ale umówmy się, w pana błyskotliwej analizie więcej jest domysłów niż twardych faktów. Dlatego zanim wywoła pan w naszym miasteczku rozruchy, radzę porozmawiać z doktorem Naunem. Bez jego zgody tutejsi członkowie SA nie ważą się nawet odlać, a co dopiero kogoś zabić.

Abell, wychodząc, spojrzął na portret Hindenburga. Feldmarszałek w gabinecie Vranitzkiego nie był obsrany przez muchy.

## 8.

Była dopiero dziesiąta rano, a Abell już wyczuwał przez podeszwy butów żar bijący z chodnika. Wyszedł na Bismarckstrasse, wypatrując ceglanej bryły dworca. Od Vranitzkiego wiedział, że siedziba kwidzyńskiej NSDAP mieściła się w narożnej kamienicy, naprzeciwko stacji kolejowej. Kiedyś lubił tę ulicę, ocienioną szpalerem rozłożystych drzew, pełną sklepików z witrynami o grubych szlifowanych szybach, jakich nie widział zbyt często nawet w gdańskiej metropolii. Minął księgarnię „Bei Jellonek” oraz sklep kolonialny ze skrzypiącym na wietrze szyldem „Café Rose” i na chwilę zatrzymał się vis-à-vis miejskiego parku z fontanną pośrodku.

Niewiele się tu zmieniło. Górujący nad fontanną marmurowy faun, w wysokim spiczastym kapeluszu, z widocznym wysiłkiem prychał strugami wody na uśpione u jego stóp leśne skrzaty. Sto metrów dalej perspektywę ulicy zamykał ciężki masyw dworca. Jak wszystkie tego typu budynki w Prusach i na Warmii, zbudowany był z czerwonej cegły, w neoromantycznym stylu przywodzącym na myśl angielskie internaty dla chłopców. Na ścianie szczytowej widniał herb miasta z biskupią laską i infułą oraz krzyżem.

Mimo późnego popołudnia plac przed dworcem był pełen ludzi. Jedni starali się zdążyć na pociąg do Prabut, który mało zrozumiale zapowiedział zawiadowca. Inni kłębili się przy wejściu do restauracji „Cristall”. Z jej wnętrza, przez otwarte drzwi, buchała wrzawa i opary tytoniowego dymu.

Pod kamienicą czekał już na niego Kukulka. Nie szukali długo. Mosiężna tablica z napisem: *VIII Westpreussen Bezirk, Sturmabteilung der NSDAP-SA*[9]

kierowała do biura na pierwszym piętrze. Wejścia broniło dwóch rośliwych szturmowców, którzy na ich widok nieprzyjaźnie podnieśli się z krzeseł. Jeden z nich, wyrwidąb z nalany karkiem wylewającym się z brązowego munduru, rozłożył szeroko ręce.

– Żydów nie wpuszczamy. A ty – tłustym paluchem dźgnął Kukulkę w pierś – wyglądasz mi na jakiegoś zafajdanego pachciarza.

– Kukulka, spokój! – Abell jedną ręką osadził w miejscu wachmistrza, a drugą wyciągnął legitymację. – Potrafisz czytać, gnoju? Policja kryminalna. Prowadź do doktora Nauna, i to szybko, zanim się naprawdę wkurwię.

Wyrwidąb przez chwilę obracał w głowie to, co usłyszał, a w przekrwionych oczkach widać było, że dyscyplina i posłuch wobec władzy walczą w nim z chęcią mordy. Wreszcie niechętnie otworzył drzwi i wprowadził ich do środka.

Doktor Erwin Naun stał już w przedsionku. Sądząc po jego powierzchowności, nie wyglądał na szefa brunatnych rzeźników z korytarza. Mógł mieć nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Bardzo wysoki, szczupły, o inteligentnym wyrazie twarzy, całkowicie odmiennej od pokiereszowanych facjat przywódców SA, których zdjęcia publikowała prasa. Krótko przystrzyżone jasne włosy dzięki brylantynie gładko przylegały do głowy. Ciemnoszary garnitur na pewno szyty był na miarę, a noski wypucowanych butów odbijały blask secesyjnej lampy oświetlającej przedsionek. Obrazu dopełniały lekko zsunięte z nosa złote oprawki okularów, zza których patrzyły ironicznie zmrużone oczy. Doktor Naun zaszedł wysoko i dbał o to, aby inni mieli tego pełną świadomość.

Jako bezirksleiter stał na czele kilkudziesięciu członków partii z czterech podległych mu powiatów, a podczas ubiegłorocznych wyborów do kwidzyńskiej rady miejskiej, w listopadzie 1929 roku, na listę narodowych socjalistów padło aż czterysta trzysta głosów. Dzięki temu niekwestionowanemu sukcesowi on, jako szef dużej partii, a przy tym syn lekarza, został radnym miejskim. Na swoje usługi miał także podległą mu bojówkę SA.

Wydawało się, że wymiana zdań przed drzwiami wprowadziła go w dobry humor.

– Panowie, proszę o wybaczenie. Manfred może jest zbyt ostry, ale sami rozumiecie, musimy być ostrożni. Kręci się tutaj pełno takich lewicowych mętów i Żydków. Ale dla policji państwowej nasze drzwi są zawsze otwarte. – Przesadnie szerokim gestem zaprosił ich do swojego gabinetu.

Wnętrze okazało się kolejnym zaskoczeniem. O ile korytarz obwieszony był krzyczącymi czerwienią plakatami wzywającymi Niemców do przebudzenia się i walki z plutokracją, o tyle w gabinecie trudno znaleźć było ślady jakiegokolwiek politycznej aktywności jego właściciela. Centralne miejsce zajmowało ogromne biurko. Również pozostałe meble: krzesła, regał na książki oraz stolik kawowy wyglądały niczym wyposażenie ściągnięte z urzędowego magazynu. Jedynym

odstępstwem od tego schematu była mała fotografia w srebrnej ramce.

Przedstawiała doktora Nauna w otoczeniu kilku osób, wsłuchanych z wyraźnym szacunkiem w to, co mówił stojący przed nimi człowiek z ciemnym wąsikiem, o aparycji wiedeńskiego alfonsa. W tle majaczyły ponadnaturalnej wielkości figury rycerzy w średniowiecznych zbrojach.

– To Führer – w głosie Nauna pojawił się ton dumy – na zamku malborskim, na spotkaniu przedwyborczym z przywódcami SA rejencji zachodniopruskiej. Piękne, symboliczne zdjęcie, prawda?

– Dlaczego symboliczne?

– Nie rozpoznał pan? – Naun podkreślił zdziwienie lekkim uniesieniem brwi. – Tam z tyłu to przecież posągi mistrzów zakonu krzyżackiego, w tym von Balka i von Salzy. Twórcy potęgi zakonu i wielkich Niemiec stoją za plecami przywódcy, który już niedługo przywróci wielkość Rzeszy. Niezwykła symbolika, prawdziwe *signum temporis*.

– A tacy jak Manfred pasują do tego towarzystwa? Musi go pan najpierw nauczyć czytać. – Abell podszedł do regału, ciasno wypełnionego książkami.

– Niech pan nie będzie małostkowy, panie radco. – Po twarzy Nauna przebiegł cień. – Tacy jak Manfred też są potrzebni. To sól tej ziemi. Wielkie idee, aby zatriumfować, muszą porwać za sobą maluczkich. Zdziwiłby się pan, czego im potrzeba do szczęścia.

– No, czego? – Abell, nie odwracając się, nadal lustrował tytuły na grzbietach książek.

– Po pierwsze muszą w coś wierzyć. Na pewno nie w żydowski wymysł, czyli demokrację, która zżera Rzeszę niczym rak. Weimarski ład to tylko sposób, by trzymać Niemców na kolanach. My mówimy: dość! Powstańcie! Niemcy muszą odzyskać należną im pozycję. Trzeba przywrócić im wiarę w siebie, w przyszłość. To właśnie przesłanie Hitlera. Goethe powiedział, że człowiek bez wiary jest tylko półczłowiekiem. My im dajemy tę wiarę. Z każdą godziną jest nas coraz więcej.

– A po drugie?

– Praca i Niemcy. Według tego Żyda Marksa robotnicy nie mają indywidualnej ojczyzny, po zwycięstwie proletariackiej rewolucji ich ojczyzną będzie cały świat. To bzdura, idealistyczny wytwór inteligentnego, zdegenerowanego umysłu. Dzieło człowieka, który nigdy nie poznał prawdziwych realiów świata pracy i nigdy nie powąchał smrodu berlińskich slumsów.

– A pan powąchał?

– Zdziwiłby się pan, panie radco. Wiem, co to nędza, i znam smak zupy z brukwi. Kryzys dotknął wszystkich. Wybiłem się dzięki własnej pracy. Na co dzień obracam się wśród zwyczajnych Niemców. I wiem, czego chcą. Pragną znowu odczuwać dumę z faktu, że są Niemcami. I chcą mieć pracę, robić dzieci swoim blond Helgom i wyjeżdżać na wczasy na Rugię.

– Wystarczy wygrać następne wybory i Rugia będzie wasza.

– Pan ironizuje, panie radco. Wygramy, ale najpierw musimy rozstrzygnąć na swoją korzyść wojnę o kulturę, o *Selbstbewusstsein*[10]. Otacza nas zgniła kultura, pornograficzne sztuki teatralne, abstrakcyjne obrazy, które niczego nie przedstawiają, zdegenerowane książki i sprzedajna, goniąca za sensacją prasa. Wiadomo, w czyich jest rękach. Manfred i jemu podobni to tylko żołnierze, prości pomocnicy. Mogą co najwyżej wygrzmocić żydowskiego sklepikarza czy zamknąć kłamliwą gębę komunistycznemu agitatorowi, ale naszym faktycznym zadaniem jest odzyskać wysoką kulturę, przekazać ją w ręce prawdziwie niemieckich twórców. Ci kosmopolici niszczą ducha narodu. Sztuki takiego Brechta czy Wedekinda to prawdziwa kloaka.

– Czyżby? Pamiętam, że na *Przebudzeniu wiosny* Wedekinda nieźle się bawiłem.

Przysłuchujący się rozmowie Kukulka spojrział z niedowierzaniem na swego zwierzchnika. Znał Abella z różnych, często zaskakujących stron, ale na pewno nie z takiej.

– Co pana ubawiło szczególnie, panie Abell? Czternastoletnia bohaterka po skrobance czy gówniarz, który popełnia samobójstwo i pojawia się na cmentarzu z własną głową pod pachą? A wypociny żydowskich pismaków? Ich sceneria to wyłącznie burdele i spelunki, a bohaterowie to stręczyciele, sadomasochiści, kurwy i złodzieje, nurzający się we własnym gównie, w perwersji, występku i nekrofilii.

– Nie bronię tych literatów, ale w swojej twórczości cytują oni jedynie Nietzschego: „Ileż krwi i zgrozy leży na dnie wszystkich «dobrych rzeczy»”!

Naun popatrzył na Abella z pewnym zdumieniem.

– Gratuluję erudycji, panie radco, ale to strzał w płot, fałszywa interpretacja. Odrzucenie konwencjonalnej moralności, co proponował Nietzsche, jest bliskie także nam, narodowym socjalistom. Ale ten bękart, Brecht, odczytywał tę myśl zupełnie opacznie, jako zalecenie, by nurzać się w rynsztoku. Niemiecka kultura musi być wzniosła i czysta, jak muzyka Wagnera.

– A nie przyszło panu do głowy, że niezależnie od tego, czy podobają nam się sztuki Wedekinda i innych, to właśnie ci *Schwarzseher*, ci czarnowidze, zapowiadają w swoich utworach zbliżający się kataklizm, pożogę, koniec starego świata? Może to oni najlepiej czują w powietrzu nadchodzącą apokalipsę, jak za czasów Nerona? Jeśli oczywiście, znajdziemy kandydata na Nerona – zakończył ironicznie Abell.

Naun potarł zaczerwienione z emocji policzki. Zastanawiał się, czy warto prowadzić dalej tę zaskakującą polemikę z człowiekiem, w którym wyczuwał przebiegłego wroga, mimo iż ten wyglądał jak stuprocentowy aryjczyk. Uznał, że nie warto.

– To interesujący pogląd, ale tylko w tym znaczeniu, że po obecnej

degrengoladzie przyjdzie czas siły i stanowczości. Zakończmy na tym. Czyżby ta rozmowa była, jak to się u was mówi, wstępem do czynności operacyjnych? Czemu, tak właściwie, zawdzięczam wizytę panów?

– Chcielibyśmy zapytać o naczelnika Osta. – Abell usiadł wygodniej na niewygodnym krześle i otworzył notes. – To podobno wasz sympatyk.

– Ost... A tak, naczelnik poczty. Porządny Niemiec i uczynny towarzysz partyjny. Gwoli ścisłości, Ost nie jest członkiem SA, należy do partii NSDAP.

– Czyli podlega bezpośrednio panu, doktorze?

– Jako partyjny towarzysz, tak. A dlaczego pan o niego pyta?

– To tylko rutynowe postępowanie. Nie jest o nic oskarżony. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa popełnionego na duchownym, niejakiem Gerhardzie Platzecku z parafii Świętego Jana Ewangelisty.

– A kiedy doszło do tego morderstwa? – Naun uprzejmie podsunął Abellowi papierośnicę, ale ten odmówił ruchem ręki. Kukulka nie dostąpił tego zaszczytu. Widocznie doktor przestrzegał służbowej hierarchii tak w pracy, jak i w życiu.

– I co ma z tym wspólnego nasz Ost?

– Do morderstwa doszło piętnastego sierpnia.

Abell mógłby przysiąc, że Naun drgnął. Ale może tylko strząsnął popiół do popielniczki?

– Piętnastego sierpnia... Co za przypadek...

– Co ma pan na myśli?

– Ach nic, doprawdy nic, chodziło mi o to, że to bardzo niezwykłe, aby mordować księdza. – Naun przerwał palenie i zaczął metodycznie rozgniatać koniec cygaretki w kryształowej popielniczce.

– Tak więc badamy wątek dotyczący rzekomego romansu żony pana naczelnika Osta z Platzeckiem.

– Romans żony urzędnika państwowego z klechą? I to w takim grajdołku jak nasz? Nie do uwierzenia. Chociaż ta naczelnikowa to niezła klacz.

– Ost ma alibi. Ale sprawdzamy, czy nie pomogli mu koledzy z SA.

Naun był szczerze zdumiony.

– Cóż to za pomysł, komisarzu. Posuwa się pan za daleko. – Na twarz wypełził mu ceglasty rumieniec.

Chyba nie kłamie, naprawdę jest zaskoczony, pomyślał Abell, obserwując Nauna nieruchomym wzrokiem.

– Nie jesteśmy szajką do wynajęcia dla jakichś rogaczy, nawet jeśli to nasi partyjni towarzysze. I powiem panu jeszcze coś. Nikt z naszych nie mógł, jak pan to określa, pomóc Ostowi.

– A to dlaczego?

– Bo piętnastego sierpnia, w dzień morderstwa, cały nasz szturmowy oddział, siedemnaście osób, brał udział w Dniu Niemieckim w Sztumie, kilkanaście

kilometrów stąd. Ochronialiśmy wystąpienie gauleitera Ericha Kocho[11]. Może pan to sprawdzić... Chyba że wystarczy panu to.

Naun rzucił Abellowi na kolana wyciągniętą z szuflady broszurę z wytłuszczonym tytułem: *15 August 1930, Stuhm ist unser!*[12] Na zdjęciu poniżej kilkunastu mężczyzn w brązowych koszulach maszerowało z chwackimi minami ulicą, dumnie niosąc w górze tablicę z napisem: *Kreis Marienwerder*[13].

– Mogę to wziąć?

– No, nie mam tych broszur za dużo... Ale oczywiście, dla dobra śledztwa, jeśli to zamknie sprawę... Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

– To wszystko.

Naun nie odprowadził ich do wyjścia. Zgrzyt otwieranych drzwi natychmiast pobudził wyrwidęba i jego towarzysza.

– Pozwólcie no tu, Manfred – powiedział przyjaźnie Kukulka i skinął na niego ręką. Olbrzym przełknął ślinę i nieufnie podszedł dwa kroki. – No bliżej, człowieku, doktor Naun kazał wam coś przekazać.

Tego, co działo się dalej, Abell nie widział, bo właśnie wtedy, najzupełniej przypadkowo, patrzył w inną stronę. Zarejestrował jedynie szybkie kopnięcie kolanem w podbrzusze Manfreda, potem jęk i głuchy łoskot potężnego ciała osuwającego się na podłogę.

## **Rozdział II**

### **Brat Albrecht**

## 1.

W siedzibie policji czekał na nich wyraźnie niespokojny Vranitzky.

– Dobrze, że pan już jest, Abell, miałem właśnie kogoś po pana posłać.

– Stało się coś? Doktor Naun zadzwonił ze skargą?

– To też... co wam wpadło do waszego kwadratowego łba, Kukulka, żeby łapać za jaja tego szturmowca? Ale o tym porozmawia z wami później sam komisarz von Bock. Teraz macie natychmiast pojechać na Terrassengasse siedem.

– A po co?

– Czekaj tam na was kolejny trup w sutannie. Tym razem księdza Albrechta Webera. Szukam doktora Hechta, wkrótce do was dołączy. Jutro komisarz von Bock chce nas wszystkich widzieć u siebie o dziesiątej rano. Oczekuje od pana, Abell, sprawozdania ze śledztwa. Jest w paskudnym humorze, więc niech się pan nie spóźni.

Terrassengasse była oddalona od pałacu Fermora zaledwie o kilkaset metrów. Uliczka wyglądała dokładnie tak jak przed laty, niczym miedziana wstążka wijąc się wzdłuż zamkowych murów. Radca z pewnym zaskoczeniem odkrył, że są tu wciąż te same, wyszczerbione przez czas, kręte schodki z wypolerowanego piaskowca. I że nadal po obu stronach rośnie gęsta winorośl i wonny jaśminowiec. Minął kawiarnię „Terrassencafe” ze stolikami na zewnątrz i podążył schodkami w górę. Zawsze lubił tę część miasta. Porośnięte winoroślą wzgórze z tarasowo położonymi kawiarnią i herbaciarnią, z dominującą na szczycie masywną bryłą katedry, przypominało mu tokańskie miasteczka, które zwiedzał podczas wakacyjnej wyprawy z przyjaciółmi, zaraz po zdobyciu magisterium. Było parno. Powietrze stało w miejscu, spowijając wzgórze ledwie dostrzegalnym woalem parującej wilgoci. Czuł zapach rozżarzonych od słońca kamieni. Wytarł chusteczką spocony kark. Numer siódmy znajdował się dokładnie naprzeciwko schodków.

W drzwiach małego domku z pruskiego muru czekał już na niego policjant Klein. Abell zapamiętał go, bo posterunkowy, jakby zaprzeczając swemu nazwisku, wyróżniał się blisko dwumetrowym wzrostem.

– I co my tu mamy, Klein?

– Melduję posłusznie, że w środku znaleźliśmy zwłoki niejakiego Albrechta Webera. To duchowny z parafii Świętego Jana Ewangelisty.

– Do kogo należy mieszkanie?

– Cały ten domek należy do tutejszej prostytutki, Brigitte Calz. Można powiedzieć, dorobiła się. – Klein uśmiechnął się, prezentując zepsute zęby.

– Kto znalazł zwłoki?

– Sama Brigitte. Trzymamy ją pod strażą w przybudówce, tu obok.



Wnętrze mieszkania było schludne, ale mroczne. Wąski korytarz wiódł do sporego pokoju, zatopionego w półmroku. W zamkniętych oknach wisiały zaciągnięte grube ciemne zasłony. Przebijające się przez nie pojedyncze, cienkie wiązki światła pozwalały na rozpoznanie tylko zarysów mebli. Świeżo wywiórkowane podłogi pachniały pokostem lnianym, ale w powietrzu unosił się jeszcze inny zapach, słodki i mdlący. Abell znał dobrze tę woń – odór opium, alkoholu, spermy i tytoniu, obecny we wszystkich spelunach i burdelach Rzeszy.

Zrobił kilka kroków w stronę okna, aby odciągnąć zasłony, i natychmiast poczuł, jak jego buty z chlupotem przylepiają się do podłogi. Szarpnął za kotary. Nagłe uderzenie światła boleśnie poraziło mu źrenice. Spojrzał pod nogi i zrozumiał. Stał w zgęstniałej kałuży krwi. Czerwona rzeka biegła w poprzek pokoju, ku purpurowej zatoce, z której – niczym rzeczna krypa bez masztów – wyrastała masywna otomana. Podeszedł bliżej. Trup był nagi. Zwłoki leżały w nienaturalnej pozycji, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Abell patrzył, nie wierząc własnym oczom. Skinął na przybyłego właśnie Hechta.

– Czy pan, doktorze, widzi to samo co ja? I co pan, do kurwy nędzy, o tym sądzi?

Hecht wyglądał na równie wstrząśniętego. Nie spiesząc się z odpowiedzią, założył rękawiczki i dokładnie obejrzał zwłoki. Przez chwilę zbierał myśli.

– Denat ma na potylicy ślad po uderzeniu. Oprócz tego widoczna jest sina pręga na szyi. Najprawdopodobniej najpierw został ogłuszony jakimś tępym narzędziem. Następnie... – Hecht zawahał się na sekundę – ...ktoś zaczął go krzyżować, przybijając ręce i nogi żelaznymi gwoźdźkami do drewnianej ramy otomany.

– A wtedy nasz Pan Jezus się ocknął i zaczęto go dusić? – Abell potarł palcami skronie.

– Na to wygląda. Właściwą opinię na temat przyczyn i godziny zgonu wydam, ma się rozumieć, dopiero po dokładnym zbadaniu zwłok.

– Ma się rozumieć.

Abell wpatrywał się w ukrzyżowanego. Prawie dziecięcą twarz, pokrytą raczej chłopcim meszkiem niż męskim zarostem, okalały jasne, teraz zakrwawione loki. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Radca był nieledwie pewien, że gdyby ten okaleczony anioł otworzył w tej chwili oczy, byłyby one jasnyniebieskie. Tylko zaciśnięte w grymasie bólu usta psuły ten obraz.

Wyciągnął pęsetę i ostrożnie rozwarł szczęki trupa. Z pewnym rozczarowaniem stwierdził, że w ustach nic nie ma. I już miał przekląć pod nosem, gdy podniósł głowę i ujrzał na wprost siebie niewielki napis na ścianie, nabazgrany zapewne krwią nieszczęśnika: „Odbieramy słuszną karę za nasze uczynki”.

Wyszedł na dwór, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Na widok radcy Klein wyprężył się jak struna.

– Czy życzy pan sobie teraz przesłuchać tę Calz, panie radco?

Abell potwierdził skinieniem głowy. Przybudówka najwyraźniej służyła nie tylko jako składzik drewna. Na ścianie rozwieszony był cały arsenał wyrafinowanych narzędzi do zadawania bólu i rozkoszy: pejcze, kolczatki na szyję, kaganiec, a nawet bicz z ołowianymi kuleczkami na końcu. Obok wisały dwie litografie chińskie ukazujące głębokie fellatio wykonywane przez gejszę o wyglądzie dziecka.

Brigitte Calz siedziała na stojącym pośrodku krześle. Jej wychudłym i przedwcześnie postarzałym ciałem wstrząsały spazmy. Miała pewnie ze dwadzieścia lat, ale wyglądała na czterdzieści. Gdy Abell otworzył drzwi, podniosła na niego swe wypłowiałe oczy.

– Policjant powiedział, że pan przyjdzie mnie przesłuchać, panie komisarzu – wyszłochała. – Nie zrobiłam nic złego. Nie wiem, jak to się stało. Wyszłam z domu może na dwie godziny. Sam chciał zostać, mało mu było, gadzinie. – Splunęła nienawistnie.

– Po kolei, panienko. – Abell starał się powstrzymać ten potok słów, łez i wyzwisk. Usiadł naprzeciwko niej. – Czy ten człowiek był twoim klientem?

– Był, panie władzo, mówię jak na spowiedzi. Przychodził tu co tydzień. Lubiał, żeby go trochę posmagać biczkiem i...

– Moment – przerwał jej Abell. – Czy wiedziałaś, kim on jest?

– Nie od razu, panie oficerze. Sama do kościoła nie chodzę, bo i po co, tom go nigdy na mszy zobaczyć nie mogła. Na początku kręcił, że jest urzędnikiem z Elbląga i do nas przyjeżdża służbowo, do rejencji, znaczy się.

– Kiedy odkryłaś, że jest księdzem?

– Dziwnie się zachowywał. Wiele wymagał, skurwysyn, och, wybacz Najświętsza Panienko, ale ten księżulo naprawdę potrafił być wredny. Dlatego któregoś dnia przetrząsnęłam mu kieszenie. Znalazłam książeczkę do nabożeństwa, z napisem: „Drogiemu księdzu Albrechtowi – biskup”, jakoś tak. Domyśliłam się. Pewnie dość miał brandzłowania się tam w zakrystii i przychodził sobie ulżyć.

– W jaki sposób trafił właśnie do ciebie?

– To małe miasto, panie komisarzu. Kto chce, trafi tu na pewno.

Abell obserwował ją uważnie. Nie miał powodu, żeby jej nie wierzyć. Zbyt wiele w życiu widział, aby dziwić się, że młody ksiądz ulegał swoim żądom. Pamiętał duchownych i zakonników, których spotykał w najbardziej perwersyjnych salonach rozpusty, od gdańskich lupanarów po spelunki Królewca. Raz nawet w takim przybytku natknął się na znajomego proboszcza i uprzejmie odstąpił mu kolejkę do dziwki o niezwykłych umiejętnościach. To wspomnienie natychmiast przywołało w nim obraz Ingrid. Potrząsnął głową, starając się zepchnąć go w niepamięć.

Zastanawiające tylko, pomyślał, że wielebny Albrecht wybrał sobie taką

wyniszczoną i wymizerowaną dziwkę. Chyba że faktycznie potrafiła się bardzo sprawnie tym posługiwać. Omiótł raz jeszcze wzrokiem sadomasochistyczny arsenał na ścianie.

– Wracając do tego, co twój klient lubił najbardziej.

– No, jakżem już mówiła... Lubiał, żeby go posmagać pejcem. Po tym korytarzu, tam i nazad, ganiał na smyczy, na kolanach, niczym pies jakiś. Naprawdę go to kręciło, panie komisarzu. Chciał, żeby go chlastać do krwi, aż mu się na tyłku i plecach krwawe pręgi porobiły.

– Wróćmy do śmierci księdza Albrechta...

Abell przetarł chusteczką spotniałą twarz. Miał wrażenie, że w pomieszczeniu brakuje powietrza, że powoli wypełnia je gęsta ektoplazma, dławiąca płuca i mącąca jasność myśli. Przytłaczało go także poczucie nierzeczywistości. Był przecież w małym trzydziestotysięcznym mieście, sercu prząsnej prowincji, gdzie sławetne: *Kinder, Küche, Kirche* wyznaczało rytm codziennego życia tutejszych mieszczan. A jednocześnie piętrzyły się przed nim mroczne zbrodnie i tajemnice rodem jak z berlińskiego pitawala. Występni duchowni i płatny seks, przemoc i zepsucie, sadomasochizm i zaszlachtowane zwłoki... Gdzie tu logika, gdzie tu sens? – jak mawiał jego mądry przyjaciel, Balla.

– Proszę opowiedzieć, co tu się działo od momentu jego przyjścia do...

– zawałał się na chwilę – ...do samego końca.

– A więc tak, panie komisarzu. Przychodził raz na tydzień, zawsze w niedzielę. Wczoraj przyszedł wieczorem, tak koło ósmej. Spędził ze mną całą noc. Był wyjątkowo ruchliwy. – Zachichotała, ale zaraz przybrała poprzedni, cierpiętniczy wyraz twarzy. – Rankiem zawsze się wymykał. Ale tym razem mu się nie chciało. Powiedział, że ma jeszcze trochę czasu, poleży sobie. Zgodziłam się. Zapłacił, to czemu nie? Pomyślałam, może jak wrócę, znowu mu się zachce, a ja, panie komisarzu, potrzebuję gotówki, moja mała córeczka ma przykurcz rączki, a ci lekarze...

– Tak, oczywiście, Brigitte. Nikt nie kurwi się przecież za darmo, musi być jakiś powód.

Brigitte Calz, uspokoiona tymi słowami, ciągnęła dalej:

– Musiałam wyjść, bo zawsze w poniedziałek idę na dwie, trzy godziny do kwaciarni pani Wichrowsky, żeby sobie dorobić. Na początku tygodnia w kwaciarni jest wzmożony ruch.

– Jak długo nie było cię w domu?

– Wyszłam przed ósmą rano, bo w kwaciarni muszę być na dziewiątą, a to kawałek drogi, na Kirchenstrasse, zaraz obok kościoła. Albrecht jeszcze spał, jak wychodziłam. Zamknęłam drzwi na klucz, to pamiętam. W kwaciarni skończyłam gdzieś po dwóch godzinach, więc w domu byłam z powrotem nie później niż o dwunastej. I wtedy to zobaczyłam. – Zasłoniła twarz dłońmi i znów zaniósła się

spazmatycznym szlochem.

- I nikogo nie widziałaś koło domu?
- Nikogo, panie komisarzu, niech mnie Najświętsza Paniienka pokarze, jeśli nie mówię prawdy, nikogo, przysięgam.
- Drzwi wejściowe były zamknięte?
- Na pewno tak, zawsze zamykam je na klucz.
- Obejrzałem ten zamek, panie radco – odezwał się stojący w progu Kukulka. – Można go otworzyć byle gwoździem.
- Taaak, ale trochę trudniej z powrotem go zamknąć. – Abell ponownie zwrócił się w stronę Brigitte. – Powiedziałaś, że jak wróciłaś, drzwi były zamknięte. Czy jesteś tego absolutnie pewna?
- Absolutnie, panie komisarzu. Ale... jest jeszcze coś. Albrecht miał swój klucz. Dałam mu go jakiś miesiąc temu. Bardzo nalegał, mówił, że tak będzie prościej, a że to stały klient...

Abell z niedowierzaniem pokręcił głową, po czym spojrzał pytającym wzrokiem na Kukulkę. Ten w odpowiedzi wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Zgadza się. Były w kieszeni marynarki Albrechta. A zatem sprawca na pewno z nich nie skorzystał.

Radca wstał i podszedł do Brigitte.

- Zapytam cię tylko raz, Brigitte Calz, i zanim odpowiesz, dobrze się zastanów, bo od tego zależy twój dalszy los, a może i twoje przesrane życie. Czy sama lub w porozumieniu z innymi osobami zamordowałaś księdza Albrechta Webera?

Brigitte Calz pobladła i jakby skurczyła się w sobie. Na jej wychudłej twarzy malował się paniczny lęk pomieszany z rozpaczliwą chęcią wydobycia się z tej matni, w której tkwiła po uszy i z której nie było już wyjścia. Resztką sił zdołała jeszcze pokręcić głową, po czym zemdlona osunęła się z krzesła.

Na zewnątrz świat przywitał obu policjantów kolejnym atakiem tropikalnego skwaru i zatykającego dech, suchego powietrza. Oddychając powoli i wycierając spocone karki, obeszli dookoła cały dom, by ustalić, którędy mógł wejść morderca. Jedyne okienko nad drzwiami było zamknięte i tak wąskie, że mógłby się przez nie prześlizgnąć jedynie cyrkowy akrobata albo mały chłopiec.

Usiedli na kamiennej ławeczce w cieniu rozłożystej lipy, żeby schronić się przed skwarem. Kukulka poczęstował radcę cygaretką, ale ten odmówił machnięciem ręki. Żelazna obręcz niewyspania i kaca nadal ścisnęła mu czaszkę. Starał się raz jeszcze przeanalizować to, co tu zastał. Pewne było jedno: ten mały, koślawy domek okazał się prawdziwą twierdzą. Żadnych balkonów, dostępnych strychów czy piwnicznych okienek. Żadnego widocznego tropu, zero śladów, nic. W tym jednoizbowym domku ze ślepą kuchnią nie było żadnej szczeliny, przez którą morderca mógłby dostać się do środka, zmasakrować Albrechta, a następnie

niepostrzeżenie się ulotnić. Niczym duch.

Poza oknem w izbie, gdzie leżały zakrwawione zwłoki Albrechta, ale ono, ponad wszelką wątpliwość, było zamknięte od wewnątrz. Brigitte Calz? Takie dziwki są zdolne do wszystkiego. Jednak nie bardzo wierzył w jej winę. Czy wpadłaby sama na pomysł z ukrzyżowaniem? No nie. Szlag! Zdusił w ustach przekleństwo.

Kukulka chyba wyczuł jego nastrój.

– Wygląda na to, szefie, że to robota jakiegoś ducha, pieprzonego ducha, co przenika przez mury i zamknięte drzwi. Ale takich przecież nie ma na świecie, a już na pewno nie w naszych Prusach Wschodnich, i Zachodnich zresztą też.

Abell czuł w nozdrzach zapach krwi, od zmęczenia pulsowały mu skronie i najchętniej pojechałby już do swego wynajętego mieszkania przy Rospitzerstrasse. Marzył o kąpeli w mosiężnej wannie pani Conrad i śnie w wykrochmalonej pościeli z fantazyjnie wyhaftowanymi literami HC na każdym rogu. Potrząsnął głową i miraż kąpeli rozpląnął się w zgęstniałym powietrzu.

Pół godziny później radca stanął w progu pokoju, który zajmował na plebanii ksiądz Albrecht. Wytarł chusteczką spocony kark i uważnym spojrzeniem obrzucił całe pomieszczenie. Pokój księdza znajdował się na tyłach plebanii. Był niewielki i ponury, z jednym tylko oknem, i to od północnej strony, co sprawiało, że nawet teraz, gdy słońce stało w zenicie, tutaj przenikały jedynie wątłe refleksy światła, ledwie rozjaśniając wnętrze. Umeblowanie było skromne. Proste metalowe łóżko, starannie nakryte brązowym kocem, sąsiadowało z politurowanym, dokładnie uprzątniętym biurkiem, na którym leżała tylko Biblia w safianowej oprawie. Nad biurkiem wisiał drewniany krucyfiks – porcelanowy Chrystus przechylał się na bok, jakby zamierzał zejść z krzyża i odpocząć. Pod przeciwległą ścianą stał nieduży regał. Abell podszedł bliżej i stwierdził, że to, co początkowo wziął za cienkie książki, to w istocie egzemplarze ilustrowanych czasopism wydawanych w Berlinie i Hamburgu. Ksiądz Albrecht nie przepadał za książkami. Bardziej ciekawiły go wydarzenia polityczne i plotki z życia gwiazdeczek filmowych ze studia Babelsberg.

Na ścianie obok biblioteczki wisiał ogromny oleodruk Najświętszej Paniienki piastującej małego Jezusa. Chrystus lekko zezował w stronę dwóch białych owieczek skubiących trawę nad strumykiem, który ginął pod ramą obrazu. Zza ramy wystawał róg jakiejś gazety. Abell wyciągnął ją i zobaczył, że to stary egzemplarz „Berliner Illustrierte Zeitung”. Z pomiętej okładki spoglądała na niego Marlena Dietrich w scenie z planu *Błękitnego anioła*. Ubrana jedynie w skąpy sceniczny strój siedziała na krześle, niebezpiecznie odchyłonym do tyłu. Długie, nieprzyzwoicie rozwarte nogi prawie wychodziły z okładki, a karminowe kuszące usta zapraszały do świata grzechu i przyjemności, gdzieś w innym, celuloidowym wymiarze, z dala od tego smutnego pokoju pogrążonego w półcieniach i szarości.

Ksiądz Albrecht nie lubił usypiać samotnie.

## 2.

Ten pełny wrażeń dzień Abell postanowił zakończyć wizytą u proboszcza Hoenessa. Choć starzec działał mu na nerwy, radca wiedział, że to konieczność. Nadal błdził myślą po bezdrożach przeróżnych wersji zdarzeń i wypatrywał jakiegoś światła w tunelu. Na razie jedyną oczywistością w całym tym zagmatwanym śledztwie było to, że utknął w miejscu. Ani przez chwilę nie doświadczył owego nagłego impulsu, wewnętrznej iluminacji, będącej zwiastunem, że jego umysł wpadł na właściwy trop. Poruszał się jak we mgle, co paraliżowało jego pewność siebie, obnażało bezradność i zwątpienie. Doskonale wiedział, że jego najgorszym przeciwnikiem jest on sam, i ta świadomość szczególnie dotkliwie mu doskwierała.

Proboszcza znaleźli w zakrystii. Widocznie skończył właśnie odprawianie mszy świętej, bo młody ministrant pomagał mu ściągnąć ciężki ornat. Przez uchylone drzwi do kościoła napływał tu zapach świeżo zgaszonych świec i mirry. Starzec gestem wskazał im, aby usiedli. Już podczas poprzedniej wizyty Abell zwrócił uwagę na zaskakująco wyrafinowane i bogate wyposażenie zakrystii. Teraz to wrażenie pogłębił wiszący na ścianie wspaniały arras, którego nie zauważył wcześniej. Przedstawiał rycerza w lśniącej zbroi, o mistrzowsko uchwyconym wyrazie twarzy. Rycerz w jednej ręce trzymał miecz, którym przeszywał postać w zwierzęcej skórze, a w drugiej łopocący na wietrze proporzec z czarnym krzyżem.

– Krzyżacki rycerz w walce z Prusami? Piękna rzecz, wygląda na starą i bardzo cenną – odezwał się Abell.

– To sam wielki mistrz Hermann von Salza. Twórca potęgi zakonu, jeden z tych herosów, którym zawdzięczamy nasze dziedzictwo, wielkość i siłę. – W oczach starca zapaliły się ognie. – Ta wspaniała tkanina wisi tu od szesnastego wieku, wykonano ją w Brabancji na zlecenie księcia Albrechta. To perła naszej parafii. Ale domyślam się, że przyjechał pan tutaj nie po to, aby podziwiać nasze dzieła sztuki. Czy znany jest już morderca biednego księdza Platzecka?

– Niestety, jeszcze nie. Śledztwo trwa. Ale nieszczęścia chodzą parami, księżę proboszczu. Dzisiaj w godzinach rannych znaleziono kolejne zwłoki, także księdza z parafii Świętego Jana Ewangelisty.

Zapadła cisza. Hoeness pobladł i zamknął oczy. Nie sposób było ocenić, na ile wstrząsnęła nim ta wiadomość. Abell zauważył jednak zaciśnięte do białości palce i nagły skurcz przebiegający przez napiętą szczękę.

– Nie jest ksiądz ciekaw, o kogo chodzi?

Hoeness otworzył oczy i radca znowu odniósł niepokojące wrażenie, że są

one wypełnione szaleństwem i gniewem.

– Ksiądz Albrecht? Nie widziałem go od wczoraj, a powinien odprawiać południową mszę. Musiałem go zastąpić...

Abell skinął głową.

– Tak, to on.

– Jak zginął? – Proboszcz znów przymknął powieki.

– Nie mogę zbyt wchodzić w szczegóły. Są one objęte tajemnicą śledztwa.

Hoeness posłał mu ciężkie spojrzenie.

– Nie ma pan szacunku ani dla majestatu śmierci, ani dla sług Kościoła, panie oficerze. Zauważyłem to już wcześniej.

– Jak mówiłem, nie mogę ujawniać wszystkich szczegółów. – Abell po namyśle postanowił zignorować uwagę proboszcza. – Niemniej jednak chodzi o pracownika, by tak rzec, tej parafii, więc powiem, oczywiście do wyłącznej wiadomości księdza proboszcza, że księdza Albrechta zamordowano w okrutny sposób, zginął męczeńską śmiercią.

– Męczeńską? – Hoeness ze zdziwieniem uniósł brwi. – Jak mam to rozumieć?

– Został najprawdopodobniej przyduszony, a następnie ukrzyżowany na łożku tutejszej prostytutki.

– Kobiety lekkich obyczajów?! – Na poblądłe policzki Hoenessa wystąpił rumieniec. – Strasznie, ale i sprawiedliwie karze nas Pan za nasze uczynki. Mieczem wypala rozpustę i zło, które zaległy się w duszach naszych. Rzesza Niemiecka upada, a Lucyfer wślizguje się do kościołów, do strażnic Pana! – Hoeness wstał gwałtownie i niczym w amoku, z niewidzącymi oczami, wygrażał teraz palcem. – Zgnilizna moralna, defetyzm, pogańska gangrena! Kto Lucyferowi służy, niegodzien naszego miłosierdzia ni litości!

– Proszę się uspokoić, księżo proboszczu.

Radca jak zahipnotyzowany wpatrywał się w starca. Wreszcie, z pomocą równie jak on poruszonego Kukulki, udało mu się usadowić go z powrotem na krześle.

Zapanowała cisza, przerywana jedynie ciężkim oddechem proboszcza. Abell miał wrażenie, że uczestniczy w jakimś nierzeczywistym misterium. Ten ksiądz bardziej wyglądał na średniowiecznego mnicha, bezkompromisowego i odległego od zwyczajnego życia, jakie toczyło się za oknem plebanii. Wygrażał światu niczym współczesny Savonarola... Na ścianie arras z wielkim mistrzem, patrzącym na nich swymi wypłowiałymi oczami, utkanymi z brabanckich nitek. Zapach mirry i kadzidła, drażniący nozdrza. A do tego nieustannie napływający obraz ukrzyżowanego, upodłonego ciała, które w ciągu paru godzin przeżyło całą wieczność. Od modlitwy, przez seks i grzeszną rozkosz, po niewyobrażalne

cierpienie i zastygły w oczach zwierzęcy strach.

### 3.

Środa dwudziestego pierwszego sierpnia przywitała go słońcem, które przedzierało się przez zasłony i wypełniało ciepłym światłem cały pokój. Po raz pierwszy od wielu dni dobrze się wyspał. Poczłł chłodny powiew świeżego powietrza. Czyżby wczoraj wieczorem otworzył okno? I nie zamknął drzwi? A może to pani Conrad je w nocy otworzyła? Miałaby niezły widok. Spał nago, okryty tylko prześcieradłem. Spojrzał na zegarek. Komisarz von Bock nie znośił niepunktualności, ale do dziesiątej było jeszcze dużo czasu.

Podobnie jak poprzedniego dnia, radca postanowił wybrać się do pracy pieszo. W nocy musiało padać, bo trotuar był wilgotny i skutecznie wchłaniał rodzący się skwar. Szybkim marszem doszedł do ratusza na rynku. Zawsze intrygowała go ta niezwykła budowla z koronkową wieżą wyrastającą ze ściany budynku. Wyglądała niczym ilustracja z jakiejś gotyckiej powieści. Wrażenie baśniowości potęgowały narożne wieżyczki od północy i wschodu, strzeliste ryzality w elewacjach oraz wejście: kamienne schody oparte na ceglanej kolebce.

W pobliskiej kafejce wypił poranną kawę, zjadł dwa maślane rogalce i przewertował świeże wydanie „Weichsel Zeitung”. Dopiero potem, z westchnieniem, skierował się w stronę leżącego obok katedry pałacu Fermora. To właśnie tutaj, wyjątkowo, na prośbę prezydenta rejencji, komisarz von Bock zwołał dzisiejszą odprawę.

Już sam ten fakt wskazywał, że sprawa była poważna. Z tego, co Abell wiedział, nie zdarzało się dotychczas, aby śledczych wzywano do siedziby rejencji w pałacu Fermora, budynku pamiętającego jeszcze carskiego gubernatora z czasów wojny siedmioletniej. Wchodząc do gmachu, zadarł głowę, aby dobrze przyjrzeć się stiukowemu fryzowi zdobiącemu fasadę. Jego twórcami mieli być uczniowie Johanna Gottfrieda Schadowa z Berlina. Przedstawione na fryzie sceny alegoryczne, nawiązujące do antyku oraz personifikujące urząd rejencji, musiały mile łechtać próżność tutejszych władz.

Abell, jako rodowity kwidzynianin, dobrze znał specyfikę zachodniopruskiego aparatu władzy i jego unikatowe instytucje. Należała do nich rejencja, swoista czapa administracyjna, sprawująca nadzór nad samorządem miejskim i powiatowym. Na jej czele stał obecnie prezydent Karl Budding, któremu podlegali dyrektorzy departamentów rejencji: Wydziału Kościołów i Szkół oraz Wydziału Podatków, Domen i Lasów.

Ale przede wszystkim podlegał mu Wydział Spraw Wewnętrznych, a więc także policja. I doktor Budding zamierzał dzisiaj, z całą mocą, skorzystać ze swojej władzy. W sposób świadomy postanowił rejencję reprezentować jednoosobowo,



nawet bez udziału dyrektora wydziału, Kurta Arnolda, którego zresztą uważał za safandulę starej daty. Policja musi zrozumieć, kto tu decyduje, i ma poważnie wziąć się do pracy. W przeciwnym razie skandalicznymi morderstwami zainteresuje się gdańska centrala. I przypomni sobie przy okazji o samym Buddingu, który miał nadzieję dotrzeć na tym stanowisku do emerytury.

Prezydent zdawał sobie sprawę, że zdyscyplinować tych ludzi nie będzie mu łatwo. Sam wywodził się z katolickiej Partii Centrum i gdy obejmował władzę w 1925 roku, jego stronnictwo było na tych terenach prawdziwą potęgą. Ale w ostatnich latach partia znalazła się w odwrocie, a i jego pozycja mocno osłabła. Niegdyś otaczali go poczciwi konserwatyści i przyjaciele tego samego wyznania. Teraz musiał tolerować narzuconych mu ludzi, którym nie ufał.

Komisarza von Bocka uważał za grubiańskiego mitomana. Doktor Hecht raził go wulgarną krzykliwością. O Vranitzkim wiedział niewiele, zniechęcał go jednak wystudiowany chłód Austriaka. A już zupełną zagadką był dla niego ten szczupły wysoki blondyn o szarych oczach, od którego być może zależała jego własna przyszłość. Spojrzał w leżące przed nim notatki. Christian Abell? Tak, to on prowadzi śledztwo. Miał znakomite wyniki w poprzedniej pracy w Wolnym Mieście Gdańsku, w Prezydium Policji na Karrenwall, ale ciągnęła się za nim jakaś smrodliwa sprawa z przeszłości. Tylko dlatego ten wytrawny pies gończy wylądował przed zaledwie dwoma tygodniami na ich zakurzonej zachodniopruskiej prowincji.

Co to było, spoliczkował przełożonego? Budding zaklął pod nosem. Powiniennem się lepiej przygotować, pomyślał.

Przybyli policjanci wypełnili już salę.

– Panowie! – Prezydent odchrząknął i zdecydowanym ruchem postukał piórem w stół. – Wezwałem was tutaj, bo jako rejencja chcemy wiedzieć, co właściwie dzieje się na naszym terenie. Mam tu na myśli, oczywiście, bulwersujące morderstwa, których ofiarą padli w ostatnim czasie dwaj księża z parafii Świętego Jana Ewangelisty. Jako prezydent rejencji chcę od panów usłyszeć, jakie postępy poczyniła policja kryminalna w tych sprawach. Jeszcze nigdy – to „nigdy” podkreślił pełnym wyrzutem spojrzeniem poślany Bockowi – w tak krótkim czasie nie zdarzyły się tu dwa aż tak okrutne morderstwa. Niepokojące jest coś jeszcze, panowie. – Tym razem Budding zawiesił wzrok na Abellu. – Ofiarami są księża, osoby z samej swej natury budzące społeczne zaufanie. Tymczasem niedwuznaczne okoliczności tych... przypadków powodują wzburzenie i plotki wśród miejscowej ludności. Krążą najbardziej nieprawdopodobne przypuszczenia...

– To ciekawe, a jakie? – zapytał komisarz von Bock.

– Na przykład takie, że sprawcami są Polacy. Inni rozsiewają pogłoski, że maczali w tym palce Żydzi. Są także podejrzenia, że to robota masonów lub sekty

okultystów. Podobno przed kilkoma miesiącami ujęto szajkę satanistów w Królewcu. Jakież niedobitki mogły przeniknąć do naszego miasta.

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie: pogłoski, podejrzenia... Bądźmy poważni. Policja nie może zajmować się wróżbiarstwem. Prowadzimy szeroko zakrojone działania i energiczne śledztwo...

– I co z niego wynika? – bezceremonialnie przerwał mu Budding. – Jakie są dotychczasowe ustalenia? Czy mamy spodziewać się kolejnych trupów w sutannie? Co łączy te zbrodnie? Moim zdaniem chodzi tu o jakiegoś szaleńca.

– Przyznam, panie prezydencie, że podobne myśli mnie także przyszły do głowy. – Bock najwyraźniej postanowił zatrzeć złe wrażenie, jakie wywołały jego wcześniejsze słowa. – Jak pan bardzo trafnie zauważył, rzeczywiście wygląda to na dzieło szaleńca. Czasy mamy niespokojne, faktycznie, wokół coraz więcej różnych mistyków, szalbierzy, okultystów wszelakiej maści, którzy dla paru marek zdarliby z człowieka skórę. Jestem pewien, że radca Abell weźmie tę hipotezę poważnie pod uwagę. – Rzucił wymowne spojrzenie w kierunku radcy.

– Za wcześnie na jakieś konkluzje, ale moim zdaniem to nie jest robota szaleńca – powiedział chłodno Abell, ignorując swojego zwierzchnika.

– Słucham? – Prezydent był równie zdumiony, jak komisarz von Bock. – Sprawca szlachtuje księdza na dzwonie kościelnym, drugiego krzyżuje i przybija do łoża, jak jakiegoś Chrystusa, brodziecie we krwi po kostki, a pan, szanowny panie radco, uważa, że to normalne morderstwa?! – Budding podniósł głos.

Nie wiedział, co bardziej wyprowadza go z równowagi: absurdalne stwierdzenie radcy czy kamienny spokój i ironia, widoczne w jego oczach.

– Twierdzą tylko – kontynuował nieporuszenie Abell – że wprawdzie same morderstwa są oczywiście szalone, ale ich sprawca lub sprawcy już nie.

– Nic z tego nie rozumiem. – Prezydent wzruszył bezradnie ramionami.

– Pan radca Abell chce przez to powiedzieć – niespodziewanie odezwał się milczący dotąd Vranitzky – że nasz morderca być może celowo teatralizuje swoje zbrodnie. A jeśli postępuje z rozmysłem i premedytacją, to już z samego, że tak powiem, założenia na pewno nie jest szaleńcem.

– Dokładnie tak. Dziękuję panie radco. – Abell uprzejmie skinął głową w stronę Vranitzkiego – Dla uproszczenia wywodu przyjmijmy, że morderca działał w pojedynkę. Zwróćmy uwagę, że zarówno w przypadku księdza Platzecka, jak i księdza Webera nie mieliśmy do czynienia ze zbrodniami w afekcie, które są tak charakterystyczne dla typowych szaleńców. Sprawca najpierw ogłuszał ofiary, a następnie torturował je, zadając im powolną śmierć. To wszystko trwało, rozciągało w czasie te swoiste egzekucje. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że sprawca nie tyle rozładowywał swój gniew, ile dążył do zadania ofiarom maksymalnie wielkiego cierpienia i bólu. Zwróćcie też, panowie, uwagę, że do obu morderstw doszło w bardzo dramatycznej czy mówiąc inaczej, teatralnej

scenerii.

– Teatralnej? – Prezydent Budding poruszył się niespokojnie.

– Zgódźmy się, panie prezydencie – ciągnął twardo Abell – że łatwiej zamordować człowieka bez świadków w jakimś ciemnym zaułku, a takich nie brakuje w okolicach parafii, niż na kościelnej dzwonnicy czy w domu dziwki, w biały dzień, w centrum miasta. A jednak ktoś, z jakiegoś ważkiego powodu, podjął to ryzyko. Co więcej, wykonał swoje zamierzenie bardzo skutecznie, nie pozostawiając żadnych śladów. Tak więc mamy do czynienia być może z umysłem spaczonym, ale na pewno nie szalonym. Przeciwnie, sprawca jest zapewne wyrachowany i potrafi nie tylko precyzyjnie planować swoje czyny. Sądzę, że próbuje także narzucać nam wygodny dla siebie sposób myślenia i prowadzenia śledztwa.

– Jak to: narzucać nam sposób myślenia... – zaczął skonfundowany prezydent i nagle umilkł, bo dotarła do niego konkluzja płynąca z wyводу Abella.

Na sali zapanowała cisza. Po dłuższej chwili przerwał ją komisarz von Bock.

– Mówiąc wprost, twierdzicie, Abell, że morderca usiłuje wyprowadzić nas w pole tym szatańskim decorum. Ale po co to wszystko robi?

– Myślę, że po to, by ukryć przed nami rzeczywiste motywy zbrodni. Chce, abyśmy zwiertzyli fałszywy trop i pobiegli, niczym psy gończe, w niewłaściwą stronę. Sądzę, że celowo weksluje naszą uwagę na tory obyczajowe.

– Chwileczkę... – Komisarz von Bock nawet nie próbował hamować irytacji, jaką wywołały w nim słowa Abella. – Co pan właściwie imputuje, radco Abell?! Przecież to jasne jak słońce, że chodzi o przestępstwa na tle obyczajowym! Za tą wersją przemawiają oczywiste fakty, trop obyczajowy sam się niejako narzuca. Zapomnijmy na moment, że to księża. Ostatecznie mamy do czynienia z dwoma mężczyznami, z których jeden zapewne używał sobie z mężatką, a drugiego znaleziono po upojnej nocy spędzonej z prostytutką!

– W takim razie przeanalizujmy te oczywiste fakty – odparł chłodno radca. – Ksiądz Gerhard Platzeck faktycznie mógł mieć kochankę. Wiele na to wskazuje. A to oznacza, że jej mąż lub ktoś przez niego wynajęty rzeczywiście miał cholernie dobry motyw, by zamordować, z zazdrości czy z zemsty. Grzeszny seks, zdrada, małżeńska niewierność... Dobrze wiemy, że w większości przypadków to wystarczające powody do zbrodni. Podobnie, ale tylko z pozoru, wygląda sprawa z księdzem Albrechtem Weberem. Ulegający żądom duchowny, pozbawiony życia w domu dziwki, po sadomasochistycznej nocy...

– Zaraz, zaraz, dlaczego z pozoru? – wtrącił się Budding. – Przecież i w jednym, i w drugim przypadku ofiara mogła zostać ukarana za swoje występne życie i być celem ataku, dajmy na to, jakiegoś rogowca czy alfonsa.

– Być może, ale stałoby się tak tylko wtedy, gdyby było dwóch sprawców, na przykład wspomniani przez pana prezydenta rogowca i alfonsa. I gdyby zbieżność

czasu, w jakim dokonano obu zbrodni, była zupełnie przypadkowa. Ja jednak sądzę, panowie – Abell powiódł wzrokiem po zebranych – że nie może tu być mowy o przypadkowej zbieżności. Sprawca jest jeden. Przekonują o tym nie tylko dramatyczne okoliczności obu mordów, od czego zaczęliśmy nasze rozważania, ale także pozostawianie na miejscu zbrodni swoistych przekazów. Przypominam o wyciągniętym z ust Platzecka zwitku z napisem: „Piekło jest domem nieczystych”. I o krwawym napisie na ścianie: „Odbieramy słuszną karę za nasze uczynki”, w sypialni Brigitte Calz. Myślę więc, że sprawca jest ten sam. Co więcej, sądzę, że pozostawiając nam te przesłania z zaświatów, morderca chce, abyśmy powiązali jego czyny z występnyim życiem ofiar i w efekcie uznali go za kogoś w rodzaju moralnego mściciela. Powtórzę: to może być ten fałszywy trop, który nam podrzuca.

– Zapytam raz jeszcze – odezwał się Bock. – A dlaczego ta wersja nie może być prawdziwa?

Był coraz bardziej przekonany, że całe to spotkanie zmierza ku katastrofie. Cóż on sobie wyobraża, ten wielkomięski mądrała w garniturze wartym więcej niż miesięczna pensja komisarza?

– No cóż... To bardzo mało prawdopodobne, aby ktoś znał tak dokładnie grzeszne tajemnice obu ofiar. A musiałyby je najpierw poznać, aby później wymierzyć karę. – Abell poczuł, że strzępy przeczuć, obrazów i skojarzeń zaczynają się, po raz pierwszy, układać w jakiś logiczny wzór. – Pamiętajmy, że obie ofiary to księża, którzy we własnym interesie musieli dobrze strzec swoich tajemnic. Krążyły jakieś plotki o Platzecku i pani naczelnikowej, ale raczej dotyczyły przeszłości. Upodobania Albrechta Webera były znane dziwce Brigitte Calz, ale na pewno nie innym. Jakim cudem morderca mógł wiedzieć zarówno o romansie Platzecka, jak i o sadomasochistycznych ciągotech Webera? A tylko gdyby o tym wszystkim wiedział, wersja o moralnym mścicielu trzymałaby się kupy.

– Ale przecież stwierdził pan – Budding próbował nadażyć za tokiem myślenia Abella – że sprawca był ten sam.

– Tak. Zabił dwóch księży w odstępie trzech dni. Znał ich zwyczaje. Wiedział, gdzie ich znaleźć, jak ich torturować i pozbawić życia, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. W przypadku zabójstwa Webera nie wiemy nawet, jak dostał się do wnętrza i potem opuścił zamknięty od środka dom prostytutki. Ale zabijał z innego powodu. Raczej nie dlatego, że Platzeck i Weber źle się prowadzili.

– W takim razie dlaczego? – zapytał prezydent, wycierając chusteczką spocone czoło.

– Tego, niestety, jeszcze nie wiemy. Trzeba szukać innej niż zamiłowanie do kobiet tajemnicy, łączącej obu księży.

W sali zapanowała cisza.

– Panowie – przerwał ją Budding. – Zarówno ja sam, jak i władza zwierzchnia oczekujemy szybkich postępów w śledztwie. Bierzcie się do pracy, bo inaczej ludzie zaczną uciekać z naszego biednego miasta...

#### 4.

Czwartkowy poranek następnego dnia, dwudziestego drugiego sierpnia, zastał radcę Abella w samochodzie. Do Marienburga było tylko trzydzieści kilometrów. Wyjeżdżając z miasta na północ, minęli po lewej stronie cmentarz i wjechali na krętą szosę ocienioną lipami. W Prusach Wschodnich lubił te drogi ze szpalerem lipowych drzew, spoza których wyglądały pudełka ceglanych domków i strzeliste wieże kościołów. Na Warmii było mało jezior, ale niziny porośnięte bukowymi lasami i dębowymi zagajnikami koity jego oczy.

Kiedy dotarli do miasta, słońce było już w zenicie, zapowiadając kolejny skwarny dzień. Masywna bryła malborskiego zamczyska prawie wyrastała z połyskującej tafli Nogatu, w której odbijały się wieże i blanki. Jeszcze jako mały chłopiec podziwiał ogrom tej budowli. Z pewnym zaskoczeniem odkrył, że nadal dobrze pamięta topografię zamku. Zaparkował na zewnątrz. Wszedł przez bramę Zamku Wysokiego i znalazł się na dziedzińcu z krużgankami i gotycką studnią.

Profesor Bernhard Schmiedke oczekiwał go na piętrze. Jak na człowieka dźwigającego ciężar rekonstrukcji i konserwacji jednego z najważniejszych zabytków Rzeszy wyglądał zaskakująco młodo, na jakieś czterdzieści lat, nie więcej. Na twarzy miał nieśmiały uśmiech wiecznie zafrasowanego naukowca. Był w białym fartuchu, zakurzonym od ceglanego pyłu.

– Witam w kapitularni, panie radco. Dawniej w tej sali rozstrzygano o najważniejszych sprawach zakonu, wybierano wielkich mistrzów, a teraz my tu urzędujemy. – Ucisnął Abellowi dłoń i szerokim gestem zaprosił go do środka.

Wpadające przez gotyckie okna światło znaczyło podłogę purpurowymi smugami i obejmowało w posiadanie to niezwykle wnętrze. Na ścianach widniały barwne polichromie ukazujące poczet wielkich mistrzów zakonu. Trójdzielne sklepienie wspierało się na trzech smukłych kolumnach, co podkreślało strzelistość tego niezwyklego pomieszczenia<sup>[C]</sup>.

Profesor zauważył jego zachwyty.

– Tak, kapitularnia to z pewnością najpiękniejsza sala na Zamku Wysokim. Zrekonstruował ją mój poprzednik, profesor Steinbrecht.

Wewnątrz unosił się zapach rozkładu: umierającego drewna, zniszczonego przez czas i korniki, gnijących liści nawiewanych wiatrem, ludzkiego potu i drażniącej nozdrza terpentyny. Ogromny stół pośrodku zapępniały dziesiątki tubek z farbami, umazanych cynobrem, sjeną, smolistą czernią i indygo. Obok stały

nieokreślone mikstury w małych buteleczkach, z których wystawały cienkie mieszała. Dwaj asystenci profesora, którzy ostrożnie rozkładali mikroskopijnej grubości płatki złota, nawet nie podnieśli oczu na radcę. Co chwilę jeden z nich pieczołowicie nanosił złocistą powłokę na cierniową koronę Zbawiciela, którego drewniany korpus spoczywał na specjalnie skonstruowanym stojaku. Na swoją kolej czekały obok małe putta z ledwo widocznymi śladami dawnej polichromii.

Abell rozglądał się z ciekawością. Po koszmarnych wydarzeniach ostatnich dni miał nadzieję na chwilę oddechu. Nie mówiąc już o rzadkiej okazji poznania profesora, o którym szeroko rozpisywały się największe dzienniki Rzeszy. Jego uwagę przykuły przygotowane do konserwacji rzeźby stojące pod jedną ze ścian. Były tu anioły bez głowy, jednorękie Madonny o melancholijnym uśmiechu, osierocone dzieciątka Jezus, archaniołowie pozbawieni skrzydeł lub mieczy oraz rycerze w pancerzach, wprawdzie bez rąk, ale za to z misternie wyrzeźbionymi brodami. Przez głowę przemknął mu obraz okrutnie okaleczonego ciała Gerharda Platzecka, z wyłamanymi kończynami, oraz przybitego do łóżka prostytutki Brigitte Calz księdza Albrechta Webera. Obaj z pustymi oczodołami, o trupiobladych ciałach, dołączali w jego wyobraźni do szeregu tych samotnych, dekapitowanych i okaleczonych figur. Musiał się mocno skupić, aby odegnać te skojarzenia.

Na wprost zauważył szczątki jakiejś gotyckiej belki z wyrytą datą: 1410. Pamięta lanie pod Tannenbergiem, z pewnością godna ozdoba pracowni naczelnego konserwatora zamku, pomyślał z ironią.

– Zanim przejdę do rzeczy, profesorze, byłbym wdzięczny za kilka słów wyjaśnienia co do charakteru i celu pańskiej misji na zamku malborskim – zwrócił się do cierpliwie czekającego profesora.

– Oczywiście. – Schmiedke wskazał mu krzesło, a sam, nie zważając na stojący obok zabytkowy tron biskupi, usiadł na stole. – Jak pan wie, siedziba wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego to perła nie tylko niemieckiej architektury. Nie ma w Europie drugiego zamku gotyckiego, który zachowałby się w takim stanie. Przy naszym zamczysku francuskie Carcassonne to tylko jedna wielka ruina! No, ale czas robił swoje. Zna pan stare ludowe porzekadło: *Ohne Fleiss kein Preis*[14]. Nic dziwnego, że niekonserwowany zamek powoli niszczał. Lepsze czasy nadeszły dopiero na początku dziewiętnastego wieku. W tysiąc osiemset siedemnastym roku, z inicjatywy nadprezydenta Prus Zachodnich, Theodora von Schöna, powołano Zarząd Odbudowy Zamku, podległy władzom państwowym. Pierwsze lata prac, zwane dziś romantyczną odbudową, wzbudzały jednak ostre kontrowersje wśród historyków sztuki i architektów. Nie ukrywam, ja również oceniam ówczesne zabiegi restauracyjne dość krytycznie...

– Co poszło nie tak?

– Hm, powiedziałbym, że były niezgodne ze stylem i charakterem epoki.

– Schmiedke, jakby dla podkreślenia swej krytycznej oceny, energicznie pokręcił głową. – Na szczęście, na fali sentymentu związanego z uroczystościami stulecia powrotu Prus Zachodnich do Królestwa Pruskiego, a było to w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku, panie radco, powróciło zainteresowanie dawną siedzibą wielkich mistrzów zakonu niemieckiego. Położono wówczas kamień węgielny pod pomnik Fryderyka Drugiego, który dzisiaj podziwiać pan może na Przedzamczu. A dziesięć lat później minister wyznań religijnych, doktor Gustav von Gossler, powołał specjalną komisję, która zleciła mojemu wielce szacownemu poprzednikowi, Konradowi Steinbrechtowi, przywrócić zamku do jego dawnej świetności. W tysiąc dziewięćset drugim roku, dzięki jego wysiłkom, zakończono prace na Zamku Wysokim, a do tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego na Zamku Średnim. Od tego czasu na mnie spoczywa ciężar dalszych prac restauracyjnych. To tyle, w największym skrócie oczywiście.

– Zaskakujące, jak szybko zamek odzyskał dawny charakter – powiedział Abell. – Bywałem tu jako chłopiec. Jeszcze ćwierć wieku temu zamek naprawdę był w opłakanym stanie, wiele murów nadawało się tylko do wyburzenia.

– To miłe, że zauważył pan zmiany, jakie tu zaszły. W istocie są kolosalne. Dzięki umiejętnościom i wyteżonej pracy najlepszych niemieckich konserwatorów zamek odzyskał swoje średniowieczne piękno. Jednocześnie, tak sędzę, stał się atrakcją turystyczną na skalę europejską. Dziś jest nie tylko skarbem niemieckiej kultury, ale także prawdziwym skarbem – kontynuował z wyraźnym ożywieniem Schmiedke. – Naszych zbiorów nie powstydziałaby się berlińska Wyspa Muzeów. Możemy pochwalić się wspaniałym zbiorem militariów, zarówno z czasów rzymskich, jak i celtyckich, liczącą wiele tysięcy sztuk kolekcją numizmatów i medali, a nawet zestawem glazurowanych dachówek z pałacu cesarskiego w Pekinie! Ale dla nas, naukowców – Schmiedke zawiesił znacząco głos – najcenniejsze są zabytkowe detale architektoniczne z terenów dawnego państwa zakonnego.

– Pewnie dlatego, że podkreślają niemiecki charakter tych ziem? – wtrącił uprzejmie Abell.

Odpowiedź go nie zaskoczyła.

– Te tereny nigdy nie były rdzennie niemieckie. Należały niegdyś do Prusów, to tacy Indianie naszych Prus. Ale bez niemieckiej kultury i organizacji nadal byłyby tutaj tylko puszcze i bagna.

– To dosyć popularny pogląd w dzisiejszych czasach – odparł radca i podniósł się z miejsca. – A teraz pozwoli pan, że po tej interesującej dygresji powrócimy do zasadniczego powodu mojej wizyty.

Zeszli na dziedziniec. W trakcie spaceru Abell pokrótce zrelacjonował profesorowi przedmiot swojego śledztwa. Usiedli na kamiennej ławie przy studni. Blaszący kogut, wieńczący studnię, wzdychał z metalicznym chrzęstem przy

każdym silniejszym powiewie wiatru.

– Zapewne dziwi się pan, profesorze, dlaczego w ogóle panu o tym opowiadam – dodał na koniec Abell. – Wydawać by się mogło, że mamy do czynienia ze zwykłymi morderstwami na tle obyczajowym, których nic nie łączy z zamkiem malborskim.

– Nie ukrywam, panie radco, że podobna myśl przemknęła mi przez głowę – odrzekł słuchający go ze skupieniem Schmiedke. – Rozumiem jednak, że skoro pan się tu pofatygował, musi być jakieś „ale”...

– Być może, kto wie. – Abell zastanawiał się, czy wewnętrzny impuls, który kazał mu tu przyjechać, nie okaże się jeszcze jednym zwodniczym przecuciem. – Powiem otwarcie. Mam pewną generalną hipotezę, ale na razie brak mi konkretnych dowodów na jej potwierdzenie. Przyrównując to do pana profesji: nie zrekonstruowałem jeszcze biegu wypadków, nie dokopałem się do skorupy z dowodem zbrodni. Na razie próbuję się dowiedzieć czegoś więcej.

– To znaczy?

– Interesują mnie ofiary obu zbrodni, księża Gerhard Platzeck i Albrecht Weber z kwidzyńskiej parafii Świętego Jana Ewangelisty, prowadzonej przez proboszcza Rudolfa Hoenessa. Słyszałem, że pan dobrze znał księdza Gerharda?

Profesor spojrział w górę, tak jakby tam szukał odpowiedzi. Wyraźnie posmutniał na wzmiankę o księdzu.

– Księdza Gerharda rzeczywiście znałem dobrze. I ceniłem... To wielka strata, nie tylko dla Kościoła. Był mi bardzo pomocny, a jego wiedza o zakonie krzyżackim była doprawdy zdumiewająca. Zwłaszcza jeśli chodzi o wiek trzynasty i czternasty, które fascynowały go chyba w sposób szczególny. Tego drugiego duchownego nie znałem.

– O wysokich kompetencjach księdza Platzecka już słyszałem. Ale proszę mi powiedzieć, tak zwyczajnie, poza protokołem: jakim on był człowiekiem?

Profesor potarł czoło widocznie zafrasowany.

– Nie jest łatwo odpowiedzieć na tak zadane pytanie. Znałem go głównie od tej strony, o której wspominałem. Jakim był człowiekiem? Na pewno przyjaznym ludziom, sympatycznym i kulturalnym. Widać było, że z domu wyniósł kindersztubę. Bardzo odczytany, otwarty na świat. Lubiłem z nim rozmawiać, jak na księdza miał szerokie horyzonty. Było w nim coś... – profesor na krótko zawiesił głos – ...nietypowego.

– W jakim sensie?

– Trudno mi sprecyzować... po prostu nie wyglądał na księdza... Może to zbyt śmiałe przypuszczenie, ale tak jakby pomylił swoje powołanie... Chyba interesował się kobietami, i to z wzajemnością.

– Ciekawe, panie profesorze. Mógłby pan podać jakieś fakty na poparcie tego przypuszczenia?



– Fakty? Nie, skąd. To tylko moje prywatne obserwacje.  
– Rozumiem. A co mógłby pan powiedzieć o proboszczu Hoenessie? Słyszałem, że bywał częstym gościem na zamku.

– Niestety, nigdy nie poznałem księdza proboszcza osobiście.  
– To dziwne. Słyszałem, że jest dość wpływową figurą na tym terenie?  
– Jakoś się nie złożyło. Ale wiem, o kogo chodzi. Bardzo udziela się podczas capstrzyków i innych patriotycznych uroczystości, które organizuje się tutaj, na zamku. Widok proboszcza Hoenessa w białym płaszczu z czarnym krzyżem, oświetlonego pochodniami w średniowiecznym stylu, naprawdę robi imponujące wrażenie. – Abell nie miał pewności, czy profesor mówi serio, czy też należałoby się w tych słowach doszukiwać lekkiej ironii. – Czasami podejrzewam – kontynuował profesor – że jest głęboko nieszczęśliwy, żyjąc w obecnych czasach, kiedy nie można już skrócić o głowę jakiegoś Żmudzina ani krzewić ogniem i żelazem wiary chrześcijańskiej wśród pogańskich Prusów.

– Widzę, że nie jest pan entuzjastą zakonu krzyżackiego?  
– Wręcz przeciwnie. Zakon był organizacją jedyną w swoim rodzaju. Do dziś jest przedmiotem zachwyty wielu bardzo poważnych, zapewniam pana, historyków, mężów stanu, a nawet artystów. Czy pan wie, że pierwszy zastęp rycerzy krzyżowych, który przybył na to pogranicze w tysiąc dwieście trzydziestym roku, liczył zaledwie kilku rycerzy?

Profesor ściągnął z nosa okulary, przetarł je irchową szmatką i ponownie umocował na garbatym nosie.

– W ciągu następnych trzech stuleci stworzyli unikatowe państwo zakonne, które mieczem wyrąbało, to dobre słowo, granice Niemczyzny. Ale mnie bardziej fascynuje ich niezwykła historia, wyjątkowa zupełnie żywotność oraz umiejętność podnoszenia się z kolan. Mało kto potrafił tak przekuwać porażki w wielkie zwycięstwa! Niepowtarzalna była również struktura wewnętrzna zakonu, ściśle zhierarchizowana i bardzo sprawna administracyjnie. Ich dorobek cywilizacyjny i kulturowy w Prusach był doprawdy zdumiewający. I bezsprzecznie promieniował także na sąsiednie ziemie, Polaków i Litwinów. Oczywiście oni, zwłaszcza ci pierwsi, temu zaprzeczają. Ale to tylko polityka. Kultura naszych sąsiadów byłaby zdecydowanie uboższa bez pierwiastka niemieckiego.

Abell z zainteresowaniem, ale i lekkim zaskoczeniem wysłuchał tej tyrady.

– Skoro tak pan uważa, to dlaczego, jeśli mogę spytać, tak krytycznie ocenia pan występy wielebnego Hoenessa w zakonnym stroju?

– Ponieważ czym innym jest respekt dla dokonań zakonu w przeszłości, a czym innym próba wykorzystywania jego sztandarów do podbijania nacjonalistycznego bębna. – Na twarzy profesora pojawił rumieniec emocji.  
– Jestem zdania, że zakon ma swoje trwałe miejsce w niemieckiej historii, ale przebieranie się dzisiaj w zetłale kostiumy wielkich mistrzów jest po prostu

śmieszne! *Herr Gott!* To szopka śmierdząca naftaliną! Cała ta parada z pochodniami, czarnymi krzyżami i nawoływaniem do rozprawy ze słowiańskimi podludźmi! Och! Do czego to ma nas doprowadzić? Do kolejnej wojny, kolejnej rzezi?! A dzisiaj w Rzeszy na pewno jest nam potrzebna krzyżacka solidarność. Umiejętność budowania czegoś z niczego. Ten instykt państwowy, pomnożony przez mrówczą pracę, determinację i talenty teutońskich murarzy, architektów, rzemieślników, piwowarów! – Profesor zamilkł, zdyszany.

– No tak. – Abell podniósł się z miejsca. – Bardzo dziękuję, profesorze, za ten wykład. Nawet jeśli nie popchnął on śledztwa do przodu, to na pewno poszerzył moje horyzonty. – Uśmiechnął się szeroko i ruszył do wyjścia.

– Aha, panie radco – zawołał za nim Schmiedke. – Coś sobie przypomniałem. A propos proboszcza Hoenessa i jego wielkogermańskich spektakli. Jeden z nich może pan zobaczyć na własne oczy. W najbliższą sobotę, dwudziestego czwartego sierpnia, na dziedzińcu Zamku Wysokiego odbędzie się kolejny tego rodzaju capstrzyk. Zapraszam pana. Gwarantuję, że będzie na co popatrzeć. Przyjedzie cała śmietanka towarzyska Malborka i Kwidzyna, z władzami rejencji na czele. Przynajmniej tak było do tej pory. A wcześniej proszę zajrzeć do mojej pracowni. Jeśli pan zechce, oprowadzę pana po zamku.

Abell skinął uprzejmie głową, po czym odwrócił się w stronę drzwi, nieledwie zderzając się z wchodzącym właśnie młodym mężczyzną w roboczym drelichu. Mężczyzna wymamrotał przeprosiny i przywarł do muru, robiąc mu przejście.

– Ach, to pan, doktorze Johann – usłyszał Abell głos profesora Schmiedkego. – Panie radco, pozwoli pan sobie przedstawić. Doktor Johann to moja prawa ręka, a nawet coś więcej.

Zajęty swoimi myślami, Abell machinalnie przywitał się z mężczyzną. Pewnie by go nawet nie zapamiętał, gdyby nie dziwnie fiołkowe oczy doktora. Takie źrenice miewali aniołowie na kartkach bożonarodzeniowych firmy Sphinx, które pamiętał z lat swojej młodości.

## **Rozdział III**

### **Drogi towarzysz Naun**

## 1.

Po wizycie na zamku Abell powrócił na komisariat. Upał sprawiał, że w jego małym biurze wręcz brakowało powietrza. Radca rozpiął kołnierzyk wilgotnej od potu koszuli i pomyślał, że jeszcze chwila, a żar płynący zza okna wyssie z niego resztkę sił. Starał się jednak z uwagą słuchać raportu, jaki składał mu Kukulka.

– Tak jak pan radca kazał, przesłuchaliśmy wszystkie miejscowe męty: alfonsów, szulerów i wszelkie tutejsze ciemne typy. Nikt nic nie wie, niczego nie widział, no święte miasto po prostu.

– A nasi informatorzy?

– Też zero. Przycisnąłem zwłaszcza niejakiego Listewnika, to właściciel gospody przy Zitzlaffstrasse, którego policja nakryła w ubiegłym roku na chrzczeniu wódki i podawaniu na stół dziczyzny od kłusowników. Gość podobno wie wszystko o każdym. Macza swoje paluchy we wszystkich brudach tej miejsciny. Wiele razy okazywał się pomocny. Pan wie, panie radco, przy gorzale rozwiązuje się język. Ale nie tym razem.

– Przycisnąłeś go, jak należy? Przecież w takiej dziurze ktoś musi coś wiedzieć.

– Ma się rozumieć, szefie. Przetrzyliśmy go w pace przez całą noc. Ale chłopina chyba rzeczywiście nic nie wie. Dużo natomiast opowiada o nastrojach w mieście. Moralista taki się z niego zrobił.

– O nastrojach? – Radca podniósł brew. – To niby o czym?

– Ano o tym – Kukulka z zakłopotaniem potarł brodę – że zepsucie w narodzie szerzy się takie, że musiała spaść kara boska. Przyszedł wielki kryzys. A wraz z nim występki, cudzołóstwo, chciwość, zdrada, niegodziwość, nawet wśród kapłanów... Słowem, musiał pojawić się anioł zagłady i wypalić to zło żywym ogniem. Apokalipsa nadchodzi. To podobno było niegdyś spokojne, senne miasto. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzały. Szef powinien wiedzieć najlepiej. Ale teraz się to zmieniło. Ludzie szemrzą na ulicach, gadają po gospodach i knajpach, dają posłuch najbardziej fantastycznym plotkom. A wszystko to niby wina komunistów i Żydów, tych alfonsów z haczykowatymi nosami, którzy chcą od środka ześwinić naród niemiecki. Tak gadają.

– No tak... – Abell spojrział przeciągle na Kukulkę i powolnym ruchem wyjął papierosa z papierośnicy.

Od kilku miesięcy nie palił, ale lubił mieć przy sobie papierośnicę. Uprzejmie podsunął ją wachmistrzowi, a ten skwapliwie się poczęstował. Od czasów afery w Langfuhr obdarzał radcę nieledwie psim przywiązaniem i bardzo cenił sobie takie gesty z jego strony. Niewielu oficerów stać byłoby na podobne zachowanie. Ale Abell, którego nieodmiennie nazywał szefem, był inny. Bo na

przykład ten Bock nigdy nawet nie odpowiedział na jego pozdrowienie. Tłusty, afrykański wieprz, pomyślał nienawistnie Kukulka.

– To gdzie i od kogo Listewnik słyszał te rewelacje? – zapytał Abell.

– Choćby od doktora Nauna. Podobno często przychodzi do gospody i przemawia do ludu. Nasz pan doktor lubi być w centrum uwagi. Nie dalej jak wczoraj odbył się na stadionie wiec NSDAP. Naun nawiązał do morderstw w mieście. O wszystko obwinił Żydów i czerwonych. Wezwał mieszkańców do walki z rozpustą i upadkiem obyczajów. Oczywiście pod sztandarami nazistów. Miał wyjątkowo dużą publikę, ludziska pojeżdżali nawet z okolicznych wsi i majątków. To, co mówił, bardzo się podobało. Dlatego zabisował, że tak powiem. Tym razem dostało się upadłej republice i nieudolnej, skorumpowanej policji państwowej. Jechał po nas jak po łysej kobyle.

– Czy ktoś z naszych monitorował wiec?

– Ma się rozumieć, jak zawsze. Jeśli pan radca sobie życzy, jeszcze dzisiaj dostarczę raport.

Naun. Śliski, inteligentny, fanatyczny... Jego też należy poważnie wziąć pod uwagę. Abell w zamyśleniu odchylił się na oparcie krzesła. Naun ma przecież do dyspozycji siłę, a przemoc rodzi przemoc. Banał stary jak świat. Nie wolno o tym zapominać. Do tego na pewno jest ambitny. O czym wrzeszczy na wiecach ten jego Führer ze śmiesznym wąsikiem? Czy nie o moralnym odrodzeniu Niemiec, o wypaleniu żelazem wszelkiego plugastwa? Czyż nie wzywa Niemców do przebudzenia i powrotu do teutońskich cnót? Jak to leciało? Jasnowłose Helgi z warkoczami i żyjący z ziemi, niezepsuci chłopci. *Blut und Boden*[15], Zygfyrd i Wagner. Czysta rasa aryjska. Czysty obłęd, kurwa! Stosy dla wynaturzonej sztuki! Sanacja obyczajów. Marszowy krok. *Heil!* Precz z klerem i Żydem Chrystusem! Czy to nie tak się układa, czy nie tak mogło zabrzmieć w czyjejs fanatycznej głowie?

Może doktor Naun zaczął urzeczywistniać nazistowskie ideały na swoim podwórku? Oczyści rejencję z obyczajowego plugastwa i chwyci wdzięczne miasto za mordę, a Führer tam, w dalekim Monachium, na pewno to zauważy. Zauważy, doceni. „A któż to jest ten doktor Naun, *liebe Genossen*[16] – zapyta – dlaczego wcześniej o nim nie słyszałem? Takich nam tu trzeba, w Królewcu, w Gdańsku, a może nawet w Berlinie, w tym kloacznym Babilonie, pełnym grzechu i rozpusty!”

– Kukulka, wezwijcie Nauna na przesłuchanie, na piątek z samego rana – powiedział Abell i dał ręką znak, że to koniec na dzisiaj.

Wachmistrz, zanim wyszedł, przez chwilę obserwował zatopionego w rozmyślaniach radcę. Miał zaufanie do jego przenikliwości. Niejednokrotnie był świadkiem kształtowania się tego nieuchwytnego procesu, który później sam Abell nazywał „iluminacją”. Teraz Kukulka odczuwał wręcz coś na kształt dumy, że

mimowolnie podsunął komisarzowi nowy trop. Nawet jeśli to była tylko ta ohyda szerzona przez doktora Nauna.

## 2.

Piątkowy poranek był równie upalny jak każdy w tym tropikalnym sierpniu. Na pustym rynku pojawiały się pierwsze oznaki życia. Z szorstkim szelestem powędrowała w górę metalowa żaluzja w kawiarni, odsłaniając witrynę z kiwającym się Murzynem w kucharskiej czapie. W rogu rynku swój majdan rozkładał obwoźny lodziarz. Ze skrzynki kwiatowej na jednym z balkonów skapywały krople wody, natychmiast ginące na rozgrzanym bruku.

Abell przyspieszył kroku. Miał tylko kwadrans do przyjscia Nauna, a zamierzał jeszcze sprawdzić w biurze coś, co nie pozwalało mu zasnąć w nocy.

Kamienne mury gmachu policji zapewniały przyjemny chłód. Abell otworzył drzwi do swojego gabinetu i z ulgą rozsiadł się w rzeźbionym gdańskim fotelu, jednym z tych, w które wyposażona była cała rejencja. Kiedyś zapytał nawet Vranitzkiego, skąd taki przepych w bądź co bądź prowincjonalnym urzędzie. Okazało się, że policja odziedziczyła meble po poprzednim lokatorze, bogatym kupcu kolonialnym, który sprzedał budynek miastu.

Radca wyjął z szuflady broszurę, którą otrzymał od bezirksleiters Nauna. Sięgnął po policyjną lupę i z uwagą zaczął studiować zdjęcie widoczne na pierwszej stronie. Fotografia była duża i wyraźna. Przedstawiała kilkunastu mężczyzn w brunatnych koszulach, którzy trzymając się pod ręce, szli w bojówkarskim szyku całą szerokością ulicy. Największy z nich, dwumetrowy osiłek, niósł wysoko tablicę z napisem: *Kreis Marienwerder*. Wzdłuż ulicy stał szpaler wiwatujących widzów, w tym wiele kobiet z dziećmi. Większość miała otwarte usta, jak na obrazach Muncha. Twarze wyrażały entuzjazm, żarliwe uniesienie, fanatyzm.

Młoda matka w białej sukni trzymała wysoko nad głową małego chłopca, jakby chciała, aby zapamiętał siłę i dumę, które były z maszerujących szturmowców. Abell przesunął lupę na kolejną postać. Mężczyzna w średnim wieku, w drucianych okularach i płóciennych sandałach. Bił brawo, tak jakby żałował, że nie może dołączyć do chwatów w brunatnych koszulach. Może swoją młodość zostawił pod Verdun? Tacy nigdy nie nauczą się niczego. Tylko jedna postać, staruszek w kamizelce, wyłamywała się z tego tłumu klakierów. Oparty bezradnie na lasce, z gazetą wystającą z kieszeni marynarki, patrzył nieruchomym wzrokiem na bojówkarzy, a w kącikach jego ust rysował się ledwo dostrzegalny grymas pogardy.

– Przynajmniej jeden sprawiedliwy – mruknął radca pod nosem.

Nad zdjęciem widniał wybity tłustym drukiem nagłówek: *15 August 1930*,

*Stuhm ist unser!* Taki sam napis był na transparencie rozpiętym nad ulicą.

Abell jeszcze studiował przez lupę twarze bojówkarzy na fotografii, gdy wprowadzono doktora Nauna.

Doktor usiadł swobodnie na krześle, rozpiął guziki eleganckiej, świetnie skrojonej marynarki i rozejrzał się dokoła. Biła z niego pewność siebie. Czuł się ważny i chciał, aby to dotarło do tego policjanta. Miał dobre wzorce. Kilka dni spędził w bezpośrednim otoczeniu gauleitera Ericha Kocha. Obserwował, jak gauleiter przemawia, jak energicznie kroczy przed szeregiem wyprężonych bojówkarzy SA, jak wysuwa szczękę, aby podkreślić swoją stalową wolę, jak jednym zmarszczeniem brwi przesyła swym wrogom wiadomość: „Zniszczę was wszystkich, skurwysyny, powybijam jak wszy, znajdę w każdej mysiej dziurze w całych Prusach Wschodnich. Więc lepiej poddajcie się od razu, zanim was dopadnę i rozniosę w pył!”. Czasami, gdy nikt go nie widział, doktor stawał przed wielkim lustrem w swojej sypialni i powtarzał te gesty i mimikę, jakby to on sam miał rozprawić się z całym tym zafajdanym, wrogim im światem. Na razie pilnie się uczył, podpatrywał i naśladował, ale był pewien, że nadejdzie dzień, kiedy będzie mógł pokazać, jak dobrym i pojętym okazał się uczniem. Teraz jednak musiał wysłuchać tego dyletanta, udającego wielce przenikliwego detektywa.

– Godna pochwały skromność, panie radco – powiedział swobodnie. – Asceza buduje respekt wobec władzy. Ta władza, która wkrótce nadejdzie – uśmiechnął się – będzie jeszcze skromniejsza. Ale to Bizancjum – wskazał rzeźbiony fotel, na którym siedział Abell – chyba jest już przeżytkiem.

– To nie Bizancjum, doktorze – odparował Abell – ale najprawdziwszy mebel gdański. A jak Pan wie, *Danzig ist deutsch*[17], mamy więc do czynienia z wytworem solidnego niemieckiego rzemiosła, dziełem spracowanych rąk niemieckiego stolarza. Do tego mebel jest z dębu, co jeszcze bardziej podkreśla jego narodowosocjalistyczną proveniencję, prawda?

– Doceniam pańskie poczucie humoru i sztukę erystyki. – Naun wyglądał na rozbawionego – To szkoła Schopenhauera?

– Nie, Abella.

– Zabawne, naprawdę zabawne. Czasami mam wrażenie, że pan się marnuje w tym prowincjonalnym miasteczku. Przydałby nam się ktoś taki jak pan, panie radco.

– Nam? Czyli komu? – Radca odwzajemnił uśmiech.

– Prawdziwym Niemcom, narodowym socjalistom, którzy odbudują z ruin ten kraj i sprawią, że Rzesza powstanie z kolan.

– Jestem tylko zwykłym policjantem, panie Naun. – Abell postanowił zakończyć tę słowną szermierkę. – A policjanci na służbie, jak pan wie, nie mają przekonań politycznych.

– Teraz rzeczywiście może tak jest, ale proszę mi wierzyć, kiedyś ulegnie to

zmianie. Może wtedy będzie pan mówił inaczej?

Abell zignorował tę uwagę. Pomyślał jednak, że przyszłość może rzeczywiście należeć do takich jak Naun. Niemcy za oknem zmieniały się w błyskawicznym tempie. Nawet w jego ukochanym Wolnym Mieście Gdańsku stare odchodziło w przeszłość. Te Munchowskie twarze, z krzyczącą czeluścią zamiast ust, były tego najlepszym dowodem. Stary świat upadał powoli pod ciosami tych barbarzyńców. Każde uderzenie, każdy wiec, wygrane wybory w landtagach przybliżały wszystkich do nieuchronnego końca. Nadchodzi zmierzch, już Spengler[18] to przepowiedział. Ale jeszcze nie teraz. I to nie jego zmartwienie, przynajmniej dziś...

– Wezwałem pana, aby rozwiać wątpliwość, jaka zrodziła się we mnie po naszej ostatniej rozmowie – odezwał się uprzejmie. – Otóż stwierdził pan, że nikt z pańskich szturmowców nie mógłby być zamieszany w zabójstwo Platzecka, piętnastego sierpnia, z tego prozaicznego powodu, że wszyscy byli w tym dniu na wiecu w Sztumie.

– Owszem. – Naun wyczuł, że właściwe przesłuchanie dopiero się rozpoczyna. – Właśnie tak, panie radco.

– Na dowód przedstawił mi pan broszurę ze zdjęciem z tej demonstracji. Rzeczywiście widać na nim członków kwidzyńskiego SA. Ale jednej osoby mi tam zabrakło.

– Tak? A kogo?

– Brakuje na nim pana, doktorze Naun.

W pokoju zapadła cisza.

– I dlatego pan mnie wezwał, panie radco? – Abell miał wrażenie, że z Nauna uleciało maskowane dezynwolturą napięcie. – Doprawdy, jestem rozczarowany. A przecież to proste. Tego dnia oczywiście byłem na demonstracji. Ale jak pan myśli, kto wykonał to zdjęcie? – Naun spojrzał szyderczo na policjanta.

Abell potrząsnął głową, jakby nie dowierzając swojej własnej ignorancji.

– Aha, i to pan je wykonał – rzucił cicho. – Dlatego nie ma pana na fotografii?

– Proszę sobie wyobrazić, że tak. I mam na to siedemnastu świadków.

Naun przez chwilę napawał się widokiem milczącego, zatopionego w myślach radcy. Potem powoli zaplął guziki marynarki, wstał z krzesła i skierował się ku drzwiom.

Szczerze się zdziwił, kiedy osadził go w miejscu głos Abella.

– Jeszcze nie skończyliśmy, doktorze. Proszę usiąść. Dziękuję za ten krótki kurs logiki. Oczywiście: jeśli to pan robił zdjęcie, nie mógł się pan na nim znaleźć. Ale proszę mi wyjaśnić: dlaczego twierdził pan, iż wiec odbył się w Sztumie piętnastego sierpnia, w dniu morderstwa?

Naun wzruszył ramionami, jakby czegoś nie zrozumiał. Jakby przecenił



intelekt tego psa policyjnego o szarych niepokojących oczach.

– Ponieważ odbył się piętnastego sierpnia! Czyż nie widzi pan daty na broszurze?

Abell raz jeszcze spojrział na wytłuszczony nagłówek gazety: *15 August 1930, Stuhm ist unser!* Gestem przywołał nazistę do biurka i podał mu lupę.

– Niestety – powiedział – mam pewien problem z pańską prawdomównością. Proszę spojrzeć przez szkło powiększające na tę postać, tu w rogu zdjęcia.

Naun rozłożył bezradnie ręce, po czym wzdychając teatralnie, pochylił się nad broszurą.

– A teraz proszę mi wyjaśnić – rzekł Abell – dlaczego na winiecie gazety wystającej z kieszeni tego starszego pana widnieje data szesnasty sierpnia, czyli o dzień późniejsza?

Naun najpierw spojrział na niego ze zdziwieniem, potem krótko parsknął, aż wreszcie zamarł, pochylony nad zdjęciem. Radca obserwował go z zainteresowaniem. Znał ten typ przeciwnika: twardy, nieustępliwy, zdemoralizowany do szpiku kości, który jedno zdemaskowane kłamstwo natychmiast, bez żenady, zastępuje kolejnym. Był bardzo ciekaw reakcji szefa NSDAP.

Ale Naun go rozczarował. Ceglasty rumieniec na jego twarzy świadczył o zmieszaniu i dezorientacji. Pulsująca żyła na czole – o trudnej do ukrycia wściekłości.

– To... to jakaś pomyłka, panie radco – wykrztusił. – Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Pomyłka? Niech pan mnie nie rozśmiesza. Czyja? Redakcji „Allensteiner Zeitung”? Sugeruje pan, że redakcja wypuściła numer gazety z mylną, późniejszą datą? Przyzna pan, że to raczej niemożliwe. Wiec odbył się w Sztumie, to prawda, ale dzień później, niż pan twierdzi, czyli szesnastego sierpnia. A w takim razie rodzi się pytanie: dlaczego zarówno w nagłówku broszury, jak i na sfotografowanym transparencie widnieje fałszywa data? Widzę tylko jedno wytłumaczenie: że pan maczał w tym fałszerstwie swoje paluchy. Na pewno dowiem się, w jakim celu pan to zrobił – zakończył zimno.

Doktor Naun milczał. Nic już nie było do dodania. Żałował teraz wszystkiego: tego, że wstał dzisiaj rano i że tu przyszedł, jak baranek na rzeź. Ale głównie nie mógł wybaczyć sobie sposobu, w jaki rozegrał ich pierwszą rozmowę. Miał wszystkie karty w ręku. Po co dawał mu tę cholerną broszurę? Wystarczyło ją pokazać, machnąć mu nią przed oczami i zamknąć całą sprawę. To miała być tarcza, zasłona dymna – a nie dowód badany przez policję. I jak mógł przeoczyć tę cholerną winietę! To był błąd, katastrofalny błąd.

Ale nawet jeśli się potknął, to mógł się spodziewać, że ci policaje, w bałaganie, jaki ich otacza, nie będą zbyt drobiazgowi. Stało się jednak inaczej.

I teraz musi znaleźć dobre rozwiązanie tego problemu. A przede wszystkim trzeba coś zrobić z tym policjantem, który otwarcie bawił się jego konsternacją.

– Nie powiem nic więcej bez adwokata, proszę pamiętać, że jestem także radnym miejskim, znam swoje prawa – oświadczył. – Na pewno da się to wyjaśnić. To jakieś grube nieporozumienie.

Ciężkie milczenie, jakie zapadło, przerwał radca, który wezwał Kukulkę i wydał mu stosowne polecenia. Kazał zamknąć doktora do poniedziałku na tutejszym odwachu. Zdawał sobie sprawę, że Naun to nie byle kto i zatrzymanie go w areszcie na dłużej będzie wymagało lepszego uzasadnienia niż tylko sfalszowana broszura. Przyłapanie go na tym kłamstwie nie wiązało go jeszcze z morderstwami księży – bo niby w jaki sposób? Ale otwierało nowe okno w głowie radcy, rodziło nowe pytania i wątpliwości.

Potał w zamyśleniu czoło. Pewne było jedno: lepiej, aby Naun został odcięty przynajmniej na krótko od swojego otoczenia i sojuszników. Abell wiedział, że nie brakuje ich także w środowisku tutejszej palestry. Zatrzymanie wpływowego szefa dużej partii miało też oczywisty wydźwięk polityczny. Sytuacja w mieście była delikatna. Naziści rośli w siłę. Nie wiedział, jak na aresztowanie grubej nazistowskiej ryby zareaguje prezydent Budding czy komisarz von Bock. Sam nie potrafił jeszcze właściwie ocenić wagi i doniosłości tego zdarzenia. Naun skłamał, to nie ulegało wątpliwości. Kazał sfalszować daty na broszurze i na zdjęciu. Dla dobrego fotografika, a tych na pewno nie brakowało w NSDAP, taki retusz to drobnostka. Trzeba będzie sprawdzić, czy mają swoje laboratorium fotograficzne i gdzie drukowali broszurę. Tylko w jakim celu Naun to zrobił?

Narzucający się wniosek – metodycznie analizował wszystkie możliwości – to taki, że cała ta operacja miała ukryć udział ludzi Nauna w morderstwie piętnastego sierpnia. A więc wersja z nazistowskim czyścicielem, najpierw podgrzewającym napięcie w mieście, a następnie oczyszczającym miasto z weimarskiego zepsucia i moralnej degrengolady? Albo opcja pomocy dla partyjnego towarzysza Osta? Czy istnieje w takim razie jakaś nić wiążąca bezirksleitara z drugim morderstwem? Gdzie jej szukać? I jak to udowodnić?

Doktor nie wyglądał na takiego, co by puścił farbę przed sądem. Abell miał świadomość, że śledztwo wkroczyło na nową, wyraźną ścieżkę, ale nadal nie wiedział, dokąd może go ona zaprowadzić.

### 3.

Dziedziniec Zamku Średniego w Malborku powoli wypełniał się ludźmi. Abell pomyślał, że dobrze zrobił, przyjmując zaproszenie profesora Schmiedkego. W sobotę i tak nie posunie do przodu sprawy Nauna, a profesor okazał się wspaniałym gospodarzem. Wcześniej oprowadził radcę po monumentalnym

zameczysku, także po zakamarkach niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Profesor w niczym nie przesadził: skala odbudowy robiła wrażenie. Zamek zachował swój średniowieczny charakter i surowość wnętrza, jak w czasach Krzyżaków. Konserwatorzy pieczołowicie odbudowali wyszczerbione przez wieki mury i uzupełnili je oryginalnymi detalami i cegłami. Zniknęły góry gruzu i śmieci zalegające niegdyś w fosie i na dziedzińcach. Odrestaurowany zamek był kamiennym dowodem na potęgę i geniusz zakonu.

Ale teraz uwagę Abella przyciągali widzowie gromadzący się na prowizorycznej trybunie zbitej z nieheblowanych sosnowych desek. Miał przed sobą całą śmietankę towarzyską tutejszej społeczności. Panie w muślinowych sukniach i z parasolkami dla ochrony przed zachodzącym już słońcem. Panowie w kapeluszach ocieniających ich pomarszczone, ogorzałe twarze.

Profesor zauważył jego zainteresowanie.

– Takie twarze można spotkać tylko u nas – powiedział. – Tutaj nawet junkrzy niewiele różnią się od bauerów. Mają te Prusy wypisane na twarzach: pracę fizyczną na świeżym powietrzu i ostry klimat. Stąd te bruzdy i wieczna opalenizna.

Abell z pewnym zdziwieniem zauważył wśród gości kilku najważniejszych obywateli rejencji. Na honorowym miejscu siedzieli Fritz Goerdeler, burmistrz Kwidzyna, i Karl Budding, prezydent rejencji. Nie brakowało przemysłowców, sklepikarzy i bankierów. Profesor Schmiedke, widocznie poczuwający się wobec Abella do roli gospodarza, zwrócił mu uwagę na takich notabli jak doktor Kurt Moeller, dyrektor tutejszego browaru Haberbuscha, Jürgen Grienfeld, dyrektor największej wytwórni konserw Ostkonservenfabrik C.Th. Lampe, czy też doktor Stresemann, dyrektor banku Sparkasse. Największe zainteresowanie radcy wzbudził jednak Gustaw Bohn z Kwidzyna, z rodziny byłych mennonitów, która posiadała sieć sklepów ze spirytualiami, oplatającą całe Niemcy.

– Bohn na krzyżackim capstrzyku?

– Czemu nie? – odrzekł profesor. – Potomkowie dawnych mennonitów, dzisiaj całkowicie zniemczeni, to wzorowi obywatele Rzeszy. Ich holenderscy przodkowie przybyli na te ziemie przed wiekami. To oni osuszyli Żuławy.

– Sam prawdopodobnie mam holenderskie korzenie – wtrącił Abell. – Tak twierdziła moja matka.

– Tak? To ciekawe. W każdym razie wielu pańskich ziomków dobrze zasłużyło się tej ziemi. Dzisiaj są całkowicie zasymilowani. Chociaż... Żona Bohna jest Żydówką. Tak więc to raczej kosmopolityczna rodzina.

– I dlatego bogaty kupiec o holenderskich korzeniach, żonaty z Żydówką, afiszuje się na imprezie organizowanej przez niemiecką skrajną prawicę?

Profesor wzruszył ramionami.

– Nie potrafię odpowiedzieć. Stary Bohn niedawno prawie stracił syna. Pobito go, a właściwie zmasakrowano, w jakichś okropnych okolicznościach. Być

może stary próbuje pokazać światu, że wraca po tym strasznym ciosie do życia?

Abell słyszał o pobiciu. Chłopak podobno był w bardzo złym stanie. Sprawę przydzielono Mehringowi, jedyemu oficerowi z komendy, którego darzył antypatią. Wyczuwał w nim jakiś fałsz, podejrzewał także, iż jest on gumowym uchem komisarza von Bocka. Z tego, co kojarzył, sprawców napadu jeszcze nie odnaleziono.

Gwar dobiegający z trybuny został nagle przecięty warkotem werbli. Zaczynał się capstrzyk. Z zamkowej wieży rozległ się mocny głos śpiewający średniowieczną pieśń *Christ ist erstanden*[19].

*Christ ist erstanden  
Von der Marter alle;  
Des solln wir alle froh sein,  
Christ will unser Trost sein.  
Kyrieleis.  
Wär er nicht erstanden,  
So wär die Welt vergangen;  
Seit dass er erstanden ist,  
So freut sich alles, was da ist.  
Kyrieleis.  
Halleluja,  
Halleluja,  
Halleluja!  
Des solln wir alle froh sein,  
Christ will unser Trost sein.  
Kyrieleis.*

Było to tak nierzeczywiste, że Abell poczuł na ciele gęsią skórę. Dał się ponieść chwili i zafascynowany śledził niezwykle widowisko roztaczające się przed jego oczami. Z bocznej bramy wysunął się długi szereg postaci w białych płaszczach z czarnym krzyżem. Prowadził ich wysoki starzec, jako jedyny w srebrnej zbroi i kolczudze. Mimo sporej odległości radca rozpoznał proboszcza Hoenessa. Na dziedzińcu uformował się czworobok z rycerzy w krzyżackich płaszczach. W rękach trzymali zapalone pochodnie, które rozświetlały zapadający zmrok. Strofy starej pieśni odbijały się od kamiennych murów i ginęły w czeluściach wieczoru.

– To najstarsza pieśń liturgiczna spisana w języku niemieckim, pochodzi z początków dwunastego wieku – pospieszył z wyjaśnieniami profesor Schmiedke, który najwyraźniej dobrze się czuł w roli przewodnika radcy po krzyżackich rytuałach. – Ale melodia jest jeszcze starsza. Prawdopodobnie opiera się na wiekowym tropie wielkanocnym, do łacińskiej sekwencji *Victimae Paschali Laudes*, autorstwa cesarskiego prezbitera i kapelana dworskiego Wipona

z Burgundii. Śpiewali ją także rycerze zakonni w tysiąc czterysta dziesiątym roku, na rozpoczęcie bitwy pod Tannenbergiem, który Polacy nazywają Grunwaldem.

Śpiew ustał tak nagle, jak się rozpoczął. Zapadła cisza, w której słyhać było tylko łopot chorągwi zatkniętych w mosiężne tuleje. Hoeness wystąpił na środek dziedzińca. Rozwinął trzymany w dłoni zwój pergaminu.

– *Christ ist erstanden* – przemówił gardłowym głosem. – Chrystus zmartwychwstał. Tę pieśń Zakon Najświętszej Maryi Panny uznał za hymn zwycięstwa całego zakonu. Towarzyszyła rycerzom we wszystkich bitwach i potyczkach, jakie toczyli na ziemiach wydzieranych pogaństwu. To ona, niczym Gwiazda Północna, prowadziła ich ku Bogu i zbawieniu. Na tej ciernistej drodze, nie szcędząc znoju i krwi, dawali świadectwo niezwykłego hartu ducha i niemieckiego geniuszu. Tak, geniuszu – powtórzył z większą mocą – bo zakon jednocześnie przyniósł tym zacofanym krainom światło niemieckiej kultury i organizacji. Zaiste – powiódł szeroko ręką wokół – to dzieło jest imponujące i jedyne w swoim rodzaju. Dzięki temu ta pierwotna puszcza, pełna mroku i ciemnoty, to dzisiaj Ost- i Westpreussen, święta ziemia niemieckiego dziedzictwa. Ta misja nie została jednak zakończona... – Starzec mówił jak w transie. – Dzisiejsza Rzesza jest słaba. Trawi ją moralna zgnilizna i kryzys wartości. Jak nigdy wcześniej potrzebne nam są rycerskie cnoty zakonu: wierność, prawość, asceza!

Abell rozejrzał się po gościach na trybunie, ciekawy ich reakcji na słowa Hoenessa. Pochodnie rozświetlały dziedziniec, ukazując na murze przy scenie swoisty taniec cieni. Prezydent Budding zachowywał powściągliwość. Abell mógłby przysiąc, że lustruje spod przymkniętych powiek zachowanie innych. Kobieta siedząca obok, o monstrualnej tuszy, wpatrywała się w starca jak zahipnotyzowana. Niczym ryba wyrzucona na brzeg, poruszała niemo ustami, powtarzając słowa Hoenessa.

Goerdeler i Budding po chwili wahania wstali i zaczęli klaskać. W ślad za nimi podniosła się z miejsc reszta zgromadzonych, jakby czekali na znak władz rejencji. Najbardziej zadziwiająca była reakcja starego Bohna. Nie wstał wprawdzie i nie dołączył do oklaskujących, ale Abell zobaczył, że po jego pobrużdżonych policzkach ciurkiem spływają łzy.

Nagle kątem oka zarejestrował coś, co najpierw go przejęło bezbrzeżnym zdumieniem, a następnie zmroziło mu krew w żyłach. Jeden z rycerzy otaczających Hoenessa ściągnął płócienny hełm i przeszył radcę roziskrzonym, nienawistnym spojrzeniem. Następnie, nie spuszczając z niego gorejących oczu, wykonał dłonią charakterystyczny gest podrzynania gardła. To był Naun.

Abell zerwał się z miejsca, ale w tym samym momencie towarzysza prezydenta poruszyła swym wielorybim cielskiem, zasłaniając mu widok na dziedziniec. Schmiedke, zaskoczony jego zachowaniem, próbował go o coś

zapytać, ale radca odepchnął go i zbiegł po drewnianych stopniach, na tyle szybko, by zobaczyć cień znikający w pobliskiej bramie. Pędem minął dziedziniec i wpadł w gotyckie odrzwia.

Natychmiast wchłonęła go ciemność. Potrzebował sekundy, aby oswoić oczy z mrokiem i zdecydować, w którą stronę powinien biec. Zorientował się, że jest u wejścia do nisko sklepionego korytarza. W głębi dostrzegł nikłe światelko, które po chwili zgasło. Domyślił się, że Naun ma latarkę.

Doleciało go skrzypnięcie ciężko otwieranych drzwi. Ruszył w tamtą stronę, właściwie na wyczucie. Na początku drogę oświetlały mu jeszcze refleksy pochodni z zewnątrz. Dzięki temu nie nadział się na wielkie figury ustawione wzdłuż korytarza. Miał wrażenie, że znajduje się w jakimś bocznym przejściu, równoległym do dziedzińca, na którym nadal odbywał się capstrzyk. Stłumione głosy przenikały przez mur, oddzielający go od bezpiecznego świata, w którym był jeszcze przed chwilą. Przesuwał się powoli, przywierając plecami do ściany. Żałował, że nie ma przy sobie zapalniczki czy choćby zapalnika. Wymacał nogą kamienny stopień. Przeształ go ostrożnie... Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, był cichy szelest z lewej strony i nagły ból w czaszce, a potem zapadła ciemność.

Nie potrafił stwierdzić, ile czasu minęło, zanim odzyskał świadomość. Zbierając myśli, nie otwierał oczu, chcąc odsunąć to, co było nieuchronne. Instynkt podpowiadał mu, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Chciał się poruszyć, ale okazało się to niemożliwe. Leżał w pozycji embrionalnej, ze skrępowanymi rękami. Dławił go śmierdzący naftaliną szmaciany knebel. Przez chwilę próbował przyzwyczaić oczy do ciemności i dopiero wtedy załała go zimna fala lęku. Nic nie widział, bo na głowie miał kaptur.

Zmusił się, by uspokoić oddech. Czuł, jak oblewa go lepki pot. Próbował pomyśleć o czymś pięknym, dalekim od tego miejsca przesyconego zapachem grozy i śmierci. Może o Toskanii, o wieżach San Gimignano? A może o matce? Albo o czasach, gdy był niewinny, a księga jego życia nie była jeszcze zapisana? Dlaczego musiał się tu znaleźć? Czy tutaj ścieżka się kończy? W samotności i mroku?

Kiedy spróbował nieco podnieść głowę, uderzył głucho w jakąś twardą płytę. Wyczuł zapach butwiejącego drewna. Był nie tylko skrępowany, ale także uwięziony w czymś na kształt skrzyni czy kufra. Musiał zwalczyć kolejny atak paniki. Drzemający w nim od lat klaustrofobiczny lęk wyrwał się właśnie z uspienia, dławiąc oddech. Przez głowę przeleciał mu obraz, zapamiętany z opowiadania Poe'go: bohater chory na katalepsję, podejrzewający, że za życia został zamknięty w trumnie[20]. Tamten tylko podejrzewał, Abell zaś był pewien, że ktoś chce pogrzebać go żywcem.

Ten ktoś właśnie poruszył jego więzienie. „Wypuść mnie, bydlaku”, zawył Abell, ale odpowiedziała mu tylko cisza. Skrzynia drgnęła i zaszurała po

nierównym podłożu. Widocznie tamten ciągnął ją, bo radca wyłapywał ciche stęknienia, jakie wydaje człowiek zmagający się z dużym ciężarem. Stracił poczucie czasu. Zaczynało brakować mu powietrza, więc przytknął usta do szpary, którą wymacał w drewnianej pułapce. I wtedy poczuł zapach wilgoci. Woń stęchłej wody, takiej jaka zalega w starych studniach. Zrozumiał, że to dopiero początek koszmaru. Naun czy któryś z jego zbirów najpierw go unieruchomił i zamknął w drewnianej skorupie, a teraz najwyraźniej zamierzał go utopić. Właśnie z wysiłkiem postawił skrzynię na sztorc i zaczął ją ponownie przechylać. Ocembrowanie studni? Stopień wiodący do jakiegoś wodnego kanału?

Przecucie śmiertelnego niebezpieczeństwa sprawiło, że Abell odzyskał trzeźwość umysłu. Zamknął oczy i odprężył ciało. Ku swemu własnemu zdumieniu zaczął się modlić. Po raz pierwszy od wielu lat odnajdywał bez trudu zapomniane, zdałoby się, wersy: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...”. W tym momencie usłyszał głucho uderzenie i stłumiony jęk, po czym jego trumna przechyliła się i runęła w dół.

Lustro wody musiało być niezbyt odległe, bo uderzenie o nią było prawie natychmiastowe. Na ułamek sekundy stracił świadomość – musiał walnąć głową w wieko. A potem zapadła nierealna cisza. Gdzie był? Na dnie zapomnianej krzyżackiej studni? W kloacznym dole wypełnionym wodą gruntową?

Cisza nie trwała zbyt długo. Najpierw wyczuł wilgoć, a potem usłyszał szmer wody, która cienką strużką wlewała się do środka przez szparę. Napał całym ciałem, aby powstrzymać napływ wody. Ale wtedy deska pękła na pół i woda popłynęła strumieniem. W desperackiej próbie przedłużenia swojego życia, choćby o ułamek wieczności, wyciągnął głowę ku górze, łapiąc resztki powietrza.

I właśnie wtedy, gdy zgasła w nim ostatnia nadzieja, czyjaś mocarna ręka rozbiła wieko skrzyni i wydobyła go z objęć śmierci. Następnym obrazem był niewyraźny – ale był. Abell najpierw poruszył palcami rąk i nóg. Głowę rozsadzał mu straszliwy, tępy ból. Płuca płonęły, dławione gorączką. Jednak mimo wszystko żył. Otworzył oczy.

Najpierw zobaczył nad sobą słodkie oblicze Madonny, a chwilę potem kostropatą gębę Kukulki.

– Kurwa mać, panie radco, ledwie zdążyłem. – Wachmistrz odgarnął mokre włosy i potrząsnął czupryną. – Jeszcze moment, a utopiliby pana jak kota. Przewiesiłem pana w dół, aby wypłynęła z pana cała ta woda. Leciało jak z cebra. A teraz zabieramy się stąd. Samochód już czeka.

Abell powstrzymał go ruchem dłoni.

– Naun? – wychrypiał.

Kukulka rozłożył ręce.

– Przykro mi, to nie on. W chwilę po tym, jak pan zniknął, pojawił się znowu na dziedzińcu. Podobno oddalił się tylko do toalety. No, wysrać się poszedł.

W momencie, gdy pana topili, był na dziedzińcu. Ma na to stu świadków, w tym prezydenta rejencji.

Abell w kilku zdaniach opowiedział mu o niespodziewanej obecności doktora na capstrzyku i o tym, co zdarzyło się później. Wachmistrz potarł brodę.

– Moim zdaniem Naun wszystko to zaplanował. Miał mało czasu, a jednak to zrobił. Sprowokował pana i wciągnął w pułapkę, a jego zbiry już czekały. Swoją drogą, wczoraj pan go przymknął, a dzisiaj on, trzydzieści kilometrów dalej, paraduje sobie w krzyżackim płaszczu... Niebezpieczny typ.

– A ty skąd...

– Domyśliłem się, że jest pan na zamku. Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem, że komisarz von Bock kazał zwolnić Nauna z aresztu, nie czekając do poniedziałku i do postawienia formalnych zarzutów. Rozkaz to rozkaz, bez dyskusji! Vranitzky wspomniał mi, że były w tej sprawie jakieś naciski. Podobno sprawa jest błaha i dęta. Jakiś błąd drukarski czy coś...

Abell przerwał mu ruchem ręki.

– Ale skąd Naun mógł wiedzieć, że będę na capstrzyku...

– Może usłyszał, jak mówiłem radcy Vranitzkiemu, że wybiera się pan do Malborka. Właśnie wtedy go wypisywali, stał niedaleko od nas. Ale wracając... Gdy przyjechałem tutaj, profesor Schmiedke powiadomił mnie, że niespodziewanie popędził pan do zamku, jakby goniąc ducha... No więc, wpadłem do korytarza i w oddali usłyszałem jakiś hurgot. Pobiegłem w tamtym kierunku. Było ciemno, ledwo co widziałem. W kolejnym pomieszczeniu na szczęście było okno i mogłem już rozróżnić kształty. Korytarz skręcał, przeskoczyłem stopień i prawie wpadłem na plecy jakiegoś typa. Właśnie przechylał coś podłużnego nad czymś, co wyglądało jak ocembrowanie studni. Spóźniłem się o ułamek sekundy. Zdzierłem go kułakiem w tył głowy, gość się osunął na kolana, ale skrzynia, bo teraz widziałem, że to skrzynia, wysunęła mu się już z rąk i poleciała w dół. Mogłem typka unieruchomić naprawdę, ale pomyślałem, że jeśli pan jest tam w środku, a właściwie na dnie, to chyba nie jest tam panu zbyt miło.

Radca zmusił się do wątego uśmiechu.

– Dokonałeś dobrego wyboru, Kukulka.

Wachmistrz odpowiedział grymasem, który oznaczał u niego pełne ukontentowanie.

– No więc skoczyłem do wody, nawet nie było zbyt głęboko, do szyi. Wymacałem pokrywę, pewnie spróchniałą, bo bez wysiłku wyrwałem ją i wyciągnąłem pana za włosy. Na szczęście z boku studni były haki, jakoś wytaszczyłem pana na górę. Oczywiście powalony przeze mnie zbiry już zniknął.

Abell teraz dopiero poczuł, że boli go nie tylko głowa. Piekący ból rozrywał mu całą lewą rękę. Palcami wymacał poranienia i otarcia skóry. No tak, haki.

– A teraz naprawdę musimy już wracać. Musi pana obejrzeć doktor Hecht.



Powinien pan dojść do siebie, bo na poniedziałek rano wzywa pana do siebie komisarz von Bock. Chyba nie był zadowolony z zatrzymania szefa NSDAP i radnego w jednej osobie, a teraz jeszcze to...

Abell z jękiem ześlizgnął się z objęć lipowej Madonny. Zawdzięczał wachmistrzowi życie. Powinien się cieszyć, a jednak martwiła go perspektywa poniedziałku.

#### 4.

Nie ulegało wątpliwości: komisarz von Bock był wściekły i choćby przywołał na pomoc całą swoją wątpliwą ogładę, i tak zdradziłyby go purpurowe plamy na twarzy. Na razie studiował raport Kukulki, ale Abell był pewien, że czyta pospiesznie, aby jak najszybciej dorwać mu się do gardła.

Ostrożnie poruszył ręką. Nie było tak źle, jak początkowo to wyglądało. Jeszcze w sobotę wieczorem, gdy tylko wrócił do miasta, doktor Hecht mu ją opatrzył. Powiedział, że generalnie nic mu nie jest, a otarcia skóry i ból mięśni miną za parę dni. W nocy spał jak zabity. Pani Conrad przygotowała rano obfite śniadanie, które popił dwiema filiżankami aromatycznej, gęstej jak smoła kawy, i poczuł się zdecydowanie lepiej. Całą niedzielę przeleżał w sennym letargu, dochodząc do siebie. Jeszcze wczoraj, na chwilę przed zaśnięciem, przemknęła mu myśl o tym, że po raz pierwszy tak blisko i bezpośrednio otarł się o śmierć. Chciał przypomnieć sobie, co wtedy czuł. Jaka była ta ostatnia drobina świadomości, w chwili krótkiej jak mrugnięcie powiek? Światło na końcu tunelu? Zimny oddech Złego? Czy ciepły dotyk boskiej cząstki wiodącej ku ukojeniu?

Ale nie było żadnej tajemnicy, rozdartej zasłony czy znaku. Nic sobie nie mógł przypomnieć, jak na drugi dzień po alkoholowej libacji. Po chwili już spał snem sprawiedliwego, a dzisiaj jest dzisiaj. Pewne było jedno: musi wydobyć się z tej czarnej dziury, w której tkwił od paru dni, i odzyskać stracony teren.

– No tak, Abell. – Wrogi elefant po drugiej stronie biurka zakończył lekturę raportu. – Mieliście wiele szczęścia. Podobno nic wam nie jest, to dobrze. Ciekawi mnie wasz punkt widzenia na to wszystko. Jakież wnioski, konkluzje?

Radca pokrótce zrelacjonował Bockowi przebieg zdarzeń z sobotniego popołudnia. Nie przemilczał roli Nauna, ale też zbytnio się nad nią nie rozwodził. Czekał na drugą rundę. I szybko się doczekał.

– Przesłuchamy pana radnego. Zrobi to Vranitzky. Domyślcie się, dlaczego właśnie jemu, a nie wam zlecam to zaszczytne zadanie?

Abell wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, panie komisarzu.

– Dlatego, że bez wyraźnego powodu kazaliście go zatrzymać w areszcie. Zgoda, formalnie mieliście takie prawo, ale wypadałoby mnie uprzedzić o tym

doniosłym fakcie, nieprawdaż? A może się mylę, Abell? Może wy uważacie, że nie będziecie sobie zawracać dupy takimi drobiazgami jak informowanie bezpośredniego zwierzchnika o wszystkich szczegółach śledztwa?

– Zamierzałem to zrobić w poniedziałek rano, panie komisarzu. I formalnie wystąpić do prokuratury o przedłużenie aresztu. – Abell poruszył ręką i aż jęknął z bólu.

– Tere-fere, Abell. Znam takich jak wy. Myślicie, że nadal jesteście wielką policyjną gwiazdą, jak tam nad morzem? Już nie! Teraz jesteście tu, w tym grajdole. Z tego, co wiem, sami się staraliście w rejencji o przeniesienie do... hmm, waszego rodzinnego miasta. Co więcej, powierzono wam, właśnie wam, zadanie rozwikłania największych od lat zbrodni, jakie wstrząsnęły tym cichym miasteczkiem. I to ja o tym zdecydowałem, mimo iż ciągnęła się za wami ta sprawa z Langfuhr. Czy to jasne?

– Ma się rozumieć, panie komisarzu – odrzekł ugodowo Abell.

– To dlaczego, do kurwy nędzy, zamiast posuwać śledztwo do przodu, rozpętujecie tu lokalną wojnę niemiecko-niemiecką? Wiecie przecież, że doktor Naun to na tym terenie znacząca figura. Radny miejski! Ma długie ręce i wpływowych przyjaciół. Wczoraj, jeszcze przed południem, miałem telefoniczne interwencje, i to nie tylko od gauleitera NSDAP, tego dupka Kocha! Nie tylko, Abell! Gdybym wam powiedział, kto dzwonił, z krzesła byście spadli! Nawet biskupa w to zaangażowali!

– Wobec prawa obowiązującego w Rzeszy wszyscy obywatele są równi – zauważył zimno Abell.

– Jasne, Abell, jasne, wiem, że jesteście bardzo odcytani. Zdziwicie się, dla mnie też wszyscy są równi. Ale od swoich ludzi wymagam także – Bock dla podkreślenia wagi swoich słów uderzył dłonią o blat biurka – fachowości i realizmu. Jeśli zamierzacie przymknąć jakąś kurwę czy złodzieja gęsi z podwórka, to droga wolna. Ale jeśli chcecie zapuszkować kogoś takiego jak Naun, członka tutejszej elity, szefa dużej partii, to oczekuję rozważniejszego i znacznie lepiej przygotowanego działania. A przede wszystkim, jeśli dochodzi do czasowego zatrzymania, oczekuję niezbitych dowodów.

– Sprawa ze sfalszowaną datą w broszurze i na zdjęciu, a także podejrzane zachowanie Nauna podczas wstępnego przesłuchania w komendzie dawały moim zdaniem podstawy do zatrzymania. Tak aby można było wyjaśnić sprawę bez obawy o mataczenie podejrzanego.

– Naun twierdzi, że musiało dojść do zwykłej pomyłki w drukarni. Ot, ludzki błąd. Vranitzky to wyjaśni.

– Czy to oznacza, że odsuwa mnie pan od śledztwa? – Abell znowu poczuł żelazną obręcz w tyle głowy.

Bock przez chwilę milczał.

– Nie, nie odsuwam – odparł wreszcie. – Chwilowo nie mam nikogo lepszego od was, Abell. Vranitzky odpowiada tylko za wyjaśnienie sprawy fałszerstwa i wydarzeń na zamku. Jeśli w wyniku jego postępowania okaże się, że ta sprawa śmierdzi, wróci ona do was. Gdyby nawet coś wiązało Nauna z morderstwem Platzecka, to pozostaje otwarte pytanie o drugie morderstwo, u tej prostytutki. Moi ludzie sprawdzili, że doktor ma na ten czas stuprocentowe alibi. Prawie cały dzień spędził w tutejszym sądzie jako świadek. Czyli co, maczał ręce w jednym morderstwie, ale w drugim już nie? Jak to się ma do waszej błyskotliwej tezy o jednym sprawcy? Oczekuję postępów, Abell. Musimy wreszcie ruszyć z miejsca. Czy to jasne?

Abell skinął głową i wyszedł. Za drzwiami usiadł na chwilę we wnęce okna wychodzącego na park. W sumie Bock miał rację. Śledztwo kręciło się w kółko. Potrzebne są dowody, i to szybko. W jednym tylko komisarz von Bock się mylił. Naun, nawet jako radny, nie ma immunitetu. Nie jest bezkarny. Fakt, iż w tak krótkim czasie uruchomił wpływowych popleczników, oznaczał, że to trudny i groźny przeciwnik. Z drugiej strony ta determinacja świadczyła o tym, że doktor czegoś się boi.

Abell zapamiętał ten krótki moment, gdy zaskoczony Naun stracił cały swój rezon. „Nie powiem nic więcej bez adwokata”. Czy tak zachowuje się człowiek, który nie ma nic na sumieniu? A przede wszystkim – czemu służyło ewidentne fałszerstwo w broszurze? Przecież prawdziwą datę manifestacji policja łatwo zdołałaby ustalić, gdyby tylko chciała. Choćby kontaktując się z władzami w Sztumie, bez których zgody nie mogła się odbyć w mieście żadna manifestacja.

Potarł czoło. Gdyby tylko chciała. Jego przeciwnik musiał być pewien, że nikt nie będzie tej sprawy badał tak drobiazgowo. Może broszura miała być zasłoną dymną, sposobem, by zwieść przeciwnika. Pytanie tylko, co tak naprawdę się za tym kryło.

Doktoru, jesteś zbyt pewny siebie. I ta pewność cię zgubi, sukinsynu, pomyślał mściwie Abell, kierując się ku wyjściu.

## **Rozdział IV**

### **Kobieta z przeszłości**

## 1.

To nie był koniec niespodzianek tego dnia. Na dworze uderzyła go cisza. Miasto było jak wymarłe. Wysokie temperatury zatrzymywały ludzi w domach. Mieszkańcy nie nadążali z podlewaniem kwiatów. Kaskady wielobarwnych surfinii i pelargonii powoli ulegały skwarowi, zamieniając się w rdzawe warkocze, które teraz smętnie zwisały ze skrzynek.

Po trotuarze snuły się jedynie dwa wychudzone koty, które spłoszył opasył beczkowóz, polewający cienką strugą wody jezdnię i chodniki. Abell pomyślał z tęsknotą o zimnej wodzie Bałtyku i szerokich plażach Sopotu. Bezchmurne niebo nie zapowiadało ulgi od upałów. Z odrętwienia wyrwało go pytanie, nieśmiało, jakby dobiegające z oddali:

– Christian?

Odwrócił się gwałtownie. Znał ten głos. Wyglądała inaczej, niż to sobie wyobrażał podczas tylu bezsennych nocy. Wtedy była pytaniem. Dzisiaj – odpowiedzią. Nadal była piękna. Bardziej dojrzała, o pełniejszych biodrach. Przyglądał się siatce mikroskopijnych zmarszczek wokół uśmiechniętych brązowych oczu. Prosta jasna sukienka kontrastowała z opalenizną długich nóg.

– Karin.

Patrzyła mu prosto w oczy. Z uśmiechem podała rękę, a Abell sztywno odwzajemnił uścisk.

– Cieszę się z tego spotkania. Wiedziałam, że jesteś w mieście. Od dawna?

– Od pewnego czasu.

– To znaczy?

– Mniej więcej od dwóch tygodni.

Wydęła usta w udawanym oburzeniu. Pani była niezadowolona ze swojego kawalera – zdały się mówić.

– Co u ciebie? Jestem taka ciekawa. Boże, co za spotkanie, po tylu latach. Kiedy wyjechałeś...

– Minęło prawie piętnaście lat.

– Jezu! No tak, to już tyle czasu. Ale ty świetnie się trzymasz, Christianie.

Był wyższy, niż go zapamiętała, a może tylko szczuplejszy. Pod eleganckim grafitowym garniturem wyczuwała sprężyste, umięśnione ciało. Miał takie same jasnoszare oczy. I jedynie ich wyraz się zmienił: widziała w nich ciekawość, ale także czujność i cień zgorzknienia.

– Dziękuję. Nadal robisz wrażenie – odwzajemnił komplement. – Duże wrażenie – uzupełnił pośpiesznie.

Roześmiała się.

– To taka ogólna uwaga czy mówisz to od siebie? – spytała zalotnie.

I dodała: – Wiesz, dopiero niedawno się dowiedziałam, że się we mnie podkochiwałeś, naprawdę. To znaczy... Domyślałam się oczywiście, ale...

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– Nie wiem. – Posmutniała. – Ale chciałam, żebyś wiedział. Podobno rozstałeś się z żoną... Georg mówił – dorzuciła, jakby usprawiedliwiając swoją ciekawość.

– Tak wyszło.

Ta rozmowa nie miała sensu. Nie tak to sobie wyobrażał, nie tak planował.

Chyba wyczuła jego wahanie.

– Mieszkam przy Liebenthaler Chaussee dziesięć. Odwiedź mnie kiedyś, najlepiej przed południem, kiedy jestem sama, będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Pożegnali się pocałunkiem w policzek. „Kiedy jestem sama”. Czy to coś znaczyło? Obróciła się na pięcie i przebiegła jak nastolatka przez ulicę. Po drugiej stronie obejrzała się jeszcze, jakby sprawdzając, czy Christian nadal tam stoi. Ku swojemu rozczarowaniu zobaczyła, że skręcił już w boczną uliczkę. Śledziła w zamyśleniu jego wysoką, prostą jak trzcina postać. Odwróci się czy nie odwróci? Nie odwrócił się.

Abell starał się nie myśleć o tym, co przed chwilą zaszło. Sam był zdziwiony swoim spokojem. Czas leczy rany? Nie ulegało wątpliwości, że kiedyś ją spotka w tak małym mieście, zwłaszcza że o jego przyjeździe wiedział Georg i zapewne już nie tylko on. Nie był rozczarowany jej wyglądem. Czas obszedł się z nią nad wyraz łaskawie. Nadal musiała przyciągać męskie spojrzenia. Miała te same smukłe nogi. To raczej w nim zaszła zmiana.

Jak zawsze była pogodna i nieskomplikowana: „jestem taka ciekawa”, „świetnie się trzymasz, Christianie”. Nie to co on. „Za dużo myślisz, za mało działasz – powtarzał mu zawsze Balla. – Nie wyobrażaj sobie tego, co nastąpi, po prostu zrób to!”

Abell uśmiechnął się. Po latach nauczył się wdrażać zasadę Balli w życie, i to z niezłym skutkiem. Ale wtedy... Czy ona także pamięta tamten wieczór? Ten jedyny raz, kiedy jej dotknął? Spędzali z klasą weekend pod namiotami nad małym jeziorem Klostersee. Usiadł koło niej. Pili tanie wino, on najwięcej, by dodać sobie animuszu. Zapadł zmierzch. Balla opowiadał jakieś dowcipy. On objął ją ramieniem. Nie protestowała. Potem delikatnie zaczął jej rozpinąć guziki koszuli. Słyszał przyspieszony oddech Karin. Dotknął jej piersi, poraziła go ich wielkość. Pieścił je, wyczuwając ich ciepło.

A potem, zamiast dokończyć dzieła, upił się w sztok z Georgiem i rano następnego dnia unikał jej wzroku... Gdyby nie jego głupota, kto wie, jak by się to potoczyło. Ale wszystko poszło inaczej.

Abell potrząsnął głową. Niedługo wiele pracował nad tym, aby wyjść poza

ograniczenia wyniesione z domu rodzinnego. Wstydził się swej nieśmiałości, ojciec zarzucał mu nawet, że delikatność odziedziczył po matce. Skrycie podziwiał swoich gruboskórnych, hałaśliwych kolegów. Chciał do nich dołączyć, wyswobodzić się z autystycznej klatki, w jakiej zamknęła go matka. Do utraty tchu ćwiczył mięśnie w piwniczce pod schodami. Trenował biegi i boks. Godzinami katował twardy szmaciany worek, aż przestał odczuwać ból w poobijanych knykciach. Nocami pochłaniał książki o bohaterach, twardo i bezlitośnie walczących o swoje. Marzył, że kiedyś ukarze świat za swoją samotność. Niczym wielki Gatsby powróci po swoją Karin. Z czasem skóra mu stwardniała. W szkole wywalczył sobie szacunek, najpierw pięściami, potem postęпами w nauce. Przystosował się, znieczulił, wtopił w otoczenie.

Później wiele się wydarzyło. Robił karierę, oczywiście na miarę swoich możliwości. Scott Fitzgerald nie poświęciłby mu zbyt wiele uwagi. Abell miał w życiu wiele kobiet. Czasami bardzo pięknych. Potem spotkał Evę. Ale Eva odeszła, bo chciała otrzymać od niego więcej, niż on był w stanie jej dać. Pragnęła poczucia bezpieczeństwa, pewności, że cały należy tylko do niej. Była zaborcza, żądała wyłączności. A on mógł oferować siebie tylko częściowo. Jej ostatnie zdanie wypowiedziane do niego brzmiało: „Za dużo tajemnic, Christian, za mało słów”.

Długo trwało, zanim odzyskał względną równowagę. Czas zaleczył rany, Abell nauczył się nie wracać do tego, co było. Nie unikał kobiet jako takich – unikał jedynie trwalszych związków. Odwiedzał nawet burdele, czego nigdy przedtem nie robił. Zgorzkniał i ostatnio w tych sprawach rzeczywiście szybciej działał, niż myślał. Ale wspomnienie tamtego sztabackiego wieczoru przez wiele lat nie dawało mu spokoju. Tkwiło w nim niczym cierń. Dlaczego tak się działo? Czyżby dlatego, że tęsknił za latami, kiedy wszystko było możliwe? Kiedy wyobrażnia, w przedsennej mgłę, rysowała niezwykle scenariusze? Kiedy niespełnienie fascynowało bardziej niż fizyczne doznanie?

Teraz, gdy tkwił po szyję w morzu cynizmu i ludzkiego brudu, podświadomie wracał do początku drogi. Ta, którą wybrał, była niestety tylko pasmem kompromisów i rozczarowań. I nic nie zapowiadało, że może się to zmienić.

## 2.

Następne dwa dni Abell spędził pracowicie na naradach ze swoimi współpracownikami, kwerendzie dokumentów i lekturze donosów nadsyłanych przez współpracowników policji. Szczególnie cenił sobie analityczne burze mózgów z Vranitzkim. Rodowity wiecieńczyk w służbie pruskiej policji wydawał się zaprzeczeniem „austriackiego bałaganu”. Wzorowy porządek panował nie tylko

na jego biurku, ale także w głowie. Potrafił w lot wychwycić słabe punkty przedstawianej mu hipotezy, a siła jego rzeczowej argumentacji budziła respekt u innych policjantów. Był także niezłym szachistą i Abell z pewnym zaskoczeniem odkrył, że sprawiają mu przyjemność partie szachów z tym milczkiem, rozgrywane na zakończenie dnia w jego gabinecie. Szachy musiały zastąpić mu ulubiony tenis. Nie miał tutaj partnerów do gry. To właśnie Vranitzky, analizując dokumenty, podsunął mu nowy trop w sprawie Nauna. Jak przyznał, dokonane przez niego przesłuchanie Nauna niczego nie wniosło. Trzeba było szukać kolejnych pomysłów, aby ruszyć z miejsca.

Był czwartek, dwudziesty dziewiąty sierpnia, minęły już dwa tygodnie od zabójstwa księdza Platzecka. Abell pomyślał, że najwyższy czas pchnąć śledztwo do przodu.

Tak jak się spodziewał, kamienica, której szukał, była okazała. Zbudowany z czerwonej cegły budynek ozdabiała kamienne stiuki o florystycznych kształtach. Lśniące czystością szyby w oknach miały szlifowane ranty, co Abell widywał tylko w najbogatszych, patrycjuszowskich kamienicach Gdańska.

Marienburgerstrasse była najelegantszą ulicą miasta i taki adres na pewno nobilitował. Jeszcze raz spojrzął na kartkę, którą przekazał mu Kukulka. Numer 36. Zgadza się. Wszedł do sieni. Najwyraźniej cała kamienica należała do Bohna, bo nigdzie nie zauważył wizytówki. Nacisnął dzwonek w reprezentacyjnych szerokich drzwiach na parterze, wykonanych z czarnego dębu. Otworzyły się prawie natychmiast. Abell na pewno był tu gościem oczekiwany.

Pokojówka w staromodnym czepku poprowadziła go do przestronnego salonu.

– Proszę spocząć, pan niebawem przyjdzie.

Radca rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu. Wyczuł zapach wosku i lekką woń lawendy. Dawno nie widział tak wysmakowanej rezydencji. Przed sobą miał wnętrze jakby z innej epoki, zamknięte w swoistej kapsule czasu. Na pierwszy rzut oka nie było tu nic współczesnego. Pod dwiema przeciwległymi ścianami stał rząd ciężkich biedermeierowskich mebli. W kilku miejscach ten rzeźbiony monolit przerywały lżejsze komody o jeszcze starszej proveniencji. Wyglądały na meble z epoki edwardiańskiej. Na marmurowych blatach komód stały wyczyszczone do połysku imponujące srebra z Augsburga. Wielkie patery sąsiadowały z morskimi muszlami, z których wyrastały metalowe nimfy. Na jednej ze ścian zauważył piękne stare litografie, przedstawiające holenderskie poldery z wiatrakami i port w Amsterdamie.

Jedną ze ścian wypełniała w całości biblioteka. Abell podszedł do regału z książkami o skórzanych, bogato zdobionych grzbietach. Pierwsze wydania dzieł Hoelderlina, Schillera i Goethego. Rząd starych tomów w języku jidysz. Ze zdziwieniem dostrzegł także dzieło polskiego wieszczka Adama Mickiewicza *Pan*



*Tadeusz*. Przyjrzał się bliżej – pierwodruk wydany w 1834 roku w Paryżu przez Aleksandra Jełowickiego.

W rogach pomieszczenia stały na postumentach marmurowe kopie rzymskich posągów. Kilka było z brązu, wielkości człowieka. Wrażenie muzealności tego salonu podkreślały liczne lustra z grubego kryształu, w których posągi się odbijały.

Równie imponujące były obrazy. Stary Bohn musiał lubować się w malarstwie, bo tak znakomitej prywatnej galerii Abell do tej pory nigdy nie widział. Zaskakiwała nie tylko liczba i klasa obrazów, ale także niejednorodny charakter tej kolekcji. We wnęce nad kryształowym lustrem w rogu pokoju Abell rozpoznał obrazy Angeliki Kauffmann i ciemny pejzaż z pasterzami, pędzla Caspara Davida Friedricha.

Prawdziwym arcydziełem było jednak małe płótno w bogato zdobionej ramie, przedstawiające Madonnę z Dzieciątkiem. Świetlisty obraz emanował spokojem. Maryja czule i zaborczo obejmowała dziecko, jak typowa matka na niemieckiej wsi, troszcząca się o swoją latorośl. Nie było w tej niewymuszonej pozie żadnego namaszczenia, podniosłej świętości. W tle, wedle włoskiego stylu, widać było drzewa i pasące się owieczki.

– To dzieło Lucasa Cranacha Starszego, perła mojej kolekcji – usłyszał Abell i dopiero teraz zauważył stojącego w progu zgarbionego starszego mężczyznę, który taksował go uważnym spojrzeniem. Bohn, nie kryjąc dumy, roziskrzonymi oczami wpatrywał się w obraz. – Kupiłem go od hrabiego Czernina w Wiedniu. Jest bezcenny, przynajmniej dla mnie.

Abell przywitał się z Bohnem, który, widząc jego zainteresowanie, zaprosił go do dalszego zwiedzania swojej galerii. Jedno z płócien wyraźnie odróżniało się od reszty. Był to niewielki kubistyczny obraz w prostej ramie z żółtawego drewna, przedstawiający nagą kobietę wspartą na ramieniu mężczyzny. Kolorystyka utrzymana była w chłodnej błękitnej tonacji.

– Po raz kolejny konstatuje, że ma pan dobry gust, panie radco. To płótno Pabla Picassa, jedna z dwóch wersji jego obrazu *Życie*. Oczywiście z okresu błękitnego.

– Studiowałem dwa lata historię sztuki, panie Bohn. Odróżniam róż od błękitu.

– Dlaczego pan zrezygnował ze sztuki na rzecz, proszę wybaczyć, tak niewdzięcznego zajęcia?

– Samo życie, panie Bohn. Gdzie znajduje się pierwotna wersja tego dzieła?

– Z tego, co wiem, obecnie w Cleveland, w Ameryce. – Bohn stanął koło niego, wpatrując się w płótno. – Jak pan zapewne wie, samobójstwo jego przyjaciela, Carlosa Casagemasa, w tysiąc dziewięćset pierwszym roku, wywarło wpływ na późniejsze dzieła mistrza. Pojawiły się w nich nowe tematy:

melancholia, smutek, samotność. Powstała cała seria płócien o takim przesłaniu, utrzymanych w kolorystyce charakterystycznego zimnego błękitu. No cóż, życie jest okrutne.

– Picasso kochał gołębie.

– Tak? Nie wiedziałem o tym.

– A gołębie to bardzo okrutne ptaki. Zimni mordercy o błękitnawym opierzeniu. Może ten okres w twórczości Picassa powinien nazywać się gołębim?

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Ale ciekawe, ma pan rację, to mogła być jego inspiracja.

Bohn miał twarz, na której czas odcisnął już swoje piętno. Przypominał brytyjskiego landlorda, a rude bokobrody okalały jego twarz, pomarszczoną niczym starożytny pergamin.

– Pokażę panu jeszcze parę obrazów wartych uwagi. Poza kilkoma moimi ulubionymi mistrzami kolekcjonuję głównie obrazy malarzy nowoczesnych. Podobają mi się, oddają ducha naszych pędzących czasów. Stare meble i całe wyposażenie tego domu odziedziczyłem po ojcu, ale obrazy to już wyłącznie moja zabawka. Poza tym ci twórcy są tańsi niż impresjoniści. Ostatecznie rozmawia pan z mennonickim sknerą. – Uśmiechnął się. – W tym mieście mało kto jest w stanie docenić ich piękno i wartość. Raczej nie brakuje takich, którzy widzą w nich tylko artystów zdegenerowanych, deprawujących niemiecką duszę.

– Ma pan na myśli nazistów?

– Proszę powiedzieć, panie radco, jest pan wszak człowiekiem wykształconym, jak to możliwe, że w dwudziestym wieku ktoś chce palić książki i dzieła sztuki? I to dlatego tylko, że stworzyli je Żydzi? Toż to czyste barbarzyństwo! Moja żona, Anna, jest Żydówką. Nie potrafi tego zrozumieć. Przecież sztuka nie ma ojczyzny. Mówią, że ich Führer posiada duszę artysty. Dlaczego do tego dopuszcza?

– Myślę, że to tylko polityka, panie Bohn. W Niemczech nikt nie będzie palił czy niszczył dzieł sztuki.

– Oby pan miał rację.... Oby rzeczywiście pan miał rację.

Bohn kontynuował oprowadzanie Abella po swoim królestwie. Zatrzymywał się, choćby na krótko, przy każdym malarzu: George Grosz, Paul Klee, Oskar Kokoschka. O każdym obrazie mówił ciepło, jak o własnym dziecku. Był wytrawnym znawcą i miał ogromną wiedzę, ale Abell wyczuwał w nim coś jeszcze: pasję namiętnego kolekcjonera. Zbieracza pięknych przedmiotów, wierzącego w ich utajone życie.

Na dłużej zatrzymali się dopiero przed *Autoportretem* Anselma Feuerbacha. Z ciemnego tła wynurzała się wychudzona twarz, na której wypisany był smutek i rozczarowanie. Miało się wrażenie, że w człowieku tym drzemie jakaś straszliwa melancholia, pozbawiająca życia jego ciało. Z obrazu biła psychologiczna prawda

i niezwykła siła wyrazu. Radca podszedł bliżej. Na twarzy mistrza widniał dziwny grymas. Zmęczenie grą pozorów, jaką było życie, przecucie bliskiego nieszczęścia, cień nadchodzącego odrzucenia? Tak uczył ich „czytania” Feuerbacha Franz Westerman, wykładowca Abella z uniwersytetu.

Feuerbach był jego ulubionym twórcą jeszcze z okresu studiów na monachijskiej uczelni. Z muzeum w Wiedniu pamiętał jego wczesne płótna o podobnym nastroju, zanim jeszcze malarz, odrzucony przez środowisko, udał się na dobrowolne wygnanie do Włoch. Zdjęcie jednego z jego obrazów służyło mu nawet jako zakładka do książki. Z tego, co pamiętał, któryś obraz Feuerbacha został ostatnio sprzedany amerykańskiemu kolekcjonerowi za pięć tysięcy dolarów. Wolał nie przeliczać tej oszałamiającej sumy na marki niemieckie, bo zapewne pogubiłby się z zerami.

Bohn zauważył jego reakcję.

– To doprawdy niezwykłe, panie radco. Mam tu wiele wspaniałych dzieł, na przykład ten przepiękny brąz – wskazał na ekspresyjną rzeźbę, którą właśnie minęli – ale pana poruszyły tylko te dwa płótna. Zupełnie tak samo jak... – Urwał nagle i ukrył twarz w dłoniach.

Abell odczekał kilka sekund, aż Bohn wróci do równowagi, po czym zapytał:

– Zupełnie tak samo jak pańskiego syna, Daniela?

Dopiero teraz radca zauważył, że ten kulturalny starszy pan jest człowiekiem głęboko nieszczęśliwym. Po jego pobrużdżonej twarzy ciekły łzy. Ciałem wstrząsnął bezgłośny spazm.

– Domyślił się pan, radco? Tak, to prawda, Daniel jest bardzo wrażliwy. Na piękno sztuki, ale nie tylko. Czasami mam obawę, czy to najlepsze cechy na dzisiejsze czasy. Ale rozumiem, że przyszedł pan nie po to, aby podziwiać moje skarby. Napijmy się kawy Meinla, sprowadzana jest z Etiopii. Stawia na nogi. Będzie panu smakowała.

Uprzejmie wskazał Abellowi miejsce przy okrągłym stoliku szachowym. Małym dzwonkiem wezwał służącą, która już po chwili wniosła na tacy dwie filiżanki aromatycznego napoju.

– Przywołał pan osobę swojego syna, panie Bohn – zaczął Abell ostrożnie, nie chcąc znowu doprowadzać go do łez. – W istocie jestem tu po to, aby zapytać o jego zdrowie...

– Policja państwowa pyta o zdrowie mojego Daniela? Pan radca Mehring nigdy się tym nie zainteresował. – Oczy Bohna znów niebezpiecznie się zaszklily. – Dziękuję, panie radco. Teraz już czuje się lepiej. Leży w domu, opiekuje się nim doktor Bernstein, najlepszy internista z tutejszego szpitala.

– Panie Bohn – odezwał się z powagą Abell – rozumiem, że są to sprawy świeże i bolesne. Ale muszę zapytać pana o wszystkie okoliczności pobicia pańskiego syna.

Bohn pochylił ku niemu głowę i Abell, niczym spowiednik, zaczął wysłuchiwać długiej opowieści starszego człowieka. Ktoś obserwujący ich z boku mógłby odnieść wrażenie, że ci dwaj ludzie, nachyleni ku sobie, uczestniczą w jakimś tajemniczym, zespalającym ich misterium. W rzeczywistości łączyły ich odraza, lęk i przerażenie, jakie budziła ta opowieść.

– To było piętnastego sierpnia, w czwartek. Daniel wracał do domu z naszego drugiego biura, które znajduje się nieopodal cmentarza miejskiego. Jak pan wie, nasza rodzina posiada niewielką sieć sklepów ze spirytualiami, największy w Gdańsku przy Lange Markt. Ale jedna odnoga naszej rodziny od dawna mieszka w Kwidzynie. Mamy tu duży dom towarowy, kilka sklepów. Urodziłem się tutaj. Czuję sentyment do tego miasta, a właściwie czułem...

Bohn zamilkł. Położył bezwładnie ręce na blacie stolika. Miał wysmukłe dłonie pianisty, choć ciemne plamy na skórze mówiły o jego wieku.

– Interes rodzinny miał przejąć pański syn, Daniel. Może komuś z rodziny się to nie podobało? A może ktoś pana szantażował? – zapytał radca.

Bohn spojrzał na niego z odrobiną niedowierzania.

– Naprawdę pan tak sądzi, panie radco? Mam tylko jednego syna. Ma dopiero siedemnaście lat, ale nigdy nie było w rodzinie żadnych wątpliwości, kto przejmie po mnie zarządzanie firmą. Jesteśmy tymi biedniejszymi Bohnam. – Uśmiechnął się blado. – Prawdziwe zyski są w Gdańsku.

– Rozumiem. Wspomniał pan, że miasto się zmieniło. Nie ma pan tutaj jakichś wrogów? Przeczytałem uważnie zeznania pańskiego syna. Pamięta, że wkrótce po wyjściu z biura usłyszał za sobą kroki. Potem prawdopodobnie otrzymał cios w tył głowy, który pozbawił go przytomności. Złoczyńcy zawlekli go na cmentarz, nie było to trudne, znajduje się tuż przy ulicy. Tam go skatowali. Daniel nie widział ich twarzy. Nie pamięta żadnych szczegółów, które pozwoliłyby ich zidentyfikować. Raczej nigdy wcześniej ich nie widział. Wie tylko, że było ich dwóch... tak sądzi. To nie pomogło policji w poszukiwaniu sprawców...

– Śledztwo nic nie ustaliło... Mam wrażenie, że policja niespecjalnie się starała...

– Niestety... może dlatego, iż tutejsza policja zaaferowana jest morderstwami księży, słyszał pan o nich zapewne, panie Bohn. Ale mnie interesują słowa, jakie usłyszał Daniel pod koniec tej, proszę wybaczyć, egzekucji: „To wiadomość od starego”. Tak zeznał, choć z pewnym wahaniem.

– Tak, zaiste.

– Słowa te sugerowałyby, że złoczyńcy zmasakrowali Daniela na zlecenia swojego herszta, owego „starego”. Z tego, co wiem, policja poszła tym tropem. Zasięgnięto języka u policyjnych szpicli i informatorów, przesłuchano kilku tutejszych rzezimieszków. Ale w takim miasteczku jak Kwidzyn trudno o jakieś zorganizowane grupy przestępcze. Tutaj nie ma żadnego *capo di tutti capi*. Nikt nie

słyszał o żadnym „starym”. Zresztą czemu miałoby służyć bezlitosne zmasakrowanie i okaleczenie pańskiego syna? Przecież jeśli chodziłoby o pieniądze, mogli porwać Daniela, schować w jakiejś szopie na wsi i zażądać okupu, prawda? A gdyby szło o jakiś rodzaj zemsty, mogli go śmiało zabić i zostawić na tym cmentarzu. A jednak nic takiego nie zrobili. Wybryk antysemitki? Wątpię. Po cóż mieliby zostawiać jakąś wiadomość? Poza tym, jak ustaliłem, w mieście dotychczas nie dochodziło do aż tak dramatycznych zdarzeń. Moim zdaniem motyw tych bandziorów musiał być inny.

Bohn słuchał ze wzmożoną uwagą. To, co wziął początkowo za rutynową wizytę kolejnego policjanta, pogardzającego bogatym kupcem, przybierało zgoła odmienny charakter. Ten dziwny oficer, znajdujący się na malarstwie Anselma Feuerbacha, bardzo różnił się od radcy Mehringa, który nawet nie skrywał swej niechęci do Bohna. Co więcej, najwyraźniej naprawdę chciał pomóc. Zamierzał odnaleźć ludzkie bestie, które próbowały odebrać mu jedyne światło jego żrenic.

Obrzucił zmęczonym wzrokiem swoją *Kunstkammer*, domową jaskinię skarbów, do której eksponaty zbierał przez lata po aukcjach w Wiedniu, Berlinie, Gdańsku czy w salonach Haberstocka[21]. Oddałby wszystkie te dzieła sztuki, bez wahania, za powrót do zdrowia tego okaleczonego, bezwolnego ciała, które leżało w sypialni i które jeszcze niedawno było jego roześmianym, pełnym życia synem. Złożył dłoń, jak zawsze wtedy, gdy musiał podjąć decyzję.

– Co pan ma na myśli, panie radco?

– Zanim odpowiem, panie Bohn, czy mogę mieć jedną prośbę? Czy mógłbym zajrzeć do Daniela? To ważne, a ja obiecuję, że zabawię tam tylko parę minut i będę bardzo delikatny.

Bohn wyraźnie się wahał, ale wreszcie wyraził zgodę. Wezwał pokojówkę, która poprowadziła Abella do sypialni chłopca. Sam ciężko opadł na fotel.

Sypialnia, w której leżał Daniel, znajdowała się na piętrze. Służąca po cichu otworzyła drzwi. Chory spał. Lekko przekrzywiona głowa spoczywała na śnieżnobiałej poduszce, w aureoli rudych włosów, jakie zapewne odziedziczył po ojcu. Gdyby nie krwawe wybroczyny na wychudzonej twarzy i wystający spod kołdry gips, można by sądzić, że młody Bohn odsypia jakąś szaloną gimnazjalną imprezę.

Abell rozejrzał się po pokoju. Wystrój nie pasował do siedemnastolatka. Ściany pokryte były tkaniną w kolorze miodu, wytłaczaną w marokańskie arabeski. Nad wezgłowiem łóżka wisiał skromnie oprawiony portret Erazma z Rotterdamu, przenikliwie spoglądającego w dal, zapewne w kierunku swojej krainy wiatraków. Na biurku w stylu bouille piętrzyły się stosy map, podręczników i zeszytów szkolnych. Obrazu stonowanej elegancji dopełniał leżący na podłodze wspaniały dywan perski w regularne geometryczne wzory. Jedyнным młodzieżowym akcentem była biblioteka wypełniona książkami Jamesa Fenimore’a Coopera i Karola Maya.

Radca pochylił się nad chłopcem. Uważnie wpatrywał się w dziwną kolistą krzywiznę, jaką pozostawił na jego czole nóż napastnika. W raporcie policyjnym z przesłuchania Daniela wyczytał, że rana wygląda jak wycięta w skórze litera O lub cyfra 0. Widocznie ktoś postanowił chłopca nie tylko skatować, ale i oszpecić na całe życie.

Abell drgnął. Od przesłuchania minęło kilkanaście dni. Zauważył, że brzegi rany zdążyły się już lekko zasklepić, a tam gdzie nóż wodził płycej, nawet zabliznić. To, co widział teraz, zdecydowanie wyglądało na inną literę.

Wrócił do salonu, tak jak obiecał, po kilku minutach.

– Dziękuję panie Bohn, wiem, że to nie było dla pana łatwe. Chłopiec spał. Nie miał świadomości, że w pokoju jest ktoś obcy. A teraz wróćmy do możliwego motywu sprawców. Oczywiście, to tylko hipoteza – zastrzegł się Abell. – Założmy, że Daniel nieprecyzyjnie powtórzył słowa, jakie usłyszał od swoich prześladowców, co byłoby zresztą zrozumiałe w jego stanie. Przyjmijmy także, że wypowiedziano je właśnie po to, by syn je powtórzył.

– Powtórzył komu? – zapytał zbielełymi ustami Bohn.

– Panu, panie Bohn. Myślę, że te słowa brzmiały: „Wiadomość DLA starego”. Przyjrzałem się także ranie na czole pańskiego syna. Jestem pewien, że wryto tam literę C. To może być dalsza część tego przekazu. Domyśla się pan, kto i po co mógł to zrobić?

W zapadłej ciszy słychać było tylko ciche tykanie zegara stojącego na rzeźbionej konsoli. Dwa metalowe ptaki na jego koronie czujnie spoglądały z góry na cyferblat, jakby pilnując tego szafarza czasu. Stary zmęczony człowiek przez kilka minut kołysał się na fotelu w przód i w tył. Przez jego twarz przepływały na przemian fale zmieszania i wzburzenia. Wreszcie pochylił się ku Abellowi i powiedział:

– Jak mogłem być taki ślepy! Taki głupi! Gdyby nie moja pycha i chciwość, Daniel nadal byłby tym dawnym szczęśliwym, niewinnym i słodkim dzieckiem. „Wiadomość dla starego”! I to C! C! To wszystko zmienia, panie Abell. Wszystko zmienia! Jeśli było tak, jak pan mówi, to jest tylko jeden człowiek, który mógłby pragnąć mojej zguby.

A następnie pochylił się ku radcy, tak aby nie słyszały go ani metalowe ptaki, ani smutny klaun, ani mroczni pasterze uciekający przed burzą, i długo opowiadał o czymś, co jeszcze przed godziną wydawało mu się drobiazgiem niewartym wzmianki.

### 3.

Thomas Manthe skończył, jeszcze przez chwilę spazmatycznie posapał, a potem zsunął się z niej i zwałił się obok na łóżko, jak kloc ściętego drewna. Karin

z obrzydzeniem spojrzała na mężczyznę, którego kiedyś wybrała na męża. Był otyły, łysy i całkowicie jej obcy. Tylko jego chorobliwa zazdrość o nią i wyuzdane zachcianki nie uległy przez wszystkie te lata zmianie. Napawał ją wstrętem i strachem. Brutal, śmierdzący tytoniem, cebulą i nieprzetrawionym alkoholem. Raz odmówiła i natychmiast została boleśnie skarcona. Uderzył ją z pięści, w skroń, bez ostrzeżenia. Tak jak bije się niewolnicę, która zapomniała, gdzie jej miejsce. Upadła wtedy na wznak i roztrzaskała na tysiąc kawałków szklany stolik, jedyną pamiątkę z domu rodzinnego przy Kirchenstrasse. Jeszcze po wielu dniach odnajdowała odłamki szkła w różnych zakamarkach pokoju. Każdy z nich był jak jeden dzień z jej przegranego życia.

Nie rozmawiali ze sobą prawie w ogóle. Czasami, jeśli akurat nie był pijany jak bela, brał ją w nocy jak dziwkę. Gdyby знаła go lepiej, wiedziałyby, że nienawiść jest obopólna. Manthe uważał, że jego żona fiksuje, cierpi na jakąś psychozę, niezrozumiałą dla niego chorobę psychiczną. Zawsze miała za wysokie aspiracje. Te drogie suknie, wieczne pretensje, mizdrzenie się przed lustrem...

Dawała mu odczuć, że jest kimś lepszym od niego, tak jakby była stworzona dla innego mężczyzny. Kiedyś lubił się chwalić jej urodą, czuł nieklamaną dumę, ba, radość płynącą z faktu, iż on, Thomas Manthe, ma tak oszałamiającą żonę. Niejednokrotnie widział, jak te pożądliwe wieprze ślinią się na jej widok, jak swymi tłustymi paluchami obmacują w wyobraźni jej ciało, jak wodzą za nią łakomym wzrokiem.

Właściwie co ma do niego ta zradliwa żółta? Tyrał jak wół, przychodził do pracy pierwszy, wychodził ostatni. Był oszczędny i nie wydawał na siebie więcej, niż musiał. Zawsze wracał do domu, nawet jeśli czasem popili tego z kolegami z browaru... a kto dzisiaj nie pije? Dorobili się własnego mieszkanca przy Liebenthaler Chaussee. Dwa pokoje, mała kuchnia, ale da się żyć. Wielkiej kariery może nie zrobił, jednak pracował jako kancelista w browarze Haberbuscha i szef, pan Scheuble, był z niego bardzo zadowolony. A poza tym, wiadomo, wszystkim rządzą dziś ci przekłenci Żydzi, a oni wspierają tylko swoich. Wprawdzie nie mieli dzieci, których tak bardzo pragnął, ale to jej wina. On zawsze może, podkreślał to chępliwie.

Kobieta stłumiła spazm. Wtuliła głowę w poduszkę. Zaciśnęła powieki i z niemą rozpaczą próbowała powstrzymać wzbierającą w niej histerię. A może żal? Była niegdyś piękną kobietą, a i dzisiaj – widziała to po głodnych oczach napotykanym mężczyznom – mogła się podobać. Miała tyle szans i możliwości, a dokonała tak fatalnego wyboru...

Z nienawistną pogardą spojrzała na grube cielsko leżące obok. Właściwie mogłaby go zabić, gdy spał, poderżnąć mu to tłuste gardło i patrzeć, jak kwiczy niczym świnia i wykrwawia się w pościeli.

Aby odegnąć te obrazy, pomyślała o siostrze i jej szczęśliwym związku.

Ach, Hannah i jej rozkoszne dzieciaki. Dzieci... Poczwała ukłucie w sercu. Tak, musi ich znowu odwiedzić, uwolnić się przynajmniej na jakiś czas z tego dusznego domowego więzienia.

Christian... Wyglądał jak niespełniona obietnica. Słyszała, że robił karierę w Gdańsku, a teraz prowadził ważne śledztwo, o którym mówiło całe miasto. Prezentował się lepiej niż kiedyś. Te hipnotyzujące oczy i szary elegancki garnitur... Sięgnęła pamięcią do pewnego odległego wieczoru nad zamglonym jeziorem – było to wspomnienie miłe, ale wyblakłe jak stara fotografia. Ale potem pomyślała o jego smukłym ciele i z pewnym zaskoczeniem odczuła nagły przypływ pożądania. Położyła rękę na nabrzmiąłych sutkach. Pulsowało jej w skroniach. Niespełniona obietnica – ale obietnica czego?

#### 4.

W komendzie na Abella czekał już Vranitzky. Z uwagą wysłuchał jego relacji o rozmowie z Bohnem. Potem zamknęli się obaj w gabinecie Abella i wspólnie, przez kilka godzin, pochłaniając tace kanapek z łososiem i ogórkiem, które dostarczał im Kukulka z restauracji „Am Tor”, dopasowywali fragmenty całej układanki. Kilkakrotnie wzywali do siebie podwładnych i jednego z aresztantów, siedzącego w podziemiach komendy. Dzień zakończyli wizytą u komisarza von Bocka – wyszli po półgodzinie, z nakazem tymczasowego zatrzymania. Dyżurny policjant, który zegnał swego zwierzchnika wychodzącego z pracy, dawno nie widział go równie zafrasowanego. Komisarz von Bock odsalutował mu nawet, co nie zdarzyło się jeszcze nigdy w historii tutejszej komendy.

Następny dzień, trzydziesty sierpnia, przyniósł upragnione ochłodzenie. Ciężkie ołowiane chmury o postrzępionych brzegach zawisły nad miastem i zesłały ulewę. W niebo wzbijały się warkocze dymu z niedogaszonych ognisk, na których mieszkańcy palili skoszoną trawę. Deszcz tworzył na trotuarach lśniące kałuże, w których ze śmiechem taplały się gromady dzieci. Furgon z węglem sunął ulicą, rozbryzgując fontanny wody i wywołując złorzeczenia przechodniów.

Abell był zadowolony, że poprzedniego dnia kazał Kukulce przyjechać po siebie samochodem. Adler błyszczał, jakby wyjechał prosto z salonu przy Koenigsbergerstrasse. Wachmistrz lubił samochody i potrafił o nie dbać. W drodze radca wysłuchiwał ostatnich informacji zebranych przez Kukulkę. Punktualnie o dziesiątej policjant wprowadził do pokoju przesłuchań szefa NSDAP i posadził go przy masywnym stole, naprzeciwko radcy. W komendzie krążyły legendy, że ciemna smuga na blacie to niezmywalny ślad po jednym z dawnych przesłuchań, podczas którego wyprowadzony z równowagi policjant zmiażdżył podejrzanemu palce stojącą na stole lampą.

Doktor Naun zachowywał spokój, ale widać było, że nie czuje się zbyt



pewnie. Oficjalny nakaz, podpisany przez prokuratora, musiał zrobić na nim wrażenie. Wiedział, że nie może oczekiwać niczego dobrego po tym przenikliwym policjancie o stalowych oczach, który nawet nie skrywał swojej niechęci do niego.

– Panie Naun – zaczął Abell beznamiętnym tonem – sędzę, że domyśla się pan, dlaczego został wezwany?

– Nie mam pojęcia. Ale pewnie chodzi o ten atak hysterii pana radcy na zamku malborskim, podczas capstrzyku? Widzę, że pan nie odpuszcza, no cóż, urażona duma, rozumiem to nawet, ale ja naprawdę nie mam z tym zdarzeniem nic wspólnego. Powiedziałem to wyraźnie panu Vranitzkiemu podczas, nazwijmy to... przesłuchania.

– Oczywiście, że ma pan z tym wiele wspólnego, i obaj o tym dobrze wiemy. Przesłuchamy wszystkich pańskich szurmowców, zrobię to osobiście. – Radca uśmiechnął się zimno. – I zapewniam pana, że któryś wreszcie puści farbę.

Naun wzruszył ramionami.

– Droga wolna, panie radco.

Zaczynał mieć nadzieję, że wszystko pójdzie lepiej, niż się spodziewał. Ale już następne pytanie tego policjanta wytrąciło go z równowagi.

– Czy przyznaje się pan, doktorze Naun, do próby wejścia w bezprawne posiadanie, groźbą i szantażem, drogocennego obrazu Lucasa Cranacha Starszego, który to obraz jest własnością obywatela Gustawa Bohna? O obrazie tym opowiedział panu niejaki Egon Lustig, mały złodziej i kanciarz, zwany w tutejszym półświatku Szczurem. Tak się składa, że dysponujemy jego zeznaniem, w którym to potwierdza.

Doktor wyglądał, jakby zabrakło mu powietrza. Usilnie starał się zachować spokój, ale widać było, że cios był nie tylko niespodziewany, ale i celny.

– I czy przyznaje się pan do tego, że gdy Bohn odmówił, wydał pan rozkaz swoim dwóm podwładnym, Manfredowi Stielikemu i Egonowi Wolfowi, by przywołali go do porządku i wysłali mu specjalną wiadomość? Mam tu na myśli porwanie, a następnie skatowanie w dniu piętnastym sierpnia siedemnastoletniego Daniela, syna Gustawa Bohna. Tą wiadomością była litera C, jak Cranach, wycięta nożem na czole ofiary, na wypadek gdyby ciężko pobity chłopak zapomniał o „wiadomości dla starego”. Litera C, a nie zero, jak początkowo myśleli policjanci.

Dwaj mężczyźni, którzy obserwowali tę scenę przez weneckie lustro, spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Dla nich także to przesłuchanie przybrało zupełnie niespodziewany obrót.

– Tyle że pańscy rzeźnicy mieli pecha – kontynuował radca. – Na cmentarzu o tej porze nie powinno być nikogo, a jednak zawieruszył się tam niejaki Brummel, dorabiający sobie kradzieżą nagrobków, które dostarczał pobliskiemu kamieniarzowi. Wszystko widział i słyszał, siedząc skulony za jednym

z grobowców. Pan Brummel, zapewne w ramach ekspiacji za swoje niecne uczynki, złożył nam bardzo obszerne zeznania. Uprzedzając pana wątpliwości, doktorze. Działo się to wieczorem, ale nie ma mowy o pomyłce. Pan Brummel przez wiele lat mieszkał w jednej kamienicy z Stielikiem. Zna też dobrze gębę Wolfa, nie pomyliłby jej z żadną inną.

Doktor rozejrzał się nerwowo. Znalazł się w matni. Poczł zimny pot na czole. Jedną ze ścian pokoju pokrywało lustro. Domyślił się, że to lustro weneckie, przez które zapewne obserwowali jego upadek komisarz von Bock i przysłany prokurator.

– Ale ja... – zdołał wychrypieć, jednak to nie był koniec złych wieści.

– I wreszcie, czy przyznaje się pan, że próbując zatuszować ten makabryczny rozkaz i uczynek swoich szurmowców, kazał pan specjalnie wydrukować broszurę ze sfalszowaną datą, tak aby oddalić podejrzenia od pańskich ludzi z SA? Przy niezbyt skrupulatnym śledztwie mogłoby się to nawet udać. Ale się nie udało. W rzeczywistości marsz w Sztumie odbył się dzień później. Kiedy odwiedziłem pana po raz pierwszy, pytając o zabójstwo księdza Platzecka, natychmiast zrozumiał pan, jak niezwykle szansę daje ta zbieżność dat. Piętnasty sierpnia okazał się, niespodziewanie dla pana, datą obu zdarzeń: zarówno pobicia, jak i morderstwa! Powiedział pan: „Co za przypadek”, ale ja nie skojarzyłem wtedy faktów... Domyślił się pan, że kwestią priorytetową dla policji będzie wykrycie sprawców morderstwa, a broszura wykluczała pana i pańskich ludzi z grona podejrzanych. A przy okazji, rzeczywiście, cóż za szczęśliwy przypadek, stanowiła „dowód niewinności” w sprawie pobicia, która siłą rzeczy schodziła na plan dalszy, bo policję o wiele bardziej absorbowowało morderstwo. Niemniej nasz nieoceniony wachmistrz Kukulka dotarł do drukarza, pana Moellera, a jego zeznania, bardzo pana obciążające, mam tu przed sobą.

Naun zacisnął szczęki. Przez chwilę miał chęć podjąć wysiłek i stanąć do walki z tym policyjnym kundlem. Jaka szkoda, że Manfred nie dokończył wtedy dzieła... Smażyłbyś się teraz w piekle, pomyślał mściwie. Ale słowna szermierka nic by mu nie dała. Przez głowę przemknęła mu myśl, że mógłby zrzucić winę na tych dwóch partaczy, spróbować jakoś się wyłgać... Ale nie, to niewiele mu da. Lepiej uznać, że to starcie przegrał – i popatrzeć w przyszłość. Partia nie zostawi go przecież samego. Jeszcze kiedyś mu się to opłaci. Musi być cierpliwy. I trzymać gębę na kłódkę. Ostatecznie chodziło tylko o jakiegoś parszywego plutokratę, żonatego z Żydówką. Być może pójdzie siedzieć, ale na krótko. Może zostanie nawet w partii męczennikiem? Tak, teraz najważniejsze to nie zawieść gauleitera Kocha. Pamiętał, co ten wkładał im do głów podczas jednego z wyjazdowych spotkań dla kadry NSDAP: „Nigdy do niczego się nie przyznawać! Iść w zaparte! W razie czego odmawiać zeznań! Prędzej czy później wyciągniemy was z paki! Zwycięstwo jest bliskie!”.

Podjął decyzję i to przywróciło mu wewnętrzny spokój. Tak właśnie uczyni. Tak będzie najmądrzej. Te świnie nie usłyszą od niego ani jednego słowa przyznania się do winy.

Po drugiej stronie weneckiego lustra ten swoisty teatr dwóch aktorów oglądali dwaj mężczyźni. Prokurator Wilhelm Tomalla zdjął z nosa okulary w szylkretowej oprawce. Od lat trzymał w pewnych rękach zwierzchnictwo nad tutejszą prokuraturą. W swoim życiu widział już wiele. Oskarżał szacownych ojców rodzin, a w rzeczywistości dziwkarzy i złodziei, pedofilów z grubymi portfelami, których zżerały niemoralne żądze, sadystów i morderców, homoseksualistów i morfinistów gotowych zabić za jedną działkę. Już dawno doszedł do wniosku, że za tymi wszystkimi występkami i zbrodniami stoi zwykła ludzka chciwość – na pieniądze, przyjemności, kobiety, najczęściej cudze, i władzę. Ludzie nie znali umiaru. Pożądliwość wypalała im mózgi, zatrzuwała myśli. Widowisko, jakie zafundował im ten policjant, potwierdzało ów schemat.

– Dobra robota, komisarzy von Bock – powiedział do drugiego widza. – Na górze ucieszą się, że ci z NSDAP dostaną w dupę. Za bardzo się panoszą. A Naun to wyjątkowa kreatura. Zajmiemy się całą trójką. Wystąpię o nakazy dla niego i tych dwóch siepaczy. Trafiają pod sąd. Jest tylko jedno ale, komisarzy.

– Co pan ma na myśli, panie prokuratorze?

– Całe to śledztwo nie posunęło nas ani o milimetr do przodu w sprawach zabójstw obu księży. Radny Naun nie ma z nimi nic wspólnego. Podobnie jak NSDAP. Trzeba szukać dalej. Niech pan popędzi tego swojego psa gończego. Jak on się nazywa... Abell? Ma dobry węch, ale musi wreszcie trafić na właściwy trop.

– Na pewno tego dopilnuję, panie prokuratorze, bez dwóch zdań.

## **Rozdział V**

### ***Toccata d-moll***

## 1.

Jeszcze tego samego dnia odwiedził kwidzyński zamek, którego zwarty masyw od wieków górował nad miastem. Abell widywał już biura sądowe w różnych reprezentacyjnych miejscach, ale przypadek kwidzyński był szczególny. Tutejszy sąd powiatowy mieścił się bowiem w kapitularku zamkowym. Wszedł przez półkoliste wejście na dziedziniec. Porowaty bruk rozsadzały pęki dzikiej trawy. Jedna ze ścian dziedzińca, od strony skarpy, była odsłonięta i odgradzona od przepaści tylko niewysokim murkiem.

Zawsze lubił ten widok. Z tego miejsca otwierała się szeroka perspektywa na dolinę rzeki, porośniętą krzewami leszczyny i dzikiego bzu. W dole rozpościerało się płaskie pastwisko, ku któremu zwrócone były potężne filary gdaniska, wieży sanitarnej kwidzyńskiego zamku. Przypominało starożytny akwedukt, zabłąkany na dalekiej północy, w tej krainie pszenicy i buraka. Między jego słupami wiała się asfaltowa wstążka Danzigerstrasse. Chłopcy na łące pilnowali stada krów, które żuły szmaragdową trawę, opędzając się ogonami od natrętnych much. Jak zawsze o tej porze roku, malcy palili ogniska, a snujące się ku górze, poskręcane nitki dymu łączyły się z nisko wiszącymi chmurami.

Wszedł do recepcji, wylegitymował się i prowadzony przez woźnego sądowego ruszył w stronę gdaniska. Znajdowało się tam należące do sądu małe więzienie, w którym osadzano skazanych na krótkie pozbawienie wolności. Od czasów wielkich mistrzów niewiele się tu zmieniło. Na zewnątrz panowało lepkie, upalne lato, ale wewnątrz mury ziały nieprzyjemnym chłodem. Po długim korytarzu hulał zimny wiatr. Zgrzyt otwieranego rygla musiał obudzić więźnia z drzemki. Był młody, mizernego wzrostu, o wychudłej twarzy. Szczeciniaste niesforne włosy w kolorze pszenicy wymagały już interwencji nożyczek. Radca zauważył, że więzień nie mógł kontemplować pięknych widoków – do celi wpadał tylko wąski promień światła z niewielkiego okienka pod sufitem.

Oprócz barłogu, jedynym wyposażeniem tutaj był wiekowy taboret, na którym stała emaliowana miednica z wodą. W rogu celi parawan skrywał wiadro służące jako toaleta.

Abell ruchem ręki odprawił woźnego, zdjął miednicę i usiadł okrakiem na taborecie. Spojrzał bacznie na zatrzymanego. Chłopak drżał, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Na twarzy miał ceglaste plamy, oznakę trawiącej go gorączki.

– Jestem radca kryminalny Christian Abell z policji. A ty nazywasz się Jan Wojciechowski, tak? Długo tu siedzisz?

– Trzy dni, panie oficerze. – Niemczyzna młodego Polaka była bez zarzutu.

– Jesteś ministrantem w parafii Świętego Jana Ewangelisty?

– Jednym z tuzina, panie oficerze. W naszej parafii jest wielu wiernych

polskiego pochodzenia, ale wśród ministrantów ja jestem jedynym Polakiem.

– Tym bardziej bulwersuje fakt, że zostałeś przyłapany przez proboszcza Hoenessa...

– Nie, to nieprawda! – przerwał mu piskliwie chłopak. – Proboszcz kłamie!

– A więc zostałeś przyłapany przez proboszcza, jak podkradasz datki z tacy. Czytałem dokumenty z przesłuchania, które przeprowadził wachmistrz Kukulka – kontynuował niewzruszenie radca. – Nieładnie, nie po chrześcijańsku, zwłaszcza jak na ministranta, Hans. Zaufano ci, chociaż jesteś Polakiem, A teraz jeszcze zarzucasz łgarstwo samemu proboszczowi.

– Bo mówię prawdę! – Chłopak ukrył twarz w dłoniach, a jego ciałem wstrząsnął spazmatyczny płacz.

– Zdajesz sobie chyba sprawę z konsekwencji tego, co mówisz, Hans. – Radca pochylił się ku chłopcu. – Jeśli ty mówisz prawdę, to kłamać musi proboszcz Hoeness. Trudno w to uwierzyć, nie sądzisz? Po cóż miałyby to robić?

Jan Wojciechowski walczył nie tylko z gorączką trawiącą jego ciało. Gorszy był strach paraliżujący go od tego feralnego dnia, gdy usłyszał coś, co nie było przeznaczone dla jego uszu. Co go podkusiło, aby zajrzeć wtedy do zakrystii?! Wystarczyło zamknąć za sobą drzwi i biegiem pomknąć do domu, a właściwie do Helgi. Tuliłby ją teraz w ramionach, a potem gładził po tej porcelanowej niewinnej buźce. Może nawet pozwoliłaby mu na więcej niż do tej pory? Już wkrótce, Hansi, tak go nazywała, już wkrótce. Bądź cierpliwy, tak mówiła. Ten policjant, przyglądający mu się spod półprzymkniętych powiek, nie budził jego zaufania. Czego od niego chciał? Kto go przysłał? Dlaczego do sprawy takiego małego, zastrachanego Janka Wojciechowskiego przysłano kogoś takiego jak on? Obserwował spod oka świeżo wyprasowany kant jego spodni i wyczyszczone na glanc lakierki. Ten oficer był z innego świata. Świata, który wróżył same kłopoty.

## 2.

Piątkowy dzień, tak bogaty w wydarzenia, Abell postanowił zakończyć w możliwie przyjemny sposób. Mieszkanie Georga Balli znajdowało się na pierwszym piętrze mieszczącej kamienicy na rogu Flottwell Platz. Znając przyjaciela, Abell spodziewał się kawalerskiej garsoniery, wypełnionej po sufit starymi rocznikami gazet, stosami rękopisów, papierów i książek. Czekало go przyjemne zaskoczenie. Balla, z szyją owiniętą jedwabnym tureckim szalem, zaprosił go wielkopańskim gestem do wnętrza, które bardziej przypominało komfortowy apartament w jednej z nowoczesnych kamienic w gdańskiej dzielnicy Nowy Port.

To, że dziennikarz był wyznawcą Bauhausu, widziało się choćby po ascetycznym wyposażeniu mieszkania i doborze mebli. Podłoga, wykonana

z ciemnego egzotycznego drewna, wyglądała niczym płat miedzianej blachy rzuconej na śnieg. W pokoju dominowała biel ścian i zasłon. Środek salonu zajmował prosty kubistyczny stół z bukowego drewna, otoczony modernistycznymi krzesłami o wysokich oparciach. Pod jedną ze ścian rozkraczyła się kanciasta kanapa z jasnej skóry, zasłana poduchami w czarno-białe geometryczne wzory. Było tu białe, surowo i funkcjonalnie, niczym w świątyni ku czci Waltera Gropiusa[22]. Nigdzie ani skrawka papieru czy maszynopisu. Jedynym wyjątkiem była oprawiona w cienką ramkę okładka „Weichsel Zeitung” wisząca nad kanapą. Jeśli mieszkanie naprawdę świadczy o człowieku, to chyba powinienem się zastanowić, czy znam gospodarza, pomyślał Abell.

– Sypialnia wygląda trochę gorzej – Georg dostrzegł jego zaskoczenie – ale prawdziwy burdel mam w pracy. Tutaj tylko mieszkam i przyjmuję łatwe kobiety.  
– Parsknął śmiechem i wycofał się do kuchni.

Po kilku minutach powrócił, pchając przed sobą metalowy stolik na kółkach. Na blacie stała butelka jałowcówki, niskie kieliszki ze rżniętego szkła, karafka z wodą i kilka półmisek z przekąskami. Abell z przyjemnością dostrzegł wśród nich talarki salami, pomidory przyprószone morską solą, sardynki i wędzone szproty. Poczuł głód, a schłodzony trunek obiecywał przyjemny wieczór. Podeszedł do okna. Zapadający mrok opadał na Flottwell Platz niczym żałobny welon, zacierając kontury drzew i ludzi. Stojący pośrodku placu granitowy obelisk zwycięstwa odbijał przytłumione światła ulicznych latarni.

Odwrócił się od okna i wznosił pierwszy toast.

– Za „Weichsel Zeitung”, w podzięce za to, że pozwala swoim redaktorom żyć w dobrobycie!

Abell zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciel z młodzińskich lat nie jest zwykłym redaktorem. Balla od lat kierował gazetą i to dzięki jego determinacji, talentom i przedsiębiorczości lokalny tytuł wyrósł na jedno z głównych czasopism w Prusach Wschodnich. Abell bez problemu mógł kupić ją nawet w Gdańsku, chociaż z jednodniowym opóźnieniem. Słyszał, że Balla wymyślił nowatorski sposób dostarczania swojego tytułu odbiorcom spoza macierzystego miasta. Docierała tam przez gońców podróżujących koleją. Zazwyczaj lokowali się oni w ostatnim wagonie i podczas jazdy wyrzucali gazety na posesje prenumeratorów, leżące przy torach. W niektórych miejscowościach na gońców czekały kobiety i dzieci, które odbierały gazety, aby następnie rozprowadzić je w swojej wiosce. Dzięki takim i innym pomysłom „Weichsel Zeitung” kwitła, wyrastając na wpływowy organ, z którym liczyć się musiała każda pruska władza. A jej redaktor naczelny był nieocenionym źródłem informacji. Zwłaszcza dla przybysza z zewnątrz, ciekawego, co kryje się w trzewiach tego pozornie uśpionego miasta, którym, jak się okazywało, targały mordercze namiętności.

Abell pokrótce opowiedział Balli historię swego dochodzenia przeciwko

Erwinowi Naunowi. Zasadniczo wiązała go tajemnica śledztwa, ale postanowił zrobić wyjątek. Miał zaufanie do dyskrecji przyjaciela i wiedział, że ten opublikuje tylko to, co wspólnie uzgodnią. Georg słuchał uważnie, zapisując drobnym pismem kolejne stronicie swego notatnika.

– Zależy mi na tym, aby sprawy Nauna nie zamieciono pod dywan, Georg. Nie chcę, żeby jakiś gładki adwokat, suto opłacony z partyjnej kasy, uchronił go od odpowiedzialności za to, co zrobił. Opisz tę sprawę uczciwie, tak jak ona wygląda. A wygląda parszywie. Ten chłopak do końca życia będzie kaleką. Widziałem go, nie chciałbyś być na jego miejscu...

Balla pokiwał swoją wielką królewską głową.

– Zapewne chcesz pana doktora ukarać także za to, że próbował cię nauczyć pływać bez pomocy nóg i rąk, z kapturem na głowie...

– To też, ale bardziej mi zależy na skompromitowaniu go w oczach partyjnej góry. Pobicie kapitalisty ich nie obejdzie. Ale nie spodobają im się zarzuty, jakie sąd postawi Naunowi: szantaż. Próba grabieży, sfałszowanie partyjnej, bądź co bądź, broszury dla osiągnięcia osobistej korzyści. Nie mówiąc już o próbie zabójstwa policjanta na służbie. Chcę, aby ta piękna kariera dobiegła końca. I żeby ten śmieć na zawsze zniknął z miasta. Jest wina, musi być kara, Georg. Tak to widzę.

– Popracujemy nad tym. – Georg przeciągnął się leniwie. – Rzucę do tej sprawy swego najlepszego reportera... ma dziwne nazwisko: Fedoryka. Mało niemieckie, nie uważasz? Zrobimy z tego tekst na pierwszą stronę, do najbliższego wydania weekendowego. Oczywiście, wiem... – podniósł palec do ust – ...od ciebie nie usłyszałem ani słowa. Jak zwykle powołamy się na źródła zbliżone do policji kryminalnej. Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego stary Bohn nie powiedział policji nic o groźbach i żądaniach Nauna? Dlaczego to przemilczał?

– Pytałem go o to. Podobno nie potraktował pretensji doktora poważnie. Naun podszedł do niego podczas pokazu stadniny ogierów w Marezie. Powiedział, że Bohn ma coś, czego on bardzo pragnie. Obraz Cranacha. I że jeśli Bohn odda mu płótno, to jego rodzinie w przyszłości, gdy NSDAP weźmie już władzę, włos z głowy nie spadnie. Otwarcie powiedział, że chodzi o jego żonę, Annę, która jest żydowskiego pochodzenia, i syna Daniela. Zarzekał się, że obraz jest nie dla niego, tylko dla kogoś, od kogo zależeć będą losy ich wszystkich. Tak stary zapamiętał tę rozmowę. Wydała mu się tak absurdalna, że nie wziął jej na serio. Później bardzo tego żałował.

– Losy ich wszystkich? Myślisz o tym co ja? Kurwa, Christian, czyżby Naun miał na myśli tego ich popapranego Führera?

– Przyszło mi to do głowy. Może chciał sobie zaskarbić w ten sposób wdzięczność wodza i zasłużyć na kopniaka w górę?

– Wypijmy za to, za kopniaki w górę, które sprawiają, że latamy jak ptaki!



– Abell zaczął odczuwać przyjemne, odrętwiające ciepło, znak, że alkohol działa.

Georg pożegłował z tacą do kuchni po nową porcję zakąsek i kolejną butelkę wódki. Tym razem doniósł plastry wędzonego węgorka, krążki wędzonej kiełbasy z masarni w Prabutach, małe papryczki i wielkie pajdy jasnego pieczywa.

– Udupienie Nauna to coś, ale śledztwa w sprawie zamordowanych księży zbytnio to nie posunęło do przodu, prawda? – Balla spojrział bystro na Abella, a później, jakby żałując swego pytania, zajął się wysysaniem skóry węgorka.

– Otóż to, jak zwykle trafiasz w punkt, Georg. Pobieglem za Naunem, ale to był zły trop, boczna ścieżka. Mam nową hipotezę, nawet nie hipotezę – potrząsnął głową – raczej pewną myśl, przecucie. Coś mi mówi, że to może być właściwy trop, ale potrzebuję pomocy, Georg, pomocy i informacji.

Dziennikarz nie przerywał uczy, ale słuchał uważnie. Już nie byli ze sobą tak blisko jak kiedyś. Wiele ich różniło. Niegdyś zażarcie dyskutowali o wszystkim: o sztuce, o polityce, o kobietach. Dzisiaj z tej triady bezpieczna była tylko sztuka, bo nawet rozmowy o dziwkach jakoś Abella nie rajcowały. Przed laty poróżnili się o kobietę i Christian zerwał z Georgiem wszelkie kontakty. Jego zachowanie uznał za akt nielojalności. Dopiero przyjazd Abella do Kwidzyna odnowił dawną zażyłość. Ale był to już inny człowiek. Christian odgrodził się od świata niewidzialną szybą, a Georg nie znał przyczyny tej postawy. Abell przypominał chłodnego szachistę, skupionego tylko na rozwiązywaniu zagadek, jakich nie szczędzili mu rozliczni alfonsi, mordercy i zbrodniarze. Tak jakby wołał te swoje ciemne kulisy, za którymi jest wina i jest kara, od realnego świata, gdzie rządziły zupełnie inne reguły. A przy tym Balla odczuwał wobec niego respekt. Imponowała mu jego inteligencja, wewnętrzna uczciwość i bezlitosna logika rozumowania. Był wdzięczny losowi za tę trudną przyjaźń i nie chciałby jej ponownie stracić.

– Masz kogoś, kobietę znaczy? – zapytał Balla, sprawiając, że jego przyjaciel na moment znieruchomiał.

– Nie na stałe.

– Ależ człowieku, musisz powrócić między żywych. Eva odeszła.

– Eva nie ma z tym nic wspólnego.

– Tak, wiem, zbyt wiele oczekiwała od waszego związku. I sama się ukarała.

Nigdy nie chciała wrócić?

– Dlaczego nie pytasz, czy ja bym tego chciał?

– A chciałbyś?

– Nie zastanawiałem się nad tym.

– Kochała cię do szaleństwa...

– Rozmawiamy w czasie przeszłym, Georg.

– No tak, a co u niej, jak ułożyła sobie życie po rozwodzie? Słyszałem, że wyjechała do Monachium...

– Skąd mogę wiedzieć? Monachium to duże miasto.

Zapadła cisza oddzielająca obu mężczyzn niewidzialnym murem, którego żaden z nich nie chciał przekroczyć.

– Posłuchaj, Georg... – Abell zakrył dłonią kieliszek na znak, że na dzisiaj dosyć. – Przesłuchiwałem dziś młodego chłopaka, ministranta z parafii Świętego Jana Ewangelisty. Wylądował w areszcie, ponieważ znany ci proboszcz, tak, ten gromowładny Hoeness, oskarżył go o podkradanie pieniędzy z tacy.

– Pewnie chłopak potrzebował kasy na dziewczynki. Ministrant, mówisz? Te świętojeblowe efeby są najgorsze.

– Tylko że widzisz, ten chłopak to syn dość zamożnego Polaka. Nie miał powodu, żeby kraść. A do tego był jedynym Polakiem w całej trzódce proboszcza. Na pewno nie wszystkim się to podobało, rozumiesz... i choćby dlatego chłopak bez wątpienia miał się na baczości. Czy ktoś taki podbiera z tacy? Kukulka rozmawiał z jego rodzicami. Porządna, religijna rodzina, byli zrozpaczeni, ale nie uwierzyli w ani jedno słowo Hoenessa.

– Fakt, nie wygląda to zbyt wiarygodnie. Ale po co proboszcz miałby bezzasadnie oczerniać chłopaka? Polak nie Polak, ale jednak parafianin i brat w wierze katolickiej. – Balla nie skrywał ironii.

– Chłopak coś usłyszał...

– Co?

– Nie chciał tego powiedzieć. Coś zdarzyło się w zakrystii, tyle tylko udało mi się z niego wyciągnąć. Chłopak wił się jak piskorz, ale widać było, że się boi, bardzo się boi. Postaram się wyciągnąć go z zamkowego mamra, może w domowych pieleszach będzie bardziej rozmowny.

– Czego oczekujesz ode mnie?

– Żebyś zebrał jak najwięcej informacji o Hoenessie. Tu, w mieście. Opowiadałeś mi już trochę o nim. Prasa czasami może więcej niż policja. – Abell skrzywił się po skosztowaniu mocno pikantnej papryczki. – Tutejsi mieszkańcy wiedzą wszystko. Jaki jest prywatnie proboszcz Hoeness, czy gra w karty, czy ma kochankę na boku, a może przepuszcza dochody parafii w kasynie w Sopocie?

– A po co ci to wszystko?

– Przeczucie. Zostali zamordowani dwaj księża z tej samej parafii, z jego parafii. To nie zdarza się zbyt często, prawda? Nie widzę na razie żadnego związku proboszcza z tymi zabójstwami, ale fakt pozostaje faktem. Wiem, proboszczowie nie mordują swoich duchownych. Nie słyszałem o takim przypadku. Ale Hoeness jest jedynym człowiekiem, który znał dobrze obie ofiary, stykał się z nimi codziennie. A parafia była ich miejscem pracy. To wspólny mianownik obu zabójstw. Do tego dochodzi sprawa z tym Polakiem. Może to nic, ale znowu pojawia się Hoeness. Ciekawe, prawda? Zastanawia mnie także sposób inscenizowania tych zabójstw, ich niezwykle brutalny, ale też tajemniczy charakter.

Na Boga, przecież nie żyjemy w średniowieczu!

– Ktoś może celowo myli tropy.

– Rozważałem taką hipotezę, Georg. Powiem więcej, ona nadal jest bardzo aktualna. Moim problemem jest jednak brak informacji. Wyjechałem stąd wiele lat temu. Dużo się zmieniło, nie znam ludzi ani dręczących ich koszmarów. – Uśmiechnął się smutno. – Ale mam przeczucie, że sprawca lub sprawcy pochodzą stąd i że ofiary zostały zamordowane za coś, co zdarzyło się tutaj. Mściciel nie przybył z dalekiej krainy. Ktoś by go zauważył, coś zapamiętał. Sprawdziliśmy listy gości wszystkich hoteli, pensjonatów i gospód. Nobliwi kupcy zbożowi, dostawcy piwa, hodowcy kaczek i gęsi... Nic podejrzanego. Tak więc jeśli moje założenie jest prawdziwe, to ktoś z tutejszych musi coś wiedzieć. Nawet jeśli mamy do czynienia z przebiegłym złoczyńcą, skrywającym prawdziwe motywy zbrodni, czy też z chorym umysłem, rojącym swoje wizje w jakiejś niedostępnej piwnicy.

### 3.

Profesora Bernharda Schmiedkego odnalazł tym razem w Wielkim Refektarzu malborskiego zamku. Ubrany w roboczy fartuch, wydawał właśnie polecenia konserwatorom odnawiającym fresk na ścianie. Wyraźnie ucieszył się na widok Abella.

– Witam, panie radco, w ostatni dzień tego wyjątkowego sierpnia. Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowie. Mam wyrzuty sumienia, że zaprosiłem pana na ten feralny capstrzyk.

Radca skwitował te słowa machnięciem ręki.

– Proszę się nie sumitować profesorze. Byłem na zamku służbowo. A to, co się stało? No cóż, taka praca.

Z ciekawością rozejrzał się po refektarzu. Był podłużny, bardzo obszerny. Sklepienie podtrzymywały trzy smukłe kolumny. Kilkanaście dużych, zakończonych ostrymi łukami okien, rozmieszczonych po obu stronach, wysmienicie doświetlało tę niezwykłą salę. Profesor zauważył jego zainteresowanie.

– Proszę zwrócić uwagę na te doskonałe proporcje, nowatorskie rozwiązanie konstrukcji, dyskretny umiar w stosowaniu dekoracji. Moim zdaniem Wielki Refektarz to najpiękniejsze wnętrze w całym zamku. Stanowi kwintesencję niemieckiego gotyku... Hans, ostrożniej! – zawołał nagle do jednego z konserwatorów, który energicznie oczyszczał pędzelkiem wyblakłe malowidło na ścianie. I zaraz podjął swoje wyjaśnienia. – To jedyny ocalały fresk w Wielkim Refektarzu. Dlatego podwójnie cenny. Dawniej ściany tej sali były bogato zdobione, do naszych czasów zachował się jedynie ten fragment. Przedstawia

Koronację Najświętszej Maryi Panny. Kończymy już prace konserwatorskie w tej sali. Była w złym stanie, to był ostatni moment. Wystarczy wspomnieć, że niegdyś znajdowały się tu koszary, a w czasach napoleońskich nawet szpital... Trzeba panu wiedzieć, że malborski refektarz należał do największych pomieszczeń średniowiecznej Europy. Wielcy mistrzowie wydawali tu wystawne przyjęcia, w których brało udział nieraz czterystu gości! A na stołach pojawiała się złota i srebrna zastawa! Rycerze zakonni demonstrowali w ten sposób swoje więzi z Europą, co było ważnym instrumentem psychologicznym w obliczu zbliżającej się wojny z Polską.

– Myślałem, że reguły życia zakonnego były bardziej skromne?

– Zdziwiłby się pan, na jak wysokiej stopie żyli tacy mistrzowie jak Ulrich von Jungingen i jego poprzednicy. Zapisy w księgach rachunkowych i inwentarzach z przełomu czternastego i piętnastego wieku to kopalnia cennych informacji o trybie życia wielkich mistrzów, którzy nieraz daleko odchodzili od reguł zakonnych. Centrum państwa krzyżackiego posiadało oprawę godną niejednej stolicy europejskiej. Rycerskie turnieje, wystawne przyjęcia, wielkie polowania, a zwłaszcza możliwość zdobycia sławy rycerskiej w walce z poganami, ściągały licznych gości, a najgodniejsi z nich zajmowali pokoje w skrzydle wschodnim. Skrzydło północne Zamku Średniego przeznaczono na siedzibę wielkiego komtura. Usytuowano tu także wieżę wartowniczą... Ale nie przeszkadzajmy konserwatorom. Przejdźmy do Pałacu Wielkich Mistrzów, do Letniego Refektarza. Jest już odnowiony i będziemy mogli tam swobodnie porozmawiać.

Abell w przeszłości odwiedzał pałac. Zawsze podziwiał ten niezwykle ceglany budynek z przyporami i kolumnkami, przywołującymi na myśl wczesnorenesansowe wieże mieszkalne w Nadrenii czy południowej Europie. Wyglądał trochę jak obce ciało w tym morzu gotyckich murów. Teraz, po renowacji, prezentował się jeszcze bardziej olśniewająco.

– Imponujące, prawda? – Profesor z roziskrzonymi oczami podziwiał własne dzieło. – Najbardziej dumni jesteśmy z ocalenia tych malowideł, dzieła mistrzów Johanna i Petera z tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Ściany były zawilgocone, a częściowo nawet pokryte grzybem. Ale udało się! Moi ludzie osuszyli mury. A odnawiając malowidła, ucierali wyłącznie barwniki i oleje przygotowane według starych receptur. To właśnie kolorystyka ścian, detali architektonicznych, orientalnych wici roślinnych stworzyła w końcowym efekcie tak doskonałą całość.

Usiedli na kamiennej ławie z widokiem na dziedziniec, gdzie robotnicy taszczyli worki z piaskiem, pozostawiające na płytach węzowate ślady. Po chwili na dziedzińcu pojawił się doktor Johann. Ubrany był w jasną marynarkę i płócienne spodnie, przyprószone teraz skrawkami tarcicy i gipsowym pyłem. Kruczoczarne

włosy, pokryte brylantyną, miał zaczesane do góry. Nie wyglądał na naukowca. Raczej na przedsiębiorcę lub byłego oficera. Podeszedł do nich energicznie i uprzejmie przywitał się z Abellem.

– Słyszałem od profesora, że interesuje się pan naszymi pracami. Szczerze mówiąc, jest pan pierwszym policjantem, którego to zajmuje. – Roześmiał się. – Czy to zainteresowanie ma jakiś związek ze śledztwem w sprawie tych okrutnych morderstw? Przepraszam, że o to pytam, ale wychowany jestem na literaturze detektywistycznej i zawsze mnie intrygowało, jak wyglądają i pracują ci dzielni detektywi z odznaką.

– Jak pan widzi, nie jestem dwumetrowym osiłkiem i nie mam dymiącego kolta, a i odznaka nie prezentuje się zbyt imponująco. Kryzys dotyka także policji, doktorze Johann.

– Macie już na oku jakichś podejrzanych? – Doktor nie skrywał ciekawości.

– Doktorze, proszę tak nie indagować naszego gościa – zmitygował profesor swego asystenta, ale Abell uspokajająco machnął ręką.

– Mam pewną hipotezę – odrzekł – jednak moim przełożonym nie wydaje się ona zbyt oczywista. Nie mogę zdradzać tajemnic śledztwa. Ale wszyscy już wiedzą, że obaj księża zginęli zamordowani w sposób wyjątkowo okrutny. Większość sądzi, że to robota szaleńca. Ja nie jestem tego taki pewien.

– Jeśli nie szaleniec, to kto?

– Jest wiele możliwości.

Johann przez moment zastanawiał się nad tymi słowami, a potem powiedział coś, co zaskoczyło radcę.

– Proszę uważać, aby nie popełnić błędu. Życie nauczyło mnie, że im bardziej zagmatwana zagadka, tym prostsze jej rozwiązanie. A teraz, panowie pozwolą, nie będę już więcej przeszkadzał. Było mi miło, panie radco, widzę, że nasze bezpieczeństwo jest w dobrych rękach. – Uchylił wymyślonego kapelusza i zniknął w pobliskiej bramie, skąd po chwili dobiegł odgłos odpalanego motocykla.

– Doktor Johann to zagorzały motocyklista – wyjaśnił profesor – a przy tym bardzo inteligentny i kompetentny współpracownik. Ma posłuch u ludzi, nawet u pracowników fizycznych, murarzy, cieśli i wozaków, z którymi ciągle są jakieś problemy. Gasił już niejedną kryzys, choć nie wiem do końca, jak mu się to udaje.

– Widzę, że ma pan z niego pociechę.

– To prawda. Ale korzystając z pańskiego przyjazdu... – Profesor zawahał się. – Podczas naszej poprzedniej rozmowy zapytał pan, jakim człowiekiem był według mnie ksiądz Platzeck. Pamięta pan?

– Tak, oczywiście. A o co chodzi?

Schmiedke wyglądał na zakłopotanego.

– Było jeszcze coś, chociaż nie wiem, czy powinienem... Już wtedy się

zastanawiałem, czy o tym nie powiedzieć i czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie. Wahalem się... Poza tym nie chciałem, zwłaszcza w tamtym momencie, chwilę po śmierci Gerharda, insynuować czegoś, co mogłoby rzucić cień...

– Proszę śmiało, profesorze. Księdzu Gerhardowi to już nie zaszkodzi.

– No tak... – Profesor przetarł irchową szmatką okulary. – Wiem, że ostatnio pojawiły się pogłoski o romansie księdza Gerharda z jakąś mężatką... Zapewne to tylko plotki, ale może nie... Sam panu wspomniałem poprzednio, że moim zdaniem Gerhard podobał się kobietom. Otóż wydaje mi się, że nie tylko kobietom.

Policjant drgnął, wyraźnie zaskoczony.

– Co pan ma na myśli, profesorze?

Schmiedke nie spieszył się z odpowiedzią. Miał zadziwiająco długie palce, przyprószone teraz kamiennym pyłem, który starał się strząsnąć na fartuch.

– No cóż, pewnego dnia, kiedy Gerhard był u nas na zamku, przyjechał po niego organista z jego parafii. Przedstawił się jako Bernard. Nazwiska nie pamiętam. Przysłał go proboszcz Hoeness z wezwaniem, aby Gerhard natychmiast wracał na plebanie. Już nie wiem, po co, chyba miał udzielić ostatniego namaszczenia jednej z parafianek. Ale coś mnie wtedy zastanowiło.

– A mianowicie?

– Chodzi mi o wzrok, jakim organista wodził za Gerhardem. Tak nie patrzy mężczyzna na mężczyznę, jeśli wie pan, co mam na myśli... Widać było w tych spojrzeniach jakieś uwielbienie, oddanie... czy ja wiem, może fascynację, jakąś gorączkę wręcz...

– Czy według pana Platzbeck dostrzegła to nienaturalne zainteresowanie?

– Chyba tak, wydawał się zakłopotany, nie wiem tylko czym: zachowaniem Bernarda czy faktem, że byłem tego świadkiem.

Profesor zamilkł, jakby sam poczuł zakłopotanie rolą świadka, jaka przypadła mu w udziale. Abell nie wiedział jeszcze, na ile istotna jest ta informacja, ale pewne było jedno: nie mógł jej zlekceważyć. Zwłaszcza że w jego głowie uparcie tkwił obraz tego młodego Polaka, który najwidoczniej również był świadkiem czegoś, co sprawiało, że trawił go ledwie skrywany strach. Pytanie tylko przed czym, a może właściwiej byłoby zapytać: przed kim?

#### 4.

Kruchta katedry Świętego Jana Ewangelisty była otwarta. Abell wszedł do środka. Zgarbiona staruszka, na kolanach, postępując z wysiłku, szorowała ługiem zabrudzone płyty posadzki. W strumieniach słonecznego światła wpadającego przez witrażowe okna wirowały drobiny kurzu. Znad zachodniej ściany dobiegły go organowe dźwięki jednej z fug Bacha.

Bernard jest w pracy, pomyślał. Zaczął wspinać się po poczerńniętych ze

starości, skrzypiących schodach. Widok, jaki się przed nim roztoczył, wydawał się prawie nierzeczywisty. Siedzący przy instrumencie młodzieniec wyglądał jak Anselm Feuerbach na jednym ze swoich autoportretów. Miał zamknięte oczy i uduchowiony wyraz twarzy, ale wykrzywione palce, jakby przynależące do innej osoby, z rozpaczliwą gwałtownością spadały na klawisze organów. Radca zauważył pot na jego czole. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, lecz trawiące go namiętności zaczynały już rysować się zmarszczkami na jego twarzy. Ubrany był skromnie, ale z widoczną dbałością o strój. Ciemny garnitur dobrze leżał, a śnieżnobiała koszula pachniała jeszcze krochmalem. Z tyłu, za Bernardem, wznosiła się majestatyczna ściana organów, falujących cynowymi i drewnianymi piszczałkami.

Organista nagle urwał, wzdrygnął się i zapytał niepewnym głosem:

– Pan do kogo, tutaj nie wolno...

– Proszę się nie niepokoić, panie Bernardzie. Katedra była otwarta. Jestem radca kryminalny Abell, mam do pana parę pytań. Pomyślałem, że nie będę wzywał pana na komendę, żeby nie robić niepotrzebnej sensacji.

– Sensacji? Co pan ma na myśli?

Nawet w półmroku radca widział zdenerwowanie młodzieńca. Zignorował jego pytanie.

– To, co pan grał, było bardzo piękne. Chyba Bach?

– Tak, ćwiczyłem *Toccatę d-moll* Johanna Sebastiana Bacha.

– Nie wiedziałem, że w katedrze są organy o takiej skali głosów.

– O tak. – Bernard, widząc zainteresowanie gościa, wrócił do równowagi.

– Pierwsza wzmianka o istnieniu tych organów pochodzi z opisu żywota błogosławionej Doroty z Mątowów, gdzie czytamy: „Lubiła przysłuchiwać się grze na organach, co pogłębiało Jej modlitewne skupienie...”. Oznacza to, że organy istniały tu już w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym piątym roku! A w kronice kościoła, napisanej około tysiąc siedemset trzydziestego drugiego roku, jej autor, pastor Werner, stwierdza, że są trzecie co do wielkości w całych Prusach. Później było już tylko lepiej. Gruntownej naprawy i rozbudowy organów dokonał, na zlecenie króla Prus, nadworny organmistrz Johann Josua Mosengel. Proszę sobie wyobrazić, że powiększył organy do trzydziestu ośmiu głosów! Dzięki temu mogę cieszyć uszy wiernych tymi boskimi fugami Johanna Sebastiana!

Urwał nagle, jakby spłoszyło go własne gadulstwo, i miękkim, kobiecym ruchem poprawił niesforny kosmyk włosów. Ruch ten nie uszedł uwadze policjanta. Wielokrotnie widywał podobnych młodzieńców, naznaczonych głęboko skrywanym sekretem, który zamieniał ich życie w koszmar. Nie brakowało ich w kosmopolitycznym Berlinie, ale bez trudu można ich było także znaleźć w kabaretach i zadymionych restauracjach gdańskiego Starego Miasta. U wszystkich radca zauważał jeden charakterystyczny rys: wymuszoną przez

nietolerancyjne otoczenie determinację, by z niczym się nie zdradzić, co łatwo, w chwilach zagrożenia, mogło przerodzić się w agresję.

Abell pogładził lśniące piszczałki mistrza Mosengela i podniósł wzrok na organistę.

– Bernard... a jak dalej?

– Bernard Sackel, proszę pana.

– Od dawna jest pan organistą w tutejszej katedrze?

– Właśnie minęły trzy lata. Dłuższy czas po maturze nie miałem zajęcia. Pan wie, kryzys... Skończyłem szkołę muzyczną. Pochodzę ze skromnego domu. Rodzice nie mogli mi pomóc. Ojciec stracił pracę. Matka zawsze zajmowała się domem. No, nie przelewało nam się... Włóczyłem się to tu, to tam... Zaznałem nawet głodu, byłem jak pies bez budy... – Organista zerknął na radcę wzrokiem zbitego spaniela. – Ale potem coś się odmieniło. Spotkałem proboszcza Hoenessa. Zaufał mi i zatrudnił mnie na próbę. A że kocham muzykę, zostałem...

Czy człowiek, który grał w tak natchniony sposób utwory Bacha, mógłby zabić? Czy te wypielęgnowane palce mogłyby torturować, miażdżyć kości, krępować czyjeś członki szorstkim sznurem, raniącym dłonie do krwi? A wreszcie: czy byłby w stanie zabić, pozbawić życia „bliźniego swego”? Abell nie miał wątpliwości, że to pytania natury retorycznej. Już od dawna wiedział, że ludźmi kierują potężniejsze instynkty i pragnienia niż potrzeba bycia przyzwoitym. I że dręczenie, okrucieństwo, zadawanie cierpienia innym jest wpisane na stałe w mapę ludzkich zachowań, na równi z jedzeniem, uprawianiem seksu i wypróżnianiem się. Niewinność i zaufanie były cnotami, jakich podświadomie szukał od chwili wyjścia z rodzinnego domu. Na pewno nie spodziewał się ich znaleźć w tej kloace zbrodni i występku, w której tkwił od lat.

– Panie Sackel, jak pan wie, prowadzimy śledztwo w sprawie okrutnych morderstw dokonanych na osobach księży Platzecka i Webera z waszej parafii.

Organista pochylił głowę. Widać było, że samo wspomnienie o tym sprawiło mu niemal fizyczny ból

– Tak więc chciałbym pana zapytać, jako osobę znającą obie ofiary, czy zauważył pan coś podejrzanego w dniach poprzedzających ich śmierć? Może ktoś im groził, może był pan świadkiem jakiegoś dziwnego zdarzenia?

– Groził? Nie, na pewno nie. – Sackel pokręcił głową

– A jakie relacje łączyły ich z księdzem proboszczem?

Sackel spojrział ze zdziwieniem na radcę.

– Zwyczajne, jak to w parafii. Jeśli chodzi panu o to, że ksiądz proboszcz był charyzmatycznym człowiekiem i wymagającym pracodawcą, to owszem, wszyscy w parafii nauczyliśmy się z tym żyć. Zresztą nie dam złego słowa powiedzieć na księdza proboszcza... jest surowy, ale zawsze sprawiedliwy. Nie zauważyłem nigdy żadnych konfliktów.



– A czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej o obu księżach... jakimi byli ludźmi, czym się interesowali, może mieli jakichś wrogów?

Ciekawe, od którego z nich zacznie, pomyślał Abell. Założę się, że nie od swojego lubego. Czas przejść do prawdziwej gry, w której nie będziesz się czuł tak bezpiecznie, jak grając fugę Bacha.

Sackel rozpoczął od Webera.

– Nie znałem go zbyt dobrze. Był zamknięty w sobie. Typ milczka. Myślę, że żarliwie przeżywał swoją wiarę. Idąc do organów, niejednokrotnie widziałem, jak leżał krzyżem przed ołtarzem głównym. Dzisiaj rzadko spotyka się takie obrazki. Nawet ksiądz proboszcz, który jest tak blisko Boga, modli się tylko na klęczniku.

– Może ksiądz Albrecht odpokutowywał w ten sposób jakieś grzechy?

– Grzechy? – Organista wyraźnie się spłoszył. – Jakie grzechy?

– Ludzie to grzeszne istoty, księża czasami także. Nie sądzi pan?

Pytanie zawisło bez odpowiedzi. Sackel po raz pierwszy od początku rozmowy spojrzał na radcę podejrzliwie, z ledwie skrywaną wrogością.

– A co mógłby mi pan powiedzieć o księdzu Gerhardzie?

Abell zarejestrował w pamięci, że tym razem Sackel milczał nieco dłużej, nim w końcu się odezwał.

– Niewiele, doprawdy niewiele. Był mądry i dobry. Budził respekt. Mógł daleko zajść... – Głos organisty nabrał ciepłej barwy.

– No tak, chciałbym zapytać pana o zdarzenie, które miało miejsce jakiś czas temu na zamku malborskim. Przywiózł pan wtedy ojcu Platzeckowi wiadomość od proboszcza Hoenessa. Pamięta pan?

– Tak, oczywiście. Ale co w tym dziwnego?

– W samym zdarzeniu nic. Ale coś zwróciło uwagę świadka tej sytuacji. Wymowne, pełne adoracji spojrzenia, jakimi obrzucał pan księdza Gerharda.

Abell starał się nie uronić nic z mimiki i burzy uczuć, jaka rozgrywała się na twarzy młodzieńca. Słowa radcy wyraźnie go wzburzyły. Zacisnął usta, rozpaczliwie próbując zachować spokój, ale zdradził go krwisty rumieniec, który wypełził mu na policzki.

– To jakaś bzdura, ohydne pomówienie – wybąkał zbielełymi wargami. – Jak pan śmie. Ja i Gerhard nigdy nie...

– Nie wiedziałem, że byliście z księdzem po imieniu. Zapytam wprost, panie Sackel: czy obdarzał pan księdza Platzecka uczuciem? I czy łączyły was więzi intymne? Zabił go pan jako niewiernego kochanka czy raczej z zemsty za odrzucenie pańskich zalotów?

Organista przez chwilę mierzył się z radcą wzrokiem, a potem nagle dał susa na podporę organową i skoczył w dół. Mimo kilkumetrowej wysokości wylądował bezpiecznie. Odtrącił na bok sprzątającą babinę i ruszył pędem ku przeciwległej

stronie katedry. W pewnej chwili poślizgnął się na rozlanym ługu i runął na posadzkę. Szybko się jednak podniósł i kuśtykając, pobiegł dalej. Abell zwietrzył w tym swoją szansę. Nie zaryzykował skoku, ale przechylił się przez podpórę, zawisł na rękach i zsunął się w dół. Sackel wbiegał właśnie na podwyższenie przy ołtarzu głównym. Miał zaledwie kilkanaście sekund przewagi. Abell dobiegał do połowy nawy głównej, gdy organista zniknął w drzwiach z prawej strony ołtarza.

Radca wiedział, że za nimi znajduje się mała kaplica z przylegającą do niej całą błogosławionej Doroty z Mątowów. W kaplicy było dwoje drzwi: jedne prowadziły do zakrystii po lewej stronie, drugie – przez krótką krucztę – na zewnątrz. Miał jeszcze kilka metrów do ołtarza, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi. Odgłos dobiegł z lewej strony. Zakrystia! Znalazł się tam w kilka sekund.

Stał w progu, próbując uspokoić oddech. Ostrożnie omiół wzrokiem wnętrze: żadnych innych drzwi poza tymi, które blokował. Nie było stąd ucieczki. Pamiętał to duże pomieszczenie z pierwszej wizyty u proboszcza Hoenessa. Sackel mógł być niebezpieczny. Abell wyciągnął z kabury pistolet. Dobrotliwie uśmiechnięty Hermann von Salza przyglądał mu się z brabanckiego arras. Na środku zakrystii stało rzeźbione biurko, obok szafka z wieloma szufladkami.

Zakrystia była pusta. Poczłł niepokój, ale pod ścianą zobaczył bogato haftowane sztandary maryjne, wijące się na długich drzewcach do samej posadzki. Pomyślał, że za chorągwiami śmiało mógłby ukryć się człowiek. Wyciągnął jedną z chorągwi i mocnym ruchem przewrócił cały ich szereg. Nikogo za nimi nie było. I właśnie wtedy, wyostrzonymi zmysłami, wychwycił cichy trzask, który dobiegł spoza pomieszczenia. Drzwi na zewnątrz! Ponownie wbiegł do kaplicy. Dopiero teraz zauważył, że pomiędzy tyłem małego ołtarzyka a murem znajduje się przerwa, w której śmiało zmieściłby się człowiek. Sackel dla zmylenia pogoni musiał trzasnąć drzwiami od zakrystii, cofnąć się szybko i schować za ołtarzem. A gdy rozpędzony Abell wpadł do środka, on niepostrzeżenie wymknął się przez krucztę i teraz zapewne rozpląwał się w tłumie na zatłoczonym o tej porze rynku!

Radca przez moment chciał zrezygnować. Wezwie Kukulkę i przeczeszą całe miasto. Sackel nie mógł uciec zbyt daleko. Ale popychany poczuciem policyjnego obowiązku doszedł do ciężkiej furty i nacisnął miedzianą klamkę. Ku jego zaskoczeniu drzwi ani drgnęły. Furta była zamknięta! Sackel nie mógł więc tędy się wydostać, a to oznaczało, że nadal znajduje się w katedrze! Abell spróbował uspokoić myśli. Organista znał tutaj każdy kąt. Nie ulegało wątpliwości, że postara się to wykorzystać. Zapewne chciał wyprowadzić ścigającego go policjanta w pole i zasugerować mu, że uciekł na zewnątrz. Miał jednak pecha, furta była z jakichś powodów zamknięta, czego nie przewidział.

Abell wrócił do kaplicy. Jeszcze raz zajrzał za ołtarz, a także, dla pewności, do celi błogosławionej Doroty. Nic! Jak kamień w wodę!

I wtedy go olśniło. Sackel uciekł w odwrotnym kierunku, z powrotem do

kościola! Radca ostrożnie otworzył drzwi i ponownie znalazł się przy ołtarzu. Sprzątaczką zniknęła. O jej niedawnej obecności świadczyło tylko przewrócone wiadro z wodą i rzucona szmata. Usiłował wczuć się w skórę zbiega. Mógł oczywiście pobiec przez całą nawę, do głównych drzwi. A wtedy szukaj wiatru w polu. Ale podczas upadku trochę się poturbował. Widać było, że kuleje, jak kundel z przetrąconym kulasem. Zapewne nie ryzykowałby tak długiej ucieczki. Gdzie mógłby się ukryć, żeby poczekać, aż Abell pobiegnie szukać go na rynku?

Jego wzrok padł na drzwi do kaplicy Groebenów<sup>[D]</sup>, leżącej na lewo od ołtarza, po północno-wschodniej stronie katedry. Z tego, co pamiętał, kaplica była niegdyś stale zamknięta. Wciąż trwały w niej prace rekonstrukcyjne. Doszedł ostrożnie do czarnych drzwi pokrytych reliefami z brązu. Przedstawiały sceny z bohaterskiego życia Ottona Friedricha von der Groebena<sup>[E]</sup>: walkę z Turkami i zakładanie pierwszej niemieckiej factorii w Afryce. Na wysokości jego oczu dzielny graf, wznosząc wysoko miecz, tratował Saracenów, którzy pierzchali spod kopyt jego spienionego rumaka.

Abell podszedł jeszcze bliżej, modląc się, aby kaplica nie była zamknięta. Lufą pistoletu popchnął ciężkie drzwi. Ustąpiły. Wstrzymał oddech i wślizgnął się do środka. Czuł mocne bicie swego serca. Przez chwilę przyzwyczajając wzrok do panującego tu półmroku. Centralne miejsce kaplicy zajmował wielki barokowy nagrobek z gotlandzkiego piaskowca. Na postumencie spoczywał pogrążony w wiecznym śnie graf von Groeben, otoczony przez swoje trzy, równie skamieniałe żony. Abella zaskoczył fakt, iż graf oddany był jako żywa osoba, z otwartymi oczami, którymi nieruchomo wpatrywał się w niego. Na postumencie widniał napis: *Ich sahe an alles Thun, das unter der Sonnen geschicht, und siehe es war alles eytel. Ecc.1[23]*. Z wyciągniętym rewolwerem, krok po kroku, zbliżał się do grobowca. Znad postumentu śledziły go z herbowych portretów czarne oczy protoplastów kondotiera. Zza figury pierwszej żony grafa, wielebnej Anny Barbary von Schlieben, dobiegł go cichy szmer, jakby skowyt zbitego psa. Abell wtargnął za figurę, zdecydowany uderzyć zbiega kolbą pistoletu, ale ręka zawisła mu w powietrzu. Sackel w niczym nie przypominał już sprytnego, wodzącego go za nos uciekiniera. Trząśł się ze strachu jak osika, wydając ciche, spazmatyczne jęki, jak człowiek nie tylko śmiertelnie przerażony, ale i całkowicie zrezygnowany. Abell wywlókł go z kryjówki i skuł kajdankami.

Mam cię, pomyślał i po raz pierwszy od wielu dni poczuł coś na kształt cichej satysfakcji.

## 5.

Poniedziałek drugiego września przyniósł zamiast spodziewanego ochłodzenia kolejną dawkę skwaru, który wypalał liście drzew na rdzaworudy,

jesienny kolor. Kwidzynianie pospiesznie zamykali pootwierane nocą okna, odgradzając się od nieznośnego gorąca. Takiej fali upałów nie było tu od pamiętnego sierpnia 1914 roku, gdy kwidzyńscy grenadierzy w swoich spiczastych czapach ruszali z koszar przy Bismarckstrasse na front.

Abell rozpoczął dzień od wizyty u starszego inspektora sądowego Tomschaty, którego przekonał do wypuszczenia na wolność Jana Wojciechowskiego. Ministrant miał jeszcze przed południem opuścić areszt, ale pozostać pod stałym nadzorem policyjnym, do czasu wyjaśnienia stawianych mu zarzutów. Tomschata nie opierał się długo. Radca odniósł wrażenie, że inspektor sam uznawał osadzenie w areszcie za zbyt surową karę i uległ tylko presji wpływowego Hoenessa.

Następnie Abell spotkał się w komendzie z Vranitzkim i Kukulką i zrelacjonował im wypadki ostatnich dwóch dni. W pokoju, dzięki zamkniętemu oknu, było odrobinę chłodniej niż na zewnątrz. Mężczyźni ściągnęli marynarki, z filiżanek gorącej, świeżo parzonej kawy z kardamonem unosił się przyjemny aromat.

– Panowie – rozpoczął radca – mam wrażenie, że po raz pierwszy jesteśmy na poważnym tropie. Nie wiem jeszcze, do kogo on nas doprowadzi, ale jest już wystarczająco dużo przesłanek, aby zacząć budować solidną hipotezę dotyczącą obu morderstw.

Vranitzky, jak zawsze, swoim drobnym pismem czynił notatki w wyświechtanym notatniku z cesarsko-królewskim herbem na okładce. Wachmistrz słuchał z przymkniętymi oczami, starając się nie uronić ani słowa. Dobrze znał swego przełożonego. I wiedział, że tak trzeba, bo radca najwyraźniej odzyskał pewność siebie, co zapowiadało przełom w śledztwie. Obserwował ten proces po wielokroć. I czasami miał wrażenie, że ten błyskotliwy oficer, z którym łączyły go wspólne tajemnice i coś na kształt przyjaźni, jest w rzeczywistości o wiele bardziej nieobliczalny i niebezpieczny niż przestępcy, których tak bezwzględnie ścigał.

– Podsumujmy krótko dotychczasowe postępy w śledztwie – kontynuował Abell. – Sfałszowana broszura, co oczywiste, skierowała podejrzenie na Nauna i jego ludzi. Ta sprawa dobrze rokowała, ale to nie on zabił. Na dzień drugiego zabójstwa ma stuprocentowe alibi, a w dzień pierwszego jego bojówkarze katowali młodego Bohna. Nie ma żadnych dowodów na udział rzezimieszków Nauna w tych zbrodniach. W ten sposób odpada również kandydatura naszego pocztowego rogowca, naczelnika Osta. SA mu nie pomogło, a on sam również jest kryty. Tak więc ta sprawa jest zamknięta, choć przy okazji rozwikłaliśmy inną: pobicie młodego Bohna. – Abell pociągnął spory łyk kawy. – Na szczęście są świeże tropy. Zatoczyliśmy krąg i powróciliśmy w miejsce, od którego wszystko się zaczęło.

– Czyli gdzie? – zapytał Vranitzky.

– Na plebanię, moi panowie, do kurnika proboszcza Hoenessa – oznajmił dobitnie radca.

Pochylił się ku obu mężczyznom i opowiedział im najpierw o przesłuchaniu ministranta Jana Wojciechowskiego, a następnie o dziwnym zachowaniu i ucieczce organisty Sackla.

– Umykał mi początkowo fakt, że wszystkie tropy wiodą właśnie w to miejsce. Zastanówmy się... Obaj zamordowani byli księżmi parafii Świętego Jana Ewangelisty. Obaj prawdopodobnie prowadzili podwójne, niemoralne życie. Żyli w grzechu, a grzech prowokuje zbrodnię. Ksiądz Albrecht był sadomasochistą i dziwkarzem. Znalaziono go zaszlachtowanego jak świnie w łóżku tutejszej kurwy. Ksiądz Gerhard również ulegał skłonnościom nielicującym z sutanną. Plotkowano o jego związku z ponętą panią naczelnikową. Do tego dochodzi dziwne zauroczenie jego osobą Bernarda Sackla, prawdopodobnie homoseksualisty. To jeszcze wyjaśnimy i to będzie wasze zadanie, Kukulka. Ale pojawił się również inny ciekawy ślad. Ministrant coś usłyszał lub zobaczył w zakrystii. Coś, co nie było przeznaczone dla jego oczu i uszu. Jakąś mroczną tajemnicę, którą chciał ukryć przed światem wielebny Hoeness. Musiało to być coś bardzo ważnego, a może kompromitującego, jeśli proboszcz posunął się do oskarżenia ministranta, byle tylko zamknąć mu usta. Tego, że było to bezpodstawne oskarżenie, jestem raczej pewien, zwłaszcza po rozmowie z chłopakiem. Dzisiaj udało mi się sprawić, że zwolniono go z aresztu. Odwiozę go do rodzinnego domu. Mam nadzieję, że tam, w domowych pieleszach, gdy już poczuje się bezpieczny, zacznie mówić.

– Odpowiedź na pytanie, co chciałby ukryć proboszcz Hoeness, zapewne zna także organista, prawda, panie radco? – Vranitzky uśmiechnął się smutno.

– Tak. Przytoczyłem już panom spostrzeżenie profesora Schmiedkego. Zauważył, że Sackel zachowywał się wobec księdza Platzecka jak nieszczęśliwy kochanek

– Może było to tylko platoniczne uczucie?

– Może, ale przyzna pan, że jego gwałtowna reakcja na moje słowa świadczy, iż ma coś do ukrycia. W tym świetle teza o homoseksualnym związku z księdzem, a przynajmniej o niezdrowym zainteresowaniu jego osobą, wydaje się o wiele bardziej prawdopodobna. Zresztą, sądząc po specyficznych ruchach Sackla, jestem raczej pewien, że to homoseksualista.

– No tak, jeśli Platzeck odrzucił jego awanse, ten mógł go zabić: z zemsty, rozpaczy, wściekłości, jak zwał, tak zwał. A jeśli ksiądz miał romans z kobietą, mógł go zabić tym bardziej. Choćby z zazdrości. To się trzyma kupy, panie radco.

– Vranitzky pokiwał głową i odłożył notes.

– Pewne jest jedno – podsumował Abell. – Parafia proboszcza Hoenessa skrywa więcej tajemnic, niż nam się śniło. Rozwiązania zagadki trzeba szukać

właśnie tam, wśród tej świętoszkowatej trzódki wielebnego proboszcza. Jutro przesłucham Sackla, a wy, Kukulka, postarajcie się o nakaz, to jeszcze dzisiaj dokonamy rewizji w mieszkaniu organisty.

Zegar na wieży ratuszowej pokazywał południe, gdy Abell minął katedrę i wjechał na dziedziniec zamku. Po kilkunastu minutach strażnik wyprowadził zwolnionego z aresztu ministranta. Wojciechowski stanął w progu, miętoląc w dłoniach czapkę i mrużąc oczy przed oślepiającym go słońcem. Na widok policjanta, zaskoczony, skłonił głowę i uśmiechnął się niepewnie. Abell uprzejmym gestem zaprosił go do auta. Strażnik więzienny pstryknął palcem w daszek czaka. Nieczęsto widywał takie sceny. Na aresztantów z reguły nie czekał nikt, a jeśli już, to rodzice wyniszczeni przez starość, choroby i biedę. Ten młody złodziej, pomyślał, musi być kimś naprawdę ważnym, jeśli przyjechał po niego oficer z policji, i do tego wyglancowaną na błysk limuzyną.

Wojciechowscy mieszkali w Miłosnej, odległej od miasta nie więcej niż dwa kilometry. Podczas jazdy chłopak milczał, zatopiony w rozmyślaniach, a radca postanowił nie przyspieszać biegu wypadków. Przejechali obok ceglanych zabudowań stadniny koni, z umocowaną na szczycie paradnej bramy tablicą z napisem: *Westpreussische Landgestüt*, i po kilkuset metrach, zgodnie ze wskazówkami chłopaka, zatrzymali się przed małym domkiem z pruskim murem na froncie. Domek był niewielki, ale świeżo pobielone ściany i kretonowe firanki w oknach sprawiały schludne wrażenie. Przypominał jeden z tych, z których pobudowano kwidzyńskie siedlunki: rzędy bliźniaczych domków jednorodzinnych o spadzistych dachach i zadziwiająco dobrych proporcjach.

Oboje rodzice byli uszczęśliwieni, że syn wrócił. Matka, przedwcześnie postarzała kobieta, z mantylką na głowie, długo tuliła go w ramionach. Wzruszenia nie krył także ojciec, postawny mężczyzna o dumnym wyrazie twarzy, orlim nosie i wyraźnie zarysowanych szczękach. Nosił się po pańsku, w sposób, jaki Abell zaobserwował u wielu Polaków z Pomorza i Prus Wschodnich. Chłopak musiał im wyjaśnić, jaką rolę odegrał Abell w jego uwolnieniu, bo po chwili stary Wojciechowski podszedł do radcy.

– Chcielibyśmy panu bardzo podziękować za wszystko, co pan zrobił dla naszego syna, panie oficerze – powiedział, patrząc mu prosto w oczy spod krzaczastych siwych brwi.

Mówił dobrą niemczyzną. Właściwie bez śladu akcentu, owej charakterystycznej dla Słowian naleciałości, otulającej twarde teutońskie zgłoski miękkim szelestem.

– Zrobiłem tylko to, co powinienem. Moim zdaniem pański syn został oskarżony niesłusznie i nie zasłużył na to, co go spotkało.

Polak pokiwał głową.

– Kwidzyńska policja nie lubi Polaków. Mój syn miał szczęście, że jego

sprawa trafiła w pańskie ręce.

Poprowadził Abella w stronę toru wyścigowego, po drodze opowiadając z powściągliwą dumą o tutejszej stadninie. Radca czuł, że Wojciechowski chce dać matce czas na porozmawianie z synem. Stadnina robiła zresztą dobre wrażenie. Zadbane stajnie i obejścia okalały tor jeździecki, który pokonywały kłusem dwie pary ogierów. Ich masywne ciała spływały potem, a biegnący z boku koniuszy pokrzykiwali przeciągle: „heeeja, heeeja”. Konie nie wyglądały na araby, przypominały raczej te z górniczych sztolni, ciężkie, dobrze odżywione, wykorzystywane niegdyś do ciągnięcia wózków z węglem.

Polak zauważył rozczarowanie Abella.

– W stadninie mamy prawie sto sześćdziesiąt koni. Większość to ogiery rozplodowe. Naszym zadaniem jest przede wszystkim odbudowa hodowli konia wiejskiego, pociągowego, na potrzeby wsi. Wojna poczyniła bowiem w stadninie ogromne spustoszenia. A armia nie zamawia już tylu koni co niegdyś... To dobre, posłuszne zwierzęta. Czy pan wie, że są równie wierne jak psy? A jakie mądre... Kiedyś zimą złamałem nogę na wybiegu. Siwy ogier, którym się opiekowałem, ogrzewał mnie swoim ciałem tak długo, aż nadeszła pomoc.

– Jest pan w stadninie koniuszym?

– Podobnie jak mój ojciec i dziad. Kocham konie, panie oficerze, one nie krzywdzą ludzi.

W milczeniu zawrócili w stronę domu. W kuchni przy stole siedzieli matka z synem. Nad paleniskiem Abell zauważył obraz dziwnej Madonny o poczerniałej twarzy, z blizną przecinającą policzek, niczym błyskawica. Na blacie stał szklany dzbanek z mlekiem. Pachniało marynowaną cebulą, gotowanym mlekiem, tabaką i cykorią. Przez głowę radcy przemknął inny obraz: jego matki. Franziska kroi mu pajdę chleba, grubo smaruje ją masłem, kładzie plastry pomidora i posypuje gruboziarnistą solą. Tamta kuchnia także była ciepła i bezpieczna, ale teraz odległa jak gwiazda na niebie.

– Czego pan od nas oczekuje, panie oficerze? – zapytał cicho Wojciechowski. – Bo na pewno pan czegoś chce, prawda? Pieniądzy? Nie mamy wiele, ale syn to nasza jedyna pociecha...

– Prawdy, panie Wojciechowski, chcę prawdy.

Odpowiedź Abella zaskoczyła koniuszego. Poruszył się i spojrzał przeciągle najpierw na żonę, a potem na syna, siedzącego ze spuszczoną głową, bezwładnie, jak szmaciana lalka.

– Jak już mówiłem, wyciągnąłem waszego syna z więzienia, bo moim zdaniem nie zrobił tego, co zarzuca mu proboszcz Hoeness. Ale wie coś, co jest dla mnie bardzo ważne. Ta informacja może uratować komuś życie, panie Wojciechowski. Zginęły już dwie osoby. Zamordowano je w okrutny, nieludzki sposób. Muszę wiedzieć, co pański syn zobaczył lub usłyszał na plebanii.

Na twarzy ministranta najpierw pojawiła się przeraźliwa bladość, a zaraz potem wypełził na nią ceglasty rumieniec. Nie podnosząc oczu, z uporem kręcił głową, jakby chciał odegnać od siebie osaczające go słowa policjanta.

Abell nie ustępował.

– Zagrożone może być życie także waszego syna. Jeśli nadal będzie milczał, oczywiście. Ale jeśli wyjawi to, co wie, zyska gwarancję nietykalności, bo tajemnica, którą nosi w sobie, przestanie być tajemnicą. Pan jest mądrym człowiekiem, panie Wojciechowski. I rozumie pan, że ktoś taki jak ja nie fatygowałby się tu bez powodu, cholernie ważnego powodu – zakończył z naciskiem.

Od stołu dobiegł cichy szloch matki. Ojciec podszedł do chłopca i objął go mocno, krzepiąco. Pochylił się nad nim i przez chwilę, która Abellowi wydawała się wiecznością, szeptał mu coś do ucha tym miękkim, szeleszczącym językiem, tak bardzo różnym od chrapliwej niemczyzny. W dzieciństwie jego babka, stara kochana Agnes, opowiadała mu, że te poświstujące słowiańskie głoski to mowa wichrów. Od wieków smagają te nieurodzajne ziemie, jakoby karząc ludzi za wymordowanie dawnych mieszkańców i ich pogańskich bożków.

– Było to po wieczornej mszy – odezwał się nagle cichym głosem chłopak. – Przebrałem się w zakrystii, byłem ostatni, wszyscy chłopcy już pobiegli do domów. Proboszcz Hoeness siedział sam, przy biurku, wpisywał chyba gregorianki do zeszytu. Pożegnałem się, ale ledwie mi coś odburknął. Wyglądał na wzburzonego. Zresztą... – zawahał się – ...musiało coś go nurtować, bo dwa razy pomylił się, czytając podczas mszy ewangelię. Tak jakby myślami był gdzieś indziej. A to nigdy dotąd się nie zdarzyło... Byłem już na Mauerstrasse, gdy przypomniałem sobie, że zostawiłem na parapecie w zakrystii gazetę, którą wcześniej kupiłem dla ojca, tak jak mnie prosił. Pobiegłem z powrotem i gdy znalazłem się w kruchcie, zobaczyłem, że drzwi do zakrystii są uchylone... Ze środka dobiegały podniesione głosy. Zaskoczyło mnie to. Rozpoznałem głos proboszcza Hoenessa i księdza Platzecka. Kłócili się o coś. Chciałem się wycofać, ale... bałem się, że mnie usłyszą.

– Postanowiłeś zostać, podsłuchując...

– Nie, to nie tak – zachnął się. – Nie wiem, sparaliżowało mnie, obawiałem się ruszyć...

– Co działo się dalej? Co usłyszałeś?

– Na początku niewiele rozumiałem. Ale potem proboszcz podniósł głos. Krzyczał... krzyczał: „Zhańbiłeś sutannę i swoje powołanie. Zdrada! Grzęzniesz w kłamstwie i grzechu! Jak mogłeś mnie tak zawieść!”.

– Jesteś pewien, chłopcze, tych słów?

– Przysięgam na Najświętszą Panienkę. – Chłopak podniósł wzrok na radcę i przeżegnał się pospiesznie.



Jego rodzice słuchali w skupieniu. Ojciec roziskrzonymi oczami spoglądał to na policjanta, to na syna, jakby nie dowierzając jego opowieści.

– Co było potem? – zapytał radca.

– Ksiądz Platzeck próbował chyba oponować. Zaprzeczał czemuś... Nie dosłyszałem wyraźnie, ale chyba kilka razy powiedział coś o jakiejś tajemnicy.

– Na pewno?

– Tak, mówił, że to nie on zdradził, nie on wyjawiał tajemnicę.

– Wspomniał, co to za tajemnica?

– Nie. Potem niewiele już do mnie dotarło, bo z zakrystii dobiegł rumor, tak jakby ktoś upadł... Spłoszyłem się, chciałem zerwać się do ucieczki, ale w tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich proboszcz. Był wzburzony. Za jego plecami zobaczyłem księdza Gerharda, próbował podnieść się z podłogi, obok leżało przewrócone krzesło. Światło z zakrystii padło prosto na mnie. Stałem jak sparaliżowany. Nie zapomnę tych oczu... Nigdy nie widziałem proboszcza w takim stanie. Wpatrywał się we mnie, jakby zobaczył widmo, jakby chciał spalić mnie na popiół... albo jakby...

– Jakby co?

– Jakby zamierzał mi zrobić coś złego, tam, natychmiast, na miejscu. Był zaskoczony moją obecnością, ale i wściekły. Usłyszałem tylko jego ryk: „Precz!!!”. Ten ryk dudnił mi w uszach... przerażony uciekłem stamtąd. Co było dalej, już pan wie. Na drugi dzień zatrzymała mnie policja pod zarzutem kradzieży pieniędzy z tacy.

## 6.

Mieszkanie organisty mieściło się we wschodnim skrzydle plebanii. Abell z Kukulką ostrożnie wymijali rozgdakane stada kur i kurczęta, drepczące po podwórzu. Radca pomyślał, że gospodarskie zabudowania plebanii przypominają średniowieczny klasztor, w którym na użytek mnichów uprawiano rolę, hodowano drób, wytwarzano miód, sporządzano mieszanki leczniczych ziół i nalewki. Był już wiek dwudziesty, ale na tym podwórzu czas jakby zatrzymał się dawno temu. Kukulka szpetnie zaklął i zaczął wycierać o kępkę trawy swój but, ubrudzony kurzymi odchodami. Wielki biały indor przyglądał się czujnie intruzom, wodząc za nimi dziobem z przekrwionym podgardlem.

Proboszcza Hoenessa nie było. Jak powiadomiła ich gospodyni, wyjechał na dwa dni służbowo do Olsztyna. Kobieta niechętnie wyjęła z kieszeni wielki pęk kluczy i otworzyła policjantom drzwi do mieszkania Sackla. Zaskrzypiały, gdy Abell je pchnął. Weszli do środka.

Sackel mieszkał skromnie. W porównaniu z utrzymaną w bizantyjskim przepychu siedzibą proboszcza, jego pokoik przypominał schludną celę. Głównym

wyposażeniem było proste, starannie zaścielone łóżko oraz biurko z równo ułożonym stosem zeszytów nutowych. W rogu stał piec z kremowych kafli, a pod ścianą dębowa szafa.

Abell podszedł do biurka. Miał wrażenie – zwłaszcza po tym kurzym chaosie panującym na podwórzu – że znalazł się w pomieszczeniu osoby niezwykle uporządkowanej, obsesyjnie dbającej o czystość i symetrię. Nawet zeszyty nutowe ułożone były jak pod linijkę. Przejechał palcami po półce nad biurkiem. Ani śladu kurzu. Odwrócił się. Znał ten sposób ścielenia łóżka. Taką dyscyplinę wynosili rekruci z pruskich koszar. Zajrzał do szafy: wisiało tam kilka świeżo wypranych koszul, kamizelki z flauszu i porządny garnitur w ledwo widoczne prążki.

Ubrania pachniały mydłem oliwkowym. W tym surowym wnętrzu nie było nic, co zdradzałoby upodobania lub charakter jego mieszkańca. Nigdzie żadnego osobistego drobiazgu: fotografii rodzinnych, pocztówek z wakacji czy choćby wyciętego z gazety landszaftu. Jedynym zbytkownym przedmiotem był holenderski zegar ścienny z dzwigającym kulę ziemską cyklopem na koronie obudowy.

– On nie ma tu nawet jednego świętego obrazka – zauważył Kukulka, bacznie się rozglądając.

– Co więcej, nie ma nawet krzyżyka – dodał radca.

Zabrali się do pracy. Powoli, metodycznie, zaczęli rewidować pomieszczenie. Wachmistrz przeglądał wszystkie kieszenie ubrań, radca wertował, strona po stronie, książki i nuty organisty. Nic nie znaleźli. Ani skrawka listu czy zapisanego papieru. Wachmistrz zbadał palenisko w piecu, sprawdził ostrzem noża mocowanie wszystkich klepek w podłodze. Bezskutecznie. To miejsce przypominało dekorację teatralną, a nie pokój żywej istoty, która w tych czterech ścianach spędzała czas, kruszyła chleb na podłogę, rozlewała atrament na blacie stołu, rozmyślała i śniła w objęciach nocnej ektoplazmy utkanej z marzeń i koszmarów. Mieszkanie Sackla wyglądało tak, jakby ktoś za pomocą ługu, mydła i żrącego kwasu wyszorował je, by usunąć stąd wszelkie oznaki życia.

Abell stwierdził, że nic tu po nich. Przeciwnik okazał się bardziej skryty, niż można się było spodziewać. Mieli już wyjść, gdy radca nagle się zatrzymał. Zegar! Jedynym nietypowym sprzętem w tym dziwnym pokoju był wiszący na ścianie barokowy, bogato zdobiony zegar, który zresztą nie chodził: wskazówki przez cały czas ani drgnęły. Dlaczego nie przyjrzeli mu się bliżej? Stał na taborecie i ostrożnie uchylił szybkę cyferblatu. Nie zauważył nic podejrzanego. Przez chwilę się wahał, jednak postanowił zdjąć zegar. Tylne ścianka trzymała się na śrubce, która wydała się Abellowi dość wyrobiona. Wyjął scyzoryk i bez trudu ją odkręcił. Kukulka patrzył na to szeroko otwartymi oczami.

Radca się nie mylił. W środku nie było mechanizmu zegarowego. Spoczywał tam natomiast podłużny notes w wyblakłej płóciennnej oprawie. Ze środka wysypało się kilka zdjęć o zatłuszczonych brzegach. Przedstawały pornograficzne ujęcia

młodych mężczyzn: nagie, splecione ze sobą, muskularne ciała. Abell przyjrzał się uważnie twarzom: stężałe z wysiłku, pozbawione radości czy wyrazu rozkoszy. Były obce, nikogo nie rozpoznał. Atelier znajdowało się zapewne daleko stąd, w jakiejś gdańskiej speluncie albo berlińskim kabarecie.

Ostatnia fotografia była jednak inna. Ksiądz Gerhard Platzeck uśmiechał się promiennie do kogoś, kto znajdował się przed nim lub wykonywał zdjęcie. Nie wyglądał na duchownego. Nie miał koloratki. Ubrany w krótkie spodnie, grube skarpety wystające z traperskich butów i kraciastą koszulę, stał oparty o rower, niczym typowy mieszcuch, weekendowy turysta, jakich wielu spotykało się na zakurzonych drogach Warmii i Prus Wschodnich. W tle rysowały się łagodne pagórki porośnięte winoroślą. Do bagażnika roweru przymocowany był skautowski plecak. Obok, na wątlej trawie, widać było rozłożoną chustę, a na niej piknikowy kosz przykryty serwetką. Abell zauważył, że wystaje z niego butelka wina i bagietka.

Odwrócił fotografię. W poprzek biegł niezgrabny napis: „Moje serce, 14.06.1930”.

## **Rozdział VI**

### **Dobra znajoma z Langfuhr**

## 1.

Wachmistrz Kukulka zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Męczył go przeraźliwy kac po wieczornym osuszeniu butelki wódki, tym razem, niestety, wypitej do lustra. Już dawno to sprawdził, że człowiek w samotności upija się szybciej. No i wychodzi taniej. Od kiedy zmarła mu żona, nie szukał innych przyjemności. Alkohol otępiał, łagodził ból w trzewiach i pozwalał usnąć, dzięki czemu nie trzeba było odganiać natrętnych myśli i wspomnień. W nocy powrócił do niego senny koszmar z czasów wojny. Ponownie przeżywał noc z trzynastego na czternastego października 1918 roku. Na froncie w pobliżu Ypres Brytyjczycy użyli wtedy gazów bojowych. Chmura gazu wpełzła do okopu, w którym spał, trzęsąc się z zimna i głodu. Do dziś pamiętał ów paniczny strach, który poczuł, gdy zorientował się, że otacza go lepka, wszechogarniająca ciemność. W lazarecie stwierdzili porażenie nerwu wzrokowego. Ten sen powracał. Uparcie, co jakiś czas, zwłaszcza po alkoholu. Koszmar nieodmiennie przybierał postać śliskiego czarnego owada. Swoimi zimnymi czułkami wpijał mu się w gałki oczne, wysysając z nich cały kolor i świetlistość. Wczoraj w nocy dopadł go ponownie. Jezu! Nie! Kukulka budził się zlany potem i natychmiast zasypiał ponownie, tak jakby zły sen nie chciał go wypuścić ze swoich szponów. Rzucił się wtedy po całym łóżku i kurczowo ściskając mokre prześcieradło, krzyczał: *Nein!* – jakby tym krzykiem mógł odegnąć złe wspomnienia. Rankiem czternastego października, oślepiony i załamany, został przewieziony do szpitala w Pasłęku. Tutaj zastała go wiadomość o kapitulacji Niemiec i końcu wojny. W tej samej sali, pod oknem, leżał inny oślepiony pod Ypres, wynędzniały gefrajter. W nocy płakał jak małe dziecko, zapewne obawiał się – podobnie jak Kukulka – że nigdy nie odzyska wzroku. Wachmistrz dobrze zapamiętał ten płacz: ciche kwilenie, które nad ranem zamieniało się w zwierzęce wycie. Dużo później dowiedział się, że ten gefrajter nazywał się Adolf Hitler.

Mimo wszystko wczoraj jednak przesadził. Musi się wziąć w garść, musi. Każdy ruch głową powodował nieznośny ból i nawrót odruchów wymiotnych.

Ale dwa fakty dotarły do tego umęczonego czerepu w jednej chwili, i to z zadziwiająca jasnością. Po pierwsze, znał tę kobietę, która stała teraz przed nim w służbowym mieszkaniu państwa naczelnikostwa na piętrze budynku kwidzyńskiej poczty. Po drugie, wiedział, co stanie się za chwilę...

Nie mógłby jej zapomnieć, tak jak nic nie mogło zatrzeć wspomnienia tej koszmarnej nocy w Langfuhr... Choćby z uwagi na cenę, jaką później obaj zapłacili, włącznie ze zsyłką na to zadupie. W każdym razie Abell nigdy nie powracał do tych wydarzeń. Nigdy też, choć okazji ku temu nie brakowało, nie dał mu odczuć, że żałuje, że niepotrzebnie się za nim wstawił. Przeciwnie, nawet gdy

dostali kopa, wziął go ze sobą. Kukulka szanował go za to, tym bardziej że nigdy żadne podziękowanie nie przeszło mu przez gardło.

W każdym razie tamtego dnia pili obaj, w południe jeszcze w komendzie, pili po południu i pili wieczorem. Abell, świeżo po rozstaniu z żoną, był załamany i chmurny. Na propozycję wachmistrza postanowili ten pijacki dzień zakończyć w burdelu w Langfuhr, na osiedlu Hochstriess, niedaleko domu Abella. Kukulka bywał tam już wcześniej, Abell zawitać miał po raz pierwszy. Wachmistrza czasami zastanawiał wstrzemięźliwy stosunek radcy do kobiet. Nie, nie był homoseksualistą, co to, to nie. Raczej: był wybredny. Tak jakby nosił w sobie jakąś tajemnicę czy traumę. Może zresztą dlatego tak podobał się kobietom. Kukulka rejestrował te spojrzenia gdańskich damulek przychodzących do komendy, ich tęskny wzrok, którym wodziły za radcą... Same pchały się w ręce. Jego zdaniem Abell był po prostu głupi, nie korzystając ze sposobności.

Ale tego wieczoru miało być inaczej. W foyer burdelu Kukulka od razu zobaczył zjawiskową blondynę. Widział ją tu pierwszy raz. Przezroczysty peniuar opinał kształtne ciało, ukazując długie nogi, płaski brzuch i wielkie, wysoko podniesione piersi. Była mocno umalowana. Nigdy nie spotkał równie podniecającej kurwy. Zauważyła jego rozogniony wzrok. Zdaje się, że początkowo bardziej interesował ją milczący Abell, który pozostał jednak obojętny na jej zachęcające spojrzenia. Ale potem widocznie uznała, że jeśli nie da się mieć z tego i pieniędzy, i przyjemności, to muszą wystarczyć same pieniądze. Z lekkim uśmiechem wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą na górę. Powiedziała, że ma na imię Heidi. Abell dalej stał niezdecydowany, oparty niedbale o metalowy blat baru. Pożegnał ich kpiącym machnięciem dłoni. Tak jakby mówił: „Idźcie się pieprzyć, a ja tu zostanę i może zgadnę, co tu w ogóle robię...”.

W buduarze Heidi ściągnęła z niego całe ubranie. Robiła to powoli, niespiesznie, jakby bawiąc się jego podnieceniem. Zapamiętał brokat pościeli, wielkie lustro na suficie, w których odbijały się jej sterczące piersi i jego wychudłe, kościste ciało. Uklękła przed nim. I właśnie wtedy, gdy poczuł jej usta, drzwi otworzyły się z impetem, prawie wyrwane z zawiasów potężnym kopnięciem. Heidi odskoczyła gwałtownie. Do środka wtoczył się pijany w belę, wielki, wściekły grubas. W lewej ręce trzymał rewolwer. Przekrwionymi, nieprzytomnymi oczami mierzył Kukulkę.

– Spierdalać! *Raus!* – Wrzasnął, dźgając go lufą w pierś. Drugą pięścią zdzielił Heidi między oczy. Poleciała na ścianę jak szmaciana lalka. – Mówiłem ci, kurwo, że przyjdę dzisiaj do ciebie, a ty się gzisz z jakimś wszarzem! Miałaś czekać! – ryknął ochryple.

– On sam się tutaj wdarł, przysięgam, mówiłam, że jestem zajęta, ale nie słuchał, taki był napalony... – odpowiedział mu skowyt spod ściany.

Wachmistrz starał się nie tracić rewolweru z pola widzenia. Lufa zataczała

w powietrzu nieregularne kręgi, zawsze wracając przed jego czoło. Wytrzeźwiał w okamgnieniu. Dławiła go wściekłość. I w chwili, gdy zdecydował się na kopnięcie byka w podbrzusze, nagle go rozpoznał. Jak mógł nie poznać wcześniej tego bydlaka! Tego cielska i wiecznie sinoczerwonego ryja! To był komisarz Schwarzgruber, jego zwierzchnik z komendy. Ta sekunda zawahania go zgubiła. Poczł tylko nagły ruch powietrza i kościana kolba trafiła go w skroń. Zachwiał się, światło w głowie nagle zgasło i zapaliło się na nowo, ale wtedy potężne uderzenie w wątrobę zgięło go wpół. Schwarzgruber wiedział, jak i gdzie bić. Zapadając się w ciemność, usłyszał jedynie przeraźliwy krzyk Heidi i wzmożony szum własnej krwi.

Gdy odzyskał przytomność, wszystko wyglądało już inaczej. Tak jakby zmieniły się dekoracje i aktorzy tego absurdałnego przedstawienia. Schwarzgruber klęczał teraz na podłodze, charcząc i plując krwią, a nad nim stał wysoki cień, okładając go wściekle kolbą rewolweru po łysej potylicy.

– A teraz ssij, skurwysynu, przecież chciałeś sobie possać, prawda? – Cień wetknął lufę w usta komisarza, wbijając mu ją w gardło i przełyk.

W drzwiach pojawiła się małpia głowa ciecia, który pół godziny wcześniej wpuszczał ich do lokalu, ale wycofała się natychmiast, gdy Abell wyjął skrwawioną lufę i skierował ją ku drzwiom.

– Rozpoznałem was, skurwysyny, drogo mi za to zapłacicie, zwłaszcza ty, Abell – dobiegł ich znad podłogi nienawistny charkot.

– Doprawdy, Schwarzgruber, doprawdy? – Abell znowu pochylił się nad wstrząsanym torsjami cielskiem. – Może i tak, pod warunkiem że w ogóle przeżyjesz. Ale jeśli nawet pan wachmistrz daruje ci życie, świnió, to zapamiętasz na zawsze, że jak pana Kukulkę obsługuje panienska, to się czeka na swoją kolej? Zrozumiałeś, tłusty wieprzu?! A ty także zachowałeś się bardzo nieładnie – zwrócił się nagle do Heidi, która z okrzykiem przestachu zakryła twarz poduszką...

...Teraz Heidi nie zakrywała swojej twarzy. Przeciwnie, przeistoczona w panią naczelnikową, spoglądała na wachmistrza zalotnie, z rozbawieniem obserwując jego zmieszanie. Ten niezgrabny, kościsty mężczyzna o ospowatej twarzy, który przedstawił się jako podoficer policji, patrzył na nią tak, jakby zamierzał ją tu od razu schrupać. „Nie dla psa kiełbasa, policyjny kundlu”. Albo jakby zobaczył upióra.

Wachmistrz odchrząknął.

– Pan radca Abell kazał mi zadać pani tylko jedno pytanie.

– A mianowicie? – Ingrid Ost bawiła się bursztynowym naszyjnikiem na szyi: wiedziała, że takie operacje zawsze przyciągają wzrok mężczyzn we właściwe miejsce.

– Czy pani zdaniem wielebny Gerhard Platzeck stawał na wysokości zadania?

– Co proszę? Jak mam to rozumieć, bo chyba nie śmie pan... – Chabrowe oczy załśniły oburzeniem, bursztyn znieruchomiał.

– Chodzi o to, czy mu przy pani stawał, proszę pani – wyjaśnił uprzejmie wachmistrz.

– Co?! Jak pan śmie!

Ingrid Ost wstała gwałtownie, ale z godnością, Tak jak powinna zareagować w takiej sytuacji pani naczelnikowa, żona szacownego obywatela miasta, która po latach kurwienia się i poniewierki dochrapała się wreszcie pewnej pozycji i stabilizacji. Choćby w zamian musiała oddawać się temu prostakowi, panu mężowi, śmierdzącemu ciągle pocztowym klejem i przetrawionym piwskim.

– Proszę się nie unosić, pani naczelnikowo – powiedział Kukulka, który od dłuższej chwili nie spuszczał wzroku z jej dekoltu. – Pytamy, bo zastanawiamy się, czy bardziej odpowiadało mu dogadzanie mężatkom, czy może wolał mężczyzn?

Chciała zignorować również i to absurdalne pytanie, ale w oczach tego dziwnego policjanta zobaczyła coś tak niepokojącego, że odparła cicho:

– Powtarzam, że plotki o moim romansie z tym klechą to wierutne bzdury, panie podoficerze. Ale jednocześnie mogę zapewnić policję, że moim zdaniem, jak sądzę na podstawie... nazwijmy to, osobistych obserwacji, ksiądz był absolutnie normalny. Czy to już wszystko? – Ingrid Ost miała dość tej dziwnej rozmowy.

Kukulka uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zadziwiająco białe i równe zęby.

– To, co najlepsze, dopiero przed nami, Heidi.

Na dźwięk tego imienia pani Ost drgnęła, jakby przeszedł ją elektryczny impuls. Spojrzała na wachmistrza z niedowierzaniem. Nie, to nie mogła być prawda, nie teraz...

– Radca Abell kazał pani przekazać, że stare długi należy spłacać. Liczy, że wykona pani już opłaconą usługę i że uczyni to pani z właściwym sobie kunsztem i oddaniem. Nie chce pani szkodzić, ale jeśli będzie musiał... Rozumiesz, Heidi?

Kobieta skamieniała. Tylko jej źrenice się powiększyły, jakby dopiero teraz dotarło do niej wspomnienie pewnej krwawej nocy, przed którym uciekła aż tutaj i które znowu ją dopadło. Zagryzła wargi. A potem, jakby podejmując decyzję, skinęła głową i utkwiała w wachmistrzu swoje wystudiowane spojrzenie ladacznicy, które otwierało jej niegdyś portfele bankierów, biskupów, bogatych Żydów i komisarzy policji.

– Zaczniemy w tym samym miejscu, w którym wtedy przerwaliśmy, tam w burdelu na Hochstriess. A potem coś jeszcze wymyślę... – Kukulka zaczął rozpinać marynarkę.

W kilka minut później radca Abell przejeżdżał adlerem koło poczty. Na schodach budynku zobaczył czerwonego ze złości naczelnika Osta, rugającego kierowcę furgonu pocztowego. Spojrzał w górę, w stronę mieszkania Ostów.



W jednym z okien, za szybą i firanką, zauważył postać kobiety opartej łokciami o parapet. Muślinowa zasłona opinała jej głowę, miarowo uderzającą o szybę. Z tyłu rysował się jakiś cień, który nieubłaganie napierał i falował razem z poruszającą się kotarą.

Pani naczelnikowa ciężko pracowała na swoją przyszłość.

2.

Abell zajrzał przez judasza do pokoju przesłuchań. Nigdy nie lubił tego dusznego, klaustrofobicznego pomieszczenia o nisko zawieszonym suficie, gdzie zawsze cuchnęło lizolem i ludzkim potem. Dębowy stół pokryty był liszajowatym ornamentem, złożonym ze starych plam po kawie, tłuszczu i atramencie. Na dnie szpary biegnącej skosem przez środek stołu można było dojrzeć smugę zwietrzałej krwi, która wyglądała jak płatek wyblakłego polnego maku.

Sackel siedział lekko odchyłony do tyłu. Oczy miał zamknięte, tylko po twarzy przebiegał mu co kilka sekund nerwowy skurcz, który starał się powstrzymać zaciskaniem wydatnej szczęki. Wydawał się pogrążony w drzemce, ale w rzeczywistości trawił go paniczny lęk przed każdą nadchodzącą sekundą. Jego życie skończyło się kilkanaście godzin wcześniej. Gwałtownie drgnął na odgłos otwieranego rygla.

Radca usiadł naprzeciwko i uśmiechnął się do niego.

– Właściwie powinienem ci podziękować, Sackel, naprawdę jestem ci wdzięczny. – A widząc zdumienie w oczach organisty, kontynuował miękko, uspokajającym głosem: – Widzisz, trafiło mi się śledztwo w sprawie dwóch, nazwijmy to, nietypowych zabójstw. Trudna sprawa, pomyślałem. Pewnie to robota jakichś popaprańców, których pełno w tych czasach upadku dobrych obyczajów. Mógł to być jakiś zdradzony mąż, z rogami do sufitu. Albo opętany ateista czy komunista nienawidzący klechów. Może przybył z daleka, żeby wywołać zamieszanie albo i rozruchy w naszym spokojnym, bogobojnym miasteczku? Ale równie dobrze sprawcą mógł być jakiś kompletny świr, rojący swoje zbrodnicze plany w samotności, gdzieś w zatęchłej piwnicy. I znajdź tu takiego, szukaj wiatru w polu. Widzę po twoich oczach, Sackel, że już zaczynasz ogarniać to, co mówię. A nawet wydaje mi się, że dostrzegam błysk współczucia w twoim oku. Rozumiesz więc, że miałem poważny kłopot, bo śledztwo kręciło się wokół własnego ogona, a zwierzchnicy naciskali bezlitośnie... No sam wiesz, jacy potrafią być zwierzchnicy, poznałem przecież twojego proboszcza, szkoda gadać...

Organista zamrugał opuchniętymi powiekami. Nie miał pojęcia, ku czemu zmierza ten dziwny policjant, ale instynkt podpowiadał mu, że tak czy owak na koniec usłyszy trzask zamykanych sideł.

Radca nalał wody do dwóch szklanic z grubego szkła i uprzejmym gestem

poczęstował przesłuchiwanego. Sackel trzęsącą się ręką podniósł szklanekę do ust. Pił łapczywie, jakby schładzając cały spalający go żar strachu, wstydu i upokorzenia.

– Konkludując, Sackel, spadłeś mi jak gwiazdka z nieba, można powiedzieć.  
– Abell z widoczną przyjemnością pociągnął duży łyk krystalicznie zimnej wody.  
– Okazało się bowiem, że rozwiązanie zagadki może być prostsze, niż sądziłem. A właściwie, że można je znaleźć na tym samym podwórku, by tak rzec...

– Na tym samym podwórku? – Organście kręciło się w głowie, pobielone wapnem ściany falowały i napierały na niego, niczym ramiona olbrzymiego imadła.

– Nie bądź taki skromny, Sackel. Chodzi o to, że rozwiązaniem, którego szukam, możesz być właśnie ty. A teraz skup się i odpowiadaj precyzyjnie na moje pytania. Zdajesz sobie sprawę, jak ważne jest to przesłuchanie?

Reakcją był prawie niedostrzegalny ruch opuchniętych powiek. Białe ściany przestały falować i zatrzymały się w miejscu.

– Jakie relacje łączyły cię z księdzem Gerhardem Platzeckiem?

– Przyjacielskie. Lubiłem jego towarzystwo, chyba z wzajemnością.

– O czym rozmawialiście?

– Gerhard był nietuzinkowym człowiekiem. Przerastał swoje otoczenie. Miał wielorakie zainteresowania. Bardzo ciekawiły go katedralne organy. Przychodził posłuchać, jak na nich gram, lubił *Toccatę d-moll*.

– Zapytam wprost. Czy utrzymywałeś homoseksualne kontakty z księdzem Platzeckiem?

Organista rozpaczliwie próbował zapanować nad zdenerwowaniem. Ten człowiek siedzący naprzeciwko nie miał pojęcia, czym jest oddanie, czułość i prawdziwa, czysta miłość. Straszliwie go krzywdził, nawet nie wiedział jak bardzo. Jeszcze dotkliwiej kalał pamięć o Gerhardzie. Sackel spodziewał się tego pytania, a jednak, gdy je usłyszał, odebrało mu dech. Było wrogie, brudne, napastliwe – tak samo jak ten cyniczny, bawiący się nim oficer. W innej sytuacji spróbowałby go ukarać, mocno ukarać, ale teraz musiał walczyć o utrzymanie się na powierzchni. Inaczej ściany tego policyjnego imadła znowu ruszą i zmiążdżą go jak łupinę orzecha.

– To potwarz. Brudna potwarz. My nigdy... Nigdy nie... nie w ten sposób...

– A w jaki?

– Powiedziałem już. Nigdy nie... nie obcowałem cielesnie z Gerhardem, jeśli to pan miał na myśli...

– Czy kochałeś księdza Gerharda?

– Nie, to nie tak! – Organista ukrył twarz w dłoniach. – To kłamliwe oskarżenie!

– O nic cię jeszcze nie oskarżam. Zadaję pytania, Sackel, i wymagam od

ciebie prawdziwych odpowiedzi. Sam wpędziłeś się do tego nieprzyjemnego pomieszczenia, ale jeszcze możesz sobie pomóc. Dlaczego uciekłeś, gdy zapytałem cię o związek z księdzem Gerhardem?

– Bałem się...

– Jeśli nic cię nie łączyło z księdzem, to czego się bałeś?

– Właśnie takich oskarżeń, podejrzeń, wstydu... Byłem spłoszony... wstrząśnięty... Wiedziałem, że Gerhard nie żyje, ledwie parę dni wcześniej z nim rozmawiałem, a teraz on był już zimny. Słyszałem, że umierał w męczarniach, to takie niesprawiedliwe. Był dobrym, wspaniałym człowiekiem. Ale na pewno nie moim kochankiem. – Po raz pierwszy od początku rozmowy Sackel podniósł pewniej głowę.

– Rozumiem, też byłbym wstrząśnięty, gdyby zaszlachtowano mi kolegę z pracy. – Abell wymownie spojrział w lustro weneckie, za którym przysłuchiwali się temu Bock i Vranitzky. Przez chwilę przeglądał swój notes, po czym wyjął z niego plik fotografii i rzucił je na stół. Światło z lampy pod sufitem padło na nagie torsy i ciała splecione w dziwnie ekwilibrystycznym uścisku. – A jak to wytłumaczysz?

Wrażenie było piorunujące. Sackel zbladł i z niedowierzaniem wpatrywał się w zdjęcia. Jego twierdza właśnie rozsypała się w proch, grzebiąc ostatnią, nikłą nadzieję na ocalenie.

– Znaleźliśmy te pornograficzne fotki w skrytce, w twoim pokoju. Należą do ciebie. A to oznacza, Sackel, że jesteś zwykłą ciotą. – Słowa Abella smagały go niczym ostrym pejczem. – Nie muszę ci tłumaczyć, że każe nam to spojrzeć inaczej na twoją fascynację księdzem Gerhardem, który nie może nam, niestety, opowiedzieć sam o waszej... nazwijmy to, szczególnej więzi. Zwłaszcza że znaleźliśmy jeszcze coś...

Kolejne zdjęcie, rzucone w powietrze niczym mały papierowy latawiec, opadało powoli na stół. Ksiądz Gerhard sfrunął pomiędzy umięśnione pośladki i ekstatycznie wykrzywione twarze, spoglądając z wyrzutem na organistę.

– Czy nadal twierdzisz, że nic cię nie łączyło z księdzem? Raczej trudno będzie ci przekonać mnie, że mianem „moje serce” na sekretnej fotografii nazywasz przyjaciela, a nie kochanka, prawda? Wiemy więcej, Sackel, niż sądzisz. Potrafimy przymknąć oko na grzeszną namiętność... Za to nie grozi stryzynek... Ja osobiście jestem tolerancyjny w tych sprawach. Ale na morderstwo ze szczególnym okrucieństwem już tak nie patrzę... Musimy poznać całą prawdę. Przyznaj się, zabiłeś Platzecka? – Abell podniósł głos. – Dlaczego to zrobiłeś? Z zazdrości, ze złości, dlaczego?

Organista spojrział na niego umęczonym wzrokiem.

– Nie zrobiłem tego. Nigdy bym tego nie zrobił. Właśnie dlatego, że tak bardzo go kochałem.

– Miłością platoniczną? – rzucił sceptycznie radca, pocierając skronie.

– Nigdy go nie dotknąłem, choć śniłem o nim każdej nocy. Nie wiem, czy o tym wiedział, czy się domyślał... Nie zdążyłem go zapytać... W każdym razie nie odtrącał mnie, był mi bliski jak brat...

W krótkich, przerywanych westchnieniami zdaniach popłynęła opowieść o słodkiej, narkotycznej truciznie, o fascynacji człowiekiem, który na nieszczęście był księdzem. Różniącym się od innych, ciepłym, mądrym, uważnym i lubianym przez ludzi. A przy tym męskim i wysportowanym. Zapraszał organistę na wycieczki rowerowe szlakiem rycerskich ruin w Gniewie, Sztumie i Malborku. Lubili spędzać ze sobą czas, uciekając od bezdusznego drylu i smutku panującego na plebanii. Siadywali przy rowach obsypanych jaskrawożółtym mleczem, łowili ryby w potoku, patrzyli w niebo, żując w zębach żdźbła trawy, rozmawiali o literaturze i fugach Bacha. Wiezorami rozpalali ogniska pod gołym niebem, Bernard, rozpierany radością, znosił chrust z lasu, a Gerhard śpiewał skautowskie piosenki swoim zadziwiająco dźwięcznym i mocnym głosem. To były szczęśliwe dni, czyste, niedookreślone, a jednak pełne nadziei...

Tylko raz pojawił się jakiś cień, szczelina, rysa na tym szczęściu... Wtedy, gdy pływając w rzece, przypadkowo – a może nie? – dotknął delikatnie jego mokrego torsu. Zapamiętał ten nagły chłód w oczach Gerharda, który odepchnął go gwałtownie. „No co ty?!” On roześmiał się wtedy szeroko jak z dobrego żartu. „Chyba nie myślałeś, że...? Nie wytrzymam, Gerhard, przyznaj się, dałeś się oszukać...”. Śmiał się z tego swojego żartu szeroko, głośno; zanosił się śmiechem tak długo, aż zobaczył w oczach tamtego najpierw zaskoczenie, a potem uspokajający wyraz rozbawienia...

Abell poczuł się zmęczony. W tym śledztwie od początku nic nie układało się, jak należy. Miał wrażenie, że im bardziej zbliża się do sedna, tym więcej pojawia się pytań, zwrotów akcji, niejasnych motywów i niespodzianek. Sackel mógł kłamać, to oczywiste. Na pewno mógł też zabić księdza: nieważne, czy jako kochanka, czy jako przyjaciela odrzucającego jego zaloty. Wyglądało na to, że organista jest zdeklarowanym homoseksualistą, jednym z tych nieszczęśników skrywających się po spelunach i ciemnych dziurach całej Republiki Weimarskiej; odmieńców, maskujących się w obawie przed wykluczeniem, wstydem i opinią publiczną. Pornograficzne zdjęcia, które chował w zegarze, nie pozostawiały żadnych wątpliwości w tym względzie.

Ale nawet jeśli tak było, to nierozwiązana pozostawała kwestia zabójstwa księdza Webera. Jaki związek łączył obie te zbrodnie? Abell od początku przyjął założenie, że sprawca jest ten sam, że mordowały te same ręce. Instynktownie czuł, że to właściwy trop. Ale rozrzucone puzzle uparcie nie chciały trafić na swoje miejsce. Kiedyś w berlińskim muzeum techniki oglądał pierwsze, osiemnastowieczne puzzle Johna Spilsbury’ego. Były niezgrabne, postrzępione

brzegi ledwie pasowały do siebie. Tak jak teraz jego myśli. W przypadku pierwszej ofiary, księdza Gerharda, motywy zbrodni nasuwały się same: zazdrość, kłótnia kochanków, niezaspokojona żądza albo też odrzucenie i wywołana tym wściekłość. Ale dlaczego taki sam los spotkał księdza Albrechta? Czegoś się domyślał, coś zaobserwował, jakiś czuły gest, muśnięcie dłoni, głodne spojrzenie, przelotny pocałunek w kruchcie czy zakrystii? Był niebezpiecznym świadkiem, któremu należało zamknąć usta, może szantażystą? Tyle tylko, że wielebny Albrecht nie bardzo nadawał się na szantażystę. Sam mógł zostać łatwo zaszachowany przez kogoś, kto poznałby jego sadomasochistyczne upodobania do podniecających seansów w domku Brigitte Calz. W tak niewielkim mieście tajemnice nie utrzymują się zbyt długo. Prędzej czy później stają się własnością wszystkich.

Radca zmierzwił palcami włosy. Woda w szklance była już nieprzyjemnie ciepła – gęste, duszne powietrze wyciągnęło z niej cały chłód. Albrecht! Komisarz von Bock zarzucił mu ostatnio, że nie skupia się należycie na tej zbrodni. Ale chwytając mordercę Platzecka, będzie miał w ręku sprawcę obu zabójstw. Pozostaje jeszcze wyjaśnić zeznanie tego młodego ministranta i zachowanie proboszcza Hoenessa w zakrystii. Stanowczo za wiele działa się ostatnio na parafialnym poletku. Za mało Boga, za dużo krwi.

Na korytarzu, przed wejściem do sali przesłuchań, czekał na niego komisarz von Bock.

– Macie dobre podejście do pedałów, Abell. Przymkniemy tego Sackla na kilka dni. Myślę, że skruszeje. A potem go przyciśniemy. To wreszcie jakiś trop. Aha! – Trzepnął dłonią w wystającą mu z kieszeni gazetę, gdzie wytłuszczony nagłówek donosił: „Szef kwidzyńskiej NSDAP oskarżony!”. – Ciekawe rzeczy można przeczytać w dzisiejszej „Weichsel Zeitung” o naszym doktorze Naunie. To wasza sprawa? – zapytał, wręczając radcy gazetę.

– Nie mam z tym nic wspólnego, panie komisarzu. Policja nie może udostępniać prasie żadnych informacji z toczącego się śledztwa. To surowo zabronione.

– Jasne, Abell. Ale coś mi się wydaje, że ten Georg Balla to wasz kompan od kieliszka.

– On stawia, panie komisarzu, głupio byłoby odmówić. Tak sobie siedzimy, popijamy i milczymy.

– No tak, oczywiście, wierzę wam na słowo – rzucił Bock z grymasem ironii. – Zresztą nie żał mi tego gada. Mam nadzieję, że ten jego gauleiter, Koch, teraz go usadzi. Za pobicie burżuja daliby Naunowi medal, ale próba wyłudzenia obrazu dla prywatnej korzyści, no, to im się nie spodoba.

Abell poszedł do swojego gabinetu i rozłożył gazetę na biurku. Zatopił się w lekturze. Przeczytał artykuł dwa razy, od deski do deski, i schował gazetę do szuflady. Georg doskonale się spisał. Tekst był dobrze udokumentowany, ale

dziennikarz nie ujawnił nazwisk swoich policyjnych informatorów. Wymowa artykułu była miażdżąca dla Nauna. Z tego już się nie podniesie, pomyślał Abell i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Wyobraził sobie starego Bohna w wielkiej kamienicy przy Marienburgerstrasse. Zapewne czytał powoli, wodząc palcem, linijka po linijce, a każde przeczytane słowo musiało brzmieć w jego uszach jak nuta Gustawa Mahlera wzlatująca ku niebu.

*Szef kwidzyńskiej NSDAP oskarżony!*

*Z dobrze poinformowanych źródeł redakcja dowiedziała się, że policja kryminalna zatrzymała w ubiegłą środę doktora Erwina Nauna, radnego miejskiego i szefa partii narodowosocjalistycznej w Marienwerder. Postawiono mu bardzo poważne zarzuty: wymuszanie korzyści majątkowych, szantaż oraz – co najbardziej szokujące – wydanie rozkazu ciężkiego pobicia siedemnastoletniego Daniela Bohna, syna powszechnie szanowanego właściciela domu towarowego i kilku sklepów w centrum miasta. Celem tego zaplanowanego i zrealizowanego z wyjątkowym okrucieństwem działania była chęć zagarnięcia cennego dzieła sztuki, pozostającego od pokoleń w posiadaniu mennonickiej rodziny Bohnów. Z naszych doniesień wynika, że chodzi tu o cenny obraz Lucasa Cranacha Starszego. Źródła bliskie policji poinformowały nas, że doktor Naun, najpierw szantażem, a potem groźbą i okaleczeniem młodzieńca, próbował zmusić pana Bohna do oddania mu obrazu. Kierując się dobrem rodziny Bohnów oraz ze względu na barbarzyński charakter samego czynu, postanowiliśmy oszczędzić czytelnikom drastycznych szczegółów samego pobicia.*

*Pikanterii całej tej szokującej sprawie dodaje fakt, iż doktor Naun to postać znana w mieście i jako radny miejski jest zobligowany do zachowywania szczególnie wysokich standardów etyki i moralności. Kierowana przez niego partia, NSDAP, w skali całej Rzeszy walczy o poparcie wyborców, żądając przede wszystkim moralnego oczyszczenia i postulując mocarstwowe odrodzenie Niemiec. Wśród haseł, którymi szermuje, znajdujemy także wezwania do walki z biedą, korupcją oraz rzekomą wszechwładzą Żydów i plutokracji, cokolwiek to znaczy. Wydaje się, że doktor Naun hasła te zrozumiał zbyt dosłownie, mając na uwadze głównie poprawę własnego statusu materialnego. Nie czekając na wypadki w całej Rzeszy, rozpoczął proces wyrównywania krzywd od siebie i próbował nabić sobie prywatną kabzę cudzym kosztem. Okazało się, że w tym przypadku burżujskie złoto nie śmierdzi – tylko wręcz oślepia. Nasze źródła donoszą, że sprawcami pobicia byli dwaj członkowie SA, działający na bezpośredni rozkaz swojego zwierzchnika. Obaj pozostają w dyspozycji policji i jak się dowiedzieliśmy – składają obszerne wyjaśnienia obciążające doktora Nauna. Jeden z nich, Manfred Stielike, zostanie także oskarżony o próbę zabójstwa oficera policji na służbie. Dla dobra śledztwa nie podajemy szczegółów tego równie bulwersującego wydarzenia.*

*Ciężko pobity Daniel Bohn, który przez kilka dni balansował na granicy*

*życia i śmierci, przebywa już w domu rodzinnym. Jak poinformował nas doktor Albert Bernstein z kwidzyńskiego szpitala, opiekujący się chorym, stan jego zdrowia powoli ulega poprawie. Podobno na policję i władze rejencji wywierano naciski, aby zamieść pod dywan tę kompromitującą dla nazistów sprawę. Dzięki „Weichsel Zeitung”, która jak zawsze hołduje tylko prawdzie i służy obywatelom, zamiar ten spalił na panewce. Trudno o dobrą puentę tej skandalicznej i szokującej historii. Po dłuższym namyśle postanowiliśmy zakończyć ją apelem do gauleitera NSDAP w Prusach Wschodnich, Ericha Kocha: niech nam pan oszczędzi takich siepaczy, hipokrytów i złodziei jak doktor Naun! Dżumy nie można leczyć cholera, panie gauleiterze.*

*Georg Balla*

### 3.

Proboszcz Hoeness wyglądał na bardzo strudzonego. Dopiero przed dwiema godzinami wrócił z długiej podróży do Olsztyna. Był już trzeci września, ale upały nie chciały odpuścić. Pociąg włókł się niemiłosiernie. Stawał na każdej, nawet najmniejszej stacyjce, niczym zwiastun cywilizacji, ciągnąc za sobą smolistą smugę dymu, rozplywającą się gdzieś nad opustoszałymi polami Prus Wschodnich. Tylko gdzieniegdzie horyzont przecinały pionowe kreski kościołów, piramidy zżętego siana i ceglane bryły domostw.

Prusy się wyludniały. Widać to było gołym okiem. Kraj był podobny do rajy, ale bez niemieckiego Adama i niemieckiej Ewy. Proboszcz ze ściśniętym sercem pomyślał, że tuż za pobliską granicą matka natura przywracała stosowne proporcje pomiędzy ziemią, niebem i ludźmi. Gromady jasnowłosych Słowian gnieździły się w biednych, zakurzonych miasteczkach. Harde i dumne, niczym plemię barbarzyńców, które tylko czeka, aż odwieczny wróg osłabnie, aby wyruszyć na północ i ponownie zawładnąć opustoszałą krainą bauerów i junkrów.

Był zmęczony i przybity. Biskup kazał na siebie czekać, a podczas krótkiego posłuchania rugał go jak nigdy przedtem. „Te morderstwa szkodzą Kościołowi, zawiedliście moje zaufanie, Hoeness...”. Także wieści, które przekazała mu telefonicznie gospodyni, nie wróżyły nic dobrego. Platzeck, Weber... a teraz rewizja w mieszkaniu organisty. Co więcej, na plebanii, zamiast zasłużonego odpoczynku, czekała go przykra niespodzianka w postaci tego aroganckiego oficera, który nawet nie wstał na jego powitanie. Drugi z policjantów, w którym rozpoznał mrukliwego wachmistrza, większą uwagę poświęcał swoim dłoniom niż osobie gospodarza.

– Mam tylko jedno pytanie, księżę proboszczu. – Abell nie bawił się w formalności. – Zapewne nie unikniemy formalnego wezwania na komendę, ale

spróbujemy... Być może rozwiązanie kwestii, która mnie nurtuje i o którą chcę księdza zapytać, będzie prostsze, niż można by się spodziewać.

Hoeness niechętnie zaprosił ich do swojego pokoju. Umył ręce w emaliowanej miednicy z wodą, którą gospodyni przezornie pozostawiła mu na stoliku, i ciężko opadł na fotel. Radca, obserwujący każdy jego ruch spod półprzymkniętych powiek, otworzył notes.

– Interesuje nas treść burzliwej rozmowy z księdzem Gerhardem Platzeckiem, jaką odbył ksiądz w zakrystii katedry pod koniec lipca. Jej świadkiem, jak ksiądz wie, był ministrant, młody Polak, niejaki Janek Wojciechowski. Niewiele rozumie, niewiele słyszał. Ale twierdzi, że doszło wtedy do jakiejś gwałtownej kłótni. W każdym razie rozpoznał dwa głosy: księdza proboszcza i księdza Platzecka. Z oczywistych względów wolelibyśmy od księdza usłyszeć, co naprawdę tam zaszło... Ksiądz Gerhard nie żyje, szukamy trochę po omacku, ale każda tego rodzaju wiadomość, nawet pozornie nieistotna, może się kiedyś przydać...

– Wojciechowski! To tylko Polak! I jak wielu jego rodaków, złodziej i kłamca – przerwał mu gniewnie proboszcz.

– Być może, być może... Ale teraz nie interesuje mnie domniemana kradzież kilku fenigów z kościelnej tacy. Pytam o kłótnię w zakrystii.

– Trudno to nazwać kłótnią. – Hoeness wygładził sutannę na kolanach.  
– Między mną a wikarym doszło do pewnej, nazwijmy to, różnicy zdań.

– Na jaki temat?

– Wolałbym o tym nie mówić. To doprawdy nieistotne.

– Nieistotne? – Radca uniósł brew. Ten uparty starzec zaczynał go irytować.

– To może przypomnę, że w odstępie zaledwie trzech dni w okrutny sposób pozbawiono życia dwóch księży z tej parafii. Jeden z nich, ksiądz wikary zresztą, miał rozległe zainteresowania, obejmujące także eksplorację tutejszych mężatek. Drugi chętnie korzystał z usług prostytutki. A obaj byli pod dachem jednej parafii, pod opiekuńczymi skrzydłami księdza proboszcza. Ruja i poruja, jak mawia nasz wachmistrz Kukulka. Pierwsza z ofiar, na kilka dni przed śmiercią, wdaje się z księdzem w kłótnię, dochodzi do rękoczynów, w powietrzu latają meble... A ksiądz twierdzi, że to nieistotne?!

– Chciałbym pomóc, ale nie mogę – odparł z uporem starzec. – To była sprawa między nami, czysto osobista. Choćby przez wzgląd na pamięć zmarłego nie chcę i nie powinienem wyciągać jej teraz na światło dzienne.

– Do tej pory traktowałem księdza proboszcza z należyтым szacunkiem. Chociażby z uwagi na wiek i duchowne szaty. – Radca mówił wolno, dobitnie wymawiając każde słowo. – Ale to się w każdym momencie może zmienić.

– Czy to groźba? – Hoeness, nie kryjąc wzburzenia, poruszył się gwałtownie na fotelu. – Jak pan śmie, nie pozwolę się tak traktować...



– Słyszeliście tu jakąś groźbę, Kukulka? – zwrócił się radca do stojącego obok wachmistrza.

– W żadnym wypadku, panie radco. – Wachmistrz nie przerywał oględzin dłoni, na których wciąż były ślady zadrapań po namiętnych zapasach z panią naczelnikową. – A przecież moja świętej pamięci mamusia zawsze powtarzała: „Willi, ty może nie jesteś ładne dziecko, ale jaki ty masz słuch, chłopcze, jaki słuch! Ty słyszysz nawet, jak żaby pierdzą w trawie!”.

– Radzę ze mną nie igrać, księżę proboszczu. Sprawy zaszły zbyt daleko. Zacznijmy raz jeszcze, jak oficer państwowej policji z porządnym obywatelem. O co poszło z księdzem Platzeckiem? Jakże ksiądz miał do niego pretensje?

Posępny starzec milczał kilka sekund. Wreszcie podniósł głowę, jakby podjął decyzję.

– Miałem wikariuszowi za złe, że nie dopełnia właściwie swoich obowiązków.

– A mianowicie?

– Jako proboszcz miałem wiele dodatkowych powinności, w Partii Centrum, na prośbę biskupa, także innych... Często wyjeżdżałem. Codzienne kierowanie sprawami parafii, remontem katedry, doborem ministrantów zostawiałem wikaremu. Był młody, energiczny, horyzontami myślowymi wyrastał ponad otoczenie. Pochłaniał książki. W swoim czasie myślałem, że dla naszej parafii taki ksiądz to prawdziwy skarb. Do tego wszystkiego potrafił zaskarbić sobie sympatię parafian. W krótkim czasie ruszyła zbiórka funduszy na rozbudowę organów. Przebywał u nas tylko kilka miesięcy, ale zdołał w tym czasie znaleźć paru zamożnych sponsorów...

– I kiedy to się zmieniło?

– Stopniowo zaczęły do mnie docierać pierwsze nieprzychylnie opinie, plotki...

– O zainteresowaniu płcią piękną?

– To też. Ale nie uwierzyłem, przynajmniej początkowo.

– Zapytał go ksiądz wprost o te plotki?

– Nie od razu, ale tak... po jakimś czasie....

– Co odpowiedział?

– Zaprzeczył. Próbował tłumaczyć, że tam gdzie jest młody, niegarbaty ksiądz, tak właśnie powiedział: „niegarbaty ksiądz”, zawsze wezmą go na języki. Nie miałem powodów, aby mu nie wierzyć. Dziś także nie mam pewności, jak było naprawdę. Potem pojawiły się głosy, że zaniedbuje plebanię... W każdej wolnej chwili wyjeżdżał na zamek malborski. Zacząłem żałować, że na to przyzwoliłem. Miałem wrażenie, że pochłania go to bardziej niż służba Bogu... Powoli traciłem do niego zaufanie. To działo się stopniowo, tak jak kropla drąży skałę...

– Czy było coś, co przeważało szalę, jakieś konkretne zdarzenie, które

sprowokowało wymianę zdań w zakrystii?

– Miałem uwagi do doboru ministrantów. To ja zdecydowałem o przyjęciu tego małego złodzieja, Wojciechowskiego, do ministrantury. Do naszej parafii należy wiele rodzin polskich. Pan wie, co się dzieje po drugiej stronie granicy. Polacy uprawiają wścieklą propagandę przeciwko Rzeszy, szczują polską mniejszość przeciwko rządowi. Pomyślałem, że mądrzej będzie ich przygarnąć, niż odrzucić. W ten sposób, modlitwą i przykładem, szybciej ich zniemczymy.

– A później ksiądz sam oskarżył tego małego Polaka o kradzież?

– Szybko się na nim zawiodłem. To krętacz, okazało się, że do cna zdemoralizowany i niegodny służby przy ołtarzu Pana. Inni ministranci donieśli mi o jego grzesznej znajomości z jakąś polską dziewczyną. Chwalił się im, że z nią cielesnie obcował. – Hoeness wzdrygnął się ze wstrętem, po czym przeżegnał się żarliwie, jakby egzorcyzmując wyobrażenie występnego ministranta odkrywającego gdzieś w stogu siana smaki i zapachy dziewczęcego rozgrzanego ciała.

– Dlaczego w takim razie nie usunął go ksiądz z grona ministrantów?

– Zbliżyły się uroczystości Matki Boskiej Zielnej. Nasi parafianie, także Polacy, przykładają szczególną wagę do tych uroczystości. To święto plonów, ludzie zjeżdżają do katedry nawet z odległych wsi. Nie chciałem robić niepotrzebnego zamieszania... Ale potem zawahałem się. Pomyślałem, że ten zakłamaný chłopak nie powinien służyć do mszy podczas tak ważnego katolickiego święta. I to na oczach całej parafii! Powiedziałem o tym księdzu wikaremu, kazałem odesłać chłopaka. Wikary obiecał z nim porozmawiać. Wkrótce potem wyjeżdżałem, wezwany przez biskupa, i o sprawie, przyznaję, trochę zapomniałem. Gdy zorientowałem się, że Wojciechowski nadal służy do mszy, miałem pretensje do wikarego...

– I co odpowiedział ksiądz Platzeck?

– Zapewnił mnie, że rozmawiał z chłopakiem, a ten wszystkiemu zaprzeczył. Był podobno wstrząśnięty zarzutami. Ksiądz Platzeck miał się nawet przestraszyć, że ministrant zrobi sobie coś złego, jeśli go oddalimy. Wikary prosił, aby dać mu jeszcze szansę. Bronił go, obiecał, że będzie chłopaka uważnie obserwował. Niechętnie, ale uległem. Teraz tego żałuję.

– Okazało się, że chłopak podkrada pieniądze z tacy?

– Tak, osobiście go na tym przyłapałem.

– Jak ksiądz to zauważył? Przecież z tego, co pamiętam, kapłan dalej odprawia mszę, gdy ministrant, po zebraniu ofiary, udaje się sam na zaplecze, zapewne do zakrystii.

Na twarzy Hoenessa pojawiło się zniecierpliwienie.

– Nie wiem, czemu służy to indagowanie w tak oczywistej sprawie. Jako kapłan nie rzucałbym przecież bezpodstawnych oskarżeń, i to na własnego

ministranta. Od pewnego czasu miałem wrażenie, że datków z tacy, przeliczanych w zakrystii, jest mniej, niż być powinno. I to zawsze wtedy, gdy z tacą obchodził wiernych ten Polak.

– I co ksiądz zrobił? Złapał go na gorącym uczynku?

– Można tak powiedzieć.

– W jaki sposób? Przecież, powtórzę, celebrując mszę, nie mógł ksiądz tego uczynić.

– Miałem chłopaka na oku. Mszę świętą prowadził wtedy ksiądz Albrecht. Byłem w zakrystii, czekałem, aż chłopak znajdzie się w przejściu za ołtarzem. Wtedy zza półotwartych drzwi zauważyłem, że chowa zwitki banknotów do kieszeni.

– Czy w zakrystii przebywał w tym czasie ktoś jeszcze? Ktoś, kto mógłby potwierdzić te słowa?

– Chyba nie, byłem sam...

Abell postukał piórem w grzbiet notesu.

– A jak tłumaczył się przyłapany chłopak?

– Wyraźnie się spłoszył. Trząsał się jak galareta. Był zaskoczony, nie mógł wydusić słowa. Kazałem mu iść precz.

– Kiedy dokładnie do tego doszło?

Proboszcz zastanawiał się przez chwilę, bębniąc palcami po blacie stojącego obok klęcznika.

– Chyba dwunastego sierpnia, po poniedziałkowej mszy o osiemnastej.

– Jak rozumiem, bezpośrednią konsekwencją tego zdarzenia była ta kłótnia w zakrystii?

– Właśnie tak. Byłem zły na księdza Gerharda, że tak długo bronił tego, jak się w końcu okazało, małego złodziejaska, że zlekceważył moje zastrzeżenia. Przecież miałem rację. Wojciechowski nie zasługiwał na zaufanie, powinniśmy pozbyć się go już dawno temu.

– Kiedy konkretnie doszło do tej burzliwej rozmowy?

– Natychmiast, zaraz po oddaleniu chłopaka. Byłem rozgniewany, może dlatego rozmowa miała trochę zbyt gwałtowny charakter.

Radca obserwował palce proboszcza. Poruszały się w monotonnym rytmie, w sposób zupełnie wyabstrahowany od tempa i temperatury tej rozmowy.

– A więc: natychmiast... A przecież właśnie powiedział ksiądz, że w zakrystii nie było innych świadków, że przebywał w niej ksiądz sam. Jaki cudem pojawił się tam nagle ksiądz Platzeck?

Palce proboszcza znieruchomiały, gubiąc na chwilę rytm.

– Widzę, że próbuje pan stosować te wasze policyjne sztuczki. Ale to na nic... Po prostu się pojawił. Może czegoś zapomniał w zakrystii...

– Jaki przebieg miała ta rozmowa? – zapytał radca. – Padły jakieś ostrzejsze

słowa, zarzuty?

Proboszcz poruszył się niecierpliwie. Widać było, że wzbiera w nim zniecierpliwienie i niechęć.

– Powiedziałem kilka ostrych słów, podniosłem głos, przyznaję... Ale bez jakichś dramatycznych zarzutów. Nie robiłbym z tego tragedii, ksiądz Gerhard zasłużył na reprimendę od swego proboszcza i otrzymał ją.

– Myślę, że ksiądz kłamie, w wielu sprawach i z premedytacją – oznajmił zimno Abell, uważnie obserwując pobladłego nagle proboszcza. – Nie wiem jeszcze dlaczego, ale zaręczam księdzu, na pewno to ustalę...

Radca zarejestrował, że odpowiedź nie padła natychmiast. Widocznie święte oburzenie proboszcza zaspalo trochę na starcie.

– Jak pan śmie zarzucać mi kłamstwo! To niesłychane! Na pewno skarga na pańskie skandaliczne zachowanie dotrze do pańskich zwierzchników.

– I tak mam u nich fatalną opinię, ale proszę próbować. Myślę zresztą, że i renoma księdza trochę ucierpiała w ostatnim czasie. Wyjaśnijmy sobie jednak wszystko po kolei. Po pierwsze, ksiądz Platzeck nie mógł spierać się z księdzem proboszczem w poniedziałek wieczorem, dwa tygodnie temu. Sprawdziliśmy, przebywał cały dzień poza parafią, w Garnsee. Sam go ksiądz zwolnił. Kłótnia miała więc miejsce innego dnia.

Odpowiedziało mu głuche milczenie. Proboszcz wpatrywał się w niego wrogim, roziskrzonym wzrokiem.

– Po drugie, wasza wielbność, wersja o małym złodziejaszku nie trzyma się kupy. Chłopak pochodzi z dobrego domu. Kazałem go zwolnić z aresztu, odwiedziłem jego rodziców. – Radca odnotował zdziwienie na twarzy Hoenessa. – Chłopiec był dumny z tego, że jest jedynym polskim ministrantem. To nie obszczymurek ze slumsów, który połaszczyłby się na parę nędznych groszy... Na marginesie, to dziwne, że zapomniał ksiądz wspomnieć o wspaniałomyślnym datku rodziny Wojciechowskich na odbudowę katedralnych organów.

– Nie pytał pan o to... Poza tym jabłko czasami daleko pada od jabłoni...

– Oczywiście, ale powiedział ksiądz także, że spór z Platzeckiem to była zwykła kłótnia, nic dramatycznego, bez wielkich słów, po prostu wyrzuty niezadowolonego zwierzchnika wobec lekkomyślnego, zbyt łatwowiernego wikarego...

– I nadal to podtrzymuję.

– A czy rozpoznaje ksiądz te słowa, zacytuję z pamięci: „Zhańbiłeś sutannę i swoje powołanie. Zdrada! Grzęzniesz w kłamstwie i grzechu! Jak mogłeś mnie tak zawieść!”. Mają one chyba o wiele większy kaliber i są zupełnie nieadekwatne do opisanej przez księdza sytuacji, prawda?

Trafienie było celne. Hoeness nawet nie próbował ukryć zaskoczenia. Przeczucia nigdy go nie myliły. A już podczas pierwszego spotkania odniósł

wrażenie, że ten człowiek z odznaką przysporzy mu kłopotów. Nie uszanuje jego cierpienia, dylematów i rozpaczy. Ten bezbożnik przypominał ślepcę, nieczułego na rzeczy naprawdę ważne, uświęcone, wymagające wiary i oddania prawdzie. Przebywał w innym wymiarze, ale właśnie dlatego był tak niebezpiecznym wrogiem, bezmyślnym burzycielem świata, który proboszcz z takim wysiłkiem i poświęceniem budował przez całe swoje życie. Trzeba się mieć przed nim na baczności, to pewne.

– Ten mały szczur to panu powtórzył?

– Owszem, wasza wielbność. Przyznaję, nie powiedziałem całej prawdy na początku naszej rozmowy. Mały Wojciechowski dużo usłyszał. Powtórzył mi słowo w słowo, wszystko to, co padło za tymi drzwiami. I na pewno nie chodziło w tej sprzeczce o niego. Pytanie brzmi: o co chodziło?

– Nie wiem, co pan insynuuje. Już mówiłem, to notoryczny krętacz i kłamca.

– A ja myślę, że doskonale ksiądz wie, o co chodzi, i rozpaczliwie, od pierwszego dnia, próbuje ukryć przed nami istotę, sens tego koszmaru, który kosztował już życie dwóch księży, a chłopaka zaprowadził do aresztu. „Zhańbiłeś sutannę i swoje powołanie”. Oskarżenie o grzech, hańbę i zdradę? O jaką zdradę i hańbę oskarżał ksiądz Platzecka? Bo na pewno nie chodziło tu o tego małego Polaka. Może już czas zerwać zasłonę i ujawnić, co tak naprawdę działo się na tej wesołej plebanii, zaludnionej przez ekscentryków, dziwkarzy, kochających inaczej, a nawet, jeśli ksiądz się nadal upiera: złodziei? Czy mamy dalej przesłuchiwać tego pedała Sackla i prać kościelne brudy na oczach całej rejencji?

– Mój organista jest zatrzymany?! Słyszałem tylko o nieuprawnionej rewizji w jego pokoju! – Hoeness wstał gwałtownie, przewracając krzesło.

Dopiero teraz Abell uświadomił sobie, że proboszcz mógł nie wiedzieć o aresztowaniu organisty.

– Nie było księdza, nie chcieliśmy niepokoić... Zresztą mieliśmy nakaz. Co do aresztowania, Sackel stawiał opór, próbował ucieczki. Został zatrzymany do dyspozycji policji kryminalnej.

– Co mu zarzucacie?

– Jest zdeklarowanym homoseksualistą. Podczas przeszukania znaleźliśmy u niego pornograficzne zdjęcia. Obiektem jego uczuć był ksiądz Platzeck. Może być zamieszany w to zabójstwo.

Abell obserwował uważnie, jakie wrażenie na proboszczu zrobiła ta nowina. Ale na twarzy duchownego nie drgnął nawet jeden mięsień. Rozszerzone jeszcze przed kilkoma minutami źrenice były teraz puste i martwe.

– Sackel jest podejrzany o zabójstwo księdza Gerharda, być może z zazdrości... Badamy to. Czy domyślał się ksiądz czegoś, jeśli chodzi o organistę?

Proboszcz nie odpowiedział od razu, tak jakby przebywał w innym wymiarze, z dala od tej rzeki brudu i rozpusty, która teraz tu przepływała.

– Nie miałem o tym żadnego pojęcia, to wstrętne... Podąłem mu kiedyś rękę, gdy był na dnie. Na dnie rynsztoka, w biedzie i upadku... Znałem jego ojca, dobry chrześcijanin, porządny człowiek... Homoseksualista? To przerażające... Dalibóg, srogo karze nas Pan za nasze występki. Na mojej plebanii... tyle grzechu i zła, najpierw te zabójstwa, teraz to... Niepojęte, jak mogłem być tak ślepy. Wpuściłem Lucyfera za nasze progi. Zawiodłem Pana, zawiodłem braci w wierze...

Hoeness bezradnie pokręcił głową. Wyglądał jak ktoś oszołomiony serią ciosów, które na niego niespodziewanie spadły i które zdawały się nie mieć końca. Patrząc na niego, Abell po raz pierwszy dojrzał w nim człowieka. Zwykłego śmiertelnika: kruchego i słabego. Zadziwił jednak upór, z jakim ten starzec nadal skrywał swoje tajemnice. Abell pomyślał, że mogą być one mroczniejsze, niż dotychczas sądził.

#### 4.

Liebenthaler Chaussee. Tabliczka z nazwą ulicy mignęła mu przed oczami, aby po chwili wrócić w postaci sugestywnego obrazu – Karin, jako młoda dziewczyna, przebiega przez ulicę, zwilża językiem spierzchnięte wargi, poprawia nieistniejące zagniecenie na sukience. To był impuls.

– Zatrzymajcie się, Kukulka, mam tu coś do załatwienia – powiedział do wachmistrza i wyskoczył z samochodu.

Liebenthaler Chaussee 10. Dwupiętrowy narożny dom, w kolorze ciemnej czekolady, najlepsze lata miał chyba za sobą. Bystre oko dostrzegłoby pęknięcia tynku, mieszaninę wielobarwnych, chaotycznie uzupełnianych dachówek czy łuszczącą się farbę na drzwiach wejściowych. Ale szlachetne proporcje, mansardowe okna i rzeźbione balkony nadal robiły imponujące wrażenie. Na pewno nie mieszkała tutaj kwidzyńska biedota. Abell stanął przed wejściem i spojrzał w górę. Które okno należało do Karin? Postawił na parter, do połowy obrośnięty rachitycznym miłorzębem, który zasłaniał małe okienka piwniczne. Wszedł do budynku. Klatka schodowa pachniała mydlinami. Abell uważnie stawiał kroki na mokrej jeszcze posadzce. Spojrzał na listę lokatorów. Małżeństwo Karin i Thomas Manthe mieszkało pod numerem piątym, na pierwszym piętrze. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to nie ma sensu. Właściwie nie był pewien swoich uczuć. Działał mechanicznie, sterowany jakimś podskórnym pragnieniem, popychającym go do przodu. Równie dobrze mógłby obrócić się na pięcie i odejść. Ale nie zrobił tego. Zadzwoił do drzwi. Dopiero teraz poczuł, jak mocno bije mu serce.

Otworzyła po dobrej minucie. Najpierw zobaczył burzę rudych, niedosuszonych jeszcze włosów. Potem brązowe tęczęwki oczu, które rozszerzyły się nagle na jego widok, aby po chwili zaśnić blaskiem... właśnie, czego: radości, niedowierzania, rozbawienia? Mimo że ranek dawno już minął, miała na sobie szlafrok w stylu japońskiego kimona, z paskiem mocno ściskającym ją w talii. Widział rowek jej piersi. Musiała dopiero co wyjść z kąpieli, wyczuł zapach szamponu i delikatnego mydła.

– Christian? Zapamiętałeś... Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

– Byłem służbowo tu niedaleko... Zobaczyłem tabliczkę z nazwą ulicy. Pomyślałem, że wpadnę, żeby...

Nie pozwoliła mu skończyć. Wzięła go za rękę i poprowadziła do środka. Mieszkanie było małe, ale urządzone w dobrym guście. Na wprost, przez półotwarte drzwi, dostrzegł starannie zaścielone łóżko. Szybko uciekł od niego wzrokiem. Na ścianach korytarza wisiały czarno-białe fotografie krajobrazów Prus Wschodnich, oprawione w aluminiowe ramki. Przyglądał się właśnie – trochę za długo – piaszczystem wydmom Sambii, gdy poprosiła go do kuchni.

– Napijesz się kawy? Mam naprawdę doskonałą...

– Poproszę, dobrze mi zrobi.

Zdażyła już spiąć włosy: zebrała je w ognisty kok na czubku głowy. Wyczuł nową woń: lekkich perfum. Nadal była bez makijażu. I chyba go nie potrzebowała. Wyglądała bardziej dojrzała i kobieco niż kiedyś. Ledwie widoczna pajęczyna zmarszczek w kącikach oczu była tu równie na miejscu jak te wydatne piersi, ciasno opięte karminowym kimonem. Próbując nie patrzeć na nie, opuścił wzrok i zauważył, że Karin jest boso. Paznokcie pomalowane miała na czarno.

Dostrzegła jego spojrzenie.

– To taka kontestacja, małe wariactwo.

– Kontestacja przeciwko czemu?

Wzruszyła ramionami.

– Nie chciałbyś wiedzieć. Ale nie jestem szczęśliwa w małżeństwie, jeśli o to chodzi... A ty? Słyszałam od Georga, że znowu jesteś do wzięcia?

– Tak jakby – odrzekł i pomyślał, że nigdy nie ująłby tego w tak prosty sposób.

– Dobrze wiedzieć.

Roześmiała się, spoglądając zalotnie w te zmrużone szare oczy. Wyczuła w nich czujną ostrożność, ale także coś więcej, co sprawiło, że spłynęła na nią fala podniecenia. Potrafiła czytać w mężczyznach. Christian był dla niej nadal nieotwartą i fascynującą księgą. Ale ten skrywany głód i pożądanie, widoczne w jego oczach, stanowiły zapowiedź czegoś elektryzującego i nieuniknionego zarazem, o czym wołała teraz nie myśleć.

Był przystojny i naturalny. Podobał jej się i zadawała sobie pytanie, dlaczego

dopiero teraz, po latach, to do niej dotarło. Obserwowała jego czysty, regularny profil. Najwidoczniej lubił grafitowe garnitury. Zdjął marynarkę i wyciągnął długie nogi na środek kuchni. Pod koszulą rysowało się sprężyste, szczupłe ciało. Wydawał się wręcz wychudzony. Dostrzegła ciemne cienie pod oczami oraz blizny, ciemne wybroczyny i zadrapania na dłoniach.

Zauważył jej pytający wzrok.

– Taka praca.

– Byłeś w niebezpieczeństwie?

– Nie powiedziałbym. Może trochę.

Zastanawiała się, jak go opisać: szorstki, małomówny... Na pewno miał swoje tajemnice. Wszedł do jej mieszkania z całym bagażem tych sekretów, znaków zapytania i niedopowiedzeń, burząc spokój, który budowała z takim samozaparciem przez ostatnie lata swego koszmarnego małżeństwa. Tak, nadal emanował delikatnością, jaką zapamiętała z dawnych lat. Co jeszcze? Miał w sobie jakąś gorycz, trudną do uchwycenia rezerwę. To musiało podobać się kobietom. Ale wyczuwała w nim także nowy ton: determinację i wewnętrzną siłę, której niełatwo byłoby się oprzeć. Złapała się na myśli, że sama szybko i bez walki uległaby tej sile, gdyby tylko tego zapragnęła.

Postawiła przed nim filiżankę smolistej czarnej kawy. Rozmawiali przez kilka minut, a ona nie spuszczała z niego oczu, śledząc każdy ruch tych poranionych dłoni, które musiały być mocne i szorstkie w dotyku.

Abell pomyślał, że wszystko w tej kuchni jest za małe. Przez moment miał wrażenie, że brakuje w niej nawet powietrza, dopóki nie zrozumiał, że to krew krąży w nim szybciej, od kiedy wszedł do tego mieszkania, w którym wszędzie unosił się zapach Karin. Siedziała teraz naprzeciwko niego. Spróbował zmienić pozycję i schować nogi pod stołem. Dotknął udem jej kolana – nie cofnęła nogi. Podniósł wzrok i zobaczył, że Karin patrzy mu prosto w oczy. Kropla wody spłynęła z jej włosów i zostawiając wilgotny ślad na policzku, utknęła w kąciku ust. Wyciągnął rękę, aby zatrzymać kroplę, a Karin natychmiast pochwyciła jego dłoń i przywarła do niej ustami.

Wstali niemal równocześnie i od razu mocno przytuliła się do niego. Pocałował ją, najpierw drażniąc tylko delikatnie jej wargi, a potem głęboko i namiętnie. Lewą ręką rozsupłał jej pasek i zsunął z niej kimono. Miała na sobie koronkową bieliznę. Drżała, gdy rozpiął jej biustonosz. Dotknął jej nabrzmiąłych, twardych jak guziki sutków i zaczął pieścić je ustami. Miała duże, ciepłe piersi, lgnące do jego dłoni, jak palce do rękawiczki. Wędrował rękami po jej ciele niespiesznie, odkrywając twardość jej pośladków, miękkość skóry na wygiętych w łuk plecach, płaskość brzucha i obiecującą wilgoć pomiędzy spazmatycznie zaciskanymi udami. Karin rozpięła mu koszulę. Objęła go i rysowała mu paznokciami tajemne linie na plecach, tym głębsze, im namiętniej ją pieścił.



Podziwiała jego pewność i doświadczenie. Wiedział, jak stopniować przyjemność, jak i gdzie dotykać jej ciała. Czuła się oszołomiona nagłym przyplływem pożądania, jakiego nie doświadczyła od lat. Z jej ust wyrwał się cichy jęk, gdy zsunął rękę poniżej jej brzucha.

I właśnie wtedy, gdy poddała się zupełnie, rozległo się pukanie do drzwi wejściowych, jak w wiejskim romansidle. Zmroziła ją myśl, że to Thomas, wiedziony jakimś zwierzęcym instynktem, wrócił do domu, aby zobaczyć, jak jego własność traci rozsądek i zmysły w ramionach prawie nieznanego mężczyzny. Pukanie się powtórzyło, tym razem trochę mocniejsze. Abell odsunął się od Karin i położył jej palec na ustach.

– Nie obawiaj się, to na pewno po mnie – szepnął.

Nie mylił się. Zza drzwi dobiegł głos Kukulki:

– Panie radco, przepraszam, ale musimy natychmiast wracać na komisariat.

– Jeszcze się spotkamy – powiedział i zamknął jej usta pocałunkiem.

Po paru chwilach już go nie było, a ona usiadła oszołomiona na podłodze, opierając się plecami o drzwi. Ciągle czuła na ciele jego pocałunki i jego ciepłe dłonie. Minęło kilkanaście minut, od kiedy się tu niespodziewanie pojawił, a wszystko nagle się zmieniło. Nawet to domowe więzienie, rano zalane słońcem, tonęło teraz w szarym świetle. Prawie tak szarym jak jego oczy. Zagryzła wargi i westchnęła głęboko. Sama nie była pewna: ze szczęścia i pożądania czy też z tęsknoty za tym, co przyniesie przyszłość.

## **Rozdział VII**

### **Dorota bardzo święta**

## 1.

Komisarz von Bock wiercił się na swoim wielkim rzeźbionym fotelu. Odziedziczył go po poprzednim właścicielu, admiratorze gdańskich mebli, i już kilkakrotnie próbował wymienić ten niewygodny mebel na inny, nowocześniejszy. Zawsze na próżno: kryzys. Ale tym razem uwierało go nie tylko twarde siedzisko. Niepokoiły go wnioski ze śledztwa, prezentowane właśnie przez radcę Abella. Komisarz starał się nie uronić ani słowa z wywodu radcy. W jego rozumowaniu trudno było znaleźć słabe punkty. Precyzyjnie omówił wszystkie hipotezy, tłumacząc, dlaczego początkowo na nie stawiał – po czym beznamiętnie, jakby to nie chodziło o niego, wyjaśnił, dlaczego teraz wie, że się mylił. Jednak kalendarz wskazywał, że jest już trzeci wrzesnia. Ponad dwa tygodnie od pierwszego zabójstwa, a sprawa nadal nie była zamknięta.

Komisarz nie lubił Abella. Radca drażnił go swoim indywidualizmem, jakąś nieuchwytną krnąbrnością, całkowitym brakiem służalczości i poczucia hierarchii, do których przywykł Bock. Ale wiedział, że w tym powikłanym, nietypowym śledztwie, które mogło zrujnować jego karierę, jest skazany na tego aroganckiego milczka.

Z tym większym niepokojem czekał na jego końcowe wnioski. Ale niestety, na horyzoncie pojawił się niespodziewany problem w postaci proboszcza. Nie mogli trafić gorzej... O koneksjach Hoenessa, słusznie czy niesłusznie, krążyły legendy. Na pewno miał moźnych przyjaciół, z którymi trzeba się liczyć. Bock nie wątpił, że sam proboszcz jest czysty, ale Abell miał rację – klucz do rozwiązania zagadki mógł znajdować się na plebanii, a może i w rękach samego proboszcza. Krąg się zacieśniał. Właściwie obejmował już tylko mury plebanii i katedry.

– Jestem przekonany, że proboszcz wie więcej, niż chce nam powiedzieć – doleciał go głos Abella. – Wszystkie fakty, istotne zdarzenia i ślady zbiegają się w jednym miejscu. Głównym podejrzanym pozostaje oczywiście Sackel. Miał motyw, był zafascynowany Gerhardem Platzeckiem. Księżda Albrechta mógł zlikwidować jako niewygodnego świadka swego grzesznego uczucia. A potem, teatralizując scenerię swoich morderstw, próbował oddalić podejrzenia od siebie. Ale zanim postawimy kropkę nad i, musimy wyjaśnić jeszcze kilka wątpliwości. Nie jestem pewien czy ten związek został rzeczywiście skonsumowany. Wiemy skądinąd, że Platzeck miał zdecydowane inklinacje w odwrotnym kierunku...

– Może jest wielostronny czy raczej dwustronny?

– Może. Przede wszystkim musimy jednak wziąć pod lupę księżda proboszcza. Jego postawa jest dla mnie zastanawiająca. Mógłbym zrozumieć, że jest wstrząśnięty tym wszystkim, co zaszło na jego terenie. I że chce uniknąć skandalu i szkodliwego rozgłosu. Ale... – radca zawiesił głos – ...nie rozumiem,

dlatego ewidentnie kłamie i wprowadza policję w błąd. Mataczy, kluczy i odmawia współpracy... Przyłapałem go na kłamstwie w sprawie rzekomej kradzieży z tacy. Nie chce powiedzieć, o co naprawdę pokłócił się z księdzem Platzeckiem w zakrystii. Jak pan komisarz słyszał, padły tam tak mocne słowa, że nie mogło chodzić o zwykłą kradzież. Wyjaśnienie tej kwestii może być kluczowe dla całego śledztwa.

– Nie rozpędzajcie się tak, Abell. – Komisarz podjął decyzję: nie będzie ryzykował bez stuprocentowej pewności, że to konieczne. – Oskarżenie kogoś takiego jak proboszcz to poważna sprawa. Zgadzam się, Hoeness kręci i nie współpracuje, ale to jeszcze nie przestępstwo. Najprawdopodobniej jest zszokowany, jego wzorcowa parafia okazała się jednym wielkim burdelem na kółkach. Nikt nie lubi przyznawać się do błędów. Wy, Abell, powinniście coś o tym wiedzieć ... – Nie mógł odmówić sobie małego szyderstwa. – Potrzebujemy dowodów na jakikolwiek udział Hoenessa w tym całym bajzlu. Jak to zrobicie, wasza sprawa. Na dziś pilniejsze jest przyciśnięcie tego Sackla. Jeszcze nie spotkałem platonicznego homoseksualisty i jak dla mnie to pierwszy kandydat do położenia głowy pod topór.

Abell skinął głową i zebrał się do wyjścia. Nie zaskoczyła go kunktatorska, ostrożna postawa zwierzchnika. W sumie Bock miał rację. Potrzebowali dowodów, niepodważalnych i przekonujących. Ale także przesłanek i motywów, które tłumaczyłyby postępowanie proboszcza i przybliżyłyby ich do rozwiązania sprawy.

– Aha, Abell, coś jeszcze – odezwał się komisarz – wiadomość z ostatniej chwili. Doktor Naun został odwołany przez gauleitera Kocha z funkcji szefa kwidzyńskiego oddziału NSDAP. Złożył także mandat radnego i wyjechał z miasta. Można powiedzieć, katastrofa! Fatalny koniec pięknie zapowiadającej się kariery. Niektórzy w mieście bardzo się z tego upadku ucieszą, zwłaszcza w synagodze. Będziecie mieli swoje pięć minut, Abell... Nie było wśród waszych przodków jakichś starozakonnych?

– Żałuję, ale nie, panie komisarzu. Raczej holenderscy mennonici. Ale może w następnym wcieleniu...

## 2.

Tym razem Abell postanowił przeszukać całą plebanię: dokładnie i metodycznie. Ściągnął do pomocy Vranitzkiego, Kukulkę i jeszcze jednego policjanta z komisariatu. Nakaz rewizji uciszył przewidywane protesty Hoenessa. Zresztą proboszcz od czasu ich ostatniej rozmowy wyglądał na zrezygnowanego. Zostawił policjantom pęk kluczy i demonstracyjnie opuścił plebanię. Do nadzorowania policjantów upoważnił nie księdza, który pozostał, ale gospodynię, co zdziwiło nawet beznamiętnego Austriaka.

Stosunkowo młoda, najwyżej trzydziestopięcioletnia kobieta, uważnie wodziła wzrokiem za policjantami.

– Czy w ostatnich dwóch tygodniach odwiedzali księdza proboszcza jacyś obcy ludzie? – zapytał Abell.

– Obcy? – Wzruszyła ramionami, wycierając ręce w fartuch. – Tacy tutaj nie trafiają. Sami swoi.

Do południa przetrząsnęli każdy kąt na plebanii. Ponownie przeszukali pokój Sackla. Wachmistrz zerwał nawet w kilku miejscach deski spróchniałej podłogi. Raz wydał z siebie okrzyk triumfu, ale pod luźną deską odnalazł tylko napoczętą butelkę wódki. Widocznie organista lepiej skrywał swój pociąg do alkoholu niż do mężczyzn. Oderwali listy przypodłogowe, bo wyglądały na słabo przymocowane, ale z odsłoniętych dziur wypełzły tylko dwa tłuste prusaki. Po dwóch godzinach spoceni policjanci zgodnie doszli do wniosku, że pokój organisty nie skrywa żadnych dodatkowych tajemnic.

Więcej możliwości obiecywał gabinet proboszcza. Gospodyni, małomówna, o czarnych świdrujących oczach, czujnie stanęła w progu, nie spuszczać wzroku z policjantów.

Abell wszedł do środka i zatrzymał się zdumiony. Zdziwiła przede wszystkim wielkość pomieszczenia. Z góry przypominać musiało mały labirynt niespodziewanie pojawiających się korytarzy, wgłębień i uskoków, spowitych półmrokiem. Wszędzie rzędy bibliotecznych szaf, piętrowe półki i przeszklone regały po sam sufit, zwieńczone attykami ze stosów książek. Wszystko wypełnione do ostatniego centymetra setkami książek i starych manuskryptów, encyklopedii o haftowanych złotem grzbietach, rocznikami starych gazet, zwojami map i stertami luźno zapisanych kart. To nie był gabinet prowincjonalnego proboszcza. Znajdowali się w niezwykłym królestwie słowa, skarbnicy białych kruków, która – przy chaosie panującym na podwórzu – wyglądała jak uniwersytecka biblioteka przeniesiona jakimś cudem pod dach wiejskiej stodoły. Równie bogaty prywatny księgozbiór Abell widział tylko raz, w rezydencji hrabiego von Karschnitza. Jedyne skromne łóżko i stolik pod oknem przypominały, że w tej świątyni książek zamieszkiwał też żywy człowiek.

Wrażenie stłoczenia i ciasnoty pogłębiał niedostatek światła dziennego. Było tu tylko jedno duże okno, znajdujące się na wprost drzwi, co sprawiało, że boczne odnogi tego labiryntu pozostawały w wiecznym półcieniu. Dostyc dziwaczne rozwiązanie jak na bibliotekę, pomyślał Abell. Chyba że to pomieszczenie traktowano bardziej jako muzealny zbiór niż czytelnię.

Podszedł do jednego z regałów. Już w pokoju księdza Platzecka zauważył kilka rzadkich tomów, ale to, co widział teraz przed sobą, było ucztą dla oczu bibliofila. Bez wątplenia proboszcz zgromadził w swojej samotni wydania niezwykle rzadkie i – tego Abell był pewien – cenne. Potrzebował czasu, aby się

zorientować, że zbiory uporządkowane są według pewnego klucza. W jednej z wnęk całą ścianę zajmowały półki uginające się od opasłych tomów encyklopedii Herdera i Brockhausa, z początku dziewiętnastego wieku. Zauważył rzadkie, drugie wydanie leksykonu Brockhausa, z lat 1812–1820, wzbogacone kolorowymi planszami na grubym kredowym papierze, prezentującymi różnobarwność i niezwykłą obfitość świata. Były na nich przedstawione tubylcze typy, od arktycznych Nieńców, przez afrykańskich Pigmejów o spłaszczonych nosach, po australijskich Aborygenów, o ciałach pokrytych siatką tajemniczych tatuaży; stalowe cielska parowych maszyn, automobile, koła zębate i lokomotywy; dalekie metropolie o egzotycznie brzmiących nazwach, takich jak Marrakesz, Montevideo i Bombaj. Były także mapy kolonialnych imperiów, na których terytoria królewskiego Albionu oznaczono – jak zawsze – czerwienią. Kolejną wnękę wypełniały encyklopedie egzotycznych zwierząt i ssaków, z miedziorytami ukazującymi barwne ptaki, lwy afrykańskie o bujnych grzywach, pasiaste okapi i egzotyczne ryby o żarłocznych pyskach.

Z kolei regał we wnęce po lewej stronie gromadził księgi historyczne, a sądząc po łacińskich tytułach, przede wszystkim o zakonach templariuszy i Krzyżaków. Inny regał, chroniony szkłem ze srebrnymi szprosami, zawierał stopy średniowiecznych śpiewników. Na wyblakłych od upływu czasu okładkach niemal już się zatarły wypisane szwabachą tytuły. Obok, na bliźniaczym regale, spoczywało kilka egzemplarzy Biblii i dziesiątki modlitewników oprawionych w drogocenną safianową skórę.

Abell obrzucił wzrokiem całe to niezwykle pomieszczenie. W karnych rzędach stały tam setki inkunabułów, niczym oddzielne światy, opuszczone przez swego strażnika i czekające na odkrycie. Przez chwilę poczuł się jak barbarzyńca, nieproszony gość w sacrum proboszcza. Przejrzenie każdej księgi wydawało się zadaniem ponad siły. Szukaniem igły w stogu siana. Poza tym, czego właściwie mieli szukać? Z reguły w takich sytuacjach starali się odnaleźć narzędzia zbrodni. Ale na tej plebanii – czy szerzej, w ogromnej katedrze – takim narzędziem mógł być każdy lichtarz, świecznik, kielich lub zwykły pogrzebacz, których wszędzie było tu mnóstwo. Nie mówiąc już o tym, że tych przedmiotów dotykały dziesiątki rąk: wiernych, ministrantów, księży czy sprzątających kobiet. Większość zresztą dokładnie obejrzeli, szukając śladów krwi, przyklejonego ludzkiego włosa, wgniecenia, czegokolwiek. Bez skutku.

Miał już zamiar się wycofać, gdy nagle postyszał jakiś szelest dobiegający z którejś wnęki. Nadstawił ucha. Przez dłuższą chwilę panowała cisza, ale potem znów wychwytał odległy dźwięk, jakby odgłos przymykania starych, skrzypiących drzwi. Wydawało mu się, że hałas dobiegł zza regału wypełnionego encyklopediami, które dopiero co tak podziwiał. Dźwięk był zbyt bliski, zbyt dobrze słyszalny, aby pochodził spoza domu. Radca poczuł niepokój. W bibliotece,

poza nim, musiał być ktoś jeszcze. Tam, po drugiej stronie ściany, wzmocnionej wałem obronnym z uczonych ksiąg. Abell podszedł do regału i zaczął uważnie przesuwając po nim palcami, szukając jakiejś dźwigni czy zapadki, otwierającej ukryte przejście. Czytał o sekretnych przejściach w średniowiecznych klasztorach i pałacach ekscentrycznych grafów. Ale życie to nie literatura. Sam nigdy niczego takiego nie widział.

Przez moment trudził się samotnie, ale zaraz przywołał na pomoc wachmistrza i obaj, nie bacząc na protesty oburzonej gospodyni, najpierw ostukali cały regał, a następnie zaczęli, półka po półce, opróżniać go z książek. Zalegająca za nimi gruba warstwa kurzu nie wskazywała, by ktokolwiek czegoś tu niedawno dotykał. W odsłoniętej ścianie nie widać było żadnych drzwiczek, żadnego ukrytego wejścia. Po godzinie obaj policjanci, zlni potem i zabrudzeni, stanęli bezradnie przed ogołoconą do połowy ścianą, niczym przed szkieletem wyrzuconego na brzeg wieloryba. Mogli tak szukać przez następną godzinę, bez gwarancji powodzenia, a tajemniczy osobnik zza ściany zapewne już dawno rozpląnął się w powietrzu. Istniało także prawdopodobieństwo, że zasłyszany dźwięk dobiegł skądś obok.

Abell raz jeszcze omiół spojrzeniem swoje dzieło. Na podłodze piętrzyła się piramida opasłych ksiąg i tomów. Większość z nich ważyła po kilka kilogramów, a całość na pewno kilkaset. Jaki mechanizm, nawet najbardziej wymyślny, mógłby poruszyć taką masę? Najwyżej obrotowy, przesuwający całą ramę regału, ale tu gołym okiem było widać, że boki mebla są mocno przytwierdzone do ściany.

Nagle Abell trzepnął się dłonią w czoło. Podłoga! Dopiero teraz zauważył, że wielki dywan ułożony jest niesymetrycznie. Nie leżał na środku pomieszczenia, lecz jednym brzegiem dotykał bezpośrednio do regału, odsłaniając puste pole po drugiej stronie pokoju.

– Kukulka – krzyknął – przesuwamy cały ten bałagan raz jeszcze!

W milczeniu, spływając potem, zepchnęli z krawędzi dywanu dopiero co zbudowaną górę książek. Gospodyni niepostrzeżenie zniknęła. Abell starał się uspokoić oddech. Popatrzył na oczyszczone przedpole. Teraz albo nigdy! Jeśli z tego pomieszczenia miało prowadzić jakieś sekretne przejście, to powinno znajdować się właśnie pod tym kobiercem, utkany z niebieskawych nici. Gwałtownym ruchem zadarł skraj tkaniny.

Pod spodem widniała niewielka kłapa o wyszczerbionych brzegach. Kukulka z uznaniem spojrzął na radcę. Podważyli kłapę nożem. Abell poczuł zapach wosku i zgaszonej świecy, dobiegający z czeluści otworu. W głąb prowadziły kręte poradziewałe schodki.

Radca schodził pierwszy, ostrożnie badając stopą każdy schodek. Było ich tylko kilka. Zapalił latarkę podaną mu przez wachmistrza. Stożkowaty strumień światła wydobył z ciemności małą piwniczkę, z której wiódł tylko jeden

kolebkowo sklepiony korytarz, tak niski, że Abell musiał schylić głowę, aby do niego wejść. Ceglane mury pochodziły pewnie jeszcze z czasów krzyżackich. Zadziwiające jednak, że nie czuł tu odoru przeszłości, charakterystycznego dla średniowiecznych lochów: owej mieszanki stęchlizny, szczurzych odchodów, wilgoci i grzyba zżerającego nadwątlone upływem czasu mury. Przeciwnie: było sucho, a z wnętrza tunelu dolatywał delikatny powiew powietrza. Zrobił kilka kroków do przodu. Za sobą słyszał przyspieszony oddech i zduszone przekleństwa Kukulki. Wachmistrz z trudem mieścił się w korytarzu.

Nagle Abell wychwycił jakiś ruch w głębi lochu. Światło latarki ślizgało się po nierównościach muru, gdy w oddali przemknął cień – był widoczny ledwie przez ułamek sekundy i zaraz rozplynął się w ciemności, niczym zjawa. Przez chwilę pomyślał, że może to monstrualny szczur, o sylwetce wyolbrzymionej przez grę światła i cienia. Mógłby jednak przysiąc, że głowę zjawy przykrywał kaptur. Ruszył biegiem w tamtym kierunku, ale niemal w tym samym momencie doznał wstrząsu, uderzając boleśnie głową o sklepienie. Musiał zwolnić. Wyczuł językiem ciepłą stróżkę krwi w ustach. Wachmistrz został wyraźnie z tyłu. Abell, schylony, pokonał jeszcze kilkanaście metrów i znalazł się w miejscu, w którym loch się rozdwajał. Jeden z korytarzy biegł prosto, ginąc w ciemności, drugi zakręcał w prawo, niemal pod kątem prostym, dochodząc pod ciemny prostokąt w zamykającym dalszą drogę murze. Odrzwia były obite starymi ćwiekami, łypiącymi na niego złowieszczą w świetle latarki. Musiał podjąć decyzję. Wybrał drzwi.

Z bijącym sercem pchnął je mocno, raz, a potem ponownie. Ani drgnęły. I gdy już zastanawiał się, czy nie należy ich wyważyć, w sukurs przyszedł mu wachmistrz, który zdyszany właśnie pojawił się obok. Wyjął z kieszeni kawałek drutu i zaczął manipulować w otworze zamka. Nie minęło kilka sekund, a usłyszeli metaliczny trzask otwieranego rygla. Radca znów napał na drzwi. Ciszę rozdarło głośne skrzypienie i hurgot drzewa szorującego po kamiennej posadzce. Weszli do środka.

Pomieszczenie było niewielkie. Przypominało klasztorną celę o bielonych wapnem ścianach i niskiej, wybrzuszonej się, jakby ręcznie lepionej powale. Jedyne wyposażenie tego ascetycznego wnętrza było krzesło i stół z nieheblowanego drewna. Z zaskoczeniem ujrzeni, że na stole stoi współczesna ebonitowa lampka z mlecznym kloszem. Strażnik biblioteki nie zapomniał o doprowadzeniu elektryczności. Lampka wyglądała tu trochę absurdalnie, jak rekwizyt z przyszłości w podziemnym świetle średniowiecznych lochów i tajemnic. Abell pstryknął włącznikiem. Jednak byli w wieku dwudziestym. Aż musieli zmrużyć oczy. Celę zalało morze jasnego światła, wydłużającego ich cienie na wapiennej ścianie.

Nie ulegało wątpliwości, że znajdowali się w sekretnej samotni proboszcza



Hoenessa. Zapewne odziedziczył ją po swoich poprzednikach. Abell wiedział, że historia plebanii sięga czasów wielkich mistrzów i komturów zakonu. Wizerunki niektórych z nich, takich jak Orsini, do dnia dzisiejszego zdobiły prezbiterium katedry. Pytanie, jakie tajemnice ukrywał w niej proboszcz.

Na stole leżało kilka starodruków, w tym inkunabułów – wyglądały na podręczny księgozbiór proboszcza. Radca podszedł bliżej. Z brzegu leżał zbiór kazań na niedzielne ewangelie, autorstwa Josepha Antona Bordoniego, wydany w 1777 roku w Augsburgu przez drukarnię Josepha Wolffa. Obok niego księga w oprawie z cielęcej skóry, zawierająca dwa dzieła Jan z Kwidzyna: *Septililium* i *Liber de festis*. Kolejny tom wydał mu się dziwnie znajomy: oprawiony w miodowy półskórek *Żywot błogosławionej Doroty z Mątowów*, wydanie z 1698 roku.

Przeszył go dreszcz podniecenia. Zaraz, tę samą książkę widział przecież w pokoju księdza Platzecka. Jak to możliwe, że teraz znajdowała się w podziemnym lochu proboszcza? Czyżby Hoeness przywłaszczył ją sobie po śmierci wikarego? W jakim celu, dlaczego? Bez wątpienia była cenna, byłby to więc rodzaj kradzieży. A może, kierowany jakimś wewnętrznym impulsem, pragnął poznać ostatnie litery i słowa, po których wodziły przed śmiercią oczy zmarłego? A przez to wejrzeć w jego myśli, skryte pragnienia i upodobania? Istniało także prostsze wytłumaczenie: proboszcz wcześniej pożyczył ją wikaremu i teraz po prostu odebrał swoją własność.

Tyle tylko, że pokój Platzecka został zabezpieczony przez Kukulkę w kilka godzin po ich pierwszej wizycie na plebanii. Pieczęcie na drzwiach były do dzisiaj nienaruszone, okno zamknięte od wewnątrz. Jeśli Hoeness rzeczywiście odebrał swoją księgę, musiał to zrobić natychmiast po odkryciu ciała wikarego. A jeśli tak, to z jakiegoś powodu ta hagiografia musiała być dla niego bardzo ważna. Tak bardzo, że nawet wstrząśnięty tym morderstwem nie zapomniał o niej. Abell schował za pazuchę księgę o błogosławionej Dorocie. Zgasili światło. Wycofali się bez przeszkód tą samą drogą, do rozgałęzienia korytarzy. Zjawa w kapturze już na pewno rozpułnęła się we mgle, ale postanowili zbadać, dokąd zaprowadzi ich druga odnoga.

Tunel początkowo biegł prosto, a potem lekkim łukiem zakręcał w lewo. Abell miał wrażenie, że idzie im się coraz trudniej, jakby korytarz się wznosił. Ledwie się w nim mieścili. W bladym świetle latarki widać było półkoliste sklepienie z krwistoczerwonych cegieł. Tutaj natknęli się na szczury. Pierwszy z nich, tłusty olbrzym, najpierw świdrował ich płonącymi ślepiami, a następnie, ocierając się o nogawki Abella, pomknął do przodu, zupełnie ignorując niespodziewanych intruzów. Jego mniejszy towarzysz był bardziej agresywny. „Szlag!”, wrzasnął Kukulka, próbując strząsnąć gryzonia, który skoczył mu na plecy, po czym ześlizgnął się i wczepił w jego lewy but. Przez dobrą chwilę

wachmistrz szamotał się w ciasnym przejściu, aż wreszcie jego kopniak, skwitowany piskiem zwierzęcia, zakończył tę nierówną walkę.

Po paru krokach znaleźli się w owalnym kilkumetrowym pomieszczeniu, o wyraźnie podniesionym suficie. Wyglądało jak stacja rozrządowa tego podziemnego labiryntu. Podłoga wybrukowana była kamieniami polnymi, a pod jedną ze ścian stała masywna ława wykuta z jednego głazu. Nareszcie mogli wyprostować zeszywniałe karki. Abell zauważył wodę, prawie niedostrzegalnymi strumyczkami spływającą po ścianach.

Musieli być coraz bliżej powierzchni. Odchodziły stąd dwa korytarze, niczym ramiona procy. Radca właśnie zastanawiał się, który z nich wybrać, gdy nagle wachmistrz złapał go za ramię i wskazał rozmazany ślad mokrej podeszwy u wlotu do jednego z korytarzy. Człowiek z kapturem znał lepiej drogę. Najmądrzejsze, co mogli zrobić, to pójść jego śladem. Przyspieszyli kroku. Abell odbezpieczył pistolet, starając się nie zahaczyć lufą o sufit.

Po kilkudziesięciu metrach tunel się skończył i ujrzeli przed sobą żelazną kratę, zamykającą przejście. Abell podszedł ostrożnie. Zauważył, że zza prętów przenika delikatny blask. Światło dzienne! Byli u celu, tylko gdzie? Przybliżył twarz do kraty. Była zamknięta na wielką, solidną kłódkę, i to od zewnątrz. Tym razem człowiek w kapturze okazał się bardziej przezorny. Pierwszą rzeczą, jaką Abell zobaczył, był medycejski profil grafa Groebena spoczywającego na postumencie. Wyjście z korytarza znajdowało się w katedrze, w kaplicy rodziny Groebenów. Dwieście metrów od plebanii, w której pół godziny wcześniej odkryli ukryty właz.

Drogę powrotną przebyli w milczeniu, modląc się, aby migocąca coraz słabszym blaskiem latarka nie odmówiła posłuszeństwa, zanim wydostaną się z tych czeluści. Po kilkunastominutowym marszu znaleźli się ponownie pod biblioteką proboszcza. Wspięli się po schodkach, zamknęli klapę i starannie przykryli dywanem podłogę. Gospodyni się już nie pojawiła.

Następnie radca przeszedł do pokoju Platzecka, znajdującego się na drugim końcu korytarza. Niecierpliwym ruchem zerwał pieczęć na drzwiach. Na stole pokrytym kilkudniowym kurzem leżały książki wikarego. Z pozoru wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy Abell odwiedził to miejsce po raz pierwszy, po zejściu z dzwonnicy. Przyjrzał się uważniej. Jednak się nie mylił. *Żywota* tam nie było.

Wrócił do biblioteki proboszcza. Usiadł na stercie książek i w zamyśleniu potarł czoło. W ciągu ostatnich godzin dokonał wielu odkryć. Tajemne przejście w bibliotece, podziemny labirynt dla szczurów i ludzi, sekretna cela z białymi krukami przeznaczonymi tylko dla oczu proboszcza. Oczu czyich: szalonego bibliofila, współnika zbrodni, strażnika jakiejś tajemnicy? I zniknięcie z opieczętowanego pokoju tej jednej książki... Czy nie za dużo tych zagadek

i pytań?

Błogosławiona Dorota... Z żywotem mogącym służyć jako wzór, wskazówka, moralny drogowskaz. Szczególnie dla kapłana mijającego się ze swym powołaniem, odkrywającego z przerażeniem swoją prawdziwą naturę. Walczącego samotnie z trawiącą go żądzą i namiętnościami. A im bardziej był grzeszny, tym bardziej śnił o świętości... Tak, mógł sobie wyobrazić tego księdza, jak leży krzyżem na zimnej podłodze katedry, szukając pociechy w nieprostej wędrówce tej niewiasty ku świętości.

Abell zdawał sobie sprawę z rozmiaru kultu błogosławionej Doroty, jaki rozwijał się na ziemiach niemieckich, a zwłaszcza w Prusach. Przynależał sobie, że poczyta więcej na ten temat – w tutejszej bibliotece na pewno nie brakowało dzieł poświęconych jej osobie. A ten agnostyk Georg – uśmiechnął się pod nosem – na pewno uświadomi go, że ta czcigodna niewiasta wcale nie była taka święta.

Wiele rzeczy w tym niewielkim mieście zaskakiwało go w sposób szczególny, jakby kpiąc sobie ze wspomnień, myśli i wyobrażeń, jakie wiązały go z tym miejscem. Mieli tu mieszkać prości, serdeczni i zwyczajni obywatele. Tymczasem ci, których spotykał, okazywali się bestiami w ludzkiej skórze. Nieszczęśnicy, dewianci, mordercy, notoryczni kłamcy i fałszywi chrześcijanie. W tych idyllicznych domostwach powinna gościć codzienność wypełniona pracą, drobnymi przyjemnościami i rodzeniem dzieci, a wypełniały je zbrodnia i występki. Dawny świat odchodził w przeszłość.

A może nigdy nie istniał? Niegdyś lubił chodzić wieczorami po tych uliczkach i zaglądać w oświetlone okna. Za każdym z nich kryło się życie: miłość, rozpacz, czyjeś małe radości, śmiech dzieci. Niczym młody Sherlock Holmes lubił puszczać wodze wyobraźni i dopowiadać sobie ciąg dalszy ukrytych ludzkich historii. Za tym oknem dziewczyna oddaje się po raz pierwszy ukochanemu, gryzie palce, aby nie krzyknąć, z przeczucia rozkoszy, ale i strachu... W tamtym zapalono szabasową świecę... Pewnie stary Izaak zaczyna rozmowę z Niewymawialnym i nawet nie wie, że w tym samym momencie złodzieje okradają jego tartak. A tam na piętrze, w oświetlonym gabinecie doktora Lorentza, umiera właśnie jakaś piękna kobieta. Leży w malignie, doktor się do niej uśmiecha, ale wie, że to już koniec.

Ale teraz to miasto przypominało mu mroczne kretowisko, bez światła i okien. Obce i zazdrośnie strzegące swych tajemnic. Nawet pogoda była odstręczająca. Gęste, rozgrzane powietrze można by kroić rzeźnickim tasakiem. Tak jakby zbliżał się czas jakiejś upiornej apokalipsy, która wypali nie tylko lazurkowe pastwiska Podzamcza, ale i zatrutą duszę tego grodu.

### 3.

Dzień następny, czwartek piątego września, przyniósł kolejne niespodzianki.

Proboszcz Hoeness opuścił plebanię. Jak poinformowała policjantów gospodyni, za zgodą biskupa postanowił dojść do równowagi w klasztorze nad jeziorem Wigry. Biskup doradził mu kontemplację i wyciszenie po burzliwych wydarzeniach ostatnich dni. Zastępować go miał ksiądz Alfred Globcke, jedyny, który pozostał jeszcze duchem i ciałem na plebanii. Nie skrywał on zaskoczenia niespodziewanym rozwojem wypadków. Abell odniósł wrażenie, że brak władczygo proboszcza, dominującego dotychczas nad całym otoczeniem, był dla tego wylęknionego kapłana wyzwaniem ponad siły.

Ksiądz biskup usilnie upraszał – jak zaznaczył ksiądz Alfred – o uszanowanie jego decyzji i nieniepokojenie proboszcza przynajmniej do czasu, kiedy odzyska siły i spokój ducha w klasztornym odosobnieniu. Oczywiście w razie nagłej potrzeby będzie do dyspozycji policjantów.

Abell nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Miał kilka pytań do proboszcza, zwłaszcza o księgę zabraną z pokoju Platzecka i tajemne pomieszczenie pod biblioteką. Uznał jednak, że nieobecność proboszcza ma także swoje dobre strony. Nikt nie będzie mu patrzył na ręce, mataczył ani przeszkadzał w śledztwie. Nie mówiąc już o swobodnym poruszaniu się po terenie plebanii i odkrytych lochach, które wymagały oddzielnego namysłu.

Najpierw jednak musiał uzupełnić swoją wiedzę na temat pewnej błogosławionej niewiasty, o której jeszcze jego matka, Franziska, mawiała, że jest najlepszym owocem, jaki wydała ta zapomniana ziemia.

Georg Balla czekał już na niego w kawiarni, jak zwykle zatopiony w lekturze swojej gazety. Wielkie płachty papieru falowały na wietrze, zakrywając jego głowę. Obok na stoliku parowała czarna jak smoła abisyńska mocca, którą podawano tylko u Meinla, i tliła się cygaretką w jantarowej lufce.

Żelazny zestaw poranny Balli, pomyślał z rozbawieniem Abell. Wieczorem przejdzie na zimną wódkę i ciepłe mężatki.

Balla przywitał go szerokim uśmiechem. Widać było, że jest w dobrym humorze.

– Odbieramy mnóstwo listów w sprawie artykułu o doktorze Naunie.  
– Trzepnął złożoną gazetą o kolano. – I nakład rośnie. A wszystko dzięki państwowej policji. – Pochylił głowę w udawanym pokłonie.

– Mieszkańcy się cieszą czy wręcz przeciwnie, chcą się redakcji rzucić do gardła? – zapytał Abell i zamówił sobie także kawę oraz szklankę zimnej wody.

– Mniej więcej pół na pół. Takie są dzisiaj Niemcy. Część sympatyków NSDAP najchętniej by mi obila gębę, inni dziękują za pozbycie się z miasta tego zbira.

– Będę się za ciebie modlił. A mówiąc poważnie, uważaj na siebie. Ci ludzie są zdolni do wszystkiego. Naun stał się niewygodny, więc dostał kopa, ale nie zapomną ci tego artykułu.

– Jasne.

Balla podniósł filiżankę do ust, wyraźnie bardziej zainteresowany młodą elegancką kobietą, która właśnie usiadła przy stoliku w rogu kawiarni, niż ostrzeżeniem radcy. Skrzyżowała długie nogi i powoli, ignorując spojrzenie Balli, zaczęła rozpinąć letni żakiet, guzik po guziku. Była świadoma swojej urody, której Balla raczej nie miał szans bliżej zgłębić.

– Posłuchaj, a właściwie skup się. – Abell przechylił się, zasłaniając sobą piękną nieznajomą. – Potrzebna mi jest garść informacji o błogosławionej Dorocie. Nie pytaj, dlaczego i po co.

– I zwracasz się z tym do mnie, agnostyka? Dla którego największym cudem świata jest łatwa, nieskomplikowana białogłowa? – Balla roześmiał się i z lubością pociągnął łyk kawy. – Jednak zaskoczę cię. Nie wierzę w żadne katolickie objawienia, stygmaty i takie tam, ale Dorota była naprawdę istotą szczególną. Niezwykle jest już choćby to, że o jej świętości mówią niemal wszystkie współczesne jej źródła. Pewnie słyszałeś o Janie z Kwidzyna, spowiedniku Doroty.

– Kanoniku katedry i uznanym filozofie...

– Tak, coś jeszcze pamiętasz ze szkoły... To on spisywał objawienia Doroty, o których mu sama opowiadała, a gdy zmarła, napisał jej biografię. Jego zapiski stały się ważnym dowodem w procesie beatyfikacyjnym Doroty wszczętym zaledwie kilka lat po jej śmierci. Już sam ten fakt był niezwykły. Ludzie nie wyczuwają zazwyczaj świętości w swoich sąsiadach, bliźnich, współczesnych. Tymczasem, wyobraź sobie, w procesie beatyfikacyjnym zeznania złożyło dwustu pięćdziesięciu siedmiu świadków, którzy mówili o świętości Doroty i jej życia! Nie tylko oni nie mieli wątpliwości, że powinna zostać wyniesiona na ołtarze. Również ci, co studiowali dokumenty procesowe w Rzymie, podzielali ten pogląd, a przecież wiemy dobrze, że młyny Watykanu miały powoli. Kult rozszerzył się właściwie natychmiast po jej śmierci, i to nie tylko na Warmii i w Prusach Górnych, ale i w całych Prusach krzyżackich. Nie znam drugiego takiego przypadku, przynajmniej w naszych kochanych Niemczech. Zresztą, co się będę wysilał, przeczytaj sobie tę broszurę kościelną poświęconą naszej błogosławionej. Prosiłeś mnie, żebym coś przyniósł na jej temat... To popularne wydanie. Leży w każdym domu, co ciekawe, także u naszych polskich sąsiadów. Można powiedzieć, że tylko Dorota łączy dzisiaj nasze dwa zwaśnione narody. Przez Niemców uznawana jest od wieków za świętą, chociaż nie została jeszcze kanonizowana, przez Polaków za błogosławioną. Poczytaj sobie, a ja tymczasem pokontempluję urodę innej osoby, mniej świętej, mam nadzieję.

Abell wziął od Balli broszurę i zaczął czytać.

*...Pan wcześniej wybrał ją na służebnicę swoją. Przyszła na świat we wsi Mątowy Wielkie, w rodzinie holenderskich kolonistów, jako najmłodsze z siedmiorga dzieci, w rodzinie Wilhelma i Agaty Schwartze. Już jako dziecko*

obserwowała życie zakonne, widziała dla siebie miejsce w jednej z cel klasztornych, pośród dziewcząt żyjących w poufalej zażyłości z Bogiem, którego pokochała od najmłodszych lat. Do spowiedzi po raz pierwszy przystąpiła w wieku sześciu lat, a Komunię Świętą przyjęła cztery lata później. Wcześniej otrzymała też dar stygmatów ukrytych, przez które odczuwała ból w miejscach, w których Zbawiciel cierpiał rany, ale nie towarzyszyły temu zewnętrzne obrażenia. Pierwszy raz miała doświadczyć tego niezwykłego zjawiska już w wieku sześciu lat! Od dziecka żyła w dobrowolnej pokucie, stroniąc od rozrywek światowych i pragnąc życia odosobnionego.

Pan nasz i Stwórca, stawiający posłuszeństwo nad inne cnoty, zapragnął wypróbować swą umiłowaną córkę i dopuścił, by jej życie potoczyło się zwyczajnym biegiem. W wieku szesnastu lat rodzice wydali ją za mieszczanina gdańskiego, Adalberta, który trudnił się płatnerstwem. Ślub z Adalbertem Svertvegerem odbył się w kościele parafialnym w Mątowach, w dniu święta Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, 15 sierpnia 1363 roku. Opuszczenie niewielkiej wsi na Żuławach, gdzie wszyscy się znali i wspierali, oraz zamieszkanie w dużym, obcym jej portowym mieście musiało stanowić duże wyzwanie dla młodzianki Doroty. I choć Dorota spełniała wszystkie domowe obowiązki i w ciągu najbliższych lat urodziła swemu mężowi dziewięć dzieci – nie porzuciła równocześnie żarliwej pobożności i codziennie wczesnym rankiem chodziła na mszę świętą, by rozpocząć dzień w obecności umiłowanego Odkupiciela. Nie znalazła jednak szczęścia w małżeństwie. Mąż był od niej dwadzieścia lat starszy i przywykł do żywota kawalerskiego – często wracał do domu pijany po spotkaniu z kolegami z cechu rzemieślniczego, nie poskramiał swego porywczego charakteru i nie próbował wykazać się zrozumieniem dla religijnych praktyk swej małżonki.

Tak oto nie dane było Dorocie zakosztować słodyczy życia małżeńskiego. Wnet okazało się ono bolesnym krzyżem. Mąż zaczął wyladowywać agresję, bijąc bezbronną żonę, i manifestował swoją władzę, zabraniając jej uczęszczania na nabożeństwa do kościoła. Dopiero po dobrych kilku latach heroiczna cierpliwość i iście nadprzyrodzona miłość, z jaką ta święta kobieta znosiła swoje położenie, zaczęły przynosić owoce. Swą delikatnością stopniowo kruszyła brutalny charakter męża, a jej wytrwała modlitwa powoli sprowadzała łamiącą wszelkie przeciwności łaskę do jego znieczulonego serca. W końcu sam Adalbert zaczął częściej niż raz w roku korzystać ze świętych sakramentów, a wkrótce miał nadejść moment przelomowy w ich życiu...

A działo się to w roku 1373 – w Gdańsku wybuchła zaraza i zabrała troje dzieci Adalberta i Doroty. W dziewięć lat później kolejna zaraza zabrała piątkę ich potomstwa, zostawiając jedną córkę, która została mniszką. Oddziało to tak silnie na Adalberta, że jego nawrócenie dopełniło się, a w jego duszy rozkwitł wspaniały

*kwiat Bożej miłości. W ramach dziękczynienia za tak wielkie łaski małżeństwo wyruszyło do Akwizgranu z pielgrzymką do relikwii Męki Pańskiej. Następnie pielgrzymi szlak doprowadził ich do sanktuarium maryjnego w Einsiedeln w Szwajcarii oraz do Świętej Marii w Marsylii. Małżonkowie, którzy dzięki łasce Bożej odkryli w sobie osoby, jakich nie znali wcześniej, odnaleźli taką rozkosz duchową i pożytek zbawienny w tych podróżach, że zdecydowali się sprzedać cały swój majątek i wyruszyć w dłuższą wyprawę szlakami świętości. Dotarli między innymi do Finsterwald.*

*Ta ostatnia peregrynacja trwała dwa lata. Adalbert widocznie nie miał już siły udać się w kolejną, skoro w roku 1389 widzimy Dorotę wyruszającą w samotną pielgrzymkę, by dotrzeć na ogłoszone przez papieża Urbana VI obchody roku jubileuszowego Anno Domini 1390. Wtedy też nastąpił kolejny przełom w życiu Błogosławionej – w czasie jej podróży zmarł jej mąż, mogła więc na nowo odnaleźć porzucone przed wielu laty powołanie zakonne. Początkowo przeprowadziła się do Marienwerder, gdzie zamieszkała u niejkiej Katarzyny Mulner. Dziekanem tamtejszej kapituły katedralnej był profesor teologii Jan z Kwidzyna, którego pragnąca większej świętości wdowa poprosiła o kierownictwo duchowe. Okazało się to opatrznościowe, ponieważ uczony kapłan potraktował poważnie rozwijające się u Doroty dary mistyczne, a po śmierci Błogosławionej spisał kilka dzieł traktujących o jej objawieniach i duchowości.*

*To właśnie podczas licznych pielgrzymek odbywanych z mężem spotkała ona w różnych klasztorach mnichów i mniszki, którzy obrali drogę rekluzji, czyli najdalej posuniętego odosobnienia od świata – zamurowanie w celi klasztornej bez możliwości wyjścia z niej do końca życia. Dorota, od dziecka spragniona życia wyłącznie dla Boga, widziała w tym fizycznym uwięzieniu prawdziwą wolność dla ducha, jaka została jej odebrana na drodze świeckiego życia. Za zgodą kierownika duchowego, który uzyskał pozwolenie u biskupa diecezji, wstąpiła ona do Trzeciego Zakonu Świętego Franciszka i kazała zamurować się w celi przy kościele katedralnym. Drugiego maja 1393 roku w uroczystej procesji Dorota została wprowadzona do specjalnie dla niej wybudowanej samotni pod chórem kapitulnym katedry kwidzyńskiej.*

*Tak oto jej życie, toczące się w czterech nieprzekraczalnych ścianach, upływało na ciągłej modlitwie i rozważaniu Bożych tajemnic, podczas którego dostępowała łaski mistycznego zjednoczenia z upragnionym przez wiele lat Boskim Oblubieńcem. Jedno okno jej celi wychodziło na świat, drugie na prezbiterium kościoła, dzięki czemu mogła brać udział w nabożeństwach. Przez kratę podawano jej komunię świętą i pożywienie. Z czasem przy okienku wychodzącym na świat zaczęło gromadzić się coraz więcej osób zaintrygowanych tak radykalną drogą świętości, jaką obrała gdańska mieszcanka. Ludzie prosili o wstawiennictwo w modlitwie i o porady w różnych sytuacjach życiowych.*

*W taki sposób święta Dorota, zwana też Dorotą z Mątowów, umarła dla świata, by narodzić się dla nieba – po czternastu miesiącach wyczerpującej ascezy, przyjmawszy święte sakramenty, pożegnała ziemski padół łez i przeniosła się do lepszej rzeczywistości. Jej życie wydaje się przede wszystkim uczyć posłuszeństwa i pokornego poddania woli Bożej. Nagroda często spoczywa za wysokimi szczytami, które należy zdobywać w codziennym mozole, a na którą trzeba nieraz oczekiwać wśród ciężkich doświadczeń, by przekonać się o starej biblijnej prawdzie, iż Pan Bóg kogo miłuje, tego karze, wiernych zaś nagradza już tu na ziemi, ale przede wszystkim w wieczności. Tam właśnie Błogosławiona odnalazła tron i berło nigdy niegasnącego chwalebego panowania z Jezusem Chrystusem, Królem wszystkiego stworzenia, przygotowane dla tych, którzy zachowali wierność do końca ziemskiej próby.*

*Obdarzona świętością pokutnica została pochowana w krypcie biskupiej w podziemiach katedry Świętego Jana Ewangelisty, a jej grób zaczął gromadzić tak wielkie tłumy pielgrzymów, że jej doczesne szczątki przeniesiono do osobnej krypty. Dochodziło tam do licznych uzdrowień i nawróceń, które nie ustawały aż do XVII wieku, co stało się przyczyną podjęcia starań o beatyfikację przez biskupa chełmińskiego Jana Lipskiego. Proces nie został jeszcze dokończony...*

Abell odłożył gęsto zadrukowane stronice i zamyślił się. Georg miał rację, życie tej kobiety było niezwykle, a sama postać fascynująca. Ale przeczytany tekst to była zwykła hagiografia, w której trudno oddzielić ziarno prawdy od uduchowionej imaginacji.

– Powiedz mi – zwrócił się do przyjaciela – czy sądzisz, że w żywocie Doroty Schwartz są jakieś tajemnice?

– Tajemnice? – Georg był naprawdę zdumiony. – Co masz na myśli, na litość boską? Ty sam jesteś jedną wielką tajemnicą. A co dopiero ta pokutnica pańska, która odeszła z tego padółu ponad pięćset lat temu?!

– Chodzi mi o to, czy zdaniem osób mniej przekonanych do jej świętości, a pewnie są i takie, bo niedowiarków nigdzie nie brakuje – Abell starał się precyzyjnie formułować myśli – w jej życiu są jakieś luki czy słabe punkty, które pozwoliłyby sceptykom podważyć mit o jej charyzmacie i wyjątkowości? Słowem, czy ktoś próbował kiedyś, czynem lub piórem, zdjąć ją z piedestału?

– Kogo masz na myśli?

– Nie wiem, protestantów, z zasady nieuznających relikwii, badaczy niezujących na aureolę świętych, okultystów, zwykłych bluźnierców czy wrogów Kościoła.

Balla patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Christian, zacznijmy od początku. Dlaczego ta sprawa tak cię nurtuje? Co to ma za związek ze śledztwem, jakie prowadzisz, i z proboszczem Hoenessem, o którego mnie ostatnio tak uparcie wypytywałeś? Czy nie za bardzo odrywasz się



od ziemi, chłopie? A propos powrotu na twardy grunt. Spotkałem Karin. Nie może przestać o tobie mówić. Czeka jak ta Ameryka na swojego Kolumba. Cała naprzód, przyjacielu. Ład może nie jest dziewiczy, ale nadal jest intrygujący. Dlaczego nie skorzystasz z okazji, sama pcha ci się w ręce...

Karin. Balla miał rację, musi coś zdecydować. Ale nie był jeszcze gotowy. Najgorsze, że nie był pewien sam siebie, swoich uczuć i reakcji. Wszystko się mogło zdarzyć, dosłownie wszystko. W jednej decydującej sekundzie, kiedy serce zabije w nim mocniej lub stanie w miejscu. Może właśnie dlatego wciąż zwlekał. Jego matka mówiła mu, że życie polega nie na oddychaniu, ale na chwilach, w których wstrzymujemy oddech. Pewnie to prawda, ale...

– Karin to zupełnie inna historia, Georg.

– Oczywiście, przyjacielu, jasne. – Balla machnął ręką i przywołał kelnerkę. – Twardziele nie rozmawiają o uczuciach, to takie niemęskie. Wróćmy do naszej błogosławionej. Zamieniam się w słuch, oświeć mnie, dlaczego tak cię ona interesuje.

Abell opowiedział mu o ostatnich wydarzeniach na plebanii, odnalezionym korytarzu, łączącym plebanię z katedrą, i zaginionej księdze, odkrytej w podziemnej celi proboszcza.

– Teraz rozumiem. – Balla pokiwał swą wielką głową, ze smakiem pałaszując solone migdały, które wylądowały na ich stoliku. – To rzeczywiście dziwna trzódka. Jeden kurwiarz, drugi masochista i wielbiciel kościstych dziwek, trzeci to homoseksualista, a wreszcie sam proboszcz straszący w podziemnych kazamatach. Co to, do cholery, za towarzystwo wzajemnej adoracji?! A przy tym, z tego, co mówisz, sami bibliofile i miłośnicy świętych ksiąg...

– Ładnie to ująłeś, Georg. – Abell potarł skronie. – Na razie nie widzę związku pomiędzy morderstwami a całą tą średniowieczną szopką w stylu krzyżackiego płaszczka i szpady. Zapewne odkryliśmy to niejako przez przypadek. Im dłużej patrzysz i głębiej zaglądasz, tym więcej widzisz. Głównym podejrzanym pozostaje Sackel. Emocje, jakie buzują w takich ludziach, uważanych przez innych za odmieńców, są niezbadane. Może to nic nie znaczy, ale od chwili jego zatrzymania nic złego już się nie stało. Jednak niepokoi mnie postać Hoenessa. Wymyka mi się. Od dłuższego czasu mam wrażenie, że on zna rozwiązanie zagadki, ale z jakichś niezrozumiałych powodów milczy, nie chce nam pomóc, popchnąć nas we właściwym kierunku. A przecież na logikę, pomyśl, jak najszybsze rozwiązanie i zamknięcie tej sprawy powinno leżeć także, a może nawet przede wszystkim, w jego interesie. Skandal i zgorzenie zrodzone na jego plebanii nie służą ani Kościołowi, ani jemu samemu. Znamy jego ambicje, rozbudowane ego, poczucie misji... Wszystko to legło w ruinie.

– Tak, niespodziewana banicja, na którą skazał go biskup, jest tego najlepszym dowodem – wtrącił dziennikarz. – Byłem wczoraj na brydżu w tak

zwanym dobrym towarzystwie. Niełaska, w jaką popadł proboszcz, była tematem wieczoru.

– Szukam klucza do tej postawy. Hoeness musi mieć świadomość, że pętla się zaciska. A jednak milczy... to dla mnie niezrozumiałe. Dlatego szukam jakiejś rysy, jakiegoś pęknięcia w jego zbroi. Mam czasami wrażenie, że siedzi tam w środku, w tym pokrzyżackim złomie, i śmieje mi się w twarz. Tyle tylko, że jego zachowanie jest po prostu nielogiczne.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że to on jest mordercą? To wiele by tłumaczyło.

– Oczywiście, że tak. Rozważałem taką możliwość. Wszyscy są podejrzani. Ty też, Georg. No, żartowałem, ty mógłbyś zabić tylko swojego wydawcę. Ale wtedy rodzi się kluczowe pytanie o motyw. Oczywiście, Hoeness mógł się dowiedzieć o podwójnym życiu swoich kapłanów i chcąc uniknąć skandalu, po prostu zamknął im usta na zawsze. Albo wystąpił w roli moralnego mściciela, to by nawet do niego pasowało... Ale bardziej prawdopodobne, że był jedynie świadkiem występku. Nie zapominam o kłótni w zakrystii. Bardzo możliwe, że dotyczyła niemoralnego prowadzenia się księdza wikarego. A obecna wstrzeźliwość Hoenessa to tylko, zrozumiała poniekąd, niechęć do wywlekania brudów na własnym podwórku i publicznego ich prania. Apetyt księdza Gerharda na młode mężatki musiał być dla niego wstrząsem. A jeszcze homoseksualizm, praktykowany na jego własnej plebanii, to już prawdziwa katastrofa!

– Mimo wszystko mógł ich sprzątnąć. Wystąpić w roli czyszciciela, samozwańczego sędziego, jak zwał, tak zwał.

– To oczywiście możliwe, nie wykluczam tego. Sądzę jednak, że to byłyby za słabe motywy... Zastanów się... Niezwykle brutalna, dramatyczna forma tych zabójstw wskazuje na zbrodniczą determinację sprawcy, nienawiść w czystej postaci. I wymagały one fizycznej siły i sprawności, nie mówiąc już o czasie potrzebnym na przygotowania. Słowem: jeśli założyć, że mordercą był Hoeness, to kara jest nieadekwatna do winy.

– Tak więc dopóki nie znajdziesz bardziej przekonującego motywu, nie uwierzysz, że to proboszcz jest sprawcą?

– Właśnie. Poznałem go trochę. No i pozostaje jeszcze wątpliwość dotycząca grzechu.

– Grzechu? Morderca chyba specjalnie by się tym nie przejmował.

– Niekoniecznie. Kapłan miałby karać za grzeszne uczynki, sam dopuszczając się grzechu śmiertelnego? To wyklucza zbawienie. Myślę, że dla osobowości tak integralnej jak proboszcza Hoenessa, tak mocno powiązanej z katolickim światopoglądem, byłoby to trudne do przełknięcia.

Balla zadumał się.

– Pewnie masz rację, ostatecznie znasz się na tym lepiej. Na zbrodni, nie na

grzechu. – Wykrzywił usta w ironicznym grymasie. – Ale wracając do tej szczeliny, czego właściwie szukasz?

– Jak widzisz, próbuję znaleźć wyjaśnienie tego dziwnego, absurdalnego zachowania proboszcza. Musi przecież istnieć coś, co je tłumaczy, co pozwoli spojrzeć na całą tę sytuację z innego punktu widzenia, z innego miejsca. Na razie stoję w złym miejscu, Georg. Ale jeśli znajdę ten właściwy punkt, wszystko może się zmienić. Także moja ocena Hoenessa.

– Co masz na myśli? – Balla usiłował nadażyć za tokiem rozumowania przyjaciela.

– Załóżmy, że znajdę ukryty motyw Hoenessa. Jego najgłębiej skrywaną tajemnicę, toczącego go raka, o którego istnieniu nie mam dzisiaj najmniejszego pojęcia. Coś, co nie tylko popchnęłoby go do zbrodni w jakimś wściekłym, może mistycznym szale, ale także usprawiedliwiłoby, w jego mniemaniu, wieczne potępienie. Jeśli to odkryję, uwierzę, że mógł zabić.

– Nadal nie rozumiem, jaką rolę miałyby odgrywać w tym przedstawieniu Dorota Schwartze, która, istnieje takie prawdopodobieństwo, spogląda teraz na nas z góry i pewnie rzuci na nas za chwilę jakąś katolicką klątwę... Przypomnę ci tylko, że jej życie jest dość dokładnie poznane i opisane. Słowem, skąd to nagle zainteresowanie Dorotą?

– Sam tego nie wiem. Chyba nie dlatego, że i ja mam zapewne holenderskie korzenie i urodziłem się na Żuławach. Ale poważnie... To tylko instynkt, Georg. Niepokoi mnie sprawa tej księgi. Dlaczego zniknęła z pokoju Platzecka niemal natychmiast po tym, jak został zamordowany? I dlaczego wylądowała w sekretnym schowku proboszcza? Przecież jedynie on mógł ją tam przenieść. W takiej chwili, kiedy był wstrząśnięty tym okrutnym zabójstwem? Cóż tak ważnego było w tej księdze, że musiała zniknąć? Te pytania nie dają mi spokoju. Być może znowu patrzę zbyt głęboko, a wszystkie tajemnice siedzą w ptasim umyśle organisty Sackla. Może zabójca jest już pod kluczem, a tajemnicze zniknięcie *Żywota* to tylko kolejny dziwaczny sekret tej osobliwej parafii? A może zagadka sięga daleko w przeszłość, na przykład do życia błogosławionej niewiasty? W takim wypadku wielkie emocje i namiętności rzeczywiście mogłyby dojść do głosu. Ludzie przez całe wieki zabijali innych w imię wiary.

– Naprawdę, chciałbym pomóc, ale nie wiem jak. Jacyś prawdziwi teologowie, specjaliści od żywotów świętych, znajdują się daleko stąd, może w Królewcu, może w Berlinie. A życie Doroty zostało po wielokroć szczegółowo opisane. Z tego, co pamiętam, słynęła z prorocत्व, a jej objawienia spisał w formie dialogu Jan z Kwidzyna w dwóch dziełach: *Confessiones* i *Apparitiones*. Napisał także dwa traktaty o jej życiu i duchowości: *Septilium* i *Liber de festis*.

– Widziałem je w podziemnej kryjówce proboszcza.

– No właśnie, to relacje naocznego świadka, człowieka, który wspierał

i dobrze znał Dorotę, nie tylko jako służebnicę Pańską, ale też jako kruchego, słabego człowieka. Dzięki temu wiemy o niej wyjątkowo dużo.

Nagle Abellowi przyszła do głowy pewna myśl. Nigdy nie widział grobu błogosławionej ani nic o nim nie słyszał.

– Georg, a gdzie właściwie jest pochowana Dorota Schwartze? W tym życiorysie, który mi pokazałeś, napisano, że pochowana była najpierw w krypcie biskupiej, a potem w oddzielnym grobowcu w podziemiach katedry<sup>[F]</sup>. Nie przypominam sobie, aby było tam takie miejsce...

Balla spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– No, to prawda. Wiemy, że tam ją pochowano, ale w późniejszych stuleciach informacje o dokładnym miejscu pochówku całkowicie się zatarały...

– Nagle przerwał, jakby dopiero teraz pojął sens tego pytania. – Myślisz, że znaleźli grób, a wraz z nim jakąś mało katolicką tajemnicę?

Ale jego przyjaciel już nie słuchał, zatopiony w rozmyślaniach o kobiecie, która w celi nie miała nawet nocnika, gdyż jej szaty wchłaniały wszystkie wydzieliny ciała poświęconego Bogu, i której tajemnica być może kryła się w jakimś podziemnym korytarzu, w mroku katedry.

Kawiarnia powoli zapełniała się ludźmi. Chmury siwego tytoniowego dymu wędrowały po lokalu niczym latające dywany, unosząc strzępy rozmów, chichoty, chrząknięcia, śmiechy, a także brzęk sztućców dobiegający z kuchni. Przy kontuarze barman niezmordowanie pucował stojące przed nim szkła. Jego gruby kark pokrywały sine plamy, a z pobrużdżonego czoła kapały krople potu, niweczając walkę o czystość piętrzącej się przed nim armii kielichów, kufla do piwa, szklanek i kieliszków z rżniętego kryształu.

Jeszcze kilkanaście lat temu jego całym światem był pokład pancernika „Gneisenau”. Pamiętał zapach oficerskiej mesy, śmierdzącej obierkami, odór krwi i prochu, którym przesiąkły nawet marynarskie hamaki na dolnym poziomie. Mógłby wtedy umrzeć właściwie bez żalu, jak tyłu jego towarzyszy broni. Wiedział, co to honor, cesarz i ojczyzna. Teraz musiał usługiwać tej menażerii przelewającej się przed jego oczami. Banda nierobów, opojów, dziwek, defetystów i Żydów, których kiedyś, tego był pewien, znowu się weźmie za ryj.

Długonoga nieznajoma, siedząca naprzeciwko Balli, otworzyła kosmetyczkę. Wyjęła z niej krwistą pomadkę i zaczęła poprawiać kontur wydatnych ust. Kredka meandrowała po wargach, zostawiając ślad mocnego koloru i wilgoci. Balla westchnął, nie spuszczać wzroku z tego zmysłowego pokazu. Tym razem kobieta nie odwróciła spojrzenia. Patrzyła mu prosto w oczy. Georg Balla pomyślał, że dzień się jeszcze nie skończył.

4.

– Czy wyście już całkiem ochujeli, Abell?! – Radca dawno już nie widział komisarza von Bocka równie wściekłego. Kołnierzyk *vatermoerder*, którego, jak żartowano w komisariacie, Bock nie pozbywał się nawet, idąc spać, ledwo utrzymywał w ryzach pokryte purpurowymi plamami podgardle komisarza. – Przyskrzyniliście tego homoseksualistę i chwała wam za to. Wystarczy go przycisnąć, a puści farbę. Mamy i motyw, i winnego. Sprawa jest zamknięta! Rozumiecie?

– Sackel jeszcze nie przyznał się do winy – zauważył zimno radca.

– To tylko kwestia czasu. Takie pedały są miękkie jak końskie łajno. Przyzna się, bo to zrobił, skurwiel! A wy, zamiast odtrąbić sukces i wracać do swojego Wolnego Miasta, wyjeżdżacie z jakimś świętym truchłem?! No kurwa mać, Abell, czy wyście całkiem postradali zmysły? Będziemy teraz szukali grobu jakiejś świętej?

Radca spodziewał się takiej reakcji. Właściwie nie miał nawet pretensji do tego grubego bufona, który swoją karierę zawdzięczał tylko wysokiemu pochodzeniu i koneksjom. Narodowi socjaliści w jednym mają rację, pomyślał. Aristokratom nie można ufać, trzeba ich odesłać na śmietnik historii.

– Panie komisarzu, jak pan sam przed chwilą trafnie zauważył, jestem najbardziej zainteresowany zamknięciem śledztwa – powiedział ugodowo. – Na Sacklu ciężą bardzo poważne zarzuty. Trudno mu będzie się z nich wybronić. Ale nasze ostatnie odkrycia na plebanii, dezercja proboszcza i jego niejasne zachowanie sprawiają, że kilka pytań pozostaje bez odpowiedzi. Ktoś z góry może je panu zadać i co wtedy?

Komisarz von Bock poruszył się niespokojnie. Ten złotousty policjant działał mu na nerwy. A jednocześnie nie mógł zaprzeczyć, że w jego rozumowaniu była nieodparta racja. Jeszcze tego brakowało, żeby te pajace z góry zaczęły patrzeć mu na ręce.

– Trzy dni, Abell. Trzy i ani dnia dłużej.

## 5.

To stało się tak szybko. Przyciągnął ją do siebie, a ona przywarła do niego mocno, tak jakby na to cały czas czekała od ich ostatniego spotkanie na Liebenthaler Chaussee. Wyczuł ciepło promieniujące z jej ciała i ciężar napierających piersi. Przybliżył wargi do jej ust. Były spierzchnięte i rozwarte. Poczul jej język – dotykał jego zębów, wpełzał w głąb, wędrował coraz gwałtowniej, przynosząc gotowość i oddanie. Odpowiedział na pocałunek. Teraz to on był odkrywcą, wysysał z niej całą wilgoć, poznawał śliskość i chropowatość jej języka. Usłyszał przyspieszony oddech Karin. Przez koszulę wyczuł twardniejące sutki jej piersi. Jedną rękę wsunął pod sukienkę i mocno chwycił jej nagie pośladki.

Poczuł, jak się mimowolnie zaciskają, stając się twarde niczym skorupa owocu, aby za chwilę ponownie zmięknąć, poddając się jego woli.

Miała na sobie prostą, trochę zbyt opiętą bluzkę. Rozpinał ją powoli, oswobadzając z każdym kolejnym guzikiem to kształtne, dojrzałe ciało. Tak jak się spodziewał, miała duże, sterczące piersi. Cienka strużka potu, spływała jej po szyi, w dół, szukając drogi pomiędzy dwoma, ekstatycznie poruszającymi się wzgórzami. Dotknął jej niżej, a ona westchnęła gwałtownie, krótko, po czym uśmiechnęła się nieśmiało, jakby zachęcając jego rozbiegane palce do dalszej wędrówki. Jeszcze kilka minut wcześniej obawiał się, czy pożądanie nie spali go zbyt szybko, ale teraz już wiedział, że nie. Był gotowy, niecierpliwy, ale jednocześnie pewny, że ta podróż wzdłuż i w głąb ciała Karin, będzie długa, przynosząc mu na końcu ulgę, a jej błogość i zaspokojenie

– Długo czekałeś – usłyszał chropowaty szept.

Nie był pewien, czy Karin mówi o przeszłości, czy o tym, co zaraz się stanie.

**6.**

Ksiądz Alfred Globcke zatrzepotał białymi rękami. Ze swoją bladą cerą i białymi włosami przypominał ptaka albinosa, odzianego dla niepoznaki w czarną sutannę i koloratkę: obrożę podkreślającą przynależność do rodzaju ludzkiego. Stał właśnie pochylony na środku celi błogosławionej Doroty<sup>[G]</sup> i usilnie starał się zrozumieć, o co prosi go ten przerażający policjant, nieodmienny zwiastun złych wiadomości. Z każdą jego kolejną wizytą bezpieczny świat otaczający dotychczas księdza Alfreda popadał w coraz większą ruinę. Tak jakby trujący chwast rozrastał się i rozsadzał od środka mury opoki, od tyłu lat dającej schronienie pokornym sługom Pana. Kapłan nie miał złudzeń, że tym razem będzie inaczej. Najchętniej ukryłby się przed wszystkimi, choćby w mysiej dziurze. Niestety, wskutek zatrważającego biegu wypadków pozostał sam na straży katedry i musiał stawić czoło rzeczywistości.

– Słyszałem, że to właśnie ksiądz najdokładniej ze wszystkich kapłanów tutejszej parafii – mówiąc to, Abell uświadomił sobie, że grono to ostatnio dramatycznie stopniało i jego słowa brzmią cokolwiek absurdalnie – poznał tajniki życia błogosławionej Doroty Schwartz.

– Tajniki? To chyba nie najlepsze określenie... Doczesne bytowanie wyniesionych na ołtarze nigdy nie jest tajemnicą. – Globcke otrząsnął się z lęku i skrępowania. – Niezbadane są tylko wyroki boskie. Dorota Schwartz była posłuszną, choć nieszczęśliwą żoną. Rodziła po wielokroć dzieci, doświadczyła znoju i trudów życia u boku niewdzięcznego, gwałtownego męża. A jednak Pan nasz w swej niezmierzonej mądrości ją właśnie sobie upodobał. Dlaczego tak się stało? Dlaczego to pokorną Dorotę powołał do świętości? Oto tajemnica, której

ludzkie umysły zrozumieć nie są w stanie. Nie znamy boskiego planu, nie wiemy, dlaczego na miejsce tych cudownych zdarzeń wybrał kwidzyńską katedrę. Odpowiedź zna tylko Pan Bóg. Ale nie ukrywam, że to błogosławionej Dorocie zawdzięczam swoje powołanie...

– Rozumiem, że to w tej celi spędziła ostatnie miesiące swego życia i że fakt ten nie budzi najmniejszych wątpliwości?

Globcke spojrział na niego z niechęcią.

– Wszystkie współczesne źródła to potwierdzają. To tutaj spędziła czternaście ostatnich miesięcy swego uświęconego żywota.

– Nic się tu nie zmieniło od tamtych czasów?

– Miejsce jest to samo, ale niestety, nie takie samo. – Globcke westchnął. – Niegdyś w celi znajdowało się jedno małe okienko, służące Dorocie do komunikowania się ze światem zewnętrznym, i przez nie podawane było jedzenie. Drugi otwór umożliwiał jej obserwowanie i przeżywanie mszy świętej, odbywającej się w przyległej kaplicy. W późniejszych wiekach pierwszy z tych otworów zamurowano, a drugi poszerzono. Wszyscy świadkowie procesu kanonizacyjnego zgodnie zeznali, że przez cały okres rekluzji Dorota jadła tylko raz dziennie, najprostsze posiłki, i w ogóle nie sypiała. Widzenia i ekstazy zastępowały jej sen. Ta święta osoba nieprzerwanie oddawała się żarliwej modlitwie, po wielokroć doznając wizji, podczas których spotykała się z Bogiem i świętymi. Codziennie widywała się też z Janem z Kwidzyna, który udzielał jej spowiedzi, z którym rozmawiała o swoich wizjach i który świetnie sprawdzał się w roli jej przewodnika duchowego.

– W jaki sposób i gdzie dokładnie ją pochowano?

– Ta święta niewiasta zmarła samotnie w celi w nocy dwudziestego piątego czerwca tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego czwartego roku, po czternastu miesiącach pobytu w odosobnieniu. Jej pogrzeb odbył się w katedrze kwidzyńskiej trzy dni później. Obrządek pochówku miał niezwykle uroczystą oprawę, przysługującą tylko wielkim osobistościom. – Globcke otarł pot z czoła. Odczuwał dziwny przypływ mistycznego żaru, opowiadając o błogosławionej. – A wiernych w katedrze było tak wielu, że biskup nie mógł przedostać się do ołtarza. W czasie kazania Jan z Kwidzyna przybliżył zgromadzonym sylwetkę Doroty i jej objawienia. Kościół zadbał o jej godny pochówek. Już po kilkunastu tygodniach, dokładnie trzydziestego października, jej ciało zostało przeniesione do specjalnie wymurowanej krypty w katedrze, tak by ułatwić wiernym dostęp do jej grobu, ponieważ zaczęły się przy nim zdarzać cuda nawróceń i ozdrowień.

– Księżę Alfredzie, jeśli o życiu tej kobiety wiemy tak wiele, to dlaczego nie wiadomo, gdzie dzisiaj znajdują się jej szczątki?

Globcke rzucił mu zmęczone spojrzenie.

– Minęło kilkaset lat od tamtych wydarzeń, panie oficerze. Przez miasto

przetaczały się wojny i różni najeźdźcy... Pamięć ludzka także jest zawodna... Jak mi się wydaje, kluczowa okazała się jednak doktrynalna niechęć ewangelików do świętych relikwii. A to oni na długi czas przejęli kontrolę nad naszą katedrą<sup>[H]</sup>. Wybacz im, Boże, bo nie wiedzą, co czynią. – Wzniósł oczy ku niebu i przeżegnał się żarliwie.

Radca słuchał go uważnie, przyglądając mu się spod przymrużonych powiek. Alfred wyglądał na jedyne w miarę normalnego księdza w tym parafialnym ulu, pełnym pożądlivosti, kłamstwa i zdrady. Przyszło mu jednak do głowy, że to myśl nie do końca uprawniona. Nie znał wszakże zamordowanych księży, nie wiedział, czy grzeszną naturę mieli wypisaną na twarzy. Może promieniali radością życia, pogodzeni ze swoją prawdziwą naturą, a strój duchownego był tylko bezpiecznym parawanem, maską ułatwiającą codzienną egzystencję? A może wręcz przeciwnie, spalali się co noc, cierpieli w poczuciu winy i wstydu? Nie mogli przecież zrzucić z siebie ciężaru grzechu, jak każdy śmiertelnik. Przed kim mieliby się wypowiadać? Bo nie przed sobą wzajemnie ani przed proboszczem. A ksiądz Alfred nie wydawał się zaufanym spowiednikiem – sprawiał raczej wrażenie człowieka słabego, szukającego w duchownych szatach tarczy, która ochroni go przed wrogim, niezrozumiałym światem zewnętrznym.

– Czyżby nigdy nie próbowano odnaleźć jej grobu? Przecież takie odkrycie miałoby zapewne ogromne znaczenie dla samego kościoła, nie mówiąc już o wiernych?

Ksiądz spojrział na niego wzrokiem spłoszonej sarny. Nadal nie wiedział, ku czemu zmierza ten policjant.

– Z całą pewnością takie próby były podejmowane, ale bez rezultatu – powiedział. – Wiadomo ponad wszelką wątpliwość, że w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym szóstym roku wybudowano obok grobu Doroty drugi ołtarz, pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Znamy nawet takie szczegóły, że ustawiono przy grobie żelazną kratę i srebrny świecznik ze złoceniami. Przy ołtarzu odprawiano nabożeństwa za jej rychłą beatyfikację. Wiadomo także, że biskup Pomezanii Jan IV, uprosiwszy trzy jubileusze dla swojego Kościoła kwidzyńskiego, zebrał ogromną moc pieniędzy, za które chciał podnieść ciało błogosławionej Doroty. Lecz niestety, Krzyżacy wykupili za nie swoje zastawione dobra, a biskup z pozostałych środków dobudował wieżę do kolegium w Kwidzynie. Niezakłócony kult przy grobie relikwii trwał do czasów protestanckiego biskupa Pawła Speratusa, który w tysiąc pięćset czterdziestym czwartym roku zarządził, by usunąć kratę przy grobie Doroty, i jednocześnie zakazał jej kultu w Prusach. Cóż, jak powiedziałem, protestanci nie uznawali relikwii. Od tej pory zaginął także wszelki ślad po szczątkach doczesnych Doroty.

– Zakon krzyżacki nie dbał o swoją świętą?

– Nie była własnością zakonu, panie oficerze, lecz należała do całego ludu



Bożego. Wprawdzie jej protektor, Jan z Kwidzyna, był najwybitniejszym teologiem zakonu, ale sama Dorota wielokrotnie ostro krytykowała upadek moralny Krzyżaków. Istniał także konflikt pomiędzy nią a ówczesnym wielkim mistrzem, Konradem Wallenrodem.

– Może wielki mistrz nie uznawał jej świętości i stąd ta wzajemna niechęć?

– Jak to? – Globcke był coraz bardziej skonfundowany.

– No cóż, załóżmy, że Konrad Wallenrod wysunął pewne, nazwijmy to, zastrzeżenia co do świętości Doroty. Jako wielki mistrz miał ku temu o wiele większe możliwości niż na przykład Jan z Kwidzyna, nie mówiąc już o zwykłych duchownych czy owieczkach Kościoła. Wyczytałem, że wielki mistrz nie był jedynym sceptykiem. Jej wcześniejsi, gdańscy spowiednicy, Radislaus i Mikołaj z Pszczółek, także nie rozumieli potrzeb duchowych Doroty. Przyszło mi do głowy, ale to tylko spekulacja, że może Dorota wcale nie była taka święta? I że jedynie spełniała zapotrzebowanie współczesnych na uduchowanie i cudowność. Słowem, że była jedynie swoistym produktem swoich czasów.

Tym razem ksiądz Alfred wydawał się nie tylko zmieszany, ale wręcz wstrząśnięty.

– To wszystko domysły, oficerze, świętokradcze insynuacje wysane z brudnego palca. Dorota krytykowała wielkiego mistrza Konrada Wallenroda, bo stał na czele zakonu, który jej zdaniem stopniowo odchodził od ewangelii, obrastał w tłuszcz i bogactwo, pograżając się w moralnej zgniliznie. A ci dwaj spowiednicy? No cóż, Dorota już po powrocie do Gdańska, po śmierci męża, pragnęła zamknięcia w rekluzji. Prosiła o codzienną spowiedź i komunię świętą. To nie były typowe, codzienne zachowania, zwłaszcza u niewiasty. Obaj ci spowiednicy, niczym niewierni Tomasz, nie odczytali znaków od Boga, okazali się zbyt mali. Po prostu zawiedli... Rzadko się zdarza, aby świętość jakiejś osoby uznano tak powszechnie i bez zastrzeżeń jeszcze za jej życia. A tak właśnie stało się w przypadku Doroty...

– Proszę się nie unosić, księżo Alfredzie – powiedział ugodowo Abell.

– Z tego, co wiem, w przewodzie beatyfikacyjnym, a ten Doroty do dziś się toczy, celowo zadaje się takie prowokacyjne pytania, aby wykluczyć wszelkie obiekcje dotyczące świętości danej osoby. Ale oczywiście to nie mój teren. Prowadzę śledztwo, proszę księdza. Zginęli w męczeński sposób duchowni, pańscy bracia w wierze... Wszystko to dzieje się w cieniu tej katedry. Wypląnęły dziwne fakty, niejednoznaczne, o których nie mogę opowiadać. Mam różne wątpliwości, błędę, szukam... Stąd te pytania. Wracając do grobu... może po prostu znajduje się pod ziemią, pod płytami katedry?

Wyglądało na to, że uspokajająca przemowa radcy odniosła skutek. Rumieniec oburzenia na policzkach Alfreda Globckiego ustąpił miejsca poprzedniej błądźci.

– To raczej niemożliwe. Wejście do niewielkich podziemi znajduje się przy kaplicy Groebenów. Szukano po wielokroć. Istnieją świadectwa, że odkopano niegdyś kilka podziemnych komór grobowych. We wszystkich były szczątki męskie. Odnaleziono tylko jeden kamienny sarkofag, niestety pusty. Panuje przekonanie, że to grobowiec błogosławionej Doroty. Sarkofag stoi w podziemiach do dziś, w oddzielnej celi, ale pomieszczenia tego nie udostępniamy wiernym. Proboszcz Hoeness powiedział nawet kiedyś, że to „najświętsze miejsce w katedrze”. Grobowiec jest pusty, bo protestanci zapewne usunęli z niego kości Doroty, jako niechciane relikwie.

Abell spojrzał na księdza z zaciekawieniem.

– Czy wiadomo, co się z nimi stało?

Globcke wzruszył ramionami.

– Nic pewnego... Mówiło się na przykład o ukryciu doczesnych szczątków Doroty poza terenem katedry...

– Tak? A gdzie?

– Z oczywistych względów miejsce to nie mogłoby znajdować się zbyt daleko od katedry. Tego pochówku dokonano zapewne potajemnie, nocą, aby nie spowodować niepokoju i nie wzburzyć okolicznych mieszkańców. Pamiętajmy, że w mieście nie brakowało katolików, nadal otaczających Dorotę czcią i uwielbieniem. Już w osiemnastym wieku pojawiły się pogłoski, że nowy grób znajduje się po północnej stronie katedry, niedaleko murów kaplicy Groebenów.

– Dlaczego właśnie tam?

– Po stronie południowej rozciągał się ciasno zabudowany rynek, za wschodnim skrzydłem istniały już brukowane ulice i stały domy, po zachodniej stronie przebiegała brukowana Danzigerstrasse. Optymalnym rozwiązaniem mogła się więc wydać protestanckim świętokradcom niezamieszкана strona północna. Do dzisiaj znajduje się tam łąka, przed samym pałacem Fermora.

Myśl o tym, że idąc do pałacu, zarówno on sam, jak i legiony urzędników miejskich, codziennie depczą ziemię, pod którą spoczywają zagrzebane płytko (pół metra, metr pod ziemią?) szczątki tej kobiety, która rozmawiała z Bogiem, poruszyła Abella.

Przed oczami stanął mu obraz sześć-, siedmioletniego chłopca w krótkich spodenkach i marynarskiej koszulce, który jedną ręką ścisnął kurczowo dłoń swojej matki, a w drugiej trzymał garść odurzająco pachnących lilii. Matka, Franziska, trochę na siłę wciągała go do małej celi, gdzie był tylko klęcznik i wiszący na ścianie portret świętej. Lękał się jej łagodnego uśmiechu i ciemnych oczu. Nie mogła być dobra, jeśli z własnej woli kazała się zamurować w tej norze. Panicznie się bał, że matka nagle odejdzie, a wtedy otwór drzwiowy, jedyny łącznik ze światem, jakimś sposobem się zasklepi i on już na zawsze pozostanie w tych murach, sam na sam z oczami nawiedzanej Doroty i zapachem lilii, zwiastunem

śmierci.

– Chciałbym na koniec zapytać o rzecz ważną dla śledztwa. – Abell zmusił się, aby wrócić do rzeczywistości. – Proszę się dobrze zastanowić, zanim ksiądz odpowie. Czy wchodził pan do pokoju księdza Platzecka już po jego śmierci, a jeszcze zanim pokój zaplombowała policja? A jeśli tak, to czy zabrał ksiądz stamtąd jakiś przedmiot?

Alfred Globcke zdecydowanie pokręcił głową.

– Nawet nie przyszłoby mi to na myśl... Byłem wstrząśnięty, jak wszyscy.

– A czy wie ksiądz o tajemnym przejściu łączącym pokój proboszcza z katedrą?

– Tajemnym... przejściu? Do katedry? Nie mam o tym pojęcia... – Globcke spojrział z niedowierzaniem na radcę.

Pomyślał, że był nie tylko słaby, ale i ślepy. Wydawało mu się, że dobrze poznał zwyczaje i reguły panujące na tym średniowiecznym dworze, który wielbny proboszcz nazywał plebanią. Teraz zrozumiał, jak bardzo się mylił. Przywdział duchowne szaty, bo łaknął poczucia wspólnoty. Nigdy nie miał przyjaciół, rodzeństwa, kogoś, kto by go zaakceptował i bezwarunkowo pokochał. W Kościele szukał ratunku, wspólnoty, w którą chciał się wtopić i dzięki temu zyskać poczucie przydatności. Pan Bóg kocha przecież wszystkich, szpetnych, chromych, a nawet trędowatych i zadzumionych. Chyba nie robi wyjątku dla albinosów? Dla tego poczucia gotów był wiele poświęcić. Przywykł nawet do zgryźliwych uwag despotycznego starca, który najchętniej widziałby się w roli Hermanna Balka walczącego z poganami. Dopiero teraz uświadomił sobie, że proboszcz nigdy, ani razu w ciągu tych kilku lat nie odniósł się nawet najmniejszym słowem do jego niedzielnych kazań. A przecież tylko Alfred wiedział, ile go kosztowało stworzenie takiego dzieła. Tak, dzieła! Inkrustowanego odpowiednio dobranymi cytatami z Biblii, pełnego przypowieści o świętych Kościoła, które godzinami wyszukiwał w dawnych parafialnych księgach, aby później zszyć je nicią miłosierdzia i dobrego przykładu. Po całych godzinach też, niczym klasztorny skryba przepisujący stare manuskrypty, ślęczał nad swymi kazaniem. Szlifował frazy, rzeźbił słowa, szukał właściwej nuty i rytmu. Wszystko po to, aby w ten jeden niedzielny poranek ujrzeć w oczach wiernych zachwyty, trwogę i pokorę. Ale oczy proboszcza zawsze były puste. Alfred Globcke w swej samotności nie miał żadnych przyjaciół.

– I jeszcze jedno – odezwał się radca. – Może to pytanie wyda się księdzu dziwne. Czy proboszcz Hoeness kiedykolwiek poruszał przy księdzu temat świętości Doroty? I czy wspominał, w jakichkolwiek okolicznościach, o poszukiwaniu czy też odkryciu jej grobu?

– Istotnie, dziwne pytanie. – Alfred Globcke marzył już tylko o zakończeniu tej rozmowy. – Kościół katolicki jest wielki i wieczny świętością takich

cudownych osób jak Dorota. Stąpamy w tej celi po jej błogosławionych śladach. To nie zbór ewangelicki. Ani proboszcz Hoeness, ani nikt z nas, kapłanów, nigdy nie miał wątpliwości co do niezwykłego świadectwa wiary i poświęcenia, jakie nam pozostawiła. Nigdy nie słyszałem też, aby ktoś na plebanii wspominał o poszukiwaniu grobu.

Abell uznał przesłuchanie za skończone. Wstał z miejsca i kierował się już do wyjścia z celi, gdy nagle zatrzymało go zdanie wypowiedziane przez księdza.

– Ale na kilka dni przed śmiercią księdza Gerharda rzeczywiście usłyszałem coś dziwnego.

– Co mianowicie?

– Proboszcz był w pokoju księdza Albrechta. Zdziwiłem się. Z reguły nigdy nas nie odwiedzał. Usłyszałem podniesiony głos. Proboszcz był wyraźnie zdenerwowany. Krzyczał coś o odkryciu i o jego wielkiej wadze.

Radca poruszył się niespokojnie.

– Odkryciu? Czy dosłyszał ksiądz, o jakie odkrycie chodziło?

– Niestety, nie. Nie chciałem przecież podsłuchiwać... Potem na moment zapadła cisza, ale w chwilę później dobiegło mnie jeszcze jedno zdanie. Nie wszystko uchwyciłem, ale sens był mniej więcej taki, że to odkrycie musi pozostać tajemnicą, bo konsekwencje okazać się mogą straszne dla wszystkich.

## 7.

Vranitzky czekał na niego w swoim biurze. Wspólne analizowanie zebranego materiału śledczego weszło im już w krew. Lubili swoje towarzystwo i potrzebowali się nawzajem. Abell cenił krytyczny umysł Austriaka, tak pomocny w wyszukiwaniu słabych stron budowanych przez niego hipotez śledczych. Vranitzky z zaciekawieniem podążał często nieoczywistymi ścieżkami, które wytyczała wyobraźnia Abella. Jakiś czas temu przeszli nawet na ty, co raczej należało do rzadkości w skostniałych relacjach panujących między oficerami tutejszej komendy.

– Załóżmy, że masz rację – Austriak splótł palce w geście znamionującym skupienie – i że rozwiązania zagadki trzeba szukać w mroku katedry. A konkretnie w głowie proboszcza Hoenessa. Mnie również zastanawia sprawa tej księgi. Powtarzam twoje pytania: jak to się stało, że zniknęła z pokoju Platzecka prawie zaraz po jego śmierci? Jakim cudem odnalazła się w tajemnym schowku proboszcza? Zgadząmy się, że tylko on mógł ją tam przenieść. Dziwne... uczynił to niemal natychmiast po zamordowaniu swego wikarego?

Pokiwał głową, jakby chciał potwierdzić: sam miałbym podobne wątpliwości.

– Nie znam odpowiedzi na te pytania – kontynuował – ale istnieje także

możliwość, że nie mają one nic wspólnego ze sprawą, którą prowadzisz.

– To znaczy?

– Zabójcą najprawdopodobniej jest Sackel. Miał cholernie dobry motyw: zazdrość o uczucie kochanka do kobiety. Zlikwidował też księdza Webera, zapewne jako niewygodnego świadka. I odpowiednio zadbał o scenerię zbrodni. Te sznury, krew, napisy, ukrzyżowane ręce. Brakuje tylko muzyki Wagnera, albo... fug Bacha. Co ważne: organista nie ma mocnego alibi. A sprawa księgi i podziemnych lochów? Być może kolejna zagadka, w ogóle niezwiązana z tymi morderstwami. Podobnie jak błędny trop wiodący do doktora Nauna. Okazuje się, że to miasto jest pełne tajemnic. Ale tobie płacą za to, abyś rozwikłał i zamknął sprawę obu zabójstw. Tylko to się teraz liczy.

– Sugerujesz, że powinienem się wycofać?

– Zająłbym się przede wszystkim Sacklem. Inaczej Bock zrobi to za ciebie. I zamknie sprawę na amen.

## **Rozdział VIII**

**Tak miękki jest sznur**

## 1.

Jak długo można rozpruwać oporną tkaninę samymi zębami, bez pomocy noża czy choćby najprostszego narzędzia? Godzinę, dwie? On robił to już całą noc i zaczynał się obawiać, że przegra wyścig ze świtem. Najpierw zbadał palcami grubość nogawek. Były twarde i sztywne, jakby Najwyższy celowo chciał mu utrudnić zadanie. Szukał słabego punktu tej mocnej, nieprzyjaznej tkaniny tak długo, aż znalazł niewielkie rozdarcie na mankiecie spodni. Wgryzł się w materiał, szarpał go jak dzikie zwierzę rozrywające przeciwnika na strzępy. Poczul tępy ból zębów, ale nie przerwał ani na chwilę. Poranione wargi i dziąsła zaczęły mu krwawić. Krople krwi spadały miarowo na podłogę. Nie poddawał się. Pracował cierpliwie i niezmiernie. Po godzinie mógł już ułożyć na podłodze pierwszy pas.

Z uwagą wsłuchiwał się w zegar wybijający godziny na ratuszowej wieży. Raz, dwa, trzy... Miasto spało. Czy poza nim słyszał to bicie ktoś jeszcze? Poczulby się lepiej, gdyby jego myśl spotkała się z odczuciem innej żywej istoty. Choćby bezdomnego nędzarza szukającego schronienia w jakimś mrocznym zaułku. Albo hycła wracającego z nocnej wyprawy za bezpieczeństwa kundlami. Spojrzał na taboret, jakby sprawdzając, czy bielejący w ciemności papier nadal tam leży. Wszystko musiało być dokładnie tak, jak zaplanował, wszystko na swoim miejscu.

Po trzech godzinach męczarni mógł rozłożyć przed sobą kilka kolejnych pasów. Potrzebował ich jeszcze tak wiele. Gdy zęby wreszcie odmówiły mu posłuszeństwa, przypomniał sobie o rękach i paznokciach. Wyrwał rękawy marynarki – idealne na mocną pętlę, w której można zacisnąć szyję.

Brzask różowił już niebo, widoczne przez zakratowane okienko, gdy uznał, że zdąży. Ta myśl była mu miła. Już nikt mu nie przeszkodzi. Pasy materiału, skręcone w długi sznur, rozprostował pieczołowicie na podłodze. Przez chwilę się zmartwił, że pętla jest zbyt ciasna, i aż zaklął pod nosem. Ale głowa przecisnęła się przez miękką obręcz, więc uspokojony, odłożył sznur. Potem z obawą pomyślał, że sznur jest za cienki, a węzły za słabe. Z wielkim trudem rozsypał je, po czym ponownie splótł, tym razem trzykrotnym węzłem. Rozejrzał się. Tak, teraz nareszcie mógł odpocząć. Rozprostować kości, wygodnie położyć na pryczy, dać ulgę pościeranym do krwi dłoniom. Spłynęły na niego błogość i spokój. Czy to tak właśnie wygląda ta chwila? Bez żalu, bijącego serca i lepkiego strachu? Czekał na nią, od kiedy musiał pożegnać się z Gerhardem.

To nie było w porządku z jego strony... Potrząsnął głową. Tak się nie postępuje z kimś, kto – tak jak on – kochał żarliwie i bezwarunkowo. Gerhard zadał mu ból, tyle bólu... zawiódł go... Zaraz jednak odgonił tę myśl jak natrętną

muchę. Nie chciał odchodzić z żalem i gniewem w sercu. Ostatecznie pamięć o Gerhardzie była jedyną cenną pamiątką, jaką zabierał z tego padoku.

Spojrzał w okno. Piękny dzień dzisiaj będzie. Już czas. Ukląkł przy łóżku i odmówił pacierz. Już poprzedniego dnia wybrał modlitwę do swego imiennika, świętego Bernarda: „Biegnę do ciebie, przychodzę, przed Tobą jako grzesznik płaczący staję. O Matko Słowa, racz nie gardzić słowami moimi, ale usłysz je łaskawie i wysłuchaj. Amen”.

Czy śmierć była wystarczającą karą? Czy gdzieś tam, wysoko, jeszcze się spotkają? Przywołał w pamięci uśmiech Gerharda: szczery, promienny i ciepły. I to był jedyny moment tej ostatniej nocy, kiedy jego dusza załkała.

## 2.

Bernard Sackel pewnie by się ucieszył, gdyby wiedział, że tej rozgwieżdżonej nocy nie tylko on zmagał się z myślami. Christian Abell z reguły nie miał kłopotów z zaśnięciem. Do wymuskanego mieszkania pani Conrad wracał najczęściej późnym wieczorem, zmęczony do tego stopnia, że zmuszał się, by skorzystać z przygotowanej na jego powrót kąpieli. Nie chciał robić przykrości wiekowej gospodyni, więc prawie zasypiając, zanurzał się w wielkiej wannie pełnej mydlin i piany. Swoje robił także alkohol, którym w towarzystwie Vranitzkiego i Kukulki zabijał męczący go niepokój.

Coraz więcej czasu spędzali w restauracji „Am Tor”, którą radca upodobał sobie szczególnie, jako że zawsze na składzie były tam szproty ze Steegen i zmrożona wódka. Grali w karty i tego popijali, a bohaterem wieczoru nieodmiennie zostawał wachmistrz, zabawiający swoich kompanów historyjkami wziętymi prosto z gdańskiego pitawała. Niekiedy do ich stolika dosiadała się Lola, legendarna dziwka z gdańskiego klubu „Schwarze Katze”, która – jak zapewniał wachmistrz – ustami czyniła prawdziwe cuda; innym razem kasiarz, nazywany Franzem I, który potrafił w wielkanocną niedzielę rozpruć biurową kasę w komendzie głównej policji; a czasem towarzyszyli im skorumpowani gliniarze, którzy połamali wachmistrzowi kości aż w czterech miejscach – jednego z nich za nic nie chciał ujawnić.

Tej nocy sen nie nadchodził. Nadpływał niczym przezroczysta chmura, prowadząc obiecującą błogość na drgające powieki, aby za chwilę ulotnić się bezpowrotnie, ciągle przeganiany przez którąś z niecierpliwych myśli kotłujących się w głowie Abella.

Pojawiał się zwłaszcza obraz Karin. Siedziała na brzegu łóżka. Widział z boku zarys jej ciężkich piersi. Naciągała lśniące pończochy, niczym tancerka Degasa, a potem zdecydowanym ruchem zaczesywała włosy, splatając je w grubo płomienny węzeł na czubku głowy. Z jej ciała nie zniknęły jeszcze czerwone



odciski jego dłoni. Patrzył na te ślady, stemple niedawno przeżytych uniesień, lecz nie mógł odnaleźć w sobie dawnych wzruszeń i emocji. Kochali się długo, namiętnie, prawie bez słowa. Czasami tylko krótkim, chrapliwym szeptem podpowiadała mu tempo i kierunek, jakby pragnęła w pełni wykorzystać te chwile głośnych spazmów, jęków, westchnień i mokrej rozkoszy. Gdy skończyli, zapadła cisza. Miał wrażenie, że to milczenie jest krępujące dla nich obojga. Na moment położyła mu głowę na piersi, ale zaraz szybko się odsunęła, jakby rozumiejąc, że czas bliskości się skończył. Nie przytrzymał jej, chociaż wiedział, że powinien.

Zdawał sobie sprawę, że ta kobieta, już po raz kolejny wyrównująca szew pończochy, czeka na jakiś gest, obietnicę z jego strony. Tyle że on nie czuł się gotowy na jakąkolwiek obietnicę. Był spełniony w sensie fizycznym, ale wewnątrz bardziej pusty niż kiedykolwiek przedtem...

Sen przyszedł dopiero nad ranem, gdy świt zaróżowił szyby w oknach. Ostatnim obrazem, jaki zabrał ze sobą, zapadając się w otchłań, był widok Karin zamykającej za sobą drzwi, cicho i delikatnie, jakby przepraszała, że ponownie pojawiła się w jego życiu.

Gdy się ocknął, promienie słońca zalewały już cały pokój. Spojrzał na swoją omegę – wskazówki pokazywały godzinę dziewiątą. Zaklął pod nosem i zerwał się z łóżka. Wziął szybki prysznic i po kwadransie był gotowy do wyjścia. Wypił naprędce filiżankę czarnej kawy, podaną mu przez panią Conrad, i będąc już myślami gdzieś indziej, wysłuchał w roztargnieniu jej opowieści o posłańcu, który przyniósł dla niego wczoraj wieczorem jakąś paczkę. Przesyłkę, zapakowaną w elegancki papier, pani Conrad położyła za wezglowiem jego łóżka. Prosiła o wybaczenie, ale nie znalazła stosowniejszego miejsca w niewielkim pokoju. Chciał jeszcze spytać o nadawcę, jednak machnął tylko ręką i wybiegł z mieszkania.

### 3.

Piątek szóstego września nie mógł zacząć się gorzej. Gdyby nie smród fekaliów i widoczna pętla na szyi, można by pomyśleć, że Bernard Sackel się modli. Jego podkurczone nogi opadały bezwładnie na podłogę, a przechylona głowa spoczywała na ramieniu. Tylko wprawne oko mogło dostrzec naprężony sznur, zawiązany na okiennej kracie.

Przy bliższych oględzinach wrażenie spokoju pryskało jak mydlana bańka. Z ust wisielca wystawał poczerniały język, niczym ogon jakiegoś gada, który wpętlął i umościł się w martwej jamie gębowej. Rozchylone wargi odsłaniały straszliwie poranione dziąsła. Opuszki palców zdarte były do żywego mięsa, a wypływające z nich strużki krwi oplatały dłonie organisty pajęczą siecią. Był

tylko w samej bieliźnie. Na tle bieli materiału odznaczała się brunatna plama, ślad przedśmiertnej defekacji. Zapadnięta klatka piersiowa odsłaniała żebra, nieledwie przebijające naprężoną skórę. Na trupiobladej twarzy zastygł wyraz zdumienia, tak jakby Bernard w ostatnim odruchu sam siebie zadziwił odwagą, z jaką podążył ku śmierci.

– Jak to się mogło stać, kurwa! – Komisarz von Bock miotał się po małej celi jak rozjuszony zwierz w klatce. – Wydałem rozkaz, aby go pilnować! Kurwa, do rozprawy miał być strzeżony jak oko w głowie! Prokurator robi mi teraz piekło!

Trzej pozostali mężczyźni, stojący w progu celi, nie odzywali się słowem. Z doświadczenia wiedzieli, że w takim momencie lepiej komisarzowi nie przerywać. Abell uważnie lustrował całe pomieszczenie.

– Niczego nie dotykaliście? – zapytał wyprężonego jak struna klawisza o wylupiastych, ciężko przestraszonych oczach.

– Ma się rozumieć, panie radco. Jak tylko przez judasza zobaczyłem wisielca, natychmiast wezwałem pomoc. We dwóch z Klausem chcieliśmy go odciąć, ale widać było, że już za późno. No to się wycofaliśmy, nie tykaliśmy niczego, jesteśmy przeszkoleni.

Stojący w głębi drugi klawisz gorliwym skinieniem potwierdził słowa kolegi.

– Tak, kurwa, przeszkoleni! Jaja kurom macać, a nie więźniów pilnować! Już ja zadbam, abyście dostali kopa w dupę. Wylądujecie w jakiejś zaszczanej dziurze, jak wam tu było niedobrze! – Komisarz jeszcze nie ochłonął z wściekłości.

– O której zajrzeliście do celi? – Abell uznał, że już czas wrócić do pracy.

– Jak zawsze o szóstej, panie oficerze. Mamy obowiązek sprawdzić o tej godzinie wszystkie cele. Wszystko zapisujemy w księdze raportów.

– A w nocy?

– W nocy nie zaglądamy do cel. Nigdy nie było takiej potrzeby. Ani rozkazu.

– Klawisz przestąpił z nogi na nogę, nie przestając wycierać spoconych ze zdenerwowania dłoni o poły munduru.

– O której widzieliście go po raz ostatni, żywego, ma się rozumieć?

– O dwudziestej drugiej, wtedy lustrujemy cele, odbieramy naczynia po kolacji i gasimy światło.

– Zauważyliście coś podejrzanego w zachowaniu więźnia?

– No nie. Nic szczególnego. Właśnie coś pisał na jakiejś kartce.

Radca zobaczył teraz, że na taborecie leży kartka.

– A poza tym nawet taki spokojny był, odprężony można powiedzieć.

– Klawisz połuźnił kołnierzyk. – Bo jak przywieźli go trzy dni wcześniej, to strach było do niego podejść! Nie chciał nic jeść. Gapił się tylko tępo w ścianę. Raz go o coś zapytałem, to warknął, jakby chciał mnie pogryźć.

– No tak, a teraz wypierdalać mi stąd, i to już – rzucił komisarz do obu

klawiszy, którzy zasalutowali i oddalili się z wyraźną ulgą. – Co o tym sądzicie, Abell?

– Wygląda mi to na samobójstwo. Raczej nikt mu nie pomógł. Sackel podarł swoje ubranie w pasy, najwidoczniej używając tylko zębów i rąk, i sporządził coś w rodzaju sznura. Zapewne trzymał się całą noc. Musiał być bardzo zdeterminowany, jeszcze nie słyszałem, aby ktoś zrobił sobie stryczek z własnego ubrania. Zostawił list pożegnalny i powiesił się na kracie okiennej.

Komisarz podszedł do trupa i pokręcił głową.

– Jak mu się to udało?

– Fakt, okno jest trochę nisko, chociaż powiesić się można nie tylko na wysoko zawieszonym haku, ale nawet na klamce.

– Bierzcie się do roboty, Abell. Za dwie godziny chcę mieć dokładny raport na temat tego, co tu się stało. A teraz przeczytajcie mi, co ten dupek nabazgrolił na tym świstku. Może ruszyło go sumienie i się przyznał. Przynajmniej to się nam od niego należy.

Abell podniósł ostrożnie list pozostawiony przez Bernarda Sackla. Była to zapisana dwustronnie kartka z zeszytu nutowego. Nigdzie nie było widać śladów krwi. A więc Sackel rzeczywiście musiał napisać list jeszcze wieczorem, zanim zabrał się do darcia pasów z ubrania. Radca przybliżył stronicę do światła. List napisany był ołówkiem. Zastanowił go niezwykle regularny, wręcz kaligraficzny charakter pisma organisty. Wszystkie litery mieściły się w pięciolinii, żadna nie osuwała się nerwowo w bok czy w dół, nie psuła krągłości i symetrii szeregu. Wiedziony pewną ręką grafit nigdzie nie meandrował, nie dziurawił papieru, nie odciskał się głębiej. Tak jakby autor podczas pisania nie ulegał żadnym emocjom, obojętnie przelewając na papier wcześniej przygotowane myśli. A przecież na pewno miał świadomość, że to jego pożegnalne słowa kierowane do żywych, pomyślał Abell.

Rzucił okiem na nagłówek i w tym momencie poczuł zimne ukłucie w sercu. Samobójca adresował swój ostatni list właśnie do niego, jakby przewidując, że to Abell będzie jego pierwszym czytelnikiem.

*Panie Radco Abell!*

*Zapewne zastanawia Pana, że list zaadresowałem właśnie na Pańskie nazwisko. Być może czuje Pan nawet coś na kształt niepokoju, jak to bywa, gdy żywi wywoływani są przez duchy. A ja jestem już duchem, Panie Radco. W przeciwieństwie do Pana wolny już jestem od trosk doczesnych i zapewne, jeśli wyjrzy Pan przez okno, ujrzy mnie gdzieś tam na niebie, w postaci małej pierzastej chmury, liścia opadającego z drzewa albo nagłego podmuchu wiatru. Ale najchętniej pozostałbym tylko w formie dźwięku czy muzycznej nuty, bo musi Pan wiedzieć, że muzyka to schody do nieba. Proszę wybaczyć te dygresje, ale mam do nich pewne prawo, ponieważ – to mogę obiecać – więcej się już nie powtórzą,*

*Pewnie dziwi się Pan, dlaczego ze wszystkich ludzi właśnie Pana wybrałem na swego ostatniego rozmówcę. Proszę się nie obawiać! Wiem, o czym Pan pomyślał. Ale to nie to! Nie Pan jest winien memu odejściu. Zauważył Pan chyba, że celowo unikam słowa „śmierć”. Nie ma w tym żadnych podtekstów. Po prostu nie przyzwyczaiłem się jeszcze do stanu, w jaki wkrótce przejdę. Ale wracając do Pana osoby, Panie Radco. Wybrałem Pana z dwóch powodów.*

*Po pierwsze, jest Pan tym wszystkim, kim ja nigdy nie byłem i – ośmielałem się przypomnieć – nigdy już nie będę. Jeśli Pan uosabiał pewność i siłę, to ja – wahanie i słabość.*

*Ale jest i drugi powód. Mimo wszystkich dzielących nas różnic wierzę, że w jednym mogę na Pana liczyć. Panie Radco, w obliczu niechybnej śmierci, zdając się na łaskę Boga Wszechwiedzącego – można mówić tylko prawdę i całą prawdę. Jeden grzech śmiertelny, jaki zabieram ze sobą jako samobójca, w zupełności wystarczy.*

*Ciężko zgrzeszyłem i Pan Najwyższy osądzi moje winy. Nurzałem się w grzechu – i z ulgą, proszę mi wierzyć, odpokutuję swoje uczynki. To grzeszne upodobanie – czy choroba, jak chcą inni – zmieniło moje życie w koszmar, z którego właśnie się uwalniam. Odchodzę wolny – i w prawdzie. Panie Radco, nie zabiłem Gerharda, mojej niespełnionej miłości, ani tym bardziej księdza Webera. Gdybym był winien, przyznałbym się. Jeśli dźwiga się już jeden grzech śmiertelny, to jakąż różnicę sprawiłby drugi?*

*I na koniec, żeby zaspokoić Pańską ciekawość: odbieram sobie życie, bo nie widzę już żadnego sensu w dalszym mozole i cierpieniu. Dla policji i dla świata jestem winny. Zawiodłem wszystkich dookoła. Wiem, jak kończą tacy jak ja: w sztumskim więzieniu. A ja nie wyobrażam sobie życia za kratami i upodlenia, jakie by mnie tam czekało.*

*Liczę na to, że z całą determinacją, inteligencją i uporem, które u Pana skrycie tak podziwiałem, będzie Pan ścigał prawdziwego mordercę. O to uprasza Pański pokorny sługa*

*Bernard Sackel*

*PS N. Didymos: Th. Knickel*

#### **4.**

Przez cały ten feralny dzień zaciągał deszcz. Wzmagając się i słabnąc na przemian, konwulsyjnie opłukiwał dachówki domów z kurzu i zeschniętych liści. Wody spadło jednak za mało, jakby na przekór zaklęciom wymęczonych upałami mieszkańców. Rzeka opływająca łukiem miasto nie przybrała. Woda nadal stała

w pojedynczych oleistych kałużach, które tylko gdzieś przykrywały dno. Widać było śmieci, stare dętki rowerowe, butelki po piźnerze i zabłocone prezerwatywy: pamiątki po czasach, gdy nad brzegiem toczyło się bujne życie towarzyskie. Powiało także pierwszym chłodem, niosącym z północy zapach palonych traw i bliskiej już jesieni.

Dalsze godziny przyniosły kolejne niespodzianki w śledztwie, tak jakby policyjna machina, spowolniona dotychczas przez skwar, nagle przyspieszyła, próbując nadrobić stracony czas. W komisariacie policji kryminalnej od rana wrzało jak w ulu. Pierwszy pojawił się prokurator Tomalla, który zamknął się z komisarzem von Bockiem w jego gabinecie. Dyżurny policjant donosił im ciągle filiżanki parującej, czarnej jak smoła kawy, przy każdym kursie zabierając popielniczki wypełnione po brzegi złoconymi końcówkami hawańskich cygar Hoyo de Monterrey, jakie obaj palili. Największy ruch panował w gabinecie Abella. Wzywani byli posterunkowi Klein i Raabe z obyczajówki, kilkakrotnie meldował się także wachmistrz Kukulka. Abell wyjechał z budynku tylko raz, z Kukulką jako szoferem.

Dokładnie w samo południe rozpoczęła się narada w biurze Bocka. Komisarz, z głową opartą na wezgielciu fotela, spod półprzymkniętych powiek obserwował wezwanych oficerów. Miał przekrwione oczy, świadectwo nieprzespanej nocy, i fatalny nastrój, zwłaszcza po trudnej rozmowie z prokuratorem. Przez chwilę przemknęła mu myśl o pewnym uroczym miejscu nad Mierzeją Wiślaną, gdzie chciał jeszcze złapać wraz z Ingą ostatni promyk lata, ale zaraz wyparło ją wspomnienie o wisielcu z jaszczurzym językiem na wierzchu. „Skurwysyn! – Ledwie zdusił w ustach przekleństwo. – Nie mógł poczekać, aż go powieszają, jak należy”.

Z faktu tej niesubordynacji wynikały różne, przykre dla komisarza konsekwencje i to właśnie doprowadzało go do szewskiej pasji. W dodatku pękała mu głowa i trzęsły się ręce po wiadrze alkoholu, jakie wlał w siebie wczoraj w pewnym eleganckim klubie przy Breitestrasse. Dlatego uznał, że najlepiej będzie, jak przerzuci ciężar tej narady na inne barki.

– Zaczniemy od pana, doktorze Hecht – powiedział gardłowym głosem i sięgnął po kolejną, czwartą już dzisiejszego dnia filiżankę kawy. – Jest już po sekcji zwłok?

– Skończyliśmy z samego rana, panie komisarzu.

– Jakie wnioski?

– Z całą pewnością śmierć nastąpiła przez powieszenie. – Doktor poprawił się na krześle i rozłożył przed sobą protokół z sekcji zwłok. – Świadczy o tym pręga na szyi i wewnętrzne obrażenia tchawicy. Denat zawiązał koniec przygotowanej przez siebie liny na kracie okiennej, na wysokości półtora metra. Następnie zacisnął pętlę na szyi i podkurczając nogi, zawisł na sznurze. Nie była to

wygodna pozycja – Hecht powiódł wzrokiem po zebranych – ale jedyna możliwa, ponieważ denat miał sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Z praktyki wiem, że zdarzały się przypadki, kiedy samobójcy próbowali skończyć ze sobą, wieszając się na przykład na klamce, a następnie zmieniali zamiar. Mogli to zrobić, wystarczyło stanąć na nogi. Najwygodniej powiesić się na wysoko zamocowanym haku, no, ale w aresztach nie ma niestety takich udogodnień – dorzucił cierpko.

– Najwidoczniej nasz organista był bardzo zdeterminowany, aby skończyć ze sobą – odezwał się Abell, uważnie wsłuchujący się w wywód doktora.

– Też tak sądzę, panie radco. Co więcej, śmierć nie nastąpiła natychmiast, czy mówiąc bardziej precyzyjnie, w ciągu kilkunastu sekund, jak to zwykle dzieje się w takich przypadkach.

– Jak to nie natychmiast? – Wyjątkowo małowówny tego dnia komisarz von Bock nagle się ożywił.

– To znaczy, panie komisarzu, że Bernard Sackel podejmował próby kilkakrotnie, o czym świadczy rozmazana pręga na szyi, bo każda z tych prób pozostawiała swój ślad.

– Długo się męczył? – zapytał milczący dotąd Vranitzky.

– Trudno to określić, ale na pewno jakieś kilka minut

– No dobrze, dziękujemy doktorze. – Komisarz poczuł, że kawa zaczyna wreszcie działać. – Specjalnie mnie nie obchodzi, jak długo wił się na postronku ten gnój. Interesuje mnie, czy w swoim rozwlekłym słowie pożegnalnym pisze prawdę. Wasza kolej, Abell.

– Zanim pokuszę się o końcowe wnioski, dokonajmy krótkiej rekapitulacji, kim był Bernard Sackel. – Radca, swoim zwyczajem, podszedł do tablicy w rogu pokoju i zaczął ją zapełniać schematami. – Zdeklarowany homoseksualista, co potwierdzają znalezione u niego pornograficzne fotosy. Mocno zainteresowany pierwszą z ofiar, księdzem Gerhardem Platzeckiem. Na przesłuchaniu twierdził, że platonicznie. Ale jednak uciekał przede mną, tak jakby miał mocno nieczyste sumienie.

– Dlaczego się powiesił? – zapytał komisarz von Bock. – Jeszcze nawet nie stanął przed sądem.

– Dlaczego skończył ze sobą? Jestem skłonny mu uwierzyć: szok po śmierci Gerharda, kompromitacja w oczach otoczenia, utrata zaufania u proboszcza Hoenessa, który kiedyś podał mu rękę w biedzie, a teraz by ją niewątpliwie cofnął. Na pewno także strach przed rolą cwela, maltretowanego przez osiłków w więziennej celi. Wspomniał zresztą o tym lęku w swoim liście. Na jego miejscu też bym się bał.

– Przypomnę wnioski, do których doszliśmy już wcześniej, choć nie wszyscy z nas byli w równym stopniu przekonani o ich słuszności. – Komisarz, mówiąc to, starał się nie patrzeć na Abella. – Niezależnie od tego, czy kopulował z Gerhardem,

czy tylko o tym marzył, mamy motyw zabójstwa: zazdrość o romans księdza z panią naczelnikową lub o pociąg do płci pięknej. Albrechta Webera mógł sprzątnąć jako niewygodnego świadka tego związku. Może Weber coś wiedział, coś zobaczył... to bardzo prawdopodobne.

– Zgadza się. Dlatego też trafił do aresztu. Choć pamiętajmy, że nawet w szoku po śmierci ukochanego nie przyznał się do winy. Rozpatrywałem także inne warianty – radca celowo nie zwracał się w stronę komisarza, aby nie prowokować jego reakcji – ale Sackel również dla mnie pozostawał głównym podejrzanym.

– A teraz jest cholernym wisielcem i już nic nam nie powie – prychnął komisarz.

– To fakt – przyznał radca. – Ale nawet gdybyśmy na czas odcięli go z tego sznura, i tak musielibyśmy go uwolnić od zarzutu morderstwa.

– Czy ja się przesłyszałem? – Nabrzmiałe żyły na czole komisarza zaczęły niebezpiecznie pulsować. – Mamy uwierzyć w te jego przedśmiertne wyczyny? Nie wierzę w ani jedno słowo, które tam napisał! Pewnie zaraz usłyszę, że ludzie przed śmiercią nie kłamią? Skąd to wiecie, Abell, no skąd?!

– Ja jednak byłbym skłonny uwierzyć organście. Ktoś o takiej konstrukcji psychicznej raczej nie kłamie w obliczu śmierci. Inaczej jego ofiara nie miałaby sensu – odparł spokojnie radca.

– Znając pana radcę, domyślam się, że chodzi o coś jeszcze – odezwał się Vranitzky. – Rozszyfrowałeś końcowy dopisek? Zastanawiałem się nad nim, ale nie rozumiem jego sensu.

Komisarz von Bock przez chwilę śledził tę wymianę zdań z otwartymi ustami, a potem, potrząsając głową, wybuchnął:

– Może byście łaskawie mnie oświecili, w czym rzecz?

– Idzie o dopisek na końcu listu, cytuję: „PS N. Didymos: Th. Knickel” – odpowiedział uprzejmie Abell. – Każde słowo w tym pożegnaniu było przemyślane... mam wrażenie, że jego treść organista ułożył sobie w głowie dużo wcześniej, nim założył stryczek. Dlatego tak zastanowiło mnie to jedno zdanie w postscriptum: na pierwszy rzut oka zupełnie bez sensu.

– Nie wiemy, co dzieje się w głowie wisielca na chwilę przed zaciśnięciem stryczka – zauważył komisarz von Bock. – To mógł być jakiś spazm, urwana myśl, nagłe skojarzenie.

– Szczerze wątpię. – Abell pozostał niewzruszony – Cały list ma logiczną konstrukcję, dlaczego w przypadku jego zakończenia miałyby być inaczej? Poza tym, proszę zwrócić uwagę, że to niejasne zdanie poprzedza skrót „PS”, postscriptum, czyli dodatkowa informacja, uzupełnienie do wcześniejszego przekazu.

– I co z tego wynika? – Bock nie wyglądał na przekonanego.

– Doszedłem do wniosku, że w tym zapisku chciał nam zostawić dodatkową wskazówkę, jakiś niezbity dowód swojej niewinności, na wypadek gdybyśmy mu jednak nie uwierzyli. I miałem rację.

Po tych słowach w gabinecie zapadła cisza. Przerwał ją Vranitzky.

– Udało ci się rozszyfrować te słowa? Dlaczego mnie to nie dziwi...  
– Austriak lekko się uśmiechnął.

– Litera „N” może być skrótem od wielu słów, ale jej połączenie z „Didymos” oznacza tylko jedno.

– Nigdy nie słyszałem takiego słowa.

– Ja także, ale sprawdziłem w encyklopedii Meyersa, a potem w Piśmie Świętym. Didymos to biblijny Tomasz Apostoł, zwany niewiernym z powodu jego wątpliwości co do zmartwychwstania Jezusa. Jak czytamy w ewangelii świętego Jana: „Ale Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Inni więc uczniowie mówili do niego: «Widzieliśmy Pana!» Ale on rzekł do nich: «Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę»»[24]. „N.” to prostu niewierny, niewierny Tomasz.

– Pozostaje jeszcze „Th. Knickel”. To też z Biblii?

– Niezupełnie. – Abell zdusił uśmiech. – Wachmistrz Kukulka cały wczorajszy dzień poświęcił na lekturę akt w policyjnym archiwum. I znalazł. Thomas Knickel to homoseksualista z Prabut, bezrobotny dwudziestolatek sprzedający się za pieniądze. Przesłuchaliśmy go dziś rano.

– I czego się dowiedzieliście? – Komisarz von Bock dopiero teraz zaczął uświadamiać sobie znaczenie tych informacji dla dalszego toku śledztwa.

– Zeznał na piśmie, że ten dzień, w którym zamordowano Gerharda Platzecka, spędził z Bernardem Sacklem. Uprawiali seks, jeśli chodzi o ścisłość. To jest pośmiertny przekaz organisty: „Nie zabiłem. Ale jeśli mi nadal nie wierzycie, to trudno, wskażę wam świadka, który potwierdzi moje alibi. Nie zależy mi na nim aż tak jak na Gerhardzie”. Bernard Sackel na pewno nie zamordował Platzecka, a to oznacza, że nie ma na swoim koncie także Webera.

– Może to kolejna sztuczka tego wisielca? Może znowu wodzi nas za nos i bawi się naszym kosztem?

– Nie wydaje mi się, panie komisarzu. Knickel złożył obszerne zeznania. Prowadził dokładny rejestr swoich klientów. Niektórych zapewne szantażował. W zeznaniu są dokładne daty. Wynika z nich, że w dniu pierwszego morderstwa byli razem. Zresztą nie mógł wiedzieć o samobójstwie organisty. Na pewno nie przygotował sobie sfabrykowanej wersji wydarzeń na wypadek jego śmierci. Musimy się przyzwyczaić do myśli, że to nie Sackel zamordował księży. Jestem przekonany, że prokurator Tomalla podzieli ten punkt widzenia.

– No to pięknie, naprawdę wybornie! – Komisarz zwał się całym ciężarem



swojego studwudziestokilogramowego cielska na fotel i zastygł w ponurym milczeniu.

– Jeszcze jedno... – Vranitzky zawiesił głos. – Intryguje mnie, dlaczego swój pożegnalny list Sackel zaadresował właśnie do ciebie. Odnajduję w nim nuty dziwnego respektu, a nawet zrozumienia między wami.

– Myślę, że w istocie było wręcz przeciwnie. Sackel mnie nienawidził. Złapałem go, upokorzyłem, zdemaskowałem jego prawdziwą naturę. To ja byłem winien jego upadku, tak uważał. Adresując list do mnie, chciał mi przysporzyć kłopotów. W ten sposób stałem się bowiem powiązany z jego samobójczą śmiercią w areszcie, a to przecież nie powinno się zdarzyć pod okiem policji. Poza tym skomplikował nam śledztwo. To taka zemsta na policji, z za grobu. Sackel prowadził ze mną jakąś dziwną grę. Psycholog sądowy zapewne wskazałby na tak zwany syndrom kata i ofiary.

– Nienawiść wobec prześladowcy, przemieszana z pewnym rodzajem podporządkowania i uległości?

– Tak myślę. Zresztą to tylko domysły, nigdy już nie dowiemy się, co sobie roił w tej swojej zatrutej głowie. Ale w jednym mu wierzę: on rzeczywiście chciałby, abym złapał prawdziwego mordercę. Zapewne obiecał to w myślach księdzu Gerhardowi.

– Zostawmy na boku te puste rozważania. – Komisarz von Bock postanowił przywołać swoich podwładnych do porządku. – Mamy trzeciego trupa, a sprawa nadal nie jest zamknięta. Jezu Chryste! Zdaje się, że mieliście rację, Abell. – Skrzywił się, wypowiadając te słowa. – Na horyzoncie pozostał już tylko jeden podejrzany. Proboszcz Hoeness. Przynajmniej tyle pożytku z tego całego samobójstwa.

– Proboszcz formalnie jest teraz na urlopie – przypomniał Vranitzky. – Czy mamy go z niego ściągać i wdrażać oficjalne dochodzenie? To wywoła dużo szumu.

– Jeszcze nie, lepiej, żeby siedział tam, w tej klasztornej dziurze, niż tutaj kluczył i mataczył. Zanim postawimy mu zarzuty, muszę mieć na biurku dowody wskazujące na jego winę. Niezbite dowody! – Komisarz dla podkreślenia wagi swoich słów mocno uderzył pięścią w stół.

– Racja, lepiej usnąć trochę jego czujność – zgodził się Vranitzky.

– Abell, mieliście najwięcej wątpliwości w stosunku do Hoenessa, a ja nie za bardzo chciałem tego słuchać – przyznał niechętnie komisarz. – Ale od wczoraj sytuacja się zmieniła. Zakasujcie rękawy i bierzcie się do roboty

– To fakt, od pewnego czasu zachowanie proboszcza wydaje mi się nie tylko podejrzane, ale także irracjonalne. A obie te cechy lubią występować w parze. – Abell uznał, że czas już najwyższy podzielić się swoimi przemyśleniami, które dotychczas odsłonił tylko raz, przed Georgiem Ballą.

W ciągu następnych kilkunastu minut wprowadził obecnych w swój tok rozumowania. Gdy skończył, komisarz von Bock poczuł niespodziewaną ulgę. Pomyślał, że ostatnia doba była wyjątkowo ciężka dla policji, ale może okazać się jeszcze bardziej brzemienna w skutki dla Hoenessa.

Co prawda, nie do końca nadażał za wyobraźnią tego oficera o hipnotyzujących oczach, do którego wciąż nie potrafił się przekonać. Nie podzielał jego wątpliwości co do rzeczywistych motywów postępowania proboszcza. Wahanie Abella w tej materii uważał za zbyt cenne dzielenie włosa na czworo. Było mu zupełnie obojętne, z jakich powodów proboszcz zabijał, a tego, że właśnie on mordował, komisarz był niemal pewien. Któż jeszcze pozostawał w gronie podejrzanych? Interesowało go tylko zakończenie tego śledztwa, które rujnowało mu zdrowie, a mogło zrujnować także karierę. Poza tym, jak w chińskim przysłowiu: nieważne, czy kot jest biały, czy czarny, ważne, aby łapał myszy. A Abell nadawał się do roli łowcy najlepiej.

## 5.

Abell zjadł późny obiad w restauracji „Am Tor” wyjątkowo sam, bez towarzystwa. Vranitzky utknął w komisariacie nad papierami, a wachmistrza musiał pilnie wysłać na Graudenzerstrasse. Oszalały mąż, będący pod wpływem alkoholu i opiatów, skatował do nieprzytomności żonę i tylko interwencja przytomnych sąsiadów uratowała przed podobnym losem dwójkę małych dzieci.

Przez moment zastanawiał się, czy nie wziąć półmiska zeppelinów, ale ostatecznie zamówił to co zwykle. Już po kilku minutach naprędce przełykał kęsy golonki i ziemniaków w mundurkach, splukując gardło złocistym pilznerem z browaru elbląskiego. Radca lubił tę porę dnia. W restauracji było jeszcze pustawo. Prawdziwy ruch rozpoczynał się dopiero pod wieczór, gdy do knajpy schodzili się stali bywalcy: urzędnicy z pobliskiego ratusza, policjanci, akwizytorzy encyklopedii, puchowych kołder, środków przeciwko kretom oraz maszyn rolniczych, sklepowi subiekci i co bardziej ceniące się prostytutki, poszukujące klientów. Okupowały stoliki przy barze, bacznie wypatrując mężczyzn skłonnych zamówić im piwo i bratwurst, co potem musiały odpracować w jakiejś bramie na Podzamczu.

Po szybkim posiłku Abell wrócił do komisariatu. Jego myśli krążyły wokół mrukliwego starca, który wraz ze swoją tajemnicą zamknął się w klasztornej celi. Zdawał sobie sprawę, że komisarz ma rację. Oczyszczenie Bernarda Sackla sprawiło, że głównym podejrzany stał się teraz proboszcz Rudolf Hoeness. Radca obracał w myślach jego postać, szukając jakiejś rysy na tym monolicie. Przemknęło mu przez głowę, że być może w tej samej chwili proboszcz nakłuwana szmacianą lalkę, sporządzoną na jego podobieństwo, niczym czarnoksiężnik kultu voodoo,

o którym czytał ostatnio w „Berliner Illustrirte Zeitung”. Powinien być zadowolony: nigdy nie był do końca przekonany o winie organisty, a ciągle absorbowało go niezrozumiałe i pokrętne zachowanie Hoenessa. Ale teraz, gdy otrzymał od komisarza von Bocka oficjalne zezwolenie na rozpoczęcie nagonki, odczuwał podświadomy niepokój, jak zawsze, gdy rozpoczynała się ostatnia runda. Był świadom, że proboszcz nie będzie łatwym przeciwnikiem. Było w nim coś archaicznego i dzikiego zarazem. Więcej z fanatycznego mnicha niż ze współczesnego księdza. Przypominał szesnastowiecznego kondotiera, który w imię swojej wiary potrafi nawet zabić. Ale w co wierzy Rudolf Hoeness? Jakie drzwi zasłania swoją wysoką zgarbioną sylwetką?

Abell raz jeszcze rozłożył notatki i raporty wachmistrza. Zwalczył w sobie uczucie niechęci, jaką wywoływały w nim te pokryte kurzem, opasłe teczki i przybrudzone tasiemki przy okładkach. Zmusił się do pracy. Przez dobrą godzinę uważnie studiował akta, czyniąc uwagi na marginesach. Zastanawiał się, czy i gdzie popełnił błąd w tym zagmatwanym śledztwie. Jeszcze raz prześledził w myślach tropy, jakimi dotychczas podążał, poszukując rozwiązania tej zagadki. Już miał odłożyć dokumenty, kiedy nagle jego wzrok padł na teczkę ze zdjęciami zrobionymi przez policyjnego fotografa w pokoju Gerharda Platzecka, kilka godzin po jego śmierci.

Rozłożył zdjęcia przed sobą. Jedno z nich ukazywało książki leżące na biurku księdza. Fotograf znał się na swoim fachu, zdjęcie było wyraźne. Abell rozpoznał tytuły. Przede wszystkim *Żywot błogosławionej Doroty z Mątowów*, wydanie z 1698 roku, tom, który zniknął i odnalazł się w podziemnym schowku proboszcza. A także *Kroniki warmińskie* Martina Muriniususa i poemat *Heilige Ostpreussen* Wilfrieda Boscha, który nieco przesłaniał leżącą pod spodem księgę *Życie heroiczne rycerza von Salzy*.

Poczuł niepokój. Coś tutaj się nie zgadzało. Ale co? Zamknął oczy i usilnie starał się przypomnieć sobie wszystkie kadry, jakie zapamiętał z obu wizyt w pokoju księdza. Księgi leżały w takim samym układzie, za drugim razem brakowało *Żywota*. Raptem go olśniło. Jakimże był idiotą! Jak mógł tego nie zauważyć?

Zerwał się i wybiegł z pokoju. Na dworze zapadł już zmierzch. Niebo zabarwiło się na czerwono i wisiało nad miastem niczym teatralna dekoracja z opery Wagnera. Nagle lunął deszcz. Pojedynczy przechodnie, zaskoczeni niespodziewanym atakiem natury, chowali się w bramach. Deszcz siekał liście drzew, które postrzępione, z cichym westchnieniem żalu, opadały na ziemię.

Abell przyspieszył kroku. Nie wziął parasola, ale gnany niecierpliwością, nie zdecydował się na powrót do biura. Gdy dotarł do furki plebanii, był już całkowicie przemoczony. W jednym z okien na parterze paliło się światło. Domyślił się, że to pomieszczenie gospodyni, zapamiętał, że pokój księdza Alfreda

znajduje się z tyłu domu. Zastukał mocno w szybę. W tym momencie usłyszał cichy szmer z boku plebanii. Spojrzał w tamtą stronę i wydało mu się, że w strugach deszczu widzi jakiś cień rozplywający się w zaroślach.

Zastanawiał się przez sekundę, czy nie ruszyć w ślad za tym fantomem, ale w tej samej chwili drzwi skrzyknęły i ukazała się w nich postać gospodyni owiniętej długim szalem. Na widok przemoczonego policjanta zamarła w niemym zdumieniu. Wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha. Abell powiedział, że musi coś sprawdzić w pokoju księdza Platzecka, i wyminął ją w progu, ignorując jej niechętnie spojrzenie.

Gospodyni, mamrocząc pod nosem, przyniosła klucze. Zerwał pieczęcie i wszedł do środka. Na zewnątrz rozpętała się burza. Błysk pierwszego pioruna bezgłośnie rozdarł ciemny prostokąt okna, a w kilka sekund później do pomieszczenia dotarł huk, nabrzmiewając wśród książek i mebli. Abell zapalił światło. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie zmieniło. Tylko warstwa kurzu pokrywająca sprzęty i blat biurka była zauważalnie grubsza. Podszedł bliżej, słysząc, jak mocno bije mu serce.

Nie mylił się. Oprócz *Żywota* brakowało także drugiej książki: biografii rycerza von Salzy! Hoeness zabrał z pokoju Platzecka nie jedną, ale dwie książki! Jak mógł być tak nieuważny, tak ślepy? Przez głowę przemknęła mu niepokojąca myśl, że dotąd szukał nie tego co trzeba.

Musiał zrobić jeszcze jedną rzecz, aby nabrać całkowitej pewności. Skierował się do pokoju proboszcza. Stojąca na korytarzu gospodyni tym razem bez słowa podała mu klucze. Otworzył drzwi, wszedł i zamknął je za sobą. Burza przybierała na sile. Wydawało się, że gwałtowna nawałnica na dobre zaciążyła nad miastem, osypując je snopami iskier i zygzakami piorunów, uderzających z głuchą, zawziętą regularnością.

Zrolował dywan i otworzył klapę do podziemnego przejścia. Na szczęście, wybiegając z biura, chwycił jeszcze latarkę. Światło tańczyło na schodach, odsłaniając wejście do lochu. Tym razem wyczuł zapach wilgoci. Słyszał wzmożony szum wody, tak jakby podziemna rzeka wezbrała i zalewała korytarze, do których zmierzał. Miał nadzieję, że to złudzenie i że słyszy jedynie odgłosy burzy szalejącej na powierzchni.

Stąpił ostrożnie, posuwając się do celu. Po kilku minutach dotarł do drzwiczek samotni Hoenessa. Pchnął je i wszedł do środka. Chciał przyświecić sobie latarką, ale przypomniał sobie o ebonitowej lampce, którą widział tu poprzednim razem. Włączył ją i ostry snop światła padł na stos inkunabułów leżących na stoliku. Także tutaj, podobnie jak w pokoju księdza Platzecka, wszystko wydawało się znajdować na swoim miejscu.

Niecierpliwie przesuwał książki: zbiór kazań na niedzielne ewangelie Josepha Antona Bordoniego, księga zawierająca dwa dzieła Jana z Kwidzyna: *Septililium*

i *Liber de festis*, następnie leżący pod nimi podniszczony *Żywot błogosławionej Doroty z Mątowów*... W tym momencie wydal z siebie cichy okrzyk triumfu – miał rację! Pod spodem, czego poprzednim razem nie zauważył, znajdował się egzemplarz *Życia heroicznego rycerza von Salzy*!

Wziął książkę do ręki. Nie było mowy o pomyłce. Dzieło wydano w Koenigsbergu, w oficynie Loeffla w 1721 roku. Rozpoznał charakterystycznie wytarty grzbiet, z załamaniem skóry w górnej części. Kolejna zguba z księgozbioru księdza Gerharda odnalazła się w podziemnej biblioteczce Rudolfa Hoenessa! Nie potrafił jeszcze ocenić wagi tego znaleziska. Ale instynkt mówił mu, że nie powinien go lekceważyć. A policyjne doświadczenie podpowiadało, że nic nie zdarza się przypadkowo.

Na pierwszej stronie zobaczył napisane ołówkiem nazwisko: Gerhard Platzeck. Tak więc książka bez wątpienia należała do niego. Zaczął z uwagą przeglądać kolejne stronicę, w dolnych rogach zatłuszczone i przybrudzone. Dopiero teraz zauważył odręczne dopiski po łacinie, czynione na marginesach. Występowały w wielu miejscach księgi. Ostatnie dwie niezadrukowane karty wypełnione były nimi od góry do dołu, kończąc się nagle, w pół zdania, tak jakby autorowi zabrakło miejsca albo urwała się myśl. Pismo było drobne i mało wyraźne. Z pewną trudnością odczytał nazwisko na górze strony: Gerhard von Malberg, AD 1245.

## **Rozdział IX**

### **Odszczepienie**

## 1.

Profesor Bernhard Schmiedke z wyraźnym zaciekawieniem oglądał księgę. Abell miał nieodparte wrażenie, że każde z ich dotychczasowych spotkań na zamku malborskim zwiastowało jakiś nieoczekiwany zwrot sytuacji i przełom w śledztwie. Spodziewał się, że tak będzie i tym razem.

– Skąd pan ma tego białego kruka, panie radco? To bardzo cenny i rzadki egzemplarz. – Profesor poprawił na nosie okulary i z nabożnym skupieniem zaczął wertować książkę.

– Powiedzmy, że został znaleziony przez policję w pewnym sekretnym miejscu, a należał kiedyś do księdza Gerharda.

Profesor zmarszczył brwi.

– Jak to: w sekretnym miejscu?

– Zaginął z pokoju księdza wkrótce po jego śmierci. Odnaleziony został w pomieszczeniu należącym do kogoś innego. Ale mnie bardziej ciekawią zapiski poczynione, jak mniemam, ręką księdza Gerharda. Czy mógłby pan, profesorze, spojrzeć na nie i powiedzieć, czego dotyczą?

– Oczywiście, ale dlaczego sądzi pan, że mogę być pomocny?

– Zauważyłem, że sięgają one zamierzchłej historii, a to pańska domena. Poza tym nie znam łaciny. Kim był Gerhard von Malberg? – Radca wskazał profesorowi odpowiednie miejsce w zapiskach.

– To niejednoznaczna postać. – Profesor skrzyżował dłonie. – Nie wiemy o nim zbyt wiele, pochodził z książęcej i bardzo zasłużonej dla Rzeszy rodziny, z okolic Trewiru. Od tysiąc dwieście czterdziestego pierwszego do czterdziestego czwartego roku był wielkim mistrzem krzyżackim. Jako jeden z nielicznych wielkich mistrzów w całej historii zakonu został usunięty ze swego stanowiska.

– Dlaczego tak się stało?

– Sprawa nie jest do końca jasna. – Profesor z niechęcią odłożył księgę, która najwyraźniej mocno go zainteresowała. – Podobno była to kara za malwersacje finansowe, jakich się miał dopuścić. Ale część historyków uważa, że tło tej wymuszonej dymisji było zupełnie inne. Zwłaszcza, że von Malberg wkrótce po swej degradacji przyjęty został, zresztą za zgodą papieża Innocentego IV, do zakonu templariuszy. A trzeba panu wiedzieć, że reguła templariuszy była bardzo surowa. Nie przyjęliby w swoje szeregi człowieka zhańbionego malwersacjami. Nie mówiąc już o tym, że ich relacje z zakonem krzyżackim były w tym czasie bardzo napięte.

– Jakie więc mogły być rzeczywiste powody odsunięcia wielkiego mistrza?

– Niektórzy z historyków wysuwają hipotezę, że mogło tu chodzić o osobisty konflikt von Malberga z jego poprzednikiem, wielkim mistrzem Hermannem von

Salzą, a potem, gdy ten zmarł, ze starszyzną zakonu, która hołdowała ideom von Salzy, uważanego przez nich za rycerza bez skazy i zmazy, rzeczywistego twórcę potęgi zakonu. Uważali oni wybór von Malberga na stanowisko wielkiego mistrza za nieporozumienie, a jego samego za odszczepieńca i zdrajcę.

– To poważne oskarżenia... czym podpadł im von Malberg?

– Mówiąc w największym skrócie, von Malberg zarzucał wielkiemu mistrzowi Hermannowi von Salzie, że za bardzo skupiał się na dyplomacji i ekspansji terytorialnej w Prusach, kosztem obrony stanu posiadania w Ziemi Świętej. Przypomnijmy, że Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, założony w Akce w tysiąc sto dziewięćdziesiątym roku, początkowo miał się zajmować zapewnieniem opieki pielgrzymom przybywającym do Grobu Pańskiego. Narodziny zakonu odbyły się w szczególnym momencie historycznym, gdy pod naporem hufców Saladyna upadało Królestwo Jerozolimskie. Dlatego niemieckie bractwo zakonne wkrótce przekształcone zostało w zakon rycerski, którego głównym zadaniem miała być teraz walka z niewiernymi. Podstawowego znaczenia nabrał wojskowy charakter zakonu opartego na regule templariuszy. A funkcja opiekuńcza i samarytańska siłą rzeczy została zepchnięta na drugi plan. Ale von Salza nie wierzył już w utrzymanie Ziemi Świętej, patrzył dalej: na północ.

– Von Malbergowi to się zapewne nie spodobało?

– Brakuje nam źródeł pisanych, mówimy o zdarzeniach sprzed siedmiuset lat! Ale owszem, możemy domniemywać, że tak rzeczywiście było. Co więcej, nadany przez von Salzę kierunek rozwoju zakonu w decydującym stopniu przyczynił się do utraty Jerozolimy w tysiąc dwieście czterdziestym czwartym roku. Paradoksem historii jest, że to właśnie von Malberg, jako kolejny wielki mistrz, zmuszony był odmówić cesarzowi udziału w obronie świętego miasta, które tak ukochał! Musiał bowiem w tym czasie tłumić pierwsze powstania Prusów na ziemi, której podbój uważał za kaprys von Salzy! Utrata Jerozolimy odbiła się zresztą szerokim echem w całej Europie. Poza tym Malberg uważał, że pod wodzą von Salzy zakon sprzeniewierzył się ideałom skromności i ascezy. Rzeczywiście, za jego rządów zakon obrósł w niesłychane bogactwa, lenna ziemskie i zaszczyty, a sami rycerze zakonni w niczym nie przypominali już swoich ascetycznych braci sprzed stu lat. Ciekawe, czy pan wie – profesor się uśmiechnął – że także tutaj, w Malborku, dobrze się bawili. Sprowadzano im białogłowy ze specjalnie na ich potrzeby założonego na Podzamczu zamtuza.

– Wynika z tego, że aż tak bardzo się od nas nie różnili. Dziękuję za ten krótki wykład, profesorze. – Abell ponownie sięgnął po książkę. – Podejrzewam, że te zapiski mogą mieć jakieś znaczenie dla rozwikłania sprawy morderstwa księdza Gerharda, a pośrednio także drugiej zbrodni. – A widząc zdziwione spojrzenie profesora, dodał: – Nie potrafię jeszcze wyjaśnić, dlaczego tak sądzę. Ale gdyby pomógł mi pan odczytać te zapiski, może bylibyśmy bliżej odpowiedzi na to



pytanie.

Profesor wziął księgę i schował ją w przepastnej kieszeni swojego fartucha. Widać było, że jest zadowolony z takiego obrotu sytuacji.

– Oczywiście, panie radco. Jeśli tylko mogę być pomocny... Jutro rano mam sprawę do załatwienia w siedzibie rejencji. Jeśli mnie pan zaprosi na kawę, wpadnę na chwilę i przekażę panu plon mojej pracy.

– I jeszcze jedno. – Abell ręką zatrzymał profesora, który zbierał się już do wyjścia. – Liczę na pana dyskrecję. Proszę nikomu nie pokazywać tej księgi i nikomu nie wspominać o naszej rozmowie.

– Ależ oczywiście – odrzekł pospiesznie profesor, ale radca miał wrażenie, że myśli on już wyłącznie o tym, by pochylić się nad intrygującą go księgą z łacińskimi dopiskami księdza Gerharda.

## 2.

Po powrocie z zamku malborskiego Abell postanowił podjechać do swojej kwatery na Rospitzerstrasse. Po wczorajszej wyprawie na plebanię jego buty wymagały solidnego suszenia, a rano w pośpiechu zapomniał zmienić obuwie. Pani Conrad nie było w domu. Widocznie przed południem urządzono wielkie sprzątanie, bo wewnątrz wypełniał zapach pasty do podłóg i jakiejś nieokreślonej mieszanki żywicy sosnowej i olejków różanych, którą właścicielka pieczołowicie czyściła wszystkie meble. W jego pokoju okna były otwarte na oścież, zauważył też świeżą pościel. Pani Conrad dbała o swojego lokatora.

Abell przebrał się i już zmierzał do wyjścia, kiedy wzrok jego spoczął na niewielkim prostokątnym pakunku, wystającym zza wezgłowia jego łóżka. Pomyślał, że to Vranitzky chciał mu zrobić przyjemność i podesłał ostatnią książkę szachowego mistrza Aleksandra Alechina. O jego ofensywnej technice gry rozprawiali ostatnio w „Am Tor”, przy zimnej wódce i wędzonym węgorku, świeżo dostarczonym z Mazur.

Rozerwał elegancki papier i zobaczył, że to nie książka. Przypomniał sobie o przesyłce, o której wspomniała pani Conrad. Spod papieru wyłoniła się rzeźbiona rama z dębowego drewna. Szarpnął mocniej i zamarł. Patrzył na niego młodzieniec o wychudzonej twarzy, na której malowały się smutek i rozczarowanie. Abell z niedowierzaniem potrząsnął głową i delikatnie położył obraz na łóżku. Anselm Feuerbach nie spuszczał z niego gorejących, czarnych jak węgiel oczu, jakby był równie jak on skrępowany tą sytuacją. Za ramę obrazu zatknięta była koperta. Abell otworzył ją i przeczytał znajdujący się w środku list.

*Panie Christianie!*

*Proszę wybaczyć staremu człowiekowi ten ton poufności, ale jak napisała grecka Safona: „Dobrych ludzi się nie zapomina”. Przywrócił mi Pan wiarę*

*w rodzaj ludzki i sprawił, że poczułem się mniej samotny: w swoim mieście, w swojej Ojczyźnie, a nawet w swoim domu. A samotność to straszna choroba, panie Christianie, śmiem twierdzić, że najgorsza ze wszystkich.*

*Dzięki panu zbrodniarz poniósł karę, a mój syn otworzył dzisiaj oczy i lekko uściskał moją rękę. Nawet teraz, gdy piszę te słowa, czuję ten słaby uścisk i ciepło bijące z jego wymizerowanej dłoni. Proszę uczynić mi ten zaszczyt i przyjąć ode mnie obraz, który jak zauważyłem, wywarł na Panu duże wrażenie. Proszę oszczędzić mi odmowy. Jestem przekonany, że mój ukochany Feuerbach trafia w godne ręce.*

*Pański dozgonny dłużnik*

*Gustaw Bohn*

### 3.

Następny ranek, w sobotę siódmego września, przyniósł kolejne ulewne deszcze, tak jakby natura chciała zrekompensować mieszkańcom dotychczasowy niedobór wilgoci i świeżego, rześkiego powietrza. Ciężkie, nisko wiszące chmury szczelnie zakrywały niebo, zamykając miasto w klaustrofobicznym kokonie utkanym z mgieł, szarości i wody. Sfora przemoczonych psów biegła przez ulicę, rozbryzgując kałuże, tworzące oleiste srebrne bajora na zapadniętym bruku.

Abell po przyjeździe do komendy zamknął się z Kukulką w swoim gabinecie. Wachmistrz jeszcze nie ochłonął po ostatniej interwencji na Graudenzerstrasse. Nadal miał przed oczami widok rozjuszonego osiłka, ćpuna o błędnym spojrzeniu, który miotał się i rozbijał wszystko dookoła pokrwawionymi pięściami, przypominającymi dwa czerwone młoty inkrustowane odłamkami szkła i kryształkami cukru. Z przedpokoju dochodziły jęki wyniszczonej, zmasakrowanej kobiety, a wymiotna plwocina, wypływająca z jej bezzębnych ust, mieszała się ze śladami krwi na podłodze. Musieli się z Kleinem nieźle nagimnastykować, aby najpierw obalić mężczyznę na podłogę, a następnie zakuć go w kajdanki i obić mu ryja. Nawet wtedy wyrywał się, gryzł i pluł śliną przesiąkniętą odorem taniego piwa, tytoniu i przetrawionego mięsa. Ucichł dopiero wtedy, gdy wsadzili mu łeb do kibla i przytrzymali, dopóki nie przestał wierzcąc. Wachmistrz złapał się nawet na myśli, że mógłby tego skurwysyna przytrzymać o kilka sekund za długo. Naprawdę mógłby. A potem wypchnąć przez okno, żeby nie było kłopotów. O jednego śmiecia mniej. Ale nie zrobił tego i teraz zastanawiał się, czy nie uległ w ten sposób wstydlivej chwili słabości. Słowem, zwyczajny poranek na jednym kwidzyńskich siedlungów, gdzie beznadzieja i przemoc sąsiadują z biedą i zezwierzęceniem.

Abell słuchał relacji wachmistrza nieuważnie. Jego myśli krążyły wokół Rudolfa Hoenessa i pewnej księgi pokrytej maczkiem łacińskich liter. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że klucz do zagadki tkwi w odległej przeszłości. Nie był jeszcze w stanie ocenić, na ile te spłowiłe postacie, najpierw błogosławionej Doroty, a teraz wielkich mistrzów, mogły zapanować nad umysłem mordercy, którego ścigał. I czy to w ogóle możliwe, aby kościotrupy w zetlałych kostiumach miały jakikolwiek udział w tym ponurym spektaklu, rozgrywającym się w mieście, nad którym latały dziś nowoczesne samoloty Junkers i Heinkel?

Dlatego z taką niecierpliwością oczekiwał na przyście profesora Schmiedkego. Naukowiec zapukał do jego drzwi równo o dziesiątej. Wsunął głowę ostrożnie, jakby zastanawiając się, czy może wkroczyć na to, nieznane mu dotychczas, policyjne terytorium.

– Podoba mi się tu, panie radco – powiedział. – Ma pan tu idealne warunki do pracy.

– To ciekawa obserwacja... z czego pan to wnosi? – zapytał radca, wskazując jednocześnie na tacę z filiżankami i dzbankiem parującej czarnej kawy, którą wachmistrz przyniósł z policyjnej kantyny.

– Ludzkie myśli nie lubią wielkich przestrzeni, łatwo mogą się wtedy zagubić, wrywają się na wolność i giną gdzieś hen, w przestworzach. Sam się o tym przekonałem. Najlepiej pracuje mi się w najmniejszej chyba celi malborskiego zamku. Ma dwa metry na dwa i małe okienko, dlatego moje myśli zawsze wracają do mojej głowy.

– Mój problem tkwi nie w tym, że myśli mi uciekają, panie profesorze. – Radca podał swemu gościowi filiżankę kawy. – Raczej w tym, że tylko jedna z nich jest właściwa, a ja nie zawsze wiem która. Na tym właśnie polega moja praca, na ciągłej selekcji myśli.

Profesor pokiwał ze zrozumieniem głową, położył na biurku księgę i wyciągnął gęsto zapisany notes.

– Czy pokazywał pan tę książkę komuś jeszcze?

– Nie, a dlaczego pan pyta?

– Ciekawość badacza. Interesujące byłoby porównanie, czy ktoś inny odczytał zapiski w taki sam sposób jak ja.

– Miał pan z tym kłopot?

– Właściwie nie. Odczytanie zapisków Gerharda nie było zbyt trudne. – Profesor wyjął z filcowego futerału okulary i założył je na nos. – Trudniejsze było zrozumienie, z jakiego źródła pochodzą.

– Co to znaczy? – Radca poruszył się nerwowo na krześle. – To nie są zapiski księdza?

– Wyszyły spod jego pióra, ale to tylko streszczenie jakiegoś szerszego, zadziwiającego dokumentu. – Profesor spojrział zakłopotany na leżące przed nim

kartki.

– A co w nim jest takie zadziwiające?

– Wszystko.

W pokoju zapadła cisza. Na chwilę przerwał ją odgłos syreny fabrycznej, który rozbrzmiał w oddali, przedzierając się przez ścianę deszczu za oknem. Profesor sprawiał wrażenie zdenerwowanego i pobudzonego, na twarz wypełzły mu rumieńce. Policjant dopiero teraz dostrzegł, że Schmiedke wygląda, jakby miał za sobą ciężką, nieprzespaną noc. Jego zazwyczaj gładko wygolone policzki pokrywał jednodniowy siny zarost.

Milczenie przerwał profesor.

– To, co odczytałem, to tylko streszczenie jakiegoś większego dzieła. Jego autorem jest bez wątpienia wielki mistrz Gerhard von Malberg, o którego pan wypytywał. Dokument pisany jest w pierwszej osobie, musi więc pochodzić, choć brzmi to nieprawdopodobnie, z połowy trzynastego wieku! Ten manuskrypt na pewno miał w rękach ksiądz Gerhard, bo inaczej nie mógłby tak dokładnie cytować jego treści. Zresztą nazywa go właśnie manuskrytem, co ewidentnie wskazuje na jego średniowieczną proveniencję.

– Ale cóż takiego zadziwiającego jest w tym manuskrypcie?

– Odpowiedź na to pytanie muszę poprzedzić krótkim wprowadzeniem dotyczącym osoby wielkiego mistrza Hermanna von Salzy.

– Pamiętam, faktycznego twórcy potęgi zakonu, choć jego następca, von Malberg, nie miał o nim najlepszego zdania.

– Hermann von Salza z całą pewnością był człowiekiem nietuzinkowym. Przeszedł daleką drogę, zanim wdrapał się na sam szczyt. Był potomkiem ministeriałów[25], zależnych od grafów Turyngii i palatynów Saksonii, a więc człowiekiem stosunkowo niskiego stanu. Bardzo szybko ujawnił jednak swoje wybitne talenty dyplomatyczne. Skutecznie pośredniczył w sporach cesarza z papieżem i miastami lombardzkimi, a przede wszystkim zasłużył się przy organizacji cesarskiej wyprawy krzyżowej, podczas której Krzyżacy, jako jedyny z trzech głównych zakonów, poparli cesarza. Zaprzyjaźnił się z Fryderykiem II, którego przez całe życie wspierał w jego zmaganiach z papieżem. W tysiąc dwieście dziewiątym roku został wybrany na wielkiego mistrza i pełnił tę godność aż przez trzydzieści lat. Za jego panowania zakon niesłuchanie się wzbogacił o liczne nadania ziemskie w zachodniej Europie. Ale von Salzy bogactwo i władza nie wystarczały. Marzył o własnym państwie, i to położonym nie w niepewnej Ziemi Świętej, lecz na kontynencie.

– Udało mu się to w podbitych Prusach.

– Nie od razu. Najpierw, w tysiąc dwieście piętnastym roku, von Salza pozyskał dla zakonu wielką darowiznę ziemską na Węgrzech, ale już dziesięć lat później Węgrzy domyślili się jego rzeczywistych zamiarów i wygnali go z kraju.

Jego śmiały plan, aby zbudować własne państwo na ziemi Madziarów, legł w gruzach. Sprzyjało mu jednak szczęście. Kiedy w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym roku, jako doradca cesarza, odbył dyplomatyczną podróż w sprawie Inflant do duńskiego króla Waldemara II, zwrócił uwagę na pogańskie ludy nad Bałtykiem. Były to ostatnie ziemie średniowiecznej Europy zamieszkane przez pogan. Właśnie w ich pogaństwie wielki mistrz ujrzał idealny pretekst do dalszej ekspansji zakonu, a także swoją szansę. Tego, czego nie udało mu się przeprowadzić w Siedmiogrodzie, zapragnął dokonać w Prusach.

– I wtedy właśnie tego lisa zaprosili nieopatrznie do swojego kurnika Polacy?

– Brawo, panie radco. Tak, istotnie doszło wówczas do niezwykłego zbiegu okoliczności, owego fartu, jaki zdarza się w historii niezmiernie rzadko. Ale trzeba też przyznać Hermannowi: miał w sobie ten wyjątkowy dar, który pozwolił mu prawidłowo odczytać *Zeitgeist*, owego Heglowskiego ducha dziejów, i w pełni wykorzystać nadarżającą się okazję. Już po dwóch latach od pamiętnej wyprawy inflanckiej, w tysiąc dwieście dwudziestym szóstym roku, dzięki swoim rozległym kontaktom i talentom dyplomatycznym, wielki mistrz otrzymał od księcia Konrada Mazowieckiego nadanie w postaci ziemi chełmińskiej i dwa lata później wysłał pierwszych dwóch rycerzy zakonnych do Polski. Nie muszę chyba dodawać, że polski władca nie rozeznał się na czas w faktycznych planach von Salzy. Książę, ściągając na pomoc Krzyżaków do obrony przed najazdami Prusów, którzy pustoszyli północne granice Księstwa Mazowieckiego, niewątpliwie liczył, że zdobyte przez zakon ziemie staną się jego własnością. Tak się jednak nie stało. Wielki mistrz miał od początku zupełnie inne plany. Wkrótce, dzięki koneksjom na dworze cesarskim, uzyskał usankcjonowanie swoich zdobyczy, tak zwaną Złotą Bullę z Rimini. W ciągu zaledwie kilkunastu lat podbił duże połacie ziemi na wschodzie. Osiągnął wreszcie swój cel: własne autonomiczne państwo, niezależne od okolicznych książąt i możnowładców. On, potomek niewolnego urzędnika dworskiego, został kimś w rodzaju króla! Miał do swojej dyspozycji nie tylko znakomicie zorganizowaną strukturę ekonomiczną i setki świetnie wyszkolonych rycerzy, ale też nawet własną stolicę, w Malborku. Niejeden ówczesny monarcha posiadał mniejszą władzę. Von Salza był wybitną postacią niemieckiej historii.

– Nie mam wątpliwości, że to była wielka postać. Uczono nas o niej w szkole. – Abell słuchał z uwagą, ale wiedział, że to tylko wstęp do dalszych rewelacji.

Profesor spojrzał na niego rozgorączkowanymi oczami.

– Musi pan to przeczytać.

Radca położył przed sobą kilka gęsto zapisanych karteluszków i zagłębił się w lekturze:

*G.P. Z manuskryptu spisane:*

*Korząc się przed Chrystusem Łaskawym, Panem i Zbawicielem naszym, otwieram swe serce przed Nim i proszę o wybaczenie, że tak długo znane mi tajemnice skrywałem przed światem i braćmi w Zakonie moimi. Hermann von Salza, syn człeka niewolnego, okazał się niegodzien nakładanych nań zaszczytów, nurzał się w rozpuście, drwił całym swym występnyim życiem z czystości reguły i ślubów zakonnych. Ajako taki upodobał sobie białogłowy upadłe, które z najdalszych zakątków świata sprowadzać kazał. Za nic mając sobie śluby czystości, pokory i ubóstwa, gromadził z upodobaniem bogactwa niezwykle, a złota blask i szlachetnych kamieni mącił mu wzrok i na pożądliwość skazywał. Miast Saracenów mieczem i ogniem piętnować, grobu Pańskiego pilnować i Ziemi Świętej strzec, stopami Chrystusa i apostołów naznaczonej, kufry złotem napelniał i ziemie za morzem gromadził. Za jego to władania rycerstwo, miast Saracenów w Ziemi Świętej siec, Jerusalem własną piersią ochraniać, na bagna dalekiej Północy wysłał. Tam to, wśród pogan i Bruzów[26], w puszczech przepastnych i mokrych, swą władzę rozpościerał, niczym monarcha jakiś, a nie sługa pokorny Pana Naszego Jednorodzonego. A Grób Chrystusowy, opuszczony przez brać rycerską, niczym oliwka ostatnia w pogańskie dłonie wpadł.*

*Ale to nie koniec, lecz początek czynów jego występnych, chrześcijanina i komtura niegodnych. Był ci bowiem ów Hermann niczym żmija zdradziecka, niczym Lucyfer od Boga odwrócony, przeczący skrycie boskości Pana naszego, Jezusa Ukrzyżowanego, i czystości Maryi, zawsze Dziewicy. Tako nazwać go muszę, na własne oczy wszystko zobaczywszy, Antychrystem i świętokradcą, zwodzicielem zakonu, mistrzem zatracenia. U boku Antychrysta drugiego, Fryderyka II ze Sztaufów[27], słowa ewangelii wyśmiewał, zmartwychwstaniu Pana naszego otwarcie zaprzeczał, a z dziewictwa i niepokalanego poczęcia Maryi Panny drwił okrutnie. A obaj z cesarzem na świętokradztwie tym nie poprzestali i nową religię tworzyć chcieli.*

*Na zamku w Akce misteria czarnej magii odprawiali, podczas których – wybacz, o Panie – hostię świętą świniom na pożarcie rzucali. Innym razem upadłe białogłowy, z Sycylii sprowadzone, do Maryi Panny upodabniali, aby je następnie posiść w sposób wszeteczny, do których żaden chrześcijanin nie jest nawykły. Niewolnika jak heban czarnego, w białe szaty papieskie go odziawszy, do spółkowania ze zniewoloną zakonnicą na ołtarzu zmusili. A toć i królowej Jolandy Jerozolimskiej[28], prawie dzieckiem jeszcze będącej, zbereźnicy ci nie oszczędzili. Obaj jej pospołu używali, jak ladacznicy jakiej, a gdy już swe grzeszne żądze nasycili, do haremu w Palermo nieszczęsną królowę odesłali. Hermann, chcąc swego patrona zadowolić, coraz to nowe rozpusty imaginował, a każda kolejna bardziej obrzydliwa i bluźniercza pozostawała. Okaż mi łaskę, o Panie, alem prawdę o Hermannie von Salzy rycerzom zakonu winien, tak aby jego dziedzictwo, na bluźnierstwie i kłamstwach oparte, w proch i nicość się rozpadło.*

*W tym dziele grzesznym to bluźnierca Hermann nową ewangelię miał szerzyć, niczym herold owego Antychrysta ze Sztaufów. O nowym Kościele miarkowali, papieża nie trawiąc i przeszkodę dla swoich planów w nim widząc. Nie było w tym bezbożnym planie miejsca ni dla Chrystusa, ni dla wiary jedynie prawdziwej. Niech mi prawica, w której pióro trzymam, uschnie niczym gałąź sucha, jeśli nieprawdziwe są słowa moje. Niech mi kto serce wyrwie, jeśli tym bluźniercom nie świadcował.*

Abell przerwał na chwilę czytanie tego zadziwiającego tekstu, podniósł wzrok i napotkał utkwione w nim spojrzenie profesora.

– Niech pan czyta dalej! – Schmiedke ponaglił go ruchem ręki.  
– Zakończenie jest równie ciekawe.

*I takż księcia Konrada, Mazowieckim zwanego, w pułapkę zwabili i podstępem nadanie na rzecz zakonu Ziemi Chełmińskiej pozyskali. A dyć ten naiwnie sądził, iż ziemie na poganach wywalczone jemu przypadną, gdy Hermann od początku inaczej miarkował. Od cesarza bullę pozyskał, darowiznę księcia i jego zbójceckie podboje potwierdzającą. A był to papier z gruntu fałszywy, gdyż starszyźnie zakonu wiadomym było, że ziemie w lenno jedynie od sług Kościoła przyjmować mogli, a nie od świeckich. Patrząc mi w oczy, Hermann z naiwności księcia drwił i się zaśmiewał, swego podstępu i kłamstwa nie skrywając. I tak to Hermann królestwo swoje na bluźnierstwie, grzechu śmiertelnym i podstępnie zbudował, na Zakon sromotę i wieczne potępienie ściągając. A żeby świadectwo moje przedwcześnie odkryte nie zostało, o pomoc się do moich nowych braci, templariuszy, zwróciłem i na ich ręce księgę nieprawości Hermanna von Salzy przedkładałem. A gdyż niektórzy rycerze zakonni wielkość w tym padalcu dostrzegają, prawdy o nim nie znając, ja Gerhard von Malberg, sługa pokorny, świadectwo prawdzie dać muszę, tak aby Zakon oczyścić, a imię bluźniercy wymazać na zawsze. Co na następnych kartach manuskryptu uczynię, tak mi dopomóż Bóg!*

W pokoju panował półmrok. Na dworze rozpętała się burza. Gdzieś w bezpośredniej bliskości uderzył piorun, poprzedzony oślepiającym rozbłyskiem. Przez uchylone okno przenikał do środka swąd przepalonych przewodów elektrycznych i zapach ciepłego deszczu.

– Czy to cały tekst przetłumaczony przez księdza Gerharda? – spytał po chwili milczenia Abell.

– Tak, w księdze nie znalazłem nic więcej. Ale jestem pewien, że to wprowadzenie do większego dzieła. Końcowe zdanie: „Co na następnych kartach manuskryptu uczynię” zdaje się to potwierdzać. Zapiski poczynione przez księdza na marginesach raczej pana nie zainteresują. To tylko daty i cytaty z książki.

– Mam mętlik w głowie. Nie potrafię w pełni ocenić wagi tego odkrycia. Choć coś mi mówi, że powinienem. – Abell potrząsnął energicznie dzbankiem,

próbując wydobyć z niego coś więcej niż fusy.

– To fascynujący, zaskakujący tekst. – Profesor Schmiedke nie skrywał podniecenia. – Przede wszystkim to niezwykle rzadkie źródło pisane, pochodzące sprzed siedmiu wieków! Prawdziwa gratka dla historyków, badaczy wypraw krzyżowych, panowania Fryderyka II i dziejów zakonu krzyżackiego. O samym von Malbergu wiemy tak niewiele, a tu nagle tyle informacji...

– Manuskrypt każe powątpiewać w wielkość rycerza von Salzy.

– No właśnie.

– Polakom spodobałyby się niektóre fragmenty tych zapisków.

– Widzę, że zaczyna pan rozumieć, panie Abell! Von Malberg potwierdza, że nieszczęsnego Konrada Mazowieckiego wielki mistrz nie tylko wyprowadził w pole, ale i bezczelnie oszukał! Konrad nie miał zresztą żadnych szans w rozgrywce z von Salzą, wspieranym przez dwie największe potęgi ówczesnego świata: cesarstwo i papieżstwo, pomiędzy którymi umiejętnie lawirował. Państwo zakonne na wschodzie oparte jest na podstępie, fałszu i kłamstwie. Zapewne Prusowie, modlący się do swoich puszczańskich drzew, byli bardziej prawi niż ten rycerz z krzyżem na płaszczu. Można się spodziewać, że w manuskrypcie, którego pełnej treści przecież nie znamy, znalazłoby się więcej dowodów potwierdzających ten spisek. Polacy, którzy nigdy nie pogodzili się z utratą tych ziem, na pewno nie omieszkaliby ich dzisiaj wykorzystać, zwłaszcza w obecnej napiętej sytuacji pomiędzy oboma krajami.

– Jak pan myśli: kogo te rewelacje mogły poruszyć najbardziej? Dla kogo mogły być nadal niebezpieczne, mimo upływu tylu wieków?

– Doprawdy nie wiem... Może dla jakichś oszalałych nacjonalistów, prawicowców czystej wody... Nikt inny nie przychodzi mi do głowy...

#### 4.

Georga Ballę zastał w redakcji. Złapał się na myśli, że jeszcze nigdy nie widział go przy pracy. Gabinet redaktora naczelnego miał wielkie okno wychodzące na park. Samo pomieszczenie zawałone było stosami gazet i maszynopisów. Georg spojrział na niego zdziwionym wzrokiem, który podniósł znad czytanego właśnie artykułu.

– Wszelki duch Pana chwali! A to ci niespodzianka! Ostatnio jak była policja kryminalna, to wywalili całe moje archiwum przez okno. Szukali nazwisk naszych informatorów. Mam nadzieję, że pan radca przychodzi w pokojowych zamiarach?

– W pokojowych i w potrzebie.

Abell usiadł na wygodnym krześle po drugiej stronie biurka Balli. Krótko opowiedział przyjacielowi o odkryciu zapisków von Malberga i dał mu je do przeczytania. Balla czytał powoli, kiwając się miarowo na fotelu.



– Bardzo interesujące. To naprawdę tłumaczenie manuskryptu sprzed siedmiuset lat?

– Naprawdę. Ale potrzebuję twojej pomocy w innej kwestii. Zastanów się, przywołując całą swoją wiedzę i doświadczenie – Abell potarł ręką czoło – czy ktoś żyjący obecnie mógłby się tak przestraszyć tych rewelacji, aby zabijać?

– Nie wiem, to nie moje poletko, Christianie. Jestem tylko gryzpiórkiem. Ale jedno mogę ci powiedzieć: historia straszliwie mocno oddziałuje na współczesnych. Kształtuje poglądy ludzi. Utrwala mity i stereotypy, bez których trudno byłoby im żyć i ogarniać świat. Determinuje ich postępowanie. Spójrz na nazistów czy szerzej: nacjonalistów. Zawsze wyrównują jakieś rachunki z przeszłości, jak nie z Francuzami, to z Polakami czy Żydami.

– To rozumiem, zastanawiam się jedynie, kogo te sensacje mogłyby obejmć najbardziej.

– Wspomnianych już nacjonalistów, wielkogermańskich szowinistów wszelkiej maści, Kościół katolicki, dla którego von Salza jest takim samym herosem jak Roland ze sławetnej pieśni, przeróżnych mistyków, których nie brakuje w dzisiejszej Rzeszy, także współczesnych krzyżaków<sup>[1]</sup>.

Radca drgnął, jak gdyby dziennikarz obudził w nim jakieś uspione przeczucie.

– Współcześni krzyżacy? Byłem pewien, że zakon krzyżacki to już dawno zamknięta karta.

– Masz częściowo rację, zamknął ją polski król w tysiąc pięćset dwudziestym piątym roku. Ale w późniejszych czasach zakon wielokrotnie próbował się odrodzić... choć nigdy nie odzyskał dawnej świetności. Czy wiesz, że pod koniec osiemnastego wieku, wykorzystując rozbiory Polski, próbował nawet odzyskać Prusy i Inflanty? Mało kto wie, że zakon niemiecki nadal istnieje. Jego ostatnia reaktywacja odbyła się w tysiąc osiemset trzydziestym czwartym roku przy wsparciu cesarza Austrii. Zakon niemiecki powrócił do działalności charytatywnej i szpitalnej, obsługiwał na przykład szpitale w armii austriackiej.

– Jesteśmy w Prusach, a nie w Austrii.

– Słuszna uwaga, ale i w Rzeszy pamięć o historii i zasługach zakonu nie zaginęła. Nie brakuje ludzi, którzy pragną odtworzyć zakon, tyle że nawiązujący raczej do pruskiej niż austriackiej tradycji. A więc do wojennej, a nie cywilnej spuścizny. Chodzą słuchy, że w Prusach zakon już się odrodził i funkcjonuje niejawnie, w podziemiu. Sam widziałeś capstrzyk na dziedzińcu malborskiego zamku. To nie był bal przebierańców, tylko manifestacja woli.

– Myślisz, że wśród tych aktorów w białych płaszczach byli także ci, jak ich nazywasz, współcześni krzyżacy?

– Nie mam co tego żadnych wątpliwości. Choć nie wszyscy uczestnicy capstrzyku to następcy komturów z Malborka. Niektórzy biorą udział w tych

uroczystościach kierowani duchem patriotyzmu, inni zwykłą ciekawością. Ale na pewno byli tam również bracia ze współczesnego zakonu.

– A kto konkretnie? – Abell poczuł, jak rośnie w nim napięcie – Rudolf Hoeness?

– To bardzo możliwe. Ci ludzie nie afiszują się z przynależnością do odnowionego zakonu. Podejrzewam, że tworzą coś w rodzaju podziemnego bractwa. Czekają na swój czas. Wielkiego mistrza z Wiednia uważają za słabeusza i uzurpatora. Ich bożyszczem jest Hermann von Salza. Wielki budowniczy, rycerz „twardy jak stal i chytry jak żmija”, jak pisał ówczesny kronikarz. Jest jeszcze coś... – Balla zawiesił głos.

– A mianowicie?

– Ten manuskrypt, gdyby odnaleziono go w całości, mógłby zmienić historię Niemiec.

– Dlatego, że wyłania się z niego mało pochlebny obraz Hermanna von Salzy?

– Mało pochlebny? Christian, na Boga! Von Salza to w naszych podręcznikach historii wielki mąż stanu, ideał cnotliwego rycerza i skutecznego dyplomaty, przerastającego o głowę swoje otoczenie i wyprzedzającego swoje czasy! Wizjoner i geniusz w zakonnym płaszczu! Wzór do naśladowania dla współczesnych! Faktyczny twórca potęgi zakonu krzyżackiego i zdobywca ogromnych połaci ziemi, które, jak mawiał Wilhelm II, jako Prusy Wschodnie są dzisiaj lewym płucem Rzeszy!

– No tak, a jednocześnie gwałciiciel, dewiant seksualny, człowiek zaślepiiony złotem...

– Ale przede wszystkim bluźnierca i świętokradca! Zastanów się: jeśli ten człowiek bluźnił i odrzucał ewangelię, profanował hostię, brał udział, wraz z cesarzem, w obrzędach czarnej magii, to jakie miał moralne prawo do nawracania Prusów?! Przecież sam był poganinem! A cały ten podbój, którym tak dzisiaj szczycą się Niemcy, nie miał żadnej legitymacji, ani religijnej, ani moralnej, ani nawet prawnej!

## 5.

Kukulka wyglądał początkowo na zdeorientowanego.

– Współcześni krzyżacy? A oni w ogóle istnieją jeszcze? – rzucił ze zdziwieniem, ale widząc posępną minę radcy, uznał, że lepiej zrezygnować z dalszego zadawania pytań.

Abell kazał mu sprawdzić policyjne rejestry, skontaktować się z policją w Olsztynie i Gdańsku i zdobyć jak najwięcej informacji na temat bractwa pod znakiem czarnego krzyża. Jednocześnie wydał polecenie, by sprowadzić Rudolfa

Hoenessa z powrotem do miasta i osadzić go w areszcie. Więzień miał być strzeżony dwadzieścia cztery godziny na dobę. Abell wciąż pamiętał bezwładne ciało organisty dyndające na sznurze i wołał uniknąć podobnych niespodzianek.

Po wydaniu tych poleceń skupił się nad rozwiązaniem zagadki, która nie dawała mu spokoju od czasu rozmowy z profesorem Schmiedkem: gdzie poszukiwać całego manuskryptu? Przetłumaczony fragment okazał się na tyle frapujący, że dążenie do poznania całości wydawało się zamiarem ze wszech miar uzasadnionym. Naturalnym terenem poszukiwań były oczywiście plebania i wnętrze katedry. Wprawdzie już raz rewidowano pokoje proboszcza i księdza Gerharda, ale wtedy policjanci nie wiedzieli właściwie, czego szukają. Teraz sytuacja uległa zmianie.

Jeszcze tego samego dnia późnym południem, po uzyskaniu nakazu, dwie ekipy policjantów przystąpiły do pracy. Pierwsza, pod kierownictwem Vranitzkiego, miała za zadanie dokładne przeszukać zakryścię i inne pomieszczenia katedry. Drugą poprowadził sam Abell w kierunku plebanii.

Otwierając im drzwi, gospodyni nawet nie skrywała wrogości. Abell pomyślał, że gdyby spojrzenia mogły zabijać – już leżałby trupem. Postanowił przesłuchać kobietę dokładniej, po zakończeniu rewizji. Z jej zachowania można było wnioskować, że jest tutaj kimś więcej niż tylko kucharką i sprzątaczką. Radca nie zapomniał, że Hoeness, wyjeżdżając, to jej, a nie księdzu Alfredowi przekazał klucze do domu. Niepokoiła go także nietuzinkowa uroda tej kobiety, paradoksalnie pasująca do tego miejsca, gdzie nikt nie był tym, kim być powinien. Zaczęli od drobiazgowej rewizji pokoju Gerharda Platzecka. Po dwóch godzinach bezskutecznych poszukiwań przeszli do pomieszczenia zajmowanego przez księdza Albrechta.

Abell uświadomił sobie, że o Albrechcie zawsze myślał jako o tym drugim, poświęcając mu mniej uwagi niż księdzu Gerhardowi. Co prawda wszystko wskazywało na to, że zginęli z tej samej ręki, więc miał pewność, że ujmując sprawcę pierwszego morderstwa, rozwiąże też zagadkę drugiego. A biseksualna aura wokół Platzecka bardziej pobudzała jego policyjną wyobraźnię niż banalny pociąg Webera do kościstych dziwek. Jednak do pokoju księdza wkroczył z niejasnym przekonaniem, że w całym śledztwie nazbyt pomijał jego osobę. Z tym większym zainteresowaniem rozglądał się teraz po wnętrzu.

Pokój księdza Albrechta, tak jak poprzednio, tonął w półmroku. Okładka z Marleną Dietrich leżała na biurku, tam gdzie pozostawił ją Abell. Policjanci dokładnie przeszukali całe pomieszczenie, ale manuskryptu nie znaleźli. Podobnie bezskuteczne okazało się przeszukanie pokoju księdza Alfreda, który towarzyszył ekipie Vranitzkiego w katedrze. Przystąpiono więc do ponownej rewizji pokoju proboszcza. Policjanci metodycznie, kartka po kartce, przewertowali wszystkie książki, zerwali kilka desek z podłogi, opukali wszystkie ściany, a nawet zbadali

palenisko pieca kaflowego. Po godzinie przeszli do kuchni i nie bacząc na protesty gospodyni, przetrzasnęli wszystkie kąty, opróżniając przy okazji ceramiczne naczynia z kaszą, mąką i cukrem. Wszystko na nic.

Niebawem na plebanię dotarł policjant wysłany przez Vranitzkiego, z równie rozczarowującymi wieściami. Abell kazał policjantom wracać na komisariat, a sam, dla uporządkowania myśli, usiadł przy biurku Hoenessa.

W nozdrzach czuł jeszcze drobinki kurzu, czuł, jak w przyspieszonym, nerwowym rytmie bije mu serce. Gdzie Hoeness mógł trzymać manuskrypt? Był zawiedziony, że nie odnalazł go w jakimś schowku w pokoju proboszcza. Na logikę, Hoeness powinien gdzieś tutaj ukryć ten cenny dokument, aby mieć go zawsze pod ręką i na oku. A jednak postąpił inaczej. Dlaczego? Abell miał świadomość, że szuka igły w stogu siana. O ile plebanię sprawdzono dokładnie, o tyle przeszukanie ogromnej katedry wydawało się właściwie niewykonalne. Zamknął oczy. Przepastna katedra była nęcącym schowkiem, ale czy proboszcz ukryłby manuskrypt w miejscu odwiedzanym przez setki parafian? Było to oczywiście możliwe, na zasadzie latarni, pod którą najciemniej. Tabernakulum? Wykluczone, zbyt wielu ludzi, księży, a nawet ministrantów miało do niego dostęp. Potrząsnął głową – nie, proboszcz ze swoją skrytą, wycofaną naturą raczej nie zdecydowałby się na taki krok.

Ale jeśli nie na plebanii i nie w katedrze – to gdzie? Przemknęła mu myśl o podziemnym korytarzu, ale szybko zrezygnował z tego tropu. Badał to przejście już dwa razy i poza sekretną celą proboszcza, którą przeszukał gruntownie, nie widział tam odpowiedniego miejsca na schowanie dokumentów. Pamiętał szum podziemnej rzeki i zapach wilgoci wypełniający cały korytarz.

I wtedy przyszło olśnienie. Podziemia katedry! Grobowiec błogosławionej Doroty! Jak to powiedział ksiądz Alfred? „Najświętsze miejsce w katedrze”? Niedostępny dla parafian, idealny schowek, do którego nigdy nie zajrzy nikt postronny, bo od stuleci wiadomo, że jest pusty w środku. Zresztą ludzie nie zwykli zaglądać do grobowców, a już zwłaszcza tych, w których pochowano osoby wyniesione na ołtarze.

Zerwał się z miejsca i wymijając zdumioną gospodynię, popędził w stronę katedry. Zaraz jednak zawrócił i zażądał od gospodyni, ciągle stojącej na schodach, skamieniałej jak żona Lota, kluczy do podziemi katedry. Uświadomił sobie, że wejścia tam może bronić jakaś furtka. Miał rację, kobieta, mamrocząc coś nieprzyjaźnie pod nosem, przyniosła mu po chwili pęk kluczy zawieszonych na przeżartej rdzą metalowej obręczy. Po kilku minutach stanął w progu świątyni. Postrzępione warkocze popołudniowego światła przedzierały się przez witraże w oknach i tańczyły na płytach posadzki. W katedrze nie było nikogo. Spojrzał na zegarek. Była 16.35.

Podszedł główną nawą do kaplicy Groebenów. Pod murem zauważył

schodki wiodące w dół, okolone poręczą z brązu. Ostrożnie zszedł po nich. Wytarte przez czas stopnie doprowadziły go do furtki z żelaznych prętów, ułożonych niczym wiklinowa plecionka. Wsunął największy z kluczy do zamka, przekręcił w prawo i usłyszał charakterystyczny trzask. Zamek od razu ustąpił. Był wyrobiony, ktoś musiał często korzystać z tego przejścia. Za kratą krótki korytarz się rozwidłał w kształt litery Y. Podziemie, o ścianach wyłożonych starą cegłą, było sklepienie kolebkowo, dzięki czemu mógł iść, nie pochylając głowy. Wyczuł woń piwnicznego lochu: drażniącej nozdrza mieszanki stęchłego powietrza, wilgotnych murów i butwiejącego drewna.

Lewa odnoga, długa na kilkanaście metrów, kończyła się ślepym murem. Omiótł ją światłem latarki. O ścianę oparty był ogromny połamany krucyfiks. Poczerniały Chrystus, zwyciężony przez czas i korniki, walczył o równowagę z przekrzywionym ramieniem krzyża. W świetle zapłonęły – i natychmiast zgasły – porcelanowe oczy Zbawiciela. Na figurze widniały resztki średniowiecznej polichromii, niczym skrawki łuszczącej się skóry. Pod jedną ze ścian zobaczył drewnianą skrzynię ze spróchniałym wiekiem. Podniósł je palcem i ujrzał w środku grubą warstwę słomy. Kiedy odgarnął ją na bok, ukazała mu się bezładna mieszanina starych lichtarzy i cynowych talerzy, kikuty połamanych ram, a nawet potrzaskane resztki dwóch przytulonych do siebie gipsowych aniołków. Przeniósł na nie światło latarki i w tym momencie z oczodołu jednego z nich wypełził wielki tłusty owad, wysuwający czułki w stronę niespodziewanego intruza.

W podłodze Abell zauważył kilka granitowych płyt nagrobnych. Poza tym korytarz był pusty. Skierował światło w prawo. Druga odnoga była dłuższa. Zorientował się, że prowadzi ona w kierunku ołtarza głównego katedry. Tutaj również zobaczył na podłodze płyty nagrobne. Przeszedł nad kamiennym epitafium rycerza Richarda von Goyena, który oddał życie Panu w wielu zaledwie dziewiętnastu lat, oświetlił prośbę patrycjusza miejskiego Wilhelma Clausena: „Żyłem, bo tak chciałeś. Umarłem, bo kazałeś. Zbaw mnie, bo obiecałeś”, minął wyryte w kamieniu zapewnienie proboszcza Kurta Schella: „Nie wszystek umrę” i stanął przed drewnianymi drzwiami wzmocnionymi mosiężną kratownicą. Był u celu.

Spróbował przekręcić klucz w zamku, jednak tym razem napotkał pewien opór. Zastanawiał się nawet, czy sobie poradzi, ale po chwili zamek odskoczył i Abell pchnął ciężkie drzwi. Otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem. Z obawy, by się nie zatrzasnęły, przełożył klucz do zamka od wewnątrz, po czym rozejrzał się dookoła. Ciemne pomieszczenie było długie i wąskie, nisko sklepienie, tak że Abell musiał pochylić głowę. Miał wrażenie, że gorzej mu się oddycha. Powietrze wyraźnie zgęstniało. Rozpiął kołnierzyk koszuli i otarł spotniałe czoło. Wnętrze przypominało rzymskie katakumby, z licznymi kasetonowymi wgłębieniami po obu stronach muru z otoczek. Nagle dostrzegł coś, co sprawiło, że poczuł

przyspieszone bicie serca. W kilku wgłębieniach zauważył resztki wosku ze świec. Ktoś jednak odwiedzał ten pusty grobowiec, i to niejednokrotnie. Podszedł do jednego z kasetonów i dotknął wosku – był miękki, jeszcze dobrze nie zastygł. Zmroziła go świadomość, że ktoś był w tym podziemnym lochu nie dalej jak kilkanaście minut wcześniej.

Sarkofag znajdował się pod przeciwległą ścianą, w miejscu położonym najdalej od wejścia. Ostrożnie przesunął się naprzód po nierównych płytach z surowego kamienia. Jeśli to było niegdyś miejsce pochówku Doroty, to wydawało się nader skromne jak dla świętej niewiasty.

Podszedł i obejrzał grobowiec z bliska. Wykonano go z jasnego piaskowca – był nieobrobiony, ociosany pospiesznie, jakby rzemieślnik bardzo się spieszył, aby zdążyć na czas. Po bokach widniały ślady po dłucie średniowiecznego kamieniarza. Grobowiec był zadziwiająco krótki, wydawał się bardziej przeznaczony dla dziecka niż dla dorosłej kobiety. Abell nie dostrzegł żadnej inskrypcji, jak gdyby w tym przypadku epitafium było zupełnie niepotrzebne. Z prochu powstaniesz, w proch się obrócisz. Pan zna owieczki swoje.

Uważnie przyjrzał się płycie czołowej. Nigdzie nie zauważył spoin. Płytę można było odsunąć. Ułożył latarkę we wgłębieniu muru, tak aby oświetlała sarkofag, i spróbował pchnąć pokrywę, ale kamień ani drgnął. Po kilku próbach, okupionych tylko potem i zderciem naskórka, postanowił zrobić to inaczej. Wykorzystując niewielką odległość sarkofagu od ściany, zaparł się nogami o mur i z całą siłą zaatakował płytę raz jeszcze, używając wyprostowanych rąk jak dźwigni. Żyły wyszły mu na czoło, miał wrażenie, że przedramiona za chwilę mu pękną, niczym suche patyki, ale w końcu płyta zgrzytnęła i powoli, milimetr po milimetrze, zaczęła odsłaniać czarną czeluść. Po kilku minutach wysiłków, spływając potem i zlizując krew z poranionych palców, poszerzył szczelinę na kilkanaście centymetrów.

Martwiło go, że latarka przygasa. Skierował promień w głąb szczeliny, ale światło objęło tylko wąski fragment dna grobowca, pokryty jakimiś glinianymi skorupami.

I właśnie w chwili, kiedy przez głowę przemknęła mu myśl, że czeka go jeszcze co najmniej kwadrans mordęgi, usłyszał z tyłu cichy metaliczny zgrzyt. Obrócił się błyskawicznie, ale nie na tyle szybko, aby zobaczyć postać intruza w otworze zamykanych drzwi. Zanim do nich dobiegł, usłyszał odgłos przekręcanego klucza. Znalazł się w pułapce. Podobno nic dwa razy się nie zdarza, ale Abell miał wrażenie, że przeżywa jakieś oniryczne *déjà vu*. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie drewnianej skrzyni, w której skrępowany jak zwierzę ofiarne, oczekiwał śmierci. Latarka zamigotała, wydając ostatnie tchnienie, i zapadła ciemność. Poczul silny ucisk w piersiach. Słyszał szum własnej krwi, dudniącej mu w żyłach niczym rozszalała rzeka. Otworzył szeroko usta, próbując

uspokoić tętno i oszukać płuca spragnione powietrza. Powietrza, którego zaczynało mu brakować. Nie lubił zamkniętych przestrzeni, ale musiał nauczyć się z tym żyć. Szkoda tylko, że uczy się tego w podziemnym lochu, kilka metrów pod ziemią, pomyślał.

Usiadł na podłodze i oparł głowę o sarkofag. Musiał się zastanowić nad swoją sytuacją, bo jedynie w ten sposób mógł znaleźć jakieś wyjście. O jego pobycie w podziemiach katedry wiedziała tylko gospodyni Hoenessa, która wręczyła mu klucze. Nawet w przypadku przedłużającej się zwłoki ze zwrotem kluczy wątpliwe, aby powiadomiła policję. Uzna po prostu, że radca chce jeszcze zatrzymać klucze. A na pewno nie będzie się o niego niepokoić – dobrze pamiętał jej nieprzyjazne zachowanie. Kukulka może się zorientować dopiero za kilka godzin. Albo i później, na przykład następnego dnia. Do tego czasu skazany był na siedzenie w kompletnie ciemnym, dusznym pomieszczeniu. Musiał coś wymyślić, bo inaczej ugrzęźnie w tym podziemnym grobowcu na długo.

Wstał z podłogi i po omacku, trzymając się ściany, ruszył w stronę drzwi. Po kilku krokach, badając mur, natrafił na zagłębienie w ścianie i zaczął w nim szukać resztek świecy, ale było puste. Po chwili powiodło mu się lepiej. W następnym wykuszu wymacał krążek wosku – dotykał go uważnie, by znaleźć końcówkę knota. Wyczuł zgrubienie pod palcami i wygrzebał paznokciem kikut sznurka. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, którą podarowała mu jeszcze Eva. Nie palił od pół roku, ale lubił mieć przy sobie ten mały owalny przedmiot, niczym fetysz z dawnych dobrych czasów. Po kilku nieudanych próbach udało mu się podpalić knot, który zajął się wątlym, chybotliwym płomieniem. W pozostałych kasetonach znalazł jeszcze dwa niedopalone knoty. Oceniał, że wystarczą najwyżej na kilkanaście minut.

Podszedł do drzwi i przez dobrą minutę z całych sił walił w nie pięściami, licząc na jakiś odzew z drugiej strony, ale panowała tam głucha cisza. Między drzwiami a podłogą pozostawała szczelina szeroka na dwa, trzy centymetry. Położył się tuż przy niej, aby zaczerpnąć powietrza płynącego z korytarza, i wtedy usłyszał trzask, jakby opadło ciężkie wieko skrzyni, a potem czyjeś westchnienie czy może raczej stłumione przekleństwo. Przysunął się jeszcze bliżej do szczeliny, starając się wyłapać wszystkie dźwięki i przejrzeć zamiary swego prześladowcy. Poświecił ogarkiem na zegarek: siedemnasta. Najbliższa msza była dopiero za godzinę. Czyli najwcześniej za pół godziny pojawią się w zakrystii na górze pierwsi ministranci, a potem ksiądz Alfred lub nowy duchowny, którego przysłano ostatnio z kurii, a którego Abell jeszcze nie miał sposobności poznać.

W tym momencie poczuł zapach słomy i z przeraźliwą jasnością zrozumiał, co tamten planuje. Nie miał wątpliwości, że to Rudolf Hoeness. Proboszcz zamierzał go ukarać w równie biblijny sposób jak dwie swoje wcześniejsze ofiary. Było już ukrzyżowanie, rozerwanie kończyn na dzwonie, przyszedł czas na

spalenie, a w najlepszym razie uduszenie dymem. Teraz najwidoczniej układał pryzmę słomy bezpośrednio za drzwiami grobowca.

– Hoeness, skurwysynu, wiem, że to ty! – krzyknął chrapliwie Abell. – Nie ujdzie ci to płazem! Zadyndasz na stryczku, śmieciu! Wiem wszystko o manuskrypcie von Malberga!

Radca miał wrażenie, że kiedy padło to nazwisko, hałas po drugiej stronie ucichł na chwilę, ale zaraz znowu rozległo się szuranie i przesuwanie czegoś po podłodze. Usłyszał trzask łamanego drewna. Ramy do obrazów! Nagle zapadła cisza. Stos po drugiej stronie drzwi musiał być już gotowy do podpalenia. Abell usłyszał odgłos pocieranej zapalki i parę sekund później płomień ognia zaczęły lizać dolną krawędź drzwi. Abell rozerwał koszulę i przewiązał nią sobie nos i usta, aby uchronić się przed gryzącym dymem. Następnie wyciągnął rewolwer i trzykrotnie strzelił prosto w zamek w drzwiach. Stary żelazny mechanizm nawet nie drgnął. Dźwięk wystrzałów musiał zaskoczyć podpalacza, bo szmery po drugiej stronie ucichły, a potem zgrzytnęła furtka prowadząca do wyjścia z podziemi. Abell starał się zwalczyć uczucie ogarniającej go paniki. Gryzący dym zaczął wdzierać się do środka przez szczelinę pod drzwiami. Wydawało mu się, że tlen wyparowuje w przyspieszonym tempie. Sprawdził magazynek w rewolwerze. Pozostała już tylko jedna kula. Ostatnia szansa.

Zatykając usta i nos, podszedł do drzwi i przytknął lufę do zamka, kierując ją w stronę rygla. Nacisnął spust. Odrzut był tak silny, że poczuł ból w łokciu. Zaparł się i szarpnął drzwi z całej siły, aż zakłuło go w krzyżu, jednak odgradzająca go od wolności przeszkoda pozostała niewzruszona.

Czuł rosnący ciężar w piersiach, jakby wlewano mu tam gorący ołów. Nisko sklepienie pomieszczenie coraz bardziej wypełniało się dymem. Nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki. Przez chwilę zastanawiał się, co może jeszcze zrobić, zanim udusi się na dobre. Przyszło mu do głowy, że mógłby schować się do sarkofagu, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Nie zdążyłby odsunąć pokrywy, a gdyby nawet, to nie zdołałby jej od środka zasunąć, aby uchronić się przed dymem. Pozostała mu już tylko jedna możliwość. Położył się na wznak, prostopadle do drzwi, i zaczął w nie miarowo kopać nogami, ile miał sił. Raz, dwa, trzy... Doliczył do siedmiu, gdy drzwi niespodziewanie jęknęły z metalicznym chrzęstem, tak jakby rygiel wreszcie się poddał. Uderzył jeszcze dwa razy i otworzyły się na tyle, że zobaczył nisko płózące się płomień po drugiej stronie. Zerwał się, naparł barkiem na drzwi i wypadł na zewnątrz. Stos się dopalał, ale słoma tliła się nadal, wydzielając dym, który słał się po podłodze niczym brudna kołdra.

Pobiegł w stronę schodków. Tak jak się spodziewał, furtka była zamknięta. Nie zastanawiając się długo, kopnął w nią z całej siły i zamek, o dziwo, puścił od razu, jakby nagradzając jego determinację. Przed ołtarzem nadal nie było nikogo. Przyspieszając kroku, skierował się przez nawę główną ku wyjściu. Dopiero tam,



na progu, uspokoił oddech. Szeroko otwartymi ustami łapczywie chwycił powietrze, smakując jego łagodność i kojącą miękkość. Minęła go szczupła brunetka, zdążająca najwidoczniej na mszę. Ich spojrzenia się skrzyżowały. W jej oczach musiał wyglądać jak wysłannik piekieł, w podartej koszuli, z osmoloną i załamioną twarzą. Ona uosabiała świat wyzierający zza jej pleców: ową planetę zwykłej codziennej egzystencji snującej się po rynku. Widać ją było w zaafierowaniu kramarza walczącego z wiatrem, w lubieżnych męskich spojrzeniach kierowanych w stronę długonogiej kwiaciarki, która rozkładała bukiety na podręcznym stoisku, w śmiechu dzieci, bezlitośnie ścigających wychudzonego kundla, czy też w pochrapywaniu starszego pana w słomkowej panamie, który usnął na ławce pod apteką Scholla.

Abell miał wrażenie, że wrócił z kolejnej dalekiej podróży. Dobrze wiedział, że bezpieczną codzienność od stanu zagrożenia dzieli cienka, niedostrzegalna granica. W jednej sekundzie, najczęściej bez żadnego ostrzeżenia, los funduje nam sytuację *à rebours*. Stąpasz po twardym gruncie, aby za chwilę wylądować na cienkim lodzie. Poruszasz się wśród swojskich znaków i sprzętów, aby za chwilę znaleźć się w śmiertelnej pułapce, w której zwykle drzwi stają się gilotyną odcinającą znany ci świat i życie. Czasami taką zmianę poprzedzają nie zdarzenia, lecz słowa, niczym posłańcy złych wiadomości. Wydaje ci się, że życie układa się, jak należy, że nic się nigdy nie zmieni, a potem jedno słowo zmienia wszystko. „Odchodzę, Christian”. Pada tylko to jedno zdanie, a świat wywraca się do góry nogami, pokazuje ci swoje czarne podniebienie. Nie ma powrotu do stanu poprzedniego. To niemożliwe.

Co więcej, to jedno zdanie tworzy nową rzeczywistość, która natychmiast zaczyna dominować, wykluczając *status quo ante*. I musisz się szybko do niej przyzwyczaić, bo nie ma czegoś takiego jak bilet powrotny.

Wyczuł ruch za plecami i odwrócił się gwałtownie. Młody ministrant wpatrywał się w niego z przestachem, szeroko otwartymi oczami. Spod ołtarza dobiegały rozgorączkowane głosy. Widocznie dym z podziemi przeniknął już do wnętrza katedry, wzbudzając niepokój szykujących się do mszy ministrantów. Zbliżało się nabożeństwo, podczas którego wierni zjednoczą się z Panem w akcie miłości i oddania.

Abell podążył za ministrantem. Przy schodkach do podziemi zauważył księdza Alfreda dźwigającego wiadro wody. Jego zaczerwieniona z wysiłku twarz miała wyraz czujności. Na widok radcy ksiądz zamarł, dopasowując zapewne to osmolone widmo, które zobaczył przed sobą, do pożaru, jaki wybuchł w grobowcu. Pożar został już ugaszony. Dwaj ministranci zmiatali dymiące resztki do blaszanego kubła, trzeci zmywał podłogę kraciastą szmatą. Jego postać wydała mu się znajoma. Chłopak podniósł głowę i radca natychmiast rozpoznał Janka Wojciechowskiego.

– To ksiądz Alfred... To znaczy on pozwolił mi wrócić – wyszeptał cicho ministrant.

Abell pokiwał głową. Małe cuda się jednak zdarzają, pomyślał. Odwrócił się i szerzej otworzył półprzymknięte drzwi, z którymi tak długo walczył. Pomieszczenie rozświetlał blask lampy naftowej, którą jeden ze sprzątających ministrantów postawił na podłodze. Abell powoli podszedł do grobowca. Przeczucie go nie myliło. Płyta grobowca była odsunięta na tyle, że mógł zajrzeć do środka. Podniósł lampę i przyświecając sobie, nachylił się nad ciemnym otworem. Sarkofag był pusty.

## **Rozdział X**

### **Wielki Mistrz**

## 1.

Godzinę później siedział już za swoim biurkiem, odświeżony, w czystej koszuli i garniturze, które Kukulka dowiózł tu z Rospitzerstrasse. Głowę ścisnęła mu jeszcze żelazna obręcz i ciągle miał wrażenie, że śmierdzi spalenizną, ale fizycznie wrócił już do równowagi.

Gorzej było z jasnością myślenia. Wydawało mu się, że nie do końca rozumie to, co mówił do niego wachmistrz Kukulka.

– Powtórzcie jeszcze raz, Kukulka, mam dzisiaj pewien kłopot z kojarzeniem. Od kiedy Rudolf Hoeness jest pod kluczem?

– Melduję posłusznie, panie radco, że posterunkowy Klein odebrał proboszcza z klasztoru w godzinach porannych. Hoeness nie stawiał oporu. Wyglądał podobno na zrezygnowanego.

– Kiedy dotarli na miejsce i o której godzinie Hoenessa ulokowano za kratami?

Kukulka spojrzął do notesu.

– Dzisiaj, to jest szóstego września, dokładnie o dwunastej dwadzieścia, panie radco.

– Jesteście tego najzupełniej pewni, Kukulka? To ważne.

– Byłem przy tym, panie radco. – Wachmistrz wydawał się lekko zdezorientowany pytaniami Abella. – Od tamtej pory ptaszek siedzi w klatce, Klein nie spuszcza z niego oczu.

Abell zapadł się fotelu. Rzadko zdarzało mu się nie zgadzać z faktami, a to był właśnie taki przypadek. Jeśli nie Rudolf Hoeness, to kto? Wszystkie dotychczasowe nitki wiodły w jego stronę. To prawda, Abell po drodze mylił tropy, ale dzisiejszego dnia, walcząc w podziemiach katedry o życie, miał przynajmniej pewność, że zna nazwisko zbrojcy. Był przekonany, że proboszcz dotarł do miasta wcześniej, zanim wysłano po niego policję. Być może przebywał na plebanii, gdy Abell prosił gospodynię o klucze. Domyślił się, że radca już wie, gdzie jest ukryty manuskrypt, i postanowił zapobiec jego przejęciu.

Tylko osoba proboszcza wiązała się ze wszystkimi dramatycznymi wydarzeniami ostatnich dni: morderstwami obu księży i samobójstwem organisty. Od samobójstwa Sackla uznawał za bezsporne, że jedynie Hoeness miał motyw i możliwości popełnienia zbrodni. Dokładnie znał topografię miejsc zbrodni i samej katedry. Podziemny korytarz wiodł z jego pokoju. Miał dostęp do pokojów księży i łatwo mógł zdobyć i dorobić sobie klucz do domu Brigitte Calz, którego używał Albrecht Weber. Znał zwyczaje Platzecka i mógł go zwabić na dzwonnice pod byle pretekstem, nie budząc jego podejrzeń. To poczucie wstydu wobec proboszcza mogło być jednym z powodów, dla których Sackel targnął się na swoje parszywe

życie. Abell mógłby tak wymieniać i mnożyć argumenty, ale od kilku minut straciło to jakikolwiek sens. Śledztwo zatoczyło krąg i dopiero co był pewny, że dzisiaj je domknie. Teraz stracił tę pewność i czuł się jak bokser po otrzymaniu bardzo mocnego ciosu. Mocnego, ale nie nokautującego.

Miał już wyjść z gabinetu, gdy w drzwiach pojawił się Vranitzky.

– Przejdiesz do historii tego komisariatu, Christian. Najpierw chcieli cię utopić, teraz udusić. Przyciągasz kłopoty, słowo daję.

– Coś jeszcze?

Vranitzky przyjrzał mu się uważnie.

– To tylko sarkazm. A w katedrze nikt nic nie widział ani nie słyszał. Ministranci wyczuli dym dobiegający z podziemi i dopiero wtedy podniesiono alarm.

– Przeszukaliście podziemie?

– Tak, oczywiście. Sam tego dopilnowałem. Ktoś po zamknięciu drzwi poutykał na dole słomę, którą znalazł w skrzyni stojącej w przyległym korytarzu. Dla lepszej rozpalki dodał kilka połamanych ram. Nieźle się hajcowało. Miałeś dużo szczęścia, że się oswobodziłeś. Czad i dym mogły...

Abell przerwał mu niecierpliwym machnięciem ręki.

– Jakies ślady?

– Tylko dwie spalone zapalki i to. – Podał Abellowi szarą kopertę.

Abell otworzył ją i wytrząsnął zawartość na biurko. Był to strzępek lnianej tkaniny w kolorze jasnego beżu.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytał, chwytając skrawek i podnosząc go ku światłu.

– Na gwoździu z boku skrzyni. Podpalacz musiał o niego zahaczyć, najpewniej rękawem, kiedy otwierał jej wieko.

Abell zamknął oczy. Raz jeszcze usłyszał trzask opadającego wieka skrzyni i stłumione przekleństwo. W głowie kłębiły mu się pytania i wątpliwości. I szczególnie uparcie wracała jedna myśl – nigdy nie widział Rudolfa Hoenessa w lnianej marynarce. A to rodziło niepokojące implikacje. Na przykład takie, że proboszcz nie działał sam.

## 2.

Rudolf Hoeness siedział we wnęce pod oknem, zgarbiony, z podkurczonymi nogami. Z profilu przypominał posępne ptaszysko, przebrane dla niepoznaki w wytartą sutannę. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały ponure wnętrze celi. Na widok Abella proboszcz podniósł głowę, ale na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Musiał mieć pan ważny powód, aby mnie tu sprowadzić – odezwał się.

– Do tego wbrew mojej woli.

– Miałem ważny powód. Czy wie pan, że w tej samej celi kilka dni temu siedział młody Wojciechowski?

– Jakie to ma teraz znaczenie? – Hoeness spojrzał mu wyzywająco w oczy.

– Odosobnienie w celi pozwala oczyścić myśli, obmyć duszę, jak powiedziała by patron organisty księdza, święty Bernard.

Na wspomnienie organisty proboszcz zwarł obronnym gestem ramiona, jakby próbując odepchnąć od siebie wyobrażenie ciała dyndającego na sznurze.

– Ministrant po pewnych wahaniach wyznał mi prawdę – oznajmił radca.

– Może skorzysta ksiądz z dobrego przykładu i pójdzie tą samą drogą?

Odpowiedziało mu milczenie. To nie był już ten władczy, silny człowiek, jakiego spotkał zaledwie kilkanaście dni temu. Ale nadal wyczuwał w nim godnego przeciwnika, zdecydowanego skrzętnie skrywać swoje tajemnice.

– Podejrzywałem, że dokonał ksiądz dzisiaj zamachu na moje życie.

Tym razem na twarzy proboszcza odmalowało się autentyczne zdumienie.

– Nie mógłbym tego zrobić.

– Teraz już wiem, myliłem się. W momencie, gdy ktoś dybał na moje życie, siedział ksiądz pod strażą w areszcie.

– Nie dlatego. Nie miałem dobrego powodu.

Abell przez chwilę oceniał w myślach tę zaskakującą odpowiedź. Wyglądała na szczerą.

– Nie jestem co do tego przekonany... dużo wiem, księżo proboszczu. Jeszcze nie wszystko, ale dużo. Na przykład o manuskrypcie von Malberga, w którym zdemaskował on świętokradcze życie wielkiego mistrza Hermanna von Salzy. I o tym, że odkrycie tych rewelacji mogło dramatycznie wpłynąć na losy przynajmniej kilku osób żyjących współcześnie. To znaczy, mówiąc precyzyjniej, przynajmniej dwóch osób, o których powinienem już mówić w czasie przeszłym.

Abell uważnie obserwował proboszcza. Z każdym jego słowem Hoeness coraz bardziej zapadał się w sobie, jakby pękała jakaś wewnętrzna konstrukcja podtrzymująca to kościste ciało.

– Od dłuższego czasu podejrzewałem, że to pan, panie Hoeness, jest mordercą. Znał pan dobrze ofiary i ich niemoralne zwyczaje. Miał pan wszelkie możliwości, aby usunąć z tego padołu obu księży kalających własne gniazdo. Jest pan także kłamcą, panie Hoeness. Łgał pan w żywe oczy, zatajając prawdziwą przyczynę swojej kłótni w zakrystii z księdzem Gerhardem. Próbował pan zamknąć usta świadkowi tej awantury, młodemu Wojciechowskiemu, a następnie się go pozbyć. Z kolei ksiądz Alfred podsłuchał pańską gwałtowną wymianę zdań z księdzem Weberem... Istniało więc wiele przesłanek, aby założyć panu kajdanki. Ale coś mnie niepokoiło. Przede wszystkim nie zgadzał mi się motyw. Używając pańskiego trafego określenia, szukałem „dobrego powodu”. Jakoś nie potrafiłem

uwierzyć, że zabił pan obu księży, aby ukarać ich za występne i grzeszne życie. I te tajemnicze zapiski, jakby pisane ręką biblijnego mściciela... Sceneria jak z desek teatru... Od początku podejrzewałem mistyfikację mającą na celu wyprowadzenie policji w pole i zwekslowanie śledztwa na tory obyczajowe. Miałem rację, ale nie do końca...

Abell odnosił wrażenie, że proboszcz słucha go z coraz większą uwagą. Zastygł bez ruchu, jeszcze bardziej garbiąc plecy. Wpatrywał się w niego pociemniałymi oczami, jakby nie chciał uronić ani słowa.

– Przez dłuższy czas, przyznaję, błdziłem. Podejrzewałem szefa tutejszego oddziału NSDAP, później moją uwagę przykuł nieszczęsny Sackel. Ale okazało się, że to nie oni. Tak więc znowu powróciłem do pana, Rudolfe Hoeness. Przełom nastąpił, gdy odnalazłem tłumaczenie manuskryptu. Tylko jeden fragment, ale ukazujący, jak wielką toksyczną moc miał dla niektórych ludzi cały oryginał. Odkryłem ów „dobry powód”, księżę proboszczu.

– Powód do czego? – zapytał chrapliwym szeptem Hoeness.

– Chce się pan nadal bawić? Proszę bardzo. – Abell wzruszył ramionami i wygładził rękaw marynarki. – Powód do okrutnego okaleczenia i pozbawienia życia dwóch osób. Zgoda, grzesznych i słabych, mijających się z powołaniem, ale jednak istot ludzkich. W konsekwencji na sznurze zadyndał jeszcze ktoś trzeci, choć w tym przypadku była to śmierć jedynie zawiniona przez wasze bractwo. – Abell zauważył, że na dźwięk słowa „bractwo” proboszcz drgnął, jak porażony prądem. – Pomijam już tak drobny fakt, jak usiłowanie zabójstwa policjanta na służbie. Jest na to wszystko odpowiedni paragraf. Ale na pański użytek przywołam inny, lepiej panu znany kodeks: przykazanie piąte, nie zabijaj.

W oczach Hoenessa ponownie zapaliły się ognie.

– Nikogo nie zabiłem.

– Ktoś jednak wbijał gwoździe w ręce księdza Webera. Powinien pan zresztą wiedzieć, że Albrecht Weber musiał czuć ten sam rozdzierający ból co niegdyś Zbawiciel. Tak na marginesie, wasz oprawca był mniej biegły w swoim rzemiośle niż Rzymianie. Cóż za fuszerka! Najpierw niewprawnie wbijany gwóźdź natrafił na kość, a potem ześlizgnął się i przebił ścięgno, co musiało porazić ofiarę niewyobrażalnym bólem. W podobnych męczarniach umierał Gerhard. Kat połamał mu kości, porozrywał mięśnie i ścięgna w kroku, jak szmacianej lalce. Trudno sobie wyobrazić to cierpienie, panie Hoeness, to zwierzęce wycie... Nie zaciskał pan także stryczka na szyi... Nie patrzył w wychodzące z orbit oczy Bernarda Sackla. Nie czuł pan także smrodu gówna, bo w chwili śmierci nastąpiła defekacja... Ale do kurwy nędzy, jest pan winien, jak amen w pacierzu jest pan winien, wasza katolicka wielebność! I to w imię czego?! W imię jakichś historycznych ramot, mrzonek o współczesnych krzyżakach i honorze wielkiej Rzeszy?! Naprawdę warto było?!

Zapadło długie milczenie. Słońce za kratami nagle zgasło, poddając się i ustępując miejsca zmierzchowi. Abell widział teraz tylko kontur zgarbionej postaci, rzucającej ostry cień na ścianę. Starzec bardziej przypominał kamienną figurę z zamkowego dziedzińca niż żywego człowieka.

Abell czekał cierpliwie. Zagrał w otwarte karty i musiał wierzyć, że proboszcz wreszcie się odłoni. Wolał nie myśleć, że może stać się inaczej.

– Czy było warto? – dobiegł go wreszcie prawie niedosłyszalny szept. – Co ty możesz o tym wiedzieć? Nie masz pojęcia, jak cięży tajemnica, jak przytłacza odpowiedzialność... Jak głąz. Nigdy w nic nie wierzyłeś. Nie wiesz, jak to jest, gdy twoja wiara, skała, na której stoisz, usuwa ci się nagle spod nóg. Weszliśmy w posiadanie wielkiej tajemnicy, przyrzekliśmy strzec jej jak źrenicy oka...

– Kto: my? Platzeck, Weber? Bractwo współczesnych krzyżaków? – Abell potarł pulsujące skronie.

– Wiedzą o manuskrypcie podzieliłem się tylko z bratem Gerhardem. Ale on zdradził... Złamał regułę zakonu. Przekazał tę tajemnicę Albrechtowi. Na początku zaprzeczał, kłóciliśmy się... Ale potem wyznał prawdę... To mną wstrząsnęło, bo manuskrypt von Malberga był straszny, niebezpieczny, wstrząsający... Gdy go odkryliśmy, w pierwszej chwili byłem pewien, że to apokryf, jakich wiele krążyło w średniowieczu. Ale za dużo było szczegółów, faktów, które znać mogli tylko wtajemniczeni. Hermann von Salza okazał się potworem, bluźniercą, Lucyferem z krzyżem na płaszczu...

– Dlaczego von Salza był dla was taki ważny?

– Hermann był naszym bohaterem, wzorem, punktem odniesienia... Niemcy potrzebują takich symboli... Zwłaszcza dzisiaj, gdy są w upadku. Trzeba... Musimy podnieść się z kolan. W reaktywacji zakonu i jego reguły widzieliśmy szansę dla ojczyzny, ale przede wszystkim dla siebie samych... na samodoskonalenie, ćwiczenie silnej woli...

– Dlaczego nie zniszczyliście manuskryptu, jeśli jego treść była dla was tak obrazoburcza? Nie ma motywu zbrodni, nie ma zbrodni.

– To nie takie proste. Myśleliśmy o tym... Wahaliśmy się. Ale nie cały manuskrypt został odczytany, jego środkowa część była mocno zniszczona, nieczytelna. Chcieliśmy odczytać go do końca, a dopiero potem zniszczyć.

– Gdzie jest obecnie manuskrypt?

– Przechowywałem go w grobowcu błogosławionej Doroty.

– Już go tam nie ma.

– Wiem... – Starzec odpowiadał urywanymi zdaniami, jakby ta spowiedź sprawiała mu wręcz fizyczny ból. – Popełniłem niewybaczalny błąd. Gdy manuskrypt trafił w moje ręce, pokazałem go Gerhardowi... Jeszcze wtedy miałem do niego zaufanie... Sam go ściągnąłem do parafii. To był dobry Niemiec, patriota, myślałem, że kocha kraj... Pasjonował się historią zakonu. Wydawał się idealnym



nabytkiem... Ale okazał się słaby i grzeszny. Było za późno... Zawiódł mnie. Udział w bractwie był zaszczytem, przywilejem, tylko dla wybranych. Złożył przysięgę na imię Pana. Ślubował wierność regułom odnowionego zakonu. Pomyliłem się...

– A Albrecht Weber? Też należał do zakonu? Zginął, bo mógł ujawnić lub przekazać sekret dalej?

– Mógł się wygadać przed byle dziwką, kimkolwiek. Nie mogliśmy ryzykować.

– I dlatego obaj zostali z zimną krwią zamordowani?

– Zdradzili podwójnie... Nie byli godni ani swego powołania, ani przynależności do zakonu. Treść manuskryptu nie mogła wypłynąć. A Platzeck brnął w kłamstwa...

– I z tym związana była kłótnia, którą podsłuchał ten młody Polak? Słowa o zhańbieniu sutanny i zdradzie wcale nie dotyczyły niemoralnego prowadzenia się księdza Platzecka, prawda? – Abell przez chwilę wertował notatnik, aby odnaleźć właściwy cytat. – „Grzęźniesz w kłamstwie i grzechu! Jak mogłeś mnie tak zawieść!”.

– Tak, ale Platzeck szedł w zaparte. – Proboszcz skrzyżował długie kościste palce. – Treść manuskryptu nie mogła wycieknąć na zewnątrz. Weber przyznał, że Platzeck wyjawiał mu tę tajemnicę. Zgubiło ich gadulstwo... Kazano mi dobrze schować manuskrypt von Malberga, a ja niepotrzebnie podzieliłem się z Platzeckiem jego treścią.

– Dlaczego wykradł pan księgi o życiu von Salzy i błogosławionej Doroty z pokoju Gerharda?

– Zrobiłem to instynktownie... Tak na wszelki wypadek... Nie chciałem, aby nazwisko wielkiego mistrza w ogóle wypłynęło, w jakimkolwiek kontekście...

– Czy wiedział pan, że Platzeck na ostatnich kartach księgi zamieścił tłumaczenie początkowych zapisków von Malberga?

– Uczynił to? – Starzec nagle podniósł głowę. – Nie miałem o tym pojęcia, niestety...

– A druga księga?

– Podobnie, ostrożności nigdy za wiele. Manuskrypt przechowywałem z grobowcu błogosławionej. Chciałem uniknąć niepotrzebnych skojarzeń... Konsekwencje ujawnienia manuskryptu, tych zatrutych zapisków, mogły być straszne. Dla Rzeszy, dla przyszłości tych ziem, wyrąbanych mieczem i krzyżem...

– Zapomniał pan o podstępie, czarnej magii i kłamstwie. A także o kilku innych drobiazgach, takich jak bluźnierstwa, gwałty, rozpasanie i kurewstwo, które nawet na mnie robi wrażenie, nie mówiąc już próbie założenia nowej, świętokradczej religii. Zdaje się, że w tej nowej wizji nie było miejsca dla Maryi zawsze Dziewicy i miłosiernego safandudy na osiołku.

Starzec machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę.

– Właśnie takich jak pan bałem się najbardziej. Indyferentnych religijnie, cynicznych. Umywających ręce jak Piłat. I to w imię czego? Jakiegoś abstrakcyjnego prawa, stworzonego przez sprzedajnych adwokatów i kosmopolitów. Liczy się tylko prawo naturalne... Siła idei, to ona nas wynosi ponad codzienność, uskrzydla. Nadaje życiu sens. Ktoś musiał wziąć na siebie odpowiedzialność. Nawet jeśli von Salza nie okazał się tym, za kogo go mieliśmy, to jego dzieło musi przetrwać. Musiałem...

– Nic pan nie musiał. To wszystko jest chore, a pan jest opętany, Rudolffie Hoeness.

Proboszcz nawet nie drgnął, jakby te słowa w ogóle go nie dotyczyły.

– Tak więc Platzeck i Weber zostali zamordowani, aby tajemnica nie wyszła na jaw... mieli zabrać sekrety von Salzy do grobu. – Radca postanowił kuć żelazo, póki gorące. – Choć jak sądzę, nie tylko dlatego. Wystarczyło dosypać im do wina arszeniku czy innej trucizny. Ale to byłoby za mało, prawda? Musieli jeszcze ponieść karę za swoją zdradę. Zakon nigdy nie wybaczał i nie wybacza. Dlatego Gerhardowi potrzaskano kończyny i przywiązano go symbolicznie do dzwonu, który zazwyczaj ostrzega, alarmuje, przekazuje wieści. Ten dzwon miał zamilknąć na zawsze, już nigdy nie zadzwiezczeć. Morderca, jak wielu psychopatów, nie zadowolił się zadaniem cierpienia. Musiał jeszcze zostawić wiadomość. „Piekło jest domem nieczystych”. Platzeck złamał regułę, zdradził. Trzeba go było wysłać do piekła. Dopiero wtedy kara była pełna. Morderca bawił się tą śmiercią. Przekaz posiadał drugie dno. Uwagę śledczych miał skierować na tory obyczajowe, ale właściwi adresaci, członkowie bractwa, dobrze rozumieli jego sens.

Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki strażnika, a potem zgrzyt otwieranego judasza. W szczelinie pojawiło się lustrujące oko strażnika, aby po kilku sekundach zniknąć za opadającą klapką.

– Albrecht także mógł coś wygadać, prawda? – Abell podniósł głos o jeden ton. – Dlatego koniecznie trzeba było zamknąć mu usta. Został ukrzyżowany. Ale nie jak Jezus Chrystus, jak początkowo myślałem. Zginął jak jeden ze złoczyńców, urągający Chrystusowi, który wraz z nim został ukrzyżowany na wzgórzu Golgoty. Oczywiście, musiała być także podwójna wiadomość. „Odbieramy słuszną karę za nasze uczynki”. Prawda, księżę proboszczu? Ale przybito go nie do krzyża, tylko gwoździami do łóżka ladacznicy, tak aby policja utwierdziła się w przekonaniu, że to kolejna ofiara jakiegoś szaleńca, owładniętego manią karania księży za ich rozpustne życie.

– Jest pan bardzo przebiegły, panie Abell – usłyszał głos spod okna. – Od samego początku wiedziałem, że będą z panem kłopoty.

– Teraz to pan ma kłopoty. Wielkie kłopoty, które mogą zaprowadzić pana pod topór.

– Nie boję się śmierci. Ludzie boją się śmierci przez nawyk, przesąd, wychowanie. Ja nie, panie radco. – I zbielełymi wargami wyszeptał:

*Bądź pozdrowiona śmierci, wolności zwiastunie!*

*Nie jawisz mi się groźnie, w żalobnym całunie,*

*O którym z lękiem, w błędzie, szeptano przez wieki!*

*Tyś nie jest wszak okrutna, jasne masz spojrzenie*

*Dobry Bóg ciebie zsyla, by skrócić cierpienie.*

*Ty nie obracasz w nicość, ty wyzwalasz: dłonie*

*Twoje, posłańcu niebios, niosą boski płomień[29]*

– Bzdury. Ksiądz Albrecht chyba byłby podobnego zdania. Widziałem jego zastygłe oczy. Musiał się kurewsko bać, chyba nie odbierał zadawanej mu śmierci jako „wolności zwiastuna”.

– Śmierć to tylko przejście w inny wymiar.

– To przejście może być bardzo bolesne. Jeśli pana skazą, a wiele na to wskazuje, zostanie pan ścięty toporem w sztumskim więzieniu. W Sztumie nie ma gilotyny, a zakład ma złą sławę. Wiele zależy także od wprawy i staranności kata. Jeśli pańskiej dekapitacji dokonywać będzie słynny kat Johann Reichhart, to jeszcze całe szczęście. Ale jeśli jakiś inny, przyjezdny, to komfort może być mniejszy. Zostawmy jednak tę kwestię. Istotne jest to, że pańska głowa po odcięciu od ciała jeszcze przez kilka sekund zachowa pełną świadomość sytuacji. Zapewne spyta pan: co to znaczy kilka sekund? Będąc w pana położeniu, też byłbym tego ciekaw. Ile dokładnie: trzy sekundy, siedem, a może więcej? Trudno powiedzieć, ale wiadomo, że śmierć z powodu niedotlenienia mózgu następuje dopiero po upływie około sześćdziesięciu sekund od egzekucji. Co dzieje się w tym czasie ze świadomością, nadal pozostaje wielką zagadką. Moim skromnym zdaniem, istotną rolę w tej kwestii może odgrywać sumienie. Myślę, że morderca dwóch księży cierpi po śmierci inaczej niż na przykład zdrajca stanu, a osoba niewinnie uśmiercona musi odczuwać te ostatnie sekundy w odmienny sposób niż seryjny morderca. To moja własna teoria, co pan o niej sądzi, wasza wielbność?

Skulona pod oknem postać nie odpowiedziała.

– Ta intrygująca, musi pan przyznać, kwestia wcale nie jest wydumana. Męka naprawdę może trwać dłużej, zdarzało się tak w przeszłości. Tak odchodziła z tego padółu nieszczęsna Charlotta Corday, zabójczyni Marata. Liczni świadkowie potwierdzają, że gdy kat odciął jej głowę, jedną ręką ją uniósł, a drugą spoliczkował. Ku zdumieniu widzów Charlotta otworzyła wtedy powieki i skierowała pełen potępienia wzrok na nadgorliwego kata. Niesłychane, prawda? A słynny Antoine Lavoisier na gilotynie przeprowadził swój ostatni eksperyment: umówił się z przyjaciółmi, że po ścięciu będzie próbował mrugać oczami, najdłużej jak się da. Proszę sobie wyobrazić, że według relacji mrugał aż przez piętnaście sekund! Piętnaście sekund! To musiała być cała wieczność! Sekundy na pewno

biegną wtedy wolniej. Przyzna pan, że to teza wielce prawdopodobna. Swoją drogą, w sytuacji, gdy głowa orientuje się, że jest odcięta od ciała, musi odczuwać straszliwą samotność. Proszę pomyśleć: pierwszy raz z oddalenia spogląda na korpus, na członki ciała, które niegdyś zespolone były z nią w jedną nierozzerwalną całość! To musi być bardzo dojmujące uczucie, silniejsze niż jakiekolwiek doznanie z całego życia, gdy głowa była połączona z ciałem, zdawałoby się, na zawsze.

– Bóg mnie osądzi.

– Wcześniej uczyni to sąd karny. Proces potrwa co najmniej kilka tygodni. Publicznie prane będą wszystkie brudy z pańskiej plebanii. Zbrodnie, spiski opętanych umysłów, sodoma i gomora, rozpusta... Na tę padlinę rzucą się największe dzienniki Rzeszy. Będzie mnóstwo smrodu, zapewniam pana. Zostanie pan potępiony. Wstyd i infamia. Biskup się pana wyprze. Ucierpi autorytet Kościoła. Może pan tego, przynajmniej częściowo, uniknąć. Daję słowo oficera, że o pewnych sprawach prasa i kuria się nie dowiedzą. Ale musi pan wyznać mi całą prawdę.

Proboszcz powoli wstał. Wydawał się teraz jeszcze bardziej nieobecny niż poprzednio. Na jego twarzy malowała się papierowa bladość, przecięta tylko kreską zaciśniętych wąskich ust i cieniem dużego garbatego nosa.

– Zastanowię się nad tym, co pan powiedział.

– Musi pan to uczynić teraz! Natychmiast!

– To nie jest proste... Mówiłem... Dźwigam odpowiedzialność...

– Ma pan minutę! Znudziły mi się już te gierki! Jeśli nie, to za minutę wychodzę z tej celi i zobaczymy się na szafocie w Sztumie. Wiem już wystarczająco dużo, poradzę sobie.

Kapłan przez dłuższą chwilę mierzył go ciężkim wzrokiem, aby w końcu bezwładnie opaść na krzesło. Abell pomyślał, że Rudolf Hoeness wreszcie opuścił gardę.

### 3.

– Gratuluję, Abell. – Głos komisarza von Bocka przeniknął spoza chmury tytoniowego dymu, unoszącej się nad jego biurkiem. – Nareszcie. Nigdy nie zwątpiłem w wasze umiejętności.

Radca postanowił grymasem skwitować to uprzejme kłamstwo.

– Chociaż prawdę mówiąc, czasami jesteście mocno wkurwiający. Umiecie człowieka wyprowadzić z równowagi... No, ale co tam! Teraz z tą waszą arogancją będą musieli żyć ci ważniacy z Gdańska. No bo pewnie ściągną was na stare śmieci, co?

– Jest mi to najzupełniej obojętne, panie komisarzu. Nawet polubiłem to

miasto.

– Jasne, na pewno uwierzę! – Komisarz zaniósł się krótkim spazmatycznym rechotem, po czym odwrócił się na fotelu i celnym plunięciem umieścił porcję zalegającej mu w gardle flegmy w stojącej obok biurka spluwacze.

Stanowczo za dużo palił. I pił zresztą też. Ale na szczęście ta koszmarna sprawa została wreszcie zamknięta i będzie mógł pomyśleć o kilku dniach relaksu. Nad zalewem w Kahlbergu[30] złapią jeszcze kilka dni słońca. Przed oczami pojawił mu się obraz wypiętych pośladków Ingi. Zawsze brał ją najpierw od tyłu, a potem oddawał jej inicjatywę. Polubił to *entrée* w Namibii. Co wieczór wybierał młode Murzynki, a potem słuchał, jak jęki i krzyki tych deflorowanych zwierzątek giną w odgłosach i nocnych szeptach sawanny. Nigdy nie czuł się taki zaspokojony i spokojny jak wtedy. A Inga była doprawdy niezmordowana, nauczyła się nawet wyc w narzeczu Kafrów. Nie to co ta wrzaskliwa zasuszona mumia z wiecznie podkrążonymi oczami, która czekała na niego w domu z zimnym rosołem. Mógłby ją złapać za kudły i wsadzić ten jej szcurzy pysk do wazy, i przytrzymać, patrząc, jak najpierw wierzgają, a potem flaczeją te suche nogi, których nie rozwiera przed nim od czasu powrotu z Afryki.

Co innego ona, pomyślał, obserwując sekretarkę, która wniosła na tacy kolejny dzbanek parującej kawy. Miała na sobie opiętą spódnicę i komisarz mógłby przysiąc, że nalewając kawę do filiżanek, celowo wypina swoje krągłości w jego stronę, tak aby zrozumiał jej komunikat. Inga była gotowa. Do wypadu, podczas którego będą się kochać, chlać i wciągać kokainę, zarekwirowaną ostatnio w domu pewnego dentysty na Kaiserstrasse. W końcu należy mu się coś od życia.

Trzepnął ręką w leżące przed nim zeznanie.

– Najważniejsze, że się przyznał. Oszczędził nam tych całych korowodów. Jak to zrobił?

– Zeznał, że pierwszą ofiarę zwabił na dzwonnice pod pretekstem, że chciałby omówić sprawę renowacji dzwonu. Działając z zaskoczenia, ogłuszył Platzecka lichtarzem, który ukrył w fałdach sutanny. Następnie skrepował go i rozciągnął na dzwonie. Gdy ksiądz odzyskał przytomność, pogruchotał mu wszystkie kości, w tym żebra i kończyny dolne, a potem naciągnął sznur jeszcze bardziej, tak że rozerwał ofierze ścięgna i mięśnie w kroku.

– Skąd tak wiele okrucieństwa? – zapytał siedzący pod ścianą Vranitzky, który dotychczas się nie odzywał.

– Twierdzi, że nie miał takiego zamiaru. Chciał tylko ukarać śmiercią podwójnego zdrajcę: niegodnego kapłana i gadatliwego depozytariusza niebezpiecznej dla zakonu tajemnicy. Ale Platzeck nawet w obliczu śmierci szedł w zaparte. Hoeness stracił nad sobą panowanie. Tak wyszło. A potem skrócił mu cierpienia, zadając lichtarzem cios w głowę. W usta wsadził mu wcześniej przygotowane przesłanie. Lichtarz dokładnie umył i podrzucił do skrzyni

w podziemiach.

– To się trzyma kupy. – Komisarz pokiwał głową. – A jak załatwił drugiego księżula?

– Albrecht musiał zginąć, bo za dużo wiedział. Mógł coś wypaplać byle dziwce, w chwili uniesienia o to nietrudno. Albo sprzedać komuś ten sekret za pieniądze. Ciągłe ich potrzebował. Proboszcz przyznał, że od pewnego czasu wiedział o zboczonych skłonnościach Albrechta. To nim wstrząsnęło. Najpierw Gerhard ze swoim pociągiem do mężatek, teraz Albrecht. Wyśledził kurwigniazdko Webera i zorientował się, że ksiądz ma u siebie klucz do domu dziwki Brigitte Calz.

– I po prostu sobie dorobił? – Vranitzky wyciągnął cygaro i rolując je w palcach, starał się nadać mu odpowiednią miękkość.

– Tak. Twierdzi, że w przypadku tej zbrodni miał dużo szczęścia. Albrecht nie wrócił na noc i proboszcz domyślił się, gdzie może go znaleźć. Śledząc Webera, poznał trochę zwyczaje tej dziwki. Wiedział, że czasami zostawiała go w domu samego. Rankiem udał się pod dom Brigitte Calz. Właśnie wychodziła, bez księdza. Wtedy się zdecydował. Zrozumiał, że lepszej okazji nie będzie. Odczekał chwilę, a potem otworzył drzwi dorobionym kluczem i wszedł do środka. Weber jeszcze spał po trudach minionej nocy. Ciąg dalszy znamy.

– Jakim cudem miał przy sobie młotek i gwoździe, którymi przybił Albrechta do ramy łóżka?

– Młotek wziął ze sobą, wychodził przecież z zamiarem dokonania zbrodni. Nie był tylko pewny, czy uda się właśnie tego ranka. Gwoździe znalazł w domu Calz. Gdy było już po wszystkim, zostawił na ścianie krwawy napis.

– Czy sposób dokonania zbrodni pokrywa się z ustaleniami doktora Hechta?

– Można tak powiedzieć. Gdyby nie był sprawcą, nie mógłby wiedzieć, że Albrechta najpierw ogłuszono ciosem w potylicę. Kiedy go skrępował i zaczął krzyżować, pod wpływem rozdzierającego bólu ksiądz się ocknął. Hoeness zacisnął mu wtedy na szyi wcześniej przygotowaną pętlę ze sznura. Przydusił go, a następnie dokończył dzieła.

– I wszystko po to, aby utrzymać w tajemnicy treść manuskryptu sprzed kilku wieków? – Komisarz von Bock przenosił wzrok z Abella na Vranitzkiego i z powrotem.

– Na to wygląda. – Abell z tęsknotą wciągnął dym unoszący się z cygara Vranitzkiego – Ale tłumaczyłem już, w pojęciu tych ludzi to nie był zwyczajny dokument. Mógłby przynieść wiele szkody, gdyby jego treść wyciekła na zewnątrz. Pamiętajmy, że Hoeness to fanatyk. Paranoiczna osobowość.

– Dla mnie to jakaś cholerna sekta.

– Dla całościowego oglądu dobrze byłoby jeszcze zbadać, kto należał do tej sekty, oprócz Platzecka i Hoenessa. – Abell uważnie dobierał słowa, jakby

przewidując reakcję komisarza.

Miał rację.

– Nie zgadzam się. – Głos Bocka przybrał nieprzyjemnie wysoki, wibrujący ton. – Mam w dupie tych popaprańców! Schwytaliśmy mordercę! Hoeness się przyznał i to mi wystarczy. Zamykamy śledztwo. Nie chcę się nawet domyślać, kto jeszcze bawił się w to współczesne krzyżactwo.

– Boi się pan, że ujawnienie pewnych nazwisk mogłoby okazać się prawdziwym skandalem? Te krzyżackie capstrzyki na zamku malborskim gromadzą przecież niemałą część naszej śmietanki towarzyskiej. A w świetle ostatnich wydarzeń... Myślę, że przynależność do zakonu mogłaby okazać się dla co poniektórych mocno krępującą okolicznością.

– Nie myślcie za dużo, Abell. A ja niczego się nie boję. Robię swoje i wam radzę to samo. Śledztwo jest zamknięte.

– Pozostaje jeszcze kwestia wypadków w podziemiach katedry – wtrącił się Vranitzky. – Ktoś próbował uwędzić radcę Abella jak szynkę szwarcwaldzką. Hoeness nie mógł tego zrobić, był w tym czasie pod kluczem. Pytanie: kto to zrobił? Jakiś jego krzyżacki giermek czy jak to się tam u nich nazywa?

– Co o tym mówi sam Hoeness? – Komisarz nie wyglądał na zbyt zadowolonego uwagą Austriaka. – Nie znalazłem nic na ten temat w waszym raporcie, Abell.

– To tajemnicza sprawa, panie komisarzu – odpowiedział radca, zauważając kątem oka, że już sam dźwięk słowa „tajemnicza” wywołuje na nalanym obliczu Bocka grymas niechęci. – Proboszcz mówi, że nic o tym nie wie. W każdym razie nie wysłał na mnie żadnego krzyżaka. Tak twierdzi, a ja jestem skłonny mu uwierzyć. Ostatecznie przyznał się do większych zbrodni...

– W takim razie kto? – Vranitzky odciął gilotynką końcówkę kolejnego cygara.

– Nie wiem. To rzeczywiście zagadkowa sprawa. Ktoś musiał mnie śledzić... ktoś, kto dobrze orientował się w topografii podziemia... Ale nawet jeśli to rzeczywiście ktoś z zakonu, nie usłyszymy jego nazwiska od Hoenessa. Tak jak napisałem w raporcie, przyznał się do popełnienia zbrodni, ale stanowczo odmówił ujawnienia nazwisk pozostałych członków bractwa. Nie chce im szkodzić...

– A może to spóźniona zemsta doktora Nauna? Mógł nasłać kogoś ze swoich bojówkarzy?

– Szczerze wątpię. Naun to już historia, nawet w oczach jego dawnych siepaczy. Zawiódł na całej linii. W NSDAP nie lubią przegranych.

– A co stało się z manuskryptem, praprzyczyną wszelkiego zła?

– Podejrzewam, że w momencie, gdy pojawiłem się w podziemnej krypcie, znajdował się jeszcze w grobowcu. Nie zdołałem na czas odsunąć płyty nagrobnej, aby to sprawdzić. A potem było już za późno... Gdy wydostałem się z krypty,

przez kilka minut dochodziłem do siebie na zewnątrz katedry. W tym czasie sprawca podpalenia musiał wyjść z ukrycia, powrócić do grobowca i zabrać manuskrypt. Teraz szukaj wiatru w polu. Można by jednak...

– Wystarczy. – Komisarz von Bock postanowił wkroczyć i zdusić w zarodku nowy wątek, niebezpiecznie oddalający go od pełnego uznania uścisku dłoni prezydenta Buddinga. – Jest, jak jest. Czy ta kwestia ma jakieś rozstrzygające znaczenie dla końcowych wyników śledztwa? Nie ma. A wy, Abell, macie wyjątkowy talent do przyciągania nieszczęść. Mało brakowało, a z waszego powodu sfajczyłaby się siedemsetletnia katedra. Cieszymy się, że tak się nie stało.

Abell miał już na końcu języka ciętą odpowiedź, ale zauważył przeczący ruch głowy Vranitzkiego i postanowił dać spokój. Nie był mu potrzebny kolejny zatarg z tą tłustą świnią, i to na sam koniec pobytu w tym mieście zanurzonym w przeszłości, w którym zegarki chodzą do tyłu. Chciał już wrócić do siebie. Do powietrza przesyconego morską solą i zapachem zgniłych wodorostów, do skrzeku mew i skrzypienia portowych dźwigów, wybudzających go z nocnych koszmarów. Musiał jeszcze tylko załatwić ostatnią sprawę.

#### 4.

W niedzielne przedpołudnie miasto dopiero budziło się do życia. Wybrał stolik w „Terrassencafe”, aby uniknąć spotkania sam na sam. Chciał je odrzeć z krępującej intymności. Liczył na to, że gwar innych głosów, brzęk sztućców i ciche szepty kelnerów zbanalizują tę rozmowę i sprowadzą ją do rangi zwykłej pogawędki przy kawie.

Był kilka minut przed czasem i dlatego zaskoczył go widok Karin siedzącej już przy stoliku. Ubrana była w luźny włóczkowy sweter i płócienne spodnie w kolorze cappuccino. Całości dopełniał kaszmirowy szal na szyi. Abell złapał się na myśli, że po raz pierwszy widzi Karin w stroju, który nie podkreśla jej kształtów. Wolał się nie zastanawiać, co to oznacza.

Otyły mężczyzna, studiujący menu przy stoliku obok, co chwilę podnosił na nią taksujący wzrok, jakby sprawdzając, czy to zjawisko pozostaje na swoim miejscu. Na widok Abella wyraźnie zmarkotniał, a potem, jakby pogodzony z losem, podniósł kciuk w geście uznania. Ten wyraz samczej solidarności tylko rozdrażnił radcę.

Na jego widok uśmiechnęła się powściągliwie. W słońcu jej brązowe tęczęwki przybrały bursztynowy odcień. Zauważył cienie pod jej oczami i poczuł niepokój.

Zamówił dla niej miseczkę malin i wodę z cytryną, sam poprzestał na kawie. Na Podzamczu dwaj chłopcy podpalali piramidę ze skoszonej trawy, gałęzi i suchych badyli ostów. Młodszy ryzykownie przytknął twarz do stosu, próbując



rozdmuchać rachityczny płomień. Po chwili język ognia wypełził na zewnątrz, ale natychmiast się cofnął, jakby przestraszony własną śmiałością. Wstążka dymu popłynęła w górę i zawisała nad kawiarnią niczym wielki siwy parasol. Wyczuł woń jałowca i trawy. Pomyślał, że to zapach nadchodzącej jesieni. I rozkładu.

– Wyjeżdżam, Karin.

– Na długo?

Jej wargi zadrżały. Dopiero teraz zauważył, że jeden z wpatrujących się w niego bursztyków ma delikatne przebarwienie, jak inkluzja w bryłce jantaru.

– Raczej tak.

– Musisz czy chcesz?

– I jedno, i drugie.

Odwrócił od niej wzrok. Miał wrażenie, że pomoże jej przynajmniej w ten sposób.

– Czy między nami coś było?

– Niewątpliwie.

– To dlaczego...

– Słuchaj, Karin...

– To ty posłuchaj! Jestem żywą kobietą, Christianie! Nie jakimś mirażem czy marzeniem. Nie odbiciem w lustrze kogoś, kogo poznałeś przed laty. Jestem tu i teraz! Odczuwam, cierpię i płacę. Mam kilka centymetrów za dużo w pasie i rano, bez makijażu, wyglądam fatalnie. Ale jestem i potrzebuję uczucia!

– Niczego ci nie obiecywałem.

– Oczywiście, to nie w twoim stylu. Boisz się prawdziwej bliskości, prawda? Ale pragnąłeś mnie od naszego pierwszego spotkania i dostałeś to, o czym śniłeś!

– Karin, posłuchaj. Pamiętam każdą sekundę. Ale jeszcze nie jestem gotów.

– Zostań. Bądź moim mistrzem, będę pojętną uczennicą.

– Karin...

– Dlaczego nie chcesz mi dać, jeśli nie miłości, to przynajmniej odrobiny uczucia?

– Może po prostu nie potrafię. Jeszcze. A może nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.

Milczała. Położył rękę na jej dłoni, nie odsunęła jej.

– Wrócisz?

– Może.

– Będzie mi trudno... po tym... wrócić do domu... do tego, co było.

Przytulił ją i pocałował w usta. Miała zimne wargi.

– Wiem, ale z tym będzie ci łatwiej urządzić się na nowo. To jedyna cenna rzecz, jaką posiadam. Nie odmawiaj, proszę. Kupisz za to małe mieszkanie i starczy na dobry początek – powiedział i wskazał na oparty o krzesło prostokątny niewielki pakunek owinięty w elegancki papier.

I zanim dotarły do niej jego słowa, już zniknął na schodach porośniętych bluszczem.

## 5.

Poniedziałek, dziewiąty dzień września. Czy to będzie koniec jego udręki, czas rozwiązania zagadki? Już dawno nie był tak wzburzony. Jak mógł to przeoczyć? Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. „Bądź moim mistrzem!”. Wyszedł z plebanii i poczuł, jak chłodne powietrze owiewa mu rozgorączkowaną głowę. Odwrócił się. Tak jak się spodziewał, gospodyni wyglądała zza firanki. Musiał teraz jak najszybciej dotrzeć do komendy. Modlił się w duchu, żeby służbowy adler stał w garażu i żeby Kukulka nie został wysłany na kolejną interwencję w kretowisko siedlungu. Przynajmniej jedna z tych próśb została wysłuchana. Auto było na miejscu. Wpadł do pokoju i wyciągnął z szuflady biurka swój pistolet, walthera PP. Uzupełnił magazynek do ośmiu naboju. Lubił tę broń. W przeciwieństwie do zawodnego parabellum, walther zapewniał ciągłą gotowość do strzału. Abell podszedł do dyżurnego i zostawił polecenia dla Kukulki po jego powrocie do komendy. Kiedy wychodził już z budynku, zderzył się z Vranitzkim. Widząc jego wzburzenie, Austriak bez słowa ruszył z nim do samochodu i usiadł za kierownicą.

– Później mi wszystko opowiesz. Jedziemy?

Abell zatrzaskał drzwi i wskazał mu kierunek. Vranitzky nie krył zdziwienia, ale nie zadawał zbędnych pytań. Szosa w poniedziałek o tej porze była pusta. Radca złapał się na myśli, że przez ostatnie trzy tygodnie pokonał bardzo długą i krętą drogę. Ale dzień dzisiejszy będzie dniem sądu i rozwiązania.

Dopiero kilka kilometrów za miastem zobaczyli wyładowany sianem wóz drabiniasty, jadący środkiem szosy. Wąsaty wozak niechętnie ustąpił im drogi, zjeżdżając na pobocze dopiero wtedy, gdy samochód prawie się zrównał z furmanką. Pola zmieniły już kolor, odsłaniając beżowe ścierniska i wszechobecne placki wyblakłej zieleni.

Abell spojrzął na Vranitzkiego. W miarę jak wyjaśniał mu sprawę, na twarzy Austriaka pojawiał się chmurny cień, ustępujący powoli grymasowi zdumienia.

– To tłumaczyłoby także zajście w podziemiach katedry, Christian.

– Tak, Hoeness nie kłamał. Nie miał pojęcia o tym, co działo się grobowcu. Pomyśl... Ten skrawek materiału, który znalazłeś na gwoździu z boku skrzyni... Nie należał do duchownego. To był cywil, wysłannik...

W oddali ukazał się masyw krzyżackiego zamczyska. Jego złotorude blanki i wieże odbijały się w wodach Nogatu. Po kilku minutach byli na miejscu. Abell podszedł do budki przy wejściu do Zamku Wysokiego i przez chwilę rozmawiał ze strażnikiem, który coś mu tłumaczył, szeroko przy tym gestykulując.

– Znajdziemy go w kaplicy Świętej Anny, to znaczy w podziemiach zamkowego kościoła Najświętszej Marii Panny – oznajmił Abell, gdy wrócił do Vranitzkiego.

Wkroczyli na dziedziniec ze studnią. Przeszli przez świątynię i znaleźli się przy wejściu do kaplicy. W innej sytuacji przyjrzałby się rzeźbionym reliefom i barwnej malaturze portalu, ale teraz miał nerwy napięte jak postronki. Wymacał w kieszeni zimny metal pistoletu. Słyszał uderzenia swojego serca. Dał znak Vranitzkiemu, by poczekał, i sam wszedł do środka. Kaplica tonęła w półmroku. Za wejściem rozpościerał się niewielki kamienny podest. Podłogę pokrywała kamienna mozaika, tworząca symbol solarny. Snop światła wpadający przez gotyckie okno ogniskował się na nagrobnej płycie pośrodku. Dwie inne, leżące obok, znajdowały się już w półcieniu.

– Piękna, prawda? – Głos dobiegł spod przeciwległej ściany, ze strefy cienia.  
– Czy pan wie, że w tej krypcie chowano najwyższych dostojników zakonu? Spoczęło ich tu dwunastu. To, co pan widzi, są to płyty nagrobne wielkich mistrzów: Dietricha von Altenburga, Heinricha Dusemera i Heinricha von Plauena.

– Ma pan niewielkie szanse, żeby znaleźć się obok nich.

Odpowiedziało mu milczenie, a w chwilę później Bernhard Schmiedke wyszedł z cienia. Był bez roboczego fartucha. Dobrze skrojony ciemny garnitur podkreślał szczupłość jego sylwetki. Profesor nie wyglądał teraz na naukowca. Był raczej jak szermierz wychodzący na planszę.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę, panie radco?

– Dobrze pan wie, wielki mistrzu.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Abell zauważył, że profesor zachowuje się zupełnie inaczej. Różnicę można było dostrzec także w postawie. Stał wyprostowany, głowę trzymał wysoko, jak imperator ze starej rzymskiej monety. Radca pomyślał, że nawet jeśli ogląda właśnie kiczowaty spektakl, to aktor bardzo się stara.

– Jak pan na to wpadł?

– Mistrz, wielki mistrz... Przesłuchiwałem proboszcza długo. Ale nigdy sam siebie tak nie nazwał. Dopiero teraz zrozumiałem dlaczego: bo nigdy nim nie był. Ktoś stał w hierarchii zakonu wyżej od niego. Powiedział: „Kazano mi dobrze schować manuskrypt”. To pan mu kazał, prawda?

– Trudno to nazwać dowodem.

– Kiedy poinformowałem proboszcza, że manuskrypt zaginął, że zniknął z grobowca, odpowiedział, że wie o tym. Dopiero później to do mnie dotarło... skąd mógł wiedzieć? Przecież w tym czasie siedział za kratkami. A więc? Znał od kogoś plan usunięcia mnie, a także oczyszczenia skrytki. Ktoś musiał się z nim skomunikować, zanim sprowadziliśmy go z klasztoru.

– To tylko pańskie domysły.

– Przed przyjazdem tutaj przesłuchałem raz jeszcze gospodynię proboszcza. Kiedyś zapytałem ją, czy Hoenessa odwiedzał ktoś z zewnątrz. Zaprzeczyła i powiedziała, że nikt obcy. Teraz zapytałem bezpośrednio o pana i potwierdziła, że bywał pan częstym gościem u proboszcza. Był pan na plebanii prawie domownikiem.

– To jeszcze nie zbrodnia.

– Tyle tylko, że w pierwszej rozmowie ze mną twierdził pan, że w ogóle nie zna proboszcza.

Schmiedke roześmiał się swobodnie.

– Punkt dla pana, od początku ceniłem pańską spostrzegawczość. Marnuje się pan w policji.

– Słyszałem to już. A opinie powtarzane zbyt często stają się banalne. Przez cały czas, od naszego pierwszego spotkania, próbował pan mną manipulować i wpływać na kierunek śledztwa.

– Chyba mnie pan przecenia, panie radco.

– Niestety, nie. Najpierw starał się pan zvekslować moją uwagę na tory obyczajowe, opowiadając o zainteresowaniu księdza Gerharda płcią piękną. Ale gdy zorientował się pan, że nie łykam tropu o moralnym mścicielu, podrzucił mi pan ochłap o homoseksualnych ciągotech organisty. Nagonka miała pójść w stronę „kochającego inaczej” Sackla. Byle dalej od zakonu i manuskryptu.

– Niesłychane rzeczy pan opowiada.

– Prawie się panu udało. Ale tylko prawie. Sackel się wprawdzie powiesił, lecz zostawił list, a na dodatek odnaleźliśmy świadka, który potwierdził wiarygodność jego przedśmiertnej spowiedzi. Jednak panu się wydawało, że wszystko jest pod kontrolą. Manuskrypt był dobrze ukryty. Zdrajcy, znający jego treść, unicestwieni. Aż tu raptem przykra niespodzianka! Pojawiam się ja z księgą o von Salzy i zapiskami von Malberga. Sekret wyszedł na jaw! To musiał być dla pana szok. Robił pan, co mógł, aby odciągnąć moją uwagę od rzeczywistych przyczyn obu zbrodni, gdy nagle zgłaszam się do pana z uprzejmą prośbą o przetłumaczenie zapisków, które na zawsze powinny pozostać tajemnicą!

Schmiedke słuchał go teraz uważnie, nie spuszczać z niego wzroku.

– No, ale jak przystało na wielkiego mistrza, powściągnął pan nerwy. I spróbował obrócić całą tę niespodziewaną sytuację na swoją korzyść. Oczywiście, pewnych rzeczy nie dało się odkręcić. Ale na szczęście już wcześniej, niejako profilaktycznie, spotykając się ze mną, zadbał pan o to, by ugruntować swój wizerunek miłego profesorka. Takiego mola książkowego w okularkach, który nie zabiłby nawet muchy, chyba że obsrałaby zabytkowy fresk. A jeszcze ta pańska krytyczna gadka o współczesnych Krzyżakach i szopce w zetlałych kostiumach! To było naprawdę świetne! Pan wie, że pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Bardzo się pan starał, abym już na starcie wykluczył pana z grona podejrzanych. Miałem

w panu widzieć tylko profesora zaaferowanego swoją pracą, autorytet naukowy, życzliwego konsultanta. I mało brakowało, a udałoby się to panu.

– To ciekawsze niż baśnie braci Grimm.

– Musiał być pan zły, że odkryłem podziemną samotnię proboszcza. Kazał pan usunąć Platzecka i wszelkie ślady mogące doprowadzić kogokolwiek do manuskryptu. Nie przyszło panu do głowy, że Hoeness trzyma księgę o von Salzy w swoim piwnicznym lokum. Do tego wszystkiego proboszcz przeoczył, że Platzeck zapisał w niej po łacinie oskarżenia von Malberga. Co za pech! Albo lepiej, niewybaczalny błąd, prawda?

– Ludzie są omylni, panie radco. To ogólna uwaga.

– Trzeba było ratować sytuację. Sądzę, że gdy pojawiłem się u pana, przemknęła panu myśl, aby zniszczyć dostarczoną przez mnie księgę z zapiskami i w ten sposób usunąć corpus delicti. Ale to oznaczałoby, że się pan zdemaskuje. Lepszym wyjściem było znakomite wywiązanie się z roli neutralnego naukowca i dostarczenie przełożonego tekstu. Mógł się pan zresztą obawiać, że zrobiłem fotograficzną kopię zapisków albo że kazałem równolegle przetłumaczyć je, dla pewności, jeszcze innej osobie. Dlatego przekład musiał być wierny. Zapytał mnie pan zresztą, czy komuś pokazywałem te zapiski. A kiedy spytałem, kogo oskarżenia von Malberga mogłyby poruszyć najbardziej, nie zająknął się pan ani słowem o współczesnych Krzyżakach.

– Widocznie nie przyszło mi to do głowy.

– Nie wydaje mi się, wielki mistrzu. To miała być już tylko gra na czas. Sądzę, że już wtedy podjął pan decyzję. Za dużo wiedziałem. Trzeba było się mnie pozbyć. Może natchnęła pana do tego pomysłu nieudana próba ludzi Nauna, której był pan świadkiem? Okazja nadarzyła się w podziemiach. Myślę, że pański człowiek śledził mnie już od plebanii. O mało nie udusiłem się w grobowcu Doroty. I znowu: prawie się udało. Kto był podpalaczem? Pan osobiście? Wątpię. Raczej człowiek w jasnej marynarce. Może pańska „prawa ręka”, jak pan to łaskawie określił, czyli doktor Johann?

Schmiedke, nie spuszczać z niego oczu, prawie niedostrzegalnie zrobił pół kroku do tyłu. Od drugiego wejścia, znajdującego się po południowej stronie kaplicy, dzieliło go nie więcej niż kilka metrów.

– Nie radzę, mistrzu. – Vranitzky wyszedł z cienia i wskazał na odbezpieczonego walthera, którego trzymał w prawej dłoni.

– Widzę, że nieszczęścia chodzą parami. – Profesor nadal nie tracił rezonu.

– Ale tak między nami, o co chce mnie pan oskarżyć? Rozumiem, że to będą zarzuty, których nie obali byle papuga z Wiednia czy Berlina?

– Oskarżę pana o współudział w zamordowaniu dwóch ludzi, o kierowanie związkiem przestępczym, mataczenie i próbę zabójstwa oficera policji na służbie. To wystarczy, aby na wiele lat odizolować pana od społeczeństwa.

Po raz pierwszy od początku tej rozmowy Abell zauważył, że w oczach Schmiedkego pojawił się cień zaskoczenia. A może zdenerwowania?

– Chyba się przesłyszałem, panie radco. Do popełnienia zbrodni przyznał się przecież Rudolf Hoeness. Mnie może pan zarzucić co najwyżej zabawę w rycerzy z czarnym krzyżem na płaszczach.

– Rudolf Hoeness nie zabijał. To nie on jest mordercą – oświadczył twardo Abell i w tej samej chwili usłyszał westchnienie zdziwienia.

Radca Vranitzky opuścił pistolet i ze zdumieniem wpatrywał się w Abella.

– To śmiała teza. Z tego, co wiem, proboszcz podał wszystkie szczegóły zbrodni – powiedział Schmiedke.

– Przyznał się, bo chciał chronić kogoś ważniejszego od siebie. Kogoś, kogo szanował i bał się jednocześnie.

– Tylko morderca mógł znać wszystkie szczegóły zbrodni.

– Albo wspólnik, bez którego pomocy te zbrodnie nie byłyby możliwe. Mordowały inne ręce. Zakrwawione po łokcie ręce doktora Johanna, prawda, wielki mistrzu?

– Jeśli nawet, to trudno będzie panu wydobyć z niego, że działał na moje polecenie. Zakon to żelazna dyscyplina. Pod tym względem nic się nie zmieniło od siedmiuset lat.

– Wizja topora i dekapitacji pobudza wyobraźnię. I otwiera wiele ust. Zapewniam pana.

Abell zorientował się, że traci z pola widzenia ręce profesora, które powędrowały gdzieś do tyłu. Przesunął się nieco, aby odsłonić światło wpadające przez rozetowe okno kaplicy. Święty Jerzy z górnej rozety kierował teraz ku niemu swoją włócznię, a jej świetlisty grot na sekundę poraził mu oczy. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, ale zanim zdołał zaalarmować Vranitzkiego, wszystko nagle się uspokoiło. Zobaczył, że Schmiedke klęczy, ciężko dysząc i patrząc spode łba na stojącego z boku Austriaka, który przykłada mu pistolet do skroni.

– Pan profesor postanowił zmienić pozycję. Do tego wszystkiego miał dla nas niespodziankę – powiedział Vranitzky i pokazał mały, prawie kobiecy rewolwer, który właśnie odebrał Schmiedkemu.

– Z tej matni nie ma wyjścia. – Abell podszedł do profesora. – Zapytał pan, jak na to wpadłem... Zastanawiałem się: jeśli nie Hoeness jest wielkim mistrzem, to kto? I wtedy mnie olśniło. Któż miałby lepsze kwalifikacje do tej funkcji niż pan? Uznany autorytet, szanowany w całej Rzeszy, osoba o wysokiej pozycji społecznej. Nadzorca prestiżowych prac konserwatorskich na zamku w samej stolicy zakonu. Dysponujący dużymi funduszami, które łatwo ukryć w morzu wydatków związanych z odbudową zamku. Nie mylę się, prawda?

– Zakon jest niezniszczalny. Przetrywamy także i te trudności.

– Szczerze wątpię. I ostatnia tajemnica. W jaki sposób w wasze ręce trafił

manuskrypt? Hoeness powiedział: „Gdy go odkryliśmy”. A to znaczy, że odnalazł go ktoś z waszych ludzi. Najprawdopodobniej w jakimś schowku, podczas prac konserwacyjnych na zamku malborskim. Czytałem, że w czternastym wieku wiele prac budowlanych na zamku wykonywali rzemieślnicy i budowniczowie ściągani z zachodu Europy. Zapewne wśród nich znajdowali się współbracia von Malberga z zakonu templariuszy, rozwiązanego w tysiąc trzysta dwunastym roku na soborze w Vienne. Podejrzewam, że wypełnili swoisty testament von Malberga. I ukryli kompromitującą księgę w samym sercu znieawidzonego zakonu krzyżackiego, w murach jego stolicy. A jakież miejsce byłoby do tego lepsze niż Pałac Wielkich Mistrzów, który właśnie pan ostatnio rekonstruował? Ten manuskrypt to było takie symboliczne zatrute jajo, podłożone pod cały ten wielki gmach, zbudowany na fałszu i kłamstwie. Nie myślę się, prawda?

Schmiedke posłał mu spojrzenie, w którym niedowierzanie mieszało się z ledwie skrywanym podziwem.

– W tym jednym przypadku odpowiem panu. Rzeczywiście tak było. Po wewnętrznej stronie cegły, którą zamurowano schowek w Letnim Refektarzu, znajdował się masonski znak.

– No proszę. A potem Platzeck zdradził. Proboszcz natychmiast znalazł idealne miejsce do ukrycia manuskryptu. Któż by zaglądał do pustego grobowca błogosławionej, bo i po co? Ale mleko już się rozlało. Trzeba było zamknąć na zawsze te gadatliwe zdradzieckie usta... A co się działo w grobowcu? Gdy nieledwie uduszony wybiegłem z krypty, Johann zapewne gdzieś się przycisnął. Może w skrzyni na korytarzu? Zostawił tam na gwoździu wizytówkę: strzęp materiału ze swojej marynarki. Jak już posadzimy pana za kratki, zajmiemy się przeglądem letniej garderoby doktora Johanna. Zaręczam panu, że znajdziemy tam rozerwaną marynarkę. A manuskrypt? No cóż. Jeśli nie zdążyliście go zniszczyć, to pewnie znów został zamurowany w jakiejś dziupli, gdzie poczeka na swoich odkrywców kolejnych kilkaset lat. To tyle, Schmiedke. Teraz skujemy cię i odetchniemy świeżym powietrzem.

Wyszli ponownie na dziedziniec ze studnią. Abell przesłonił dłonią oczy przed nagłym atakiem światła. Miał chyba zapalenie spojówek. Bolały go mięśnie. Nadal oddychał z trudnością, a w płucach czuł ukłucia dziesiątek stalowych igieł. Już kilka razy zmieniał koszule, a każda śmierdziała mu dymem i spalenizną. Chciał, aby to wszystko wreszcie się skończyło.

Na dziedzińcu nieliczni pracownicy przerwali pracę i czujnie przyglądali się dziwnemu pochodowi wyłaniającemu się z kaplicy. Abell żałował teraz, że założył Schmiedkemu kajdanki. Przyciągały wzrok, a w spojrzeniach przynajmniej kilku osób widać było otwartą niechęć. Uwagę radcy przykuł zwłaszcza olbrzymi robotnik stojący na pojedynczym rusztowaniu przy gotyckim murze kościoła. W rękę trzymał ostry szpikulec do wydłubywania spoin spośród zmurszałych

cegieł. Nie spuszczać oczu z profesora, zszedł powoli na ziemię i ruszył w jego stronę. W dłoni nadal trzymał szpikulec, zaciskając na nim palce aż do białości.

– Stać! Spokojnie! – Abell wystąpił naprzód. – Tu policja kryminalna. Proszę zachować spokój. Zabieramy pana profesora na przesłuchanie. To rutynowe działanie.

Olbrzym się pochylił. Nie reagował na słowa Abella. Niskie czoło miał usiane strupami i naroślami, oznakami choroby, która bezlitośnie go zżerała.

– Ty, Quasimodo, powiedziałem: stój! Wszyscy mają pozostać na swoich miejscach. Nikomu nie wolno opuszczać zamku.

Wielkolud zrobił jeszcze krok do przodu, jakby siłą bezwładności, a potem zatrzymał się w miejscu. Mały pochód, prowadzony przez Vranitzkiego wolno przesunął się kilka metrów w stronę samochodu. Abell widział już jego maskę, wystającą zza rogu obrośniętego bluszczem muru. Miał wrażenie, że niechętnych widzów przybywało. Wolał się nie zastanawiać, czy to tylko złudzenie, czy też rzeczywiście szpaler wokół nich się zacieśnia. Kukulka jeszcze się nie pojawił. Jeśli odebrał polecenie od dyżurnego, już dawno powinien tu być. Abella niepokoiło, że w grupie otaczających ich ludzi nie zauważył Johanna. Równie dobrze doktor mógł celować teraz do niego z jakiegoś urokliwego gotyckiego okienka i za chwilę odstrzelić mu tę obolałą głowę.

Byli metr od samochodu, gdy nagle zza ich pleców dobiegł narastający wściekły warkot podkręcanego silnika motocyklowego. Odwrócił się i ujrzał pędzącego w jego stronę Johanna na ciężkim motocyklu, w którym rozpoznał zündappa Z300. Uciekinier nawet nie próbował ich wyminąć. Pędził wprost na radcę, tak jakby zamierzał nie tylko wyrwać się z zamkowego dziedzińca, ale także rozjechać policjanta na miazgę.

– Stój, bo będę strzelał! – krzyknął Abell i wyszarpnął walthera.

Zdążył uskoczyć w ostatniej sekundzie, ocierając się boleśnie o mur. Poczul uderzenie ciepłych spalin z rury wydechowej motoru. Podniósł pistolet i złożył się do strzału. Johann zniknął już na zakręcie, gdy Abell nacisnął spust. Pierwsza kula przeszła na wylot przez nadgarstek i utkwiała w prędkościomierzu maszyny, rozbijając go na dziesiątki kawałków. Druga, wystrzelona sekundę później, weszła pod lekkim kątem pod prawą łopatkę, i masakrując po drodze obojczyk i kręgi kręgosłupa, zmiażdżyła Johannowi tchawicę, zdmuchując go niczym papierowego manekina, z siedzenia motocykla. Rozpędzona maszyna przekoziółkowała i z przeraźliwym zgrzytem rozdzieranego metalu, szorując po bruku, uderzyła w ścianę. Bernhard Schmiedke, który obserwował całe to zajście napięty niczym drapieźnik w klatce, teraz nie spojrzał nawet na ciało Johanna, leżące bezwładnie na ziemi.

Abell poczuł się nagle bardzo zmęczony. Drżały mu ręce. Spojrzał w górę, ku temu wielkiemu błękitowi, gdzie wszystko było dalekie i ciche. Na



przezroczystym niebie pojawił się ciemny klucz bocianów odlatujących na południe. Upalne lato w Marienwerder dobiegało końca.

## Epilog

10 marca 1945

To był ich dzień! Dzień zwycięstwa nad Germańcami, którzy najechali ich kraj i których towarzysz Stalin rozkazał przykładowo ukarać. Od stycznia parli więc do przodu, z bezprzykładną zaciekłością walcząc, paląc miasta wroga i gwałcąc wszystko, co się rusza. Gdy podeszli pod Malbork, ogromne zamczysko zrobiło na nich pewne wrażenie. Ale miasto okazało się puste. Szkopy uciekły jak zające. Dlatego mogli teraz świętować i wywijać hołubce w tej dziwnej sali z sakralnym freskiem na ścianie. Spirytus lany prosto do gardeł rozgrzewał, ale nadal było zimno. Na środku sali, nazwanej przez ich komandira refektarzem, rozpalili ognisko, do którego przy dzikich wrzaskach wrzucali porąbane meble, zerwane kotary, drewniane rzeźby i średniowieczne obrazy przedstawiające dziwnych rycerzy w białych płaszczach. Ich długie brody najpierw skwierczały w ogniu, a następnie zwijały się w trąbki i rozpadały na tysiące ognistych iskier strzelających w górę.

Iwan Korczujew leżał upojony alkoholem i jak przez mgłę obserwował wyczyny swoich pijanych w sztok towarzyszy. Właśnie tańczyli i przeskakiwali przez ogień, śpiewając *Katiuszę*. Jeden z żołnierzy wypróżniał się w kącie, wystawiając w stronę Iwana swój biały zadek. Po chwili skończył i podtarł się kilkoma stronami średniowiecznego inkunabułu, leżącego na przeznaczonym do spalenia stosie. Korczujew zebrał się w sobie i niepewnie stanął na nogi. Rozpierała go euforia. Zwycięstwo było blisko! Dobiją tego skurwysyna Hitlera w samym Berlinie! Chwycił za pepeszę i pociągnął pierwszą serią po suficie sali. A potem, zagrzewany okrzykami kolegów, skierował kolejną serię w stronę marmurowej wazy stojącej wysoko w wykuszu. Naczynie pękło wpół, jak szklanka po samogonie. Z jego wnętrza sfrunęły dziesiątki pergaminowych stronic, poczerniałych od starości. Kartki wirowały przez chwilę w powietrzu, aby następnie opaść w sam środek ognistego stosu. Iwan dołączył do tańczących, a jego buciory wdeptywały zetlały papier w podłogę...

### **Nazwy ulic miasta Marienwerder i ich odpowiedniki we współczesnym Kwidzynie**

Breitestrasse – ul. Batalionów Chłopskich

Bismarckstrasse – ul. Kościuszki

Danzigerstrasse – ul. Gdańska

Herrenstrasse – ul. Słowiańska

Flottwell Platz – plac Plebiscytowy

Graudenzerstrasse – ul. Grudziądzka

Kaiserstrasse – ul. 11 Listopada

Kirchenstrasse – ul. Kościelna

Koenigsbergerstrasse – ul. Malborska

Marienburgerstrasse – ul. Braterstwa Narodów

Mauerstrasse – ul. Murarska

Liebenthaler Chaussee – ul. Sportowa

Rospitzerstrasse – ul. Hallera

Terrassengasse – nie istnieje

Toepfergasse – ul. Zduńska

Zitzlaffstrasse – ul. Gimnazjalna

Klostersee – Klasztor, wieś w gm. Gardeja

Na podstawie: *Kwidzyn. Dzieje miasta*, wyd. Kwidzyńskie Centrum Kultury,

2004

## Przypisy

<sup>[A]</sup> Kwidzyńską katedrę, trójnawową, murowaną z cegły, wzniesiono w latach 1310–1360 na planie wydłużonego prostokąta. Jest to jeden z największych obiektów sakralnych na Pomezanii. Przy południowym portalu znajduje się kruchta wykonana w stylu romańsko-gotyckim z gotlandzkiego kamienia wapiennego – pozostałość wcześniejszej świątyni.

Patronami katedry są Najświętsza Maria Panna oraz św. Jan Ewangelista, którego wizerunek widnieje na mozaice umieszczonej nad południowym wejściem do świątyni. Mozaikę ufundował najprawdopodobniej biskup Jan I Mönch w 1380 r. Malowidła pod oknami naw bocznych tworzą cykl 24 scen z życia Jezusa i Maryi oraz innych świętych (m.in. Kuszenie Chrystusa, Zaśnięcie Maryi, wizerunki św. Jana Ewangelisty, św. Krzysztofa, św. Mikołaja, świętych Kosmy i Damiana). Malowidła o dużej wartości znajdują się też na chórze wschodnim. Są to 22 freski wykonane około 1520 r. Przedstawiają trzech wielkich mistrzów krzyżackich, Marię z Dzieciątkiem, św. Jana i siedemnastu biskupów pomezkańskich. W rzeczywistości do 1945 r. katedra pozostawała w rękach gminy protestanckiej. Katolicy należeli do parafii Świętej Trójcy w innej części miasta.

<sup>[B]</sup> Georg Isakowitz istniał naprawdę. Był synem Hermanna Isakowitza, właściciela sklepu konfekcyjnego przy Markt 11 w Marienwerder. Jego losy przedstawił reżyser Michael Majerski w filmie *Isakowitz – Erzwungene Wege* (2006). Film obrazuje przyjazd Georga po siedemdziesięciu latach rozłąki z miastem rodzinnym.

<sup>[C]</sup> W trosce o prawidłową topografię i opis pomieszczeń zamku malborskiego autor opierał się nie tylko na własnych spostrzeżeniach, ale także na pracy Małgorzaty Jackiewicz-Garniec i Mirosława Garnca *Zamki państwa krzyżackiego w dawnych Prusach* (Studio Wydawnicze ARTA 2006).

<sup>[D]</sup> Kaplica Ottona Friedricha von der Groebena (1657–1728) znajduje się po północno-wschodniej stronie katedry i stanowi najbardziej znaczący monument barokowy świątyni. Zgodę na budowę własnej kaplicy Otto otrzymał w 1703 r. Drzwi do niej wykonano z drewna dębowego, a reliefy pokrywające je od strony katedry zostały odlane z cynku i pokryte warstwą brązu w pracowni w Berlinie – zapewne w latach 1856–1858. Są one dziełem kwidzyńskiego rzeźbiarza Heinricha Medema, a projektował je Christian Daniel Rauch. Reliefy przedstawiają sceny z życia generała von Groebena: walkę z Turkami i pobyt w Afryce, podczas którego założył tam kolonię. Nad drzwiami widnieje herb rodu Groebenów.

Na podstawie [www.kwidzynopedia.pl](http://www.kwidzynopedia.pl)

<sup>[E]</sup> Niemiecki kondotier był także generałem polskim. Jego brat walczył po stronie Jana III Sobieskiego w odsieczy wiedeńskiej. Wychowany przez jezuitów protestant, podobno miał żonę z Afryki. Na Czarny Łąd wyruszył w 1682 r. jako 26-letni dowódca wyprawy mającej na celu założenie pierwszej kolonii brandenburskiej w Gwinei. Fakty te potwierdziła liczna rodzina grafa, która kilka lat temu odwiedziła Kwidzyn dwoma wypełnionymi autokarami – już po ponownym otwarciu jego kaplicy grobowej w katedrze. Więcej o grafie: [www.kwidzynopedia.pl](http://www.kwidzynopedia.pl)

<sup>[F]</sup> Jan z Kwidzyna pozostawił potomnym następującą informację na temat miejsca pochówku Doroty: (...) *ciało Boga umiłowanej, drogocenny skarb, [ksiądz Jan Mnich z Elbląga] osobiście złożył w ziemi w kaplicy, w której przodków, mianowicie biskupów, jest pochówek*. Najprawdopodobniej szczątki błogosławionej poza teren katedry kazał przenieść biskup protestancki Speratus w XVI w.

<sup>[G]</sup> Oryginalną tezę stawia kwidzyński badacz, archeolog, odkrywca grobów wielkich mistrzów w katedrze kwidzyńskiej, Bogumił Wiśniewski. Według niego pustelnia Doroty z Mątówów, tj. pustelnia właściwa wraz z przedsionkiem, została zbudowana poza katedrą, po jej południowej stronie, czyli od strony miasta. Wiśniewski uważa, że do dzisiaj zachowały się deski z przedsionka rekluzorium i znajdują się one w katedrze kwidzyńskiej. Kwidzyński historyk sugeruje potrzebę odwiertów archeologicznych we wskazanych przez niego miejscach, aby sprawdzić obecność albo brak pierwotnych fundamentów pustelni. Ma on nadzieję, że badania dendrologiczne potwierdzą jego tezę.  
Na podstawie: [wikipedia.pl](http://wikipedia.pl)

<sup>[H]</sup> Christian Abell nie odnalazł grobu błogosławionej Doroty. Jej szczątków nie znaleziono zresztą do dzisiaj. Ale szukając miejsca jej pochówku, archeolodzy, ze wspomnianym już Bogusławem Wiśniewskim, dokonali w 2007 r. w prezbiterium katedry sensacyjnego odkrycia grobu trzech wielkich mistrzów krzyżackich: Heinricha von Plauena, Wenera von Orselna i Ludolfa Koeniga von Wattzau. Są to jedyne odnalezione szczątki wielkich mistrzów na świecie. W poszukiwaniu grobów dostojników zakonnych bardzo pomocne okazały się freski z początków XVI w., które znajdują się w tzw. górnym kościele katedry. Naprowadziły badaczy na kryptę. Domyślano się, że gdzieś pod posadzką prezbiterium pochowani są trzej wielcy mistrzowie Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Jak się później okazało – to na ich osi usytuowane były groby. Na freskach przedstawieni są właśnie trzej

wspomniani mistrzowie. Zrekonstruowaną kryptę oddano dla zwiedzających 31 lipca 2010 r. W uroczystości wziął udział wielki mistrz zakonu krzyżackiego, ksiądz doktor Bruno Platter.

Werner von Orseln – w roku 1314 został komturem malborskiego zamku. W 1324 r. wybrano go na wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego. Umarł nagle 18 listopada 1330 r., zabity przez Jana von Endorfa, który był nikomu nieznanym rycerzem krzyżackim. Śmierć wielkiego mistrza wstrząsnęła niemal całą Europą. Plotkowano, że zamach miał związek ze skarbem templariuszy.

Ludolf Koenig von Wattzau – objął malborską komturę w 1338 r., osiem lat po śmierci von Orselna. Wielkim mistrzem został w 1342 r. Urzędował do 1345 r., kiedy to zrzekł się swej funkcji z powodu choroby psychicznej. Osiadł na urzędzie komtura Pokrzywna i wkrótce wyzdrowiał, ale zmarł po kilku latach, w 1347 lub 1348 r.

Heinrich von Plauen – został wielkim mistrzem zakonu po śmierci Ulricha von Jungingena pod Grunwaldem. Pełnił tę funkcję w latach 1410–1413. To on bronił Malborka podczas oblężenia przez polskie wojska pod wodzą króla Władysława Jagiełły. Legenda głosi, że gdy von Plauen modlił się do błogosławionej Doroty o ochronę zamku, by nie zdobyli go Polacy, Dorota obiecała mu to, ale za cenę jego pochówku. Otóż po śmierci jego ciało nie spocznie w malborskiej twierdzy, a miejsce pochówku będzie okryte tajemnicą przez 600 lat (von Plauen zmarł w 1429 r.). W ponownym pochówku miał wziąć udział wielki mistrz. I tak się stało, archeolodzy dokonali swojego odkrycia prawie sześć wieków (578 lat) po śmierci von Plauena.

Na podstawie:  
[www.pomorskie.eu/pl/turystyka/atraccje/powisle/kwidzyn\\_krypta\\_wielkich\\_mistrzow\\_zakonnych](http://www.pomorskie.eu/pl/turystyka/atraccje/powisle/kwidzyn_krypta_wielkich_mistrzow_zakonnych)

<sup>[1]</sup> Kres istnieniu państwa zakonnego położyło przejście ostatniego wielkiego mistrza Albrechta Hohenzollerna na luteranizm. Państwo zarządzane przez Hohenzollerna było dalej silne militarnie, lecz znajdowało się w próżni politycznej, co wykorzystał król Polski Zygmunt Stary i zmusił Albrechta Hohenzollerna do hołdu lennego, zwanego hołdem pruskim, w roku 1525. Zakon krzyżacki, w przeciwieństwie do templariuszy i Joannitów, nie został nigdy rozwiązany przez papieża. Zanikł on jednak właściwie kilkadziesiąt lat po hołdzie pruskim.

Reaktywacja zakonu nastąpiła w 1834 r. przy wsparciu cesarza Austrii. W XIX w. zakon powrócił do działalności charytatywnej i szpitalnej: pełnił służbę sanitarną i obsługiwał szpitale w armii austriackiej. W 1923 r. zakon zrezygnował z charakteru rycerskiego i przeistoczył się w zgromadzenie zakonne. Po włączeniu Austrii do III Rzeszy hitlerowcy zakazali działalności zakonu i przejęli jego dobra. Zakon istnieje do dziś, a jego siedzibą jest dom zakonny w Wiedniu. Pełna nazwa

zakonu brzmi obecnie: Bracia i Siostry Zakonu Niemieckiego Najświętszej Marii Panny w Jerozolimie.

[1] Łac.: Zawsze wierny.

[2] Karl Johann Budding, prezydent rejencji kwidzyńskiej w latach 1925–1936.

[3] Niem.: „Jestem moim własnym Dalajlamą, jestem moim własnym Jezusem”, cyt. za: S. Przybyszewski, *Moi współcześni*, Warszawa 1959, s. 140.

[4] Jeden z najbardziej popularnych niemieckich marszów wojskowych, skomponowany przez Fryderyka II Wielkiego dla uczczenia zwycięstwa w bitwie pod Dobromierzem.

[5] Alfred Hugenberg, prominentny polityk, od 1928 r. przewodniczący Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej, DNVP.

[6] Kurt von Schleicher, niemiecki polityk, generał, ostatni kanclerz Republiki Weimarskiej (1932–1933), zamordowany podczas tzw. nocy długich noży w czerwcu 1934 r.

[7] Ochotnicze nacjonalistyczne formacje paramilitarne działające w Niemczech w latach 1918–1922.

[8] Gdańsk-Wrzeszcz.

[9] VIII Zachodniopruski Okręg NSDAP, Oddział Szturmowy w Kwidzynie.

[10] Niem.: samoświadomość.

[11] Gauleiter Prus Wschodnich od 1928 r., poseł do Reichstagu.

[12] 15 sierpnia 1930, Sztum jest nasz!

[13] Powiat kwidzyński.

[14] Bez pracy nie ma kołaczy.

[15] Krew i ziemia.

[16] Drodzy towarzysze.



[17] Gdańsk jest niemiecki.

[18] Nawiązanie do słynnego dzieła Oswalda Spenglera (1880–1936) *Zmierzch Zachodu*.

[19] *Chrystus zmartwychwstał* – staroniemiecka pieśń wielkanocna, powstała ok. 1100 r.; uznana potem za hymn zwycięstwa zakonu krzyżackiego, towarzyszyła Krzyżakom w bitwie pod Grunwaldem w 1410 r.

[20] Edgar Allan Poe, *Przedwczesny pogrzeb*.

[21] Karl Haberstock – znany niemiecki handlarz dziełami sztuki.

[22] Walter Gropius (1883–1969), architekt niemiecki, założyciel szkoły rzemiosła, budownictwa i wzornictwa przemysłowego Bauhaus.

[23] „Widziałem wszystko, co jest pod słońcem, i wszystko jest ulotne”, wg Księgi Koheleta, 1, 14.

[24] Ewangelia świętego Jana 20, 24–25, Biblia Tysiąclecia.

[25] W średniowiecznej Rzeszy – początkowo niewolny urzędnik dworski i członek orszaku możnowładcy, z czasem uzyskujący najczęściej wolność i prawo przynależności do stanu rycerskiego.

[26] Prusów.

[27] Fryderyk II Hohenstauf (1194–1250) – cesarz rzymsko-niemiecki, król Sycylii, Włoch, Burgundii i Jerozolimy.

[28] Jolanta Jerozolimska, właściwie Izabella II (1212–1228), królowa Jerozolimy, królowa Sycylii i królowa Niemiec, cesarzowa.

[29] Alphonse de Lamartine, *Méditations poétiques*, 1820.

[30] Obecnie Krynica Morska.

